

VICTORIA HOLT

PAN DALEKIEJ WYSPY

Przełożyła

Paulina Breiter-Ziemkiewicz

Warszawa 1994

CZĘŚĆ I
LONDYN

ROZDZIAŁ 1 OŚWIADCZYNY

W noc poprzedzającą debiutancki bal Esmeraldy nawiedził mnie znów ten sen. Nękał mnie regularnie przez całe moje dziewiętnaście lat. Podobnie uporczywie powracające sny budzą zazwyczaj niepokój, ponieważ przywodzą myśl, iż musi się w nich kryć coś ważnego, tajemnica czekająca na to, by ją odkryć.

Kiedy budziłam się, wstrząsał mną dreszcz strachu, choć nigdy tak naprawdę nie wiedziałam, dlaczego. Nie chodziło nawet o sam sen, lecz o towarzyszące mu przecucie nieuniknionej katastrofy.

Byłam w pokoju. Znałam go doskonale, ponieważ za każdym razem był to ten sam pokój. Nie wyróżniał się niczym szczególnym. Znajdował się tam ceglany kominek, po jego obu stronach ustawiono fotele. Podłogę zaścilał czerwony dywan, w oknach wisiały ciężkie czerwone story. Nad kominkiem wisiał obraz, przedstawiający wzburzone morze, na środku pomieszczenia stał rozkładany stół i kilka krzeseł. We śnie przemawiały do mnie różne głosy, na przemian szeptały i milkły. Miałam uczucie, że coś się przede mną ukrywa, nagle nadchodziło obezwładniające przecucie zguby i budziłam się, przerażona.

To wszystko. Czasami sen nie zjawiał się przez cały rok i zapomniałam o nim, po czym nagle powracał. W miarę upływu czasu dostrzegałam coraz to nowe szczegóły, na przykład grube sznury, podtrzymujące czerwone zasłony, czy stojący w kącie fotel na biegunach. Zdawało mi się, iż z każdym drobiazgiem katastrofa zbliża się coraz bardziej.

Po tym, jak się ocknęłam, nadal leżałam nieruchomo i zastanawiałam się, co może oznaczać ten sen. Cemu ów pokój stał się częścią mojej krainy marzeń? Dlaczego za każdym razem był taki sam? Skąd brał się ten przeraźliwy strach? Pokój był niewątpliwie wytworem mojej wyobraźni, ale czemu śniłam o nim przez te wszystkie lata? Nigdy nie wspominałam o tym nikomu. W dziennym świetle cała historia wydawała się śmieszna, bowiem sny, tak rzeczywiste dla śniącego, opowiedziane stają się nudne. Lecz gdzieś w duchu przekonana byłam, iż ów koszmar coś znaczy, że jakaś dziwna, na razie niepojmowalna, siła ostrzega mnie przed nadchodzącym niebezpieczeństwem, i że, być może, kiedyś odkryję, o co właściwie chodziło.

Na jawie nie oddawałam się szaleństwom wyobraźni. Moje życie było na to zbyt ponure i surowe. Odkąd znalazłam się na łasce kuzynki Agaty, nieustannie przypominano mi, abym znała swoje miejsce. Miałam być wdzięczna za wszystko: że zasiadam do stołu z jej córką Esmeraldą, że posiadamy wspólną guwernantkę, że pozwalają mi na spacer po parku w towarzystwie niani. Cały czas musiałam pamiętać, że jestem najbardziej żalonną z istot, ubogą krewną, i jedynie przynależność do rodziny uprawniała mnie do życia na jakim takim poziomie. Zresztą nawet i to nie było do końca pewne, bowiem kuzynkę Agatę łączyła raczej krucha więź pokrewieństwa z moją matką.

Kuzynka Agata była jedną z tych prawdziwie imponujących kobiet. Przerastała innych we wszystkim: sylwetką, głosem, charakterem. Całkowicie zdominowała własną rodzinę, składającą się z drobnego męża - który może wcale nie był drobny, a jedynie sprawiał takie wrażenie w zestawieniu ze swą małżonką - i córki Esmeraldy. Kuzyn William, jak go nazywałam, prowadził bardzo rozległe interesy i był człowiekiem majątnym. Wyobrażałam sobie, iż poza domem odgrywał rolę ważnej osobistości, lecz w rodzinie zawsze ulegał swej energicznej połowicy. Miał spokojne usposobienie i zawsze, kiedy się spotykaliśmy, obdarzał mnie rozragnionym uśmiechem, jakby nie mógł sobie do końca przypomnieć, kim jestem i co robię w jego domu. Myślę, że byłby porządnym człowiekiem, gdyby znalazł w sobie dość silnej woli, aby sprzeciwić się żonie. Kuzynka Agata słynęła ze swych dobrych uczynków. Zawsze poświęcała kilka dni w tygodniu na spotkania dobroczynne. Wtedy podobne jej damy zasiadały w salonie i często wzywano mnie, abym pomogła przy roznoszeniu herbaty i ciastek. Kuzynka Agata lubiła, gdy w takich sytuacjach pokazywałam się gościom.

- To Ellen, córka mojej powinowatej - wyjaśniała zawsze. - Co za tragedia. Nie pozostawało nic innego, jak zapewnić dziecku dom.

Czasami Esmeralda pomagała mi przy ciastkach. Biedna Esmeralda! Nikt by nie zgadł, że to latorośl właścicieli domu. Stale rozlewała herbatę na spodki, a kiedyś opróżniła całą filiżankę na kolana jednej z dam.

Kuzynka Agata bardzo złościła się, kiedy ktoś omyłkowo uznał Esmeraldę za ubogą krewną, a mnie za dziedziczkę. W sumie los Esmeraldy nie był wcale łżejszy od mojego. Stale słyszała: „Wyprostuj ramiona”, „Nie garb się” albo „Mów głośnie, na miłość boską. Nie mamroc pod nosem”. Nieszczęsna Esmeralda o wspaniałym imieniu, które zupełnie do niej nie pasowało! Miała bładobłękitne oczy, błyskawicznie napęlniające się łzami - a płakała często - i cienkie jasne włosy, zawsze sprawiające wrażenie nieuczesanych. Odrabiałam za nią zadania z algebry i pomagałam przy pisaniu wypracowań. Lubiała mnie.

Ciotka Agata bardzo żalowała, że ma tylko jedno dziecko. Tęskniła za synami i córkami, którymi mogłaby komenderować i poruszać, jak pionkami na szachownicy. Za to, że los obdarzył ją jedną jedyną, w dodatku wątłą pociechą, winała wyłącznie męża. Zasada numer jeden głosiła, że wszystko, co dobre, pochodziło wprost od niej. Do niepowodzeń przyczyniali się zawsze inni.

Została kiedyś przyjęta przez królową, która pogratulowała jej działalności na rzecz biednych. Organizowała kluby, w których ludzi tych wprowadzano w obowiązki wobec lepszych tego świata. Aranżowała szycie koszul i perkalowych strojów. Była niezmordowana i zawsze emanowała aurą niezłomnej cnoty.

Nic dziwnego, że jej mąż i córka czuli się przytłoczeni. O dziwo, mnie to nie peszyło. Od dawna byłam przekonana, iż dobre uczynki kuzynki Agaty sprawiały taką samą satysfakcję jej, co innym. Uważałam też, że jeśli przestałyby sprawiać jej przyjemność, zrezygnowałaby z nich natychmiast. Wyczuwała we mnie ten brak akceptacji i bolała nad nim. Nie lubiła mnie - nie żeby w ogóle żywiła do kogoś gorętsze uczucie, rzecz jasna poza własną osobą. W głębi ducha musiała jednak doceniać fakt, iż mąż dostarczał jej pieniędzy, pozwalających żyć na poziomie, do jakiego przywykła. Co do Esmeraldy, to jako jedynej

córce należały jej się pewne względy.

Ja jednak byłam obca i w dodatku niezbyt pokorna. Kuzynka Agata musiała zauważyć uśmiech, którego nie potrafiłam powstrzymać, gdy opowiadała o swych najnowszych planach uszczęśliwienia kolejnej osoby. Niewątpliwie wyczuła we mnie niechęć do podporządkowania się. Oczywiście z łatwością uwierzyła, że to wpływ złej krwi, odziedziczonej po rodzinie ojca, choć zawsze twierdziła, że nie wiadomo jej nic bliższego o mych krewnych z jego strony.

Podejście kuzynki Agaty było widoczne od pierwszych chwil, które spędziłam w jej domu. Kiedy miałam dziesięć lat, posłała po mnie.

- Sądzę, że nadszedł już czas, Ellen - oznajmiła - abyśmy odbyły poważną rozmowę.

Spojrzała na mnie, hardą dziesięciolatkę z masą gęstych, niemal czarnych włosów, z ciemnoniebieskimi oczami, o krótkim nosie i silnie zarysowanym podbródku, znamionującym upór.

Stałam przed nią na wielkim perskim dywanie w pokoju, który nazywała swoim gabinetem. Tam właśnie jej osobista sekretarka pisała za nią listy i wykonywała większą część pracy, za którą później kuzynka Agata zbierała pochwały.

- Posłuchaj, Ellen - powiedziała do mnie - chcę, żebyśmy dobrze się zrozumiwały. Zgadzasz się chyba, iż trzeba określić twoją pozycję w tym domu. - Nie czekając na odpowiedź ciągnęła dalej: - Bez wątplenia jesteś mi głęboko wdzięczna... i oczywiście kuzynowi Williamowi Loringowi (tak nazywał się jej mąż) za to, że przyjęliśmy cię pod nasz dach. Po śmierci twojej matki mogliśmy, rzecz jasna, umieścić cię w sierocińcu, ale ponieważ należysz do rodziny - choć trudno mówić o bliskim pokrewieństwie - zdecydowaliśmy, że trzeba ci zapewnić opiekę. Twoja matka, jak wiesz, poślubiła niejakiego Charlesa Kellowaya. Ty jesteś owocem tego związku - jej nos zdrzął lekko, dobitnie demonstrując pogardę, jaką kuzynka darzyła zarówno moich rodziców, jak i ich potomstwo. - Niestosowne małżeństwo. Nie był to mężczyzna, którego dla niej wybrano.

- To musiało być małżeństwo z miłości - wtrąciłam, bowiem słyszałam o tym od niani Grange, której ciotka była mamką samej kuzynki Agaty i doskonale знаła dawne sekrety rodzinne.

- Proszę, nie przerywaj mi. To bardzo poważna sprawa. Twoja matka, wbrew woli rodziny, poślubiła mężczyznę z jakiegoś dzikiego zakątka, o którym nigdy nawet nie słyszeliśmy. - Ciotka spojrzała na mnie surowo. - Ty urodziłaś się w niecały rok później. Wkrótce potem twoja matka, okazując całkowity brak odpowiedzialności, porzuciła swój dom i wróciła na tony rodziny, przywożąc cię ze sobą.

- Miałam wtedy trzy lata - powiedziałam, znowu cytując nianię Grange.

Kuzynka Agata uniosła brwi.

- Prosiłam, abyś mi nie przerywała. Nie miała nic... zupełnie nic. Obie stałyście się ciężarem dla twojej babki. A twoja matka umarła w dwa lata później.

Miałam wtedy pięć lat. Pamiętałam ją jak przez mgłę: duszące uściski, które uwielbiałam, i poczucie bezpieczeństwa, docenione dopiero, gdy jej zabrakło. W moim umyśle tkwił rozmyty obraz: siedziałam na chłodnej trawie, a matka obok mnie, trzymając w dłoni szkicownik. Zawsze coś rysowała i starannie chowała blok przed babką. Oczywiście wyczuwałam, że była w niełasce, i często widziałam siebie w roli obronnej tarczy.

- Kochasz mnie, prawda, Ellen? - pytała. - Nieważne, co zrobiłam. - Słowa te dźwięczały mi w uszach, kiedy o niej myślałam, i zawsze czułam złość na tępiącą pięciolatkę, nie pojmującą, co się wokół niej dzieje.

- Twoja babka była w wieku praktycznie wykluczającym wychowanie dziecka - kontynuowała kuzynka Agata.

Tak, pomyślałam ponuro. W moich oczach zawsze wydawała się niewyobrażalnie stara z zaciśniętymi ustami, zimnym spojrzeniem i małym białym czepkiem, którego chyba nigdy nie zdejmowała - groźna staruszka, budząca we mnie przerażenie. Ze zgrozą uświadomiłam sobie, iż zostałam sama, straciłam ową kochającą współkonnspiratorkę i towarzyszkę, i w przyszłości bez jej pomocy będę musiała wyplątywać się z kłopotów, w jakie stale wpadałam. Na szczęście byłam z natury odporna i zdołałam wykształcić w sobie stoicką obojętność na wszelkie upomnienia czy dramatyczne apele do Boga, po których niezmiennie padało pytanie, co ze mnie wyrośnie. Po śmierci babki nie potrafiłam wzbudzić w sobie smutku i nawet nie udawałam, że go czuję.

- Twoja babka przed śmiercią - ciągnęła dalej kuzynka Agata - prosiła mnie, abym się tobą zajęła, i przysięgłam jej to na łożu śmierci. Jestem zdecydowana spełnić tę obietnicę. Musisz sobie uświadomić, że nie trafiłaś do sierocińca tylko dzięki temu, iż wzięłam cię do mojego domu. W sierocińcu przygotowano by cię do roli pokojówki jakiejś damy albo też, gdybyś okazała skłonności w kierunku nauki, guwernantki. Ja jednak sprowadziłam cię tutaj, toteż pobierasz nauki wraz z Esmeraldą i żyjesz jak członek rodziny. Proszę, pamiętaj o tym. Nie żądam wdzięczności, ale jej oczekuję. Nie spodziewaj się takich przywilejów, jakie ma moja córka. To powinno dobrze wpłynąć na twój charakter. Kiedy osiągniesz odpowiedni wiek, zapewne będziesz musiała zapracować na swe utrzymanie. Radzę ci zatem wykorzystać ogromną szansę, jaka ci się trafiła. Dzięki guwernantce, w wieku osiemnastu lat staniesz się wykształconą młodą kobietą. Poznasz także maniery i zwyczaje panujące w wyższych sferach. Możesz na tym bardzo skorzystać, Ellen. Ucz się wszystkiego, czego tylko możesz i zawsze pamiętaj, że dzięki mnie otrzymałaś szansę na lepsze życie. To wszystko.

Odesłała mnie, abym mogła zastanowić się nad jej słowami, pojąć, jak wielkie spotkało mnie szczęście i wzbudzić w sobie pokorę. Tej bowiem cnoty, najbardziej pożądanej u ludzi, którzy znaleźli się w podobnej do mojej sytuacji, mnie niestety wyraźnie brakowało. Kiedyś wydawało mi się nawet, że kuzynka Agata obserwuje mnie z sympatią, bowiem gdy mnie spotykała, w jej oczach pojawiał się wyraz głębokiego zadowolenia. Wkrótce jednak pojęłam, iż satysfakcję czerpała ze świadomości spełnienia dobrego uczynku - opieki nade mną - i nie miało to nic wspólnego z moim postępowaniem. W istocie kuzynka zdawała się z lubością przyjmować wszystkie moje wybryki, których zresztą nie brakło, i wreszcie pojęłam, że według niej im większym byłam ciężarem, tym znacznieszą zasługą stawał się sam fakt trzymania mnie w jej domu.

Łatwo zgadnąć, iż nie darzyłam kuzynki Agaty zbyt gorącym uczuciem. Nasze usposobienia różniły się diametralnie i szybko doszłam do wniosku, że jako jedyna w tym domu potrafię się jej sprzeciwić. Kiedy byłam młodsza, wciąż wisiła

nade mną widmo sierocińca, szybko jednak zrozumiałam, że nigdy nie zostanę tam odesłana. Kuzynka Agata nie mogłaby pozbyć się mnie w ten sposób - co powiedziałyby jej przyjaciółki? Mój niesławny charakter stanowił dla niej stale źródło przyjemności. W kręgu znajomych częściej opowiadała o mnie niż o Esmeraldzie. Jej własna córka była nikim. Ja - wręcz przeciwnie. Wychodząc z salonu często słyszałam uwagi typu: „Oczywiście jej matka...” lub „Trudno uwierzyć, że biedna Frances była z domu Emdon”. Biedna Frances to moja matka, zaś Emdonowie byli szlachetną rodziną, która wydała zarówno ją, jak i kuzynkę Agatę.

Oczywiście już od dziecka byłam przebiegłą, „sprytna jak całe stado małpatek”, jak to ujęła niania Grange.

- Jeśli gdzieś dzieje się coś niedobrego, to na pewno maczała w tym palce panna Ellen. A co do panny Esme, zawsze pójdzie tam, dokąd zaprowadzi ją niegrzeczna kuzynka. - Przypuszczam, że w pewnym sensie byłam w naszym domu równie ważna, jak jego właścicielka.

Zimy spędzaliśmy w wysokiej rezydencji naprzeciwko Hyde Parku. Uwielbiałam tamtejsze drzewa, które w oczekiwaniu na nasz powrót ze wsi pokrywały się złotem i rdzą. Siadywałam często z Esmeraldą często w oknie na najwyższym piętrze i zabawiałymy się pokazując sobie wszystkie słynne budowle. Północne okno wychodziło wprost na park, lecz ze wschodniego dostrzegaliśmy parlament, Big Bena i Kaplicę Bromptońską. Nasłuchiwałyśmy, kiedy rozlegnie się dzwonek roznosiciela bułeczek i patrzyłyśmy na białe czepeczki pokojówek, wybiegających z okolicznych budynków z półmiskami, gotowymi przyjąć jego towar. Niania Grange kazała zawsze kupić kilka, toteż później siadałyśmy przy kominku chrupiąc podpieczone na ogniu bułeczki i napawając się ich delikatnym, maślanym smakiem. Obserwowałyśmy zamiataczy ulic - bosonogich chłopców, którzy budzili w nas smutek, bo byli tacy biedni, a kiedyś obie uroniłyśmy parę łez na widok męzczyzny goniącego wyładowany powóz, zdążający na dworzec Paddington - człowiek ten miał nadzieję zarobić parę groszy dźwigając bagaże podróżnych. Wymyśliłam historijkę na jego temat, opowieść tak rozdierającą smutną, że Esmeralda rozplakała się żałośnie. Była bardzo wrażliwa i wzruszała się tak łatwo, że musiałam nieco zmienić moją opowieść w sposób, który spodobałby się zapewne kuzynce Agacie: potomek dobrego rodu roztrwonił ojcowiznę w piwiarniach i klubach. Zaczął bić swoją żonę, a dzieci bały się go śmiertelnie. Biedna, słodka, naiwna Esmeralda! Tak łatwo było nią kierować!

Popołudniami, po lekcjach, odbywałyśmy wraz z nianią Grange spacerować po Ogrodach Kensingtonskich. Niania przysiadła na ławeczce wśród klombów, a my szalałyśmy w pobliżu.

- Tylko proszę nie schodzić mi z oczu, panienko Ellen, albo porozmawiamy inaczej. - Tym akurat nie musiała się martwić, bo lubiłam trzymać się obok i słuchać, o czym plotkowała z innymi nianiami.

- Matka Esme? Daję słowo, to prawdziwa wiedźma. Nie mówiłabym tego, ale moja ciotka była jej nianią, a takie rzeczy powinny pozostać w rodzinie. Panna Esme? Biedne, chorowite chuchro. A co do panny Ellen, no, to naprawdę mała dama. Dobra, można by pomyśleć, że jest dziedzińcem, a nie ubogą krewną. Kiedyś to się na niej zemści, zapamiętajcie moje słowa. Inne nianie opowiadały o swoich paniach i podopiecznych, a ja uciszałam Esmeraldę, abyśmy obie mogły słuchać bez przeszkód. Nasze towarzyski piszczały, rzucały w siebie piłkami, wymachiwały kapeluszami albo tuliły do piersi lalki, podczas gdy ja siedziałam nonszalancko na trawie tuż za oparciem ławki, bezwstydnie podsłuchując.

Byłam obsesyjnie ciekawa wszystkiego, co miało związek z moją matką.

- Ciotka twierdzi, że była naprawdę ładna. Podobno nasza panienska jest do niej bardzo podobna. Nie zdziwię się, jeśli będziemy z nią jeszcze mieli kłopoty. Ale to dopiero przyszłość. Ciotka opowiadała mi, jak jej matka wróciła do domu. Była w okropnym stanie. Coś się popsło - ciotka nigdy nie dowiedziała się co - w każdym razie uciekła do matki, zabierając z sobą dziecko. Na mą duszę, trafiła z deszczu pod rynnę. Podobno nigdy nie dali jej zapomnieć o tym, co zrobiła. A jeśli chodzi o babkę panny Ellen, to ponoć taka sama z niej była jędza, co z mojej pani. Zajmowała się prostakami, pilnowała, by dostawali zupę i porządne koszule, a jednocześnie unieszczęśliwiała własną córkę... i to maleństwo. A potem panna Frances umarła, zostawiając naszą panienską Ellen, której wciąż wypomina się, że jest ciężarem dla innych. To znaczy, stara dama, taka jak pani Emdon, i małe, pełne życia dziecko... nie pasowały do siebie! Kiedy zaś babka umarła, ona zabrała dziewczynkę. Tak naprawdę to nic innego nie mogła zrobić. Ale nie da dziecku zapomnieć, jak wiele jej zawdzięcza!

W ten sposób już w dzieciństwie zaczęłam zbierać mgliste fakty, dotyczące moich początków.

Wszystko to niezmiernie mnie intrygowało. Często zastanawiałam się, jaki był mój ojciec, ale nigdy o nim nie wspomiano, toteż niczego nie zdołałam się dowiedzieć. Spoglądając w przeszłość czułam, że przez całe moje życie nikomu na mnie nie zależało. Może jedynie kuzynka Agata pragnęła mnie zatrzymać, lecz jedynie dlatego, że stanowiłam kolejną pozycję w jej rejestrze cnót.

Nie byłam dzieckiem, które lubowało się w ponurych rozmyśleniach. Na nieszczęście - przynajmniej tak to wtedy odbierałam - cechowała mnie niezłomna ufność we własną zdolność korzystania ze wszystkiego, co podsuwało życie i przynajmniej Esmeralda cieszyła się, że ma przyszywaną siostrę. W istocie beze mnie czuła się całkiem zagubiona. Nigdy nie mogłam zbyt długo być sama, bo natychmiast zaczynała mnie szukać. Nie lubiła swego własnego towarzystwa. Bała się matki, ciemności i w ogóle życia. Przypuszczam, iż litość dla Esmeraldy pozwalała mi cieszyć się, że jestem sobą.

Latem wyjeżdżaliśmy do wiejskiej posiadłości kuzyna Williama Loringa. Każdemu z tych wyjazdów towarzyszył ogromny rozgardiasz. Przez kilka dni odbywało się pakowanie, a my szalałyśmy z podniecenia, snując plany zabaw na cały pobyt na wsi. Kryty powóz dowoził nas na stację, po czym następowała gorączkowa krzątania przy wsiadaniu do pociągu i dyskusje, czy powinniśmy siedzieć przodem, czy tyłem do lokomotywy, co już samo w sobie stanowiło wspaniałą przygodę. Rzecz jasna towarzyszyła nam guwernantka, która pilnowała, abyśmy siedziały prosto na obitych pluszem siedzeniach, i abym ja nie wykrzykiwała zbyt głośno, kiedy pokazywała Esmeraldzie mijane wioski i krajobrazy. Część służby wyruszyła przed nami, niektórzy dojeżdżali później. Kuzynka Agata zjawiała się zazwyczaj dopiero po tygodniu - o, błogostawione dni! - po czym przenosiła swe akcje dobroczynne z miasta na prowincję. Posiadłość leżała w hrabstwie Sussex - dostatecznie blisko Londynu, by kuzynka Agata mogła bez zbytecznego trudu dotrzeć do miasta, jeśli wymagała tego szlachetna sprawa.

Umożliwiało to również kuzynowi Williamowi Loringowi doglądanie jego rozległych interesów, nie pozbawiając go przy tym całkowicie świeżego wiejskiego powietrza.

Nauczyliśmy się z Esmeraldą jeździć konno, odwiedzałyśmy biednych, pomagałyśmy przy kościelnym festynie i uczestniczyłyśmy w wiejskim życiu szlachty.

Na prowincji spotkania towarzyskie organizowano równie często, co w stolicy. Esmeralda i ja byłyśmy za młode, by w nich uczestniczyć, ale przyjęcia bardzo mnie interesowały. Szkicowałam nawet suknie dam, wyobrażając sobie, jak bym w nich wyglądała. Namawiałam też Esmeraldę do ukrywania się na schodach, abyśmy mogły oglądać przyjazd gości. Patrzyłyśmy z zachwytem, jak wchodzi do wielkiego holu, gdzie witali ich imponująca kuzynka Agata i kuzyn William Loring, wyglądający przy niej zupełnie niepozornie.

Wyciągałam Esme z łóżka i razem spoglądałyśmy zza poręczy na wspaniałe zgromadzenie. Czasem nawet wymykałam się aż na górny podest. Gdyby ktoś uniósł wtedy wzrok, musiałby mnie dostrzec. Esmeralda dygotała ze strachu, a ja śmiałam się z niej. Wiedziałam, że i tak nie zostaną odesłana do sierocińca, bo kuzynka Agata straciłaby jeden ze swych powodów do chwały. Później płażałam po sypialni, porywając do tańca Esmeraldę.

Właśnie na wsi naprawdę uświadomiłam sobie, jak ważną rodziną są Carringtonowie. Nawet kuzynka Agata wypowiadała to nazwisko z nabożeństwem. Mieszkali w Trentham Towers, wspaniałym domu na wzgórzu - właściwie dworze - a pan Josiah Carrington był czymś w rodzaju miejscowego dziedzica. Podobnie jak kuzyn William Loring, prowadził liczne interesy w mieście i miał oczywiście dom w Londynie - ściślej mówiąc, na Park Lane. Niania Grange pokazywała nam go kilkakrotnie.

- To wiejska rezydencja Carringtonów - oznajmiała przyciszonym głosem, jakby miało chodzić o najprawdziwszy raj. Do ich rodziny należała większa część wioski w Sussex i kilkanaście okolicznych gospodarstw, a żoną pana Josiaha Carringtona była lady Emily, tytuł wskazywał, że musiała być córką hrabiego. Jedną z największych ambicji kuzynki Agaty stanowiło utrzymywanie dobrych stosunków z Carringtonami, a ponieważ zawsze osiągała to, do czego dążyła, w pewnym sensie i to jej się udało. Wiejski dom kuzyna Williama był przyjemnym, klasycystycznym budynkiem o wdzięcznym portyku i eleganckiej sylwetce. Salon znajdował się na pierwszym piętrze: wielki, wysoki pokój o przepięknych gzymdach, idealny do podejmowania gości. Tu właśnie kuzynka Agata „przyjmowała” w każdy czwartek, kiedy była „w domu” na wsi, a jej proszone obiady i bale sływały ze znakomitej organizacji. Zawsze też była niepokieszona, jeśli Carringtonowie z jakichś przyczyn nie mogli się zjawić.

Okazywała niezwykle uprzejmość wobec lady Emily i niezwykle przejęta towarzyszyła jej we wszystkim, podczas gdy kuzyn William i pan Josiah Carrington z równą pasją dyskutowali o giełdzie.

Był jeszcze Philip Carrington, starszy ode mnie o rok, a od Esmeraldy o dwa. Kuzynce Agacie bardzo zależało, aby został dobrym przyjacielem jej córki. Pamiętam, jak pewnego wczesnego lata, niedługo po przyjeździe na wieś, po raz pierwszy spotkałam Philipa. Esmeralda została mu oficjalnie przedstawiona w salonie, mnie ominął ten zaszczyt. Następnie kuzynka Agata poleciła córce, aby zaprowadziła Philipa do stajni i pokazała mu swego kucyka.

Zaczaiłam się na nich w korytarzu i dalej poszliśmy już razem.

Philip miał jasne włosy i piegowaty nos oraz bardzo blade niebieskie oczy. Niemal dorównywał mi wzrostem, a byłam przecież dość wysoka jak na swój wiek. Zainteresowałam go chyba. Dostrzegłam też natychmiast, że od pierwszej chwili nie darzył sympatią Esmeraldy, zrażony pewnie tym, iż wysłano go gdzieś w towarzystwie dziewczynki, i to w dodatku tak wątpliwej.

- Przypuszczam, że jeździecie na kucach? - powiedział z lekką pogardą.

- A ty na czym jeździsz? - zapytałam.

- Oczywiście na koniu.

- My także niedługo dostaniemy konie - wtrąciła Esmeralda.

Zignorował ją.

- Też potrafiłybyśmy dosiąść konia - rzuciłam. - To prawie to samo, co kucyk.

- Co ty tam wiesz.

I tak sprzeczałyśmy się przez całą drogę do stajni.

Tam wyśmiał nasze kucyki, czym mnie rozgniewał, bo zaleńczo kochałam mojego Browniego. Prawdą jest jednak, że po tej rozmowie nigdy już nie patrzyłam na biedne stworzenie tak, jak wcześniej. Philip pokazał nam konia, na którym przyjechał.

- Jest bardzo mały - zauważyłam.

- Założę się, że nie potrafisz na nim jeździć.

- Założę się, że tak.

To było wyzwanie. Esmeralda zaczęła trząść się ze strachu. Szeptła do mnie gorączkowo:

- Nie, Ellen, nie! - ale ja dosiadłam jego konia na oklep i skierowałam na padok, okrążając go brawurowo. Muszę przyznać, że nawet trochę się bałam, ale nie miałam zamiaru pozwolić mu wygrać. Poza tym, chciałam go ukarać za drwiny z Browniego.

Potem Philip wskoczył na konia i pokazał nam parę sztuczek. Bezwstydnie się popisował. Przez cały czas kłóciliśmy się, ale też obojgu nam sprawiało to dużą przyjemność. Esmeralda martwiła się sądząc, że się nienawidzimy.

- Mama nie będzie zadowolona - powiedziała mi potem. - Pamiętaj, że to Carrington.

- Co z tego? Ja jestem Kellaway - odparłam - a to równie dobre nazwisko.

Tego lata Philip miał na wsi nauczyciela i często się spotykaliśmy. To wtedy po raz pierwszy usłyszałam o Rollo.

- Co za śmieszne imię! - wykrzyknęłam, na co Philip aż poczerwieniał z wściekłości.

Rollo był jego bratem, starszym o dziesięć lat. Philip zawsze wspominał o nim z dumą. Ponieważ miał wtedy

dwanaście lat, Rollo musiał mieć dwadzieścia dwa. Studiował w Oxfordzie i, wedle słów Philipa, potrafił wszystko.

- Szkoda, że nie może zmienić imienia - powiedziałam, wyłączając po to, by zrobić mu na złość.

- Ty głupia, to wspaniałe imię. Imię wikinga.

- Ale wikingowie byli piratami - odrzekłam ze wzgardą.

- Władali na morzach. Podbijali wszystkie kraje, do jakich dotarli. Rollo był jednym z największych: wyruszył do Francji, a tamtejszy król tak się przeraził, że podarował mu część swego państwa. Tak powstała Normandia. A my jesteśmy Normanami - spojrzeli na nas lekceważąco. - Przybyliśmy tu i podbiliśmy was.

- Nieprawda! - krzyknęłam - My też jesteśmy Normankami, prawda, Esmeraldo?

Esmeralda nie była pewna. Szturchnęłam ją lekko. Zupełnie nie wiedziała, jak postępować z Philipem. Zresztą i tak oboje zupełnie nie liczyliśmy się z jej zdaniem.

- My byliśmy lepszymi Normanami niż wy - ciągnął Philip. - Książętami. Wy pochodzicie od prostego ludu.

- Wcale nie, bo...

I tak dalej.

Potem Esmeralda stwierdziła:

- Mama gniewałaby się, gdyby wiedziała, że się z nim kłócisz. W końcu to Carrington.

Pamiętam dzień, kiedy Rollo przyjechał z Oxfordu. Pierwszy raz ujrzałam go jadącego alejką wraz z Philipem. Dosiadał białego konia i, jak powiedziałam Esmeraldzie, gdy już nas minął, powinien mieć na głowie jeden z tych hełmów ze skrzydełkami po bokach. Wtedy wyglądałby zupełnie jak wiking. W ogóle z nim nie rozmawialiśmy. Philip pozdrowił nas jedynie okrzykiem, dając wyraźnie do zrozumienia, że nie będzie marnował czasu dla dwóch dziewczynek, gdy ma obok siebie równie wspaniałego towarzysza. Sam Rollo ledwo na nas spojrział.

Oczywiście otrzymał zaproszenie do naszego domu, gdzie przyjęto go łącznie z królewską. Kuzynka Agata wręcz łąsiła się do niego. Niania Grange stwierdziła potem, że można by sądzić, iż to jakieś bóstwo, i że pewnie pani wyciąga szpony, aby schwycić go dla Esmeraldy.

- Najpewniej odziedziczy te wszystkie miliony - dodała. - Choć myślę, że i paniczowi Philipowi skapnie co nieco.

Kiedy wróciliśmy tego roku do Londynu, zaczęłam częściej widywać Rolla. Gdy tylko miał wolne, odwiedzał nas z rodzicami. Uwielbiałam chwile, kiedy ulicę przed domem wypełniały powozy, zajeżdżające pod nasze drzwi. Rozwijano wtedy markizę w biało-czerwone paski, pod którą przechodzili goście, a w pobliżu gromadził się tłumek gapiów. Z zachwytem przyglądałam się temu z okna dziecięcego pokoju.

To były piękne dni. Każdego ranka budziłam się oczekując, że zdarzy się coś nadzwyczajnego. Służba plotkowała o gościach, szczególnie dużo uwagi poświęcając Carringtonom. Czasami kuzynka Agata i kuzyn William udawali się na Park Lane na kolację. Odprowadzaliśmy ich wzrokiem, srodze żałując, iż przyjęcie nie odbywa się u nas.

Jak już wspomniałam, znaczną część życia spędzałam na dole, a kiedy tylko mogłam, dosiadałam się do stołu służących i słuchałam. Gdyby Esmeralda była ze mną, bardziej zważaliby na to, co mówią, lecz mną nie przejmowali się za bardzo, może dlatego, że w przyszłości mój los miał umieścić mnie pośród im podobnych.

Kiedyś jedna z pokojówek stwierdziła:

- Panna Ellen to takie ni sio, ni owo. Pewnie zostanie guwernantką, jak będzie starsza. Ja tam już wolę być pokojówką, człowiek przynajmniej zna wtedy swoje miejsce.

Ta myśl zaniepokoiła mnie wprawdzie, ale na krótko. Byłam pewna, że gdy nadejdzie czas, potrafię dać sobie radę, tymczasem jednak mój nieokreślony status pozwalał mi swobodnie wędrować między dwoma światami. Moja obecność zupełnie nie krępowała służących. Wkrótce odkryłam, że ona i on to kuzynka Agata i kuzyn William Loring. Dowiedziałam się też, że ona jest strasznie skąpa, co tydzień sprawdza rachunki kucharki i niezmordowanie wypytuje o każdą pozycję, a on okropnie się jej boi. Jej zależy tylko na podniesieniu własnej pozycji.

Patrzcie, jak ugania się za tymi Carringtonami. Wstydu nie ma! Tamci prowadzą naprawdę wystawne życie, zarówno na Park Lane, jak i w Sussex, a kucharka na własne uszy słyszała kiedyś, że ona kazała mężowi kupić dom w Sussex tylko dlatego, że mieszkają tam Carringtonowie. Zawsze knuła, jak wspiąć się jeszcze o szczebel wyżej.

Dzięki licznym porozumiewawczym gestom i mrugnięciom (sądzone, że nie potrafię ich odczytać) dowiedziałam się również, iż ona jest zdecydowana połączyć obie rodziny. A ponieważ Carringtonowie mają dwóch chłopców, a ona córkę, łatwo zgadnąć, co zamierzała.

Byłam zdumiona. Wierzyli, że zdołają wydać Esmeraldę za Philipa albo za tego wspaniałego mężczyznę na białym koniu!? Z trudem powstrzymując śmiech zastanawiałam się, czy powiedzieć o tym Esmeraldzie. Po co jednak ją przerażać. Zupełnie straciłaby tę resztkę rozsądku, jaka jej jeszcze została. Życie było takie ciekawe! Na górze, w pokojach dziecięcych, skąd mogłam podglądać ludzi, którzy - jak nieustannie przypominała mi kuzynka Agata - stali o wiele wyżej ode mnie, i na dole w kuchni, skąd czerpałam przeróżne sekrety, gdy służących ogarnęła lekka senna po zjedzeniu pieczeni czy kurczaka w cieście, podlanego winem, które kucharka robiła z czarnego bzu albo mleczka.

Cieszyło mnie również, że moje pochodzenie jest tak tajemnicze. Za nic nie chciałam być córką kuzynki Agaty, jak parę razy powiedziałam Esmeraldzie, kiedy byłam na nią wściekła. Być może kuzyn William Loring byłby nawet niezłym ojcem, lecz jego uległość żonie sprawiała, że nie darzyłam go specjalnym podziwem.

Tak zatem wyglądała nasza jesień i zima - ogień na kominku, kasztany strzelające w palenisku, roznosiciel bułeczek, śliczne powozy, przejeżdżające obok z turkotem kół. Patrząc na nie, zastanawiałam się często, kim są zasiadający w nich ludzie. Wymyślałam przeróżne historie, które opowiadałam potem zafascynowanej Esmeraldzie, a ona pytała:

- Skąd wiesz, kim oni są i dokąd zmierzają?

Ja zaś mrużyłam oczy i odpowiadałam tajemniczo:

- Więcej jest rzeczy na niebie i ziemi, Esmeraldo Loring, niż to się śniło filozofom. - Esmeraldą wstrząsał dreszcz i

patrzyła na mnie z podziwem (który sprawiał mi dużą przyjemność). Często rzucałam jej różne cytaty, a czasem udawałam, że to moje własne słowa. Wierzyła mi. Nauka nie szła jej zbyt łatwo. Szkoda, że była tak mało zdolna, bowiem przez to nabrałam przesadnego mniemania o swej własnej inteligencji. Z drugiej strony, kuzynka Agata czyniła wszystko, aby przekonać mnie o mojej miernocie. Może więc nieudolność Esmeraldy nie była taka zła, bo biorąc pod uwagę, że jej matka traktowała mnie, jakbym była nikim, a służba niespecjalnie się mną przejmowała, potrzebowałam czegoś, co pomogłoby mi zachować pewność siebie.

Byłam śmiała i żądna przygód, co dało podstawę do plotek, że mam w sobie żyłkę złośliwości. Szczególnie lubiłam targowiska. W naszej dzielnicy nie było ani jednego, ale czasami służący wyprawiali się tam, a ja wysłuchiwałam ich opowieści.

Raz ublażałam Rose, jedną z pokojówek, żeby mnie z sobą zabrała. Była to kapryśna dziewczyna, zawsze miała jakiegoś narzeczonego, póki w końcu nie znalazła jednego, który chciał się z nią ożenić. Na dole często rozmawiano o jej „wyprawie”, ona zaś stale dodawała do niej kolejne „drobiazgi”. Przynosiła je z sobą do kuchni.

- Spójrzcie, co znalazłam na targu! - wołała wtedy, a oczy jej lśniły. - Tanie jak barszcz!

Jak już mówiłam, przekonałam ją, by zaprowadziła mnie na targ. Ona także uwielbiała łamać obowiązujące zasady. Dostyc mnie przy tym lubiła i często opowiadała mi o swoim narzeczonym. Był to stangret Carringtonów i Rose miała zamieszkać z nim w domku przy stajniach.

Nigdy nie zapomnę tego targowiska. Oświetlały je lampy naftowe, a powietrze aż dzwoniło od ochrypłych głosów kobiet i mężczyzn, zachwalających swe towary. Wszędzie stały kramy, na których piętrzyły się stosy jabłek, wypolerowanych do połysku, sąsiadujące z pomarańczami, gruszkami i orzechami. Był dopiero listopad, lecz sprzedawano już jemiotę i gałęzie ostrokrzewu. Z podziwem oglądałam fajanse, wyroby metalowe, używane ubrania, węgorki duszone i w galarecie - można było zjeść je na miejscu albo zabrać do domu - a już w zupełny zachwyt wprawiła mnie apetyczna woń, unosząca się niczym obłok ze stoiska z rybą i frytkami. Najbardziej jednak podobał mi się ludzie targujący się przy kramach i ze śmiechem przepychający się przez tłum im podobnych. Uważałam, że jest to najbardziej podniecające ze wszystkich znanych mi miejsc. Wróciłam do domu z płonącymi oczami i natychmiast zaczęłam snuć opowieści, roztaczając przed Esmeraldą cudowne wizje.

Pochopnie obiecałam jej, że ją tam zabiorę. Od tej pory ciągle wypytywała mnie o targ, a ja wymyślałam najdziwsze historie. Zazwyczaj zaczynały się tak: „Kiedy wybrałyśmy się z Rose na targ...” Przeżywałyśmy tam coraz to nowe fantastyczne przygody - wszystkie zrodzone w moim umyśle - a Esmeralda słuchała z zapartym tchem.

Wreszcie nadszedł dzień, kiedy rzeczywiście tam poszłyśmy, w wyniku czego zwrócił na mnie uwagę nawet wspaniały Rollo. Pamiętam, że było to na tydzień przed świętami - w mroczny dzień, kiedy mgła otuliła korony drzew w parku. Uwielbiałam podobne dni. Park w moich oczach stawał się wtedy czarodziejskim lasem, skąpanym w miękkim, błękitnym blasku. Czułam, że wszystko jest możliwe i powiedziałam do siebie:

- Dzisiaj zabiorę Esmeraldę na targ.

Nie mogłam lepiej trafić. Tego wieczoru w naszym domu miało się odbyć przyjęcie. Nikt nie miał głowy, żeby się nami zajmować.

- Ona złapała wiatr w żagle - stwierdziła kucharka, mając na myśli kuzynkę Agatę. Wiedziałam, o co jej chodziło. Głos kuzynki rozlegał się w całym domu.

- Panno Hammer - tak nazywała się jej nieszczęsna osobista sekretarka - czy przygotowała już pani karty z nazwiskami na stół? Proszę pamiętać, że lady Emily ma siedzieć po prawej ręce pana, zaś pan Carrington po lewej mojej. Pan Rollo powinien znaleźć się pośrodku, rzecz jasna po lewej stronie pana. Czy przysłano już kwiaty? - kuzynka szalała po domu niczym huragan - Wilton - zwróciła się do lokaja - upewnij się, że rozłożono czerwony dywan i markizę. Dopilnuj tego osobiście. - I do swej pokojówki, Yvonne - Obudź mnie o piątej. Potem przygotuj dla mnie kąpiel.

W kuchni patrzyła na ręce kucharce („Jakbym sama nie znała się na mojej robocie”, mruknęła kucharka). Rano trzykrotnie posyłała po Wiltona, przekazując mu polecenia dla służby.

To był właśnie taki dzień. Spotkałam ją na schodach, a ona minęła mnie bez słowa, zupełnie nie dostrzegając mojej osoby. I znów pomyślałam: „To z pewnością najlepszy moment na wyprawę na targ”. Niania Grange także została zaprzęgnięta do pracy, zajmując się żelazkami do włosów. Nasza guwernantka miała pomagać w układaniu kwiatów. A my zostałyśmy: - sans guwernantki, sans niani, sans nadzoru, sans wszystkiego - jak powiedziałam Esmeraldzie, nieco upraszczając francuskie zdanie. - To idealny dzień, byśmy mogły wymknąć się niezauważone. Targ powinno się oglądać przy blasku pochodni, a w grudniu robi się ciemno około wpół do piątej. Pochodnie błyszczą niczym wybuchające wulkany - oznajmiłam z pewną przesadą. - A zapalają je dopiero po zmroku.

Zapewniłam nianię Grange, że z Esmeraldą zajmiemy się sobą, i wkrótce po podwieczorku, który tego dnia podano o wpół do czwartej, aby nie zawracać nim sobie głowy później, wyruszyłyśmy. Poprzednio starannie zapamiętałam numer omnibusu i przystanek, na którym miałyśmy wysiąść, toteż bez przeszkód dotarłyśmy na miejsce. Dochodziła piąta.

Z radością patrzyłam, jak w oczach Esmeraldy pojawia się podziw. Była zachwycona wszystkim: sklepami o wystawach ozdobionych sztucznym śniegiem - w rzeczywistości była to wata na sznurkach, ale wyglądała bardzo efektownie - i pełnych zabawek. Odciągnęłam ją od nich, chcąc pokazać stoisko rzeźnika, obwieszone truchłami świń, trzymających w ryjach pomarańcze, i wielkimi połciami wołowiny i baraniny. Sam rzeźnik, ubrany w fartuch w biało-niebieskie paski, ostrzył swe długie noże i wykrzykiwał:

- Kupujcie! Kupujcie!

Były tam również kramy pełne owoców i orzechów, sprzedawca starych ubrań i ludzie jedzący węgorka w galarecie z błękitnych i białych misek. Z jednego sklepu unosił się kuszący zapach zupy groszkowej. Zajrzałyśmy do środka i ujrzęłyśmy długie ławy, na których siedzieli ludzie popijający wrzącą zupę z parujących kubków. Obok stał kataryniarz z małpką na

katarynce; na ziemi leżała czapka, do której przechodnie wrzucali pieniądze.

Z zadowoleniem stwierdziłam, że choć raz Esmeralda uznała moje opowieści za autentyczne.

Kiedy żona organisty zaczęła śpiewać dość piskliwym, przenikliwym głosem, wokół nas zebrała się spora grupka ludzi. Po chwili przez tłum zaczął przedzierać się wózek, wiozący spory stos żelaznych naczyń.

- Uwaga na nogi! - krzyczał wesoły głos - Z drogi! Przepuście Kości i Szmaty Harry'ego!

Odkroczyłam na bok i zostałam porwana przez ludzką rzekę, która uniosła mnie na trotuar. Kilka osób zawołało coś do „Kości i Szmat Harry'ego”, on zaś odpowiadał pogodnie na dobrodusze zaczepki. Obserwowałam go z zainteresowaniem, ciekawa, co będzie dalej, gdy nagle zorientowałam się, że u mego boku nie ma Esmeraldy.

Rozejrzałam się gwałtownie. Zaczęłam wykrzykiwać jej imię, ale bez skutku. Ani śladu Esmeraldy.

Nie od razu wpadłam w panikę. Musi być gdzieś na targu, powiedziałam sobie, i to niezbyt daleko. Założyłam, iż będzie trzymać się mego boku; tak jej zresztą nakazałam, a ona nie miała w sobie awanturycznej żyłki. Uważnie przyjrzałam się otaczającym mnie ludziom, ale nigdzie jej nie było. Po dziesięciu minutach gorączkowych poszukiwań zaczęłam naprawdę się bać. Miałam przy sobie wszystkie nasze pieniądze, z wielkim trudem wydłubane ze skarbonki, do których tak łatwo wrzucić monetę i tak ciężko ją wyciągnąć (operacja, wymagająca wsunięcia ostrza noża przez szczelinę; pieniążek opierał się na nim i, po wydobyciu noża, wypadał). Jak Esmeralda zdoła bez pieniędzy wrócić do domu? Po półgodzinie ogarnęło mnie przerażenie. Przyprowadziłam Esmeraldę na targ i zgubiłam ją.

Moja wyobraźnia - jakże użyteczna w chwilach, kiedy ją kontrolowałam - obecnie okazała się bezlitosnym wrogiem. Ujrzałam Esmeraldę porwaną przez bezwzględnych łotrów, takich jak Fagin z „Olivera Twista” i przyuczoną do zawodu złodzieja kieszonkowego. Oczywiście nigdy nie zdołałaby opanować tego fachu - tego akurat byłam absolutnie pewna - toteż natychmiast została byś aresztowana i odprowadzona do rodziny. Może ukradną ją Cyganie? Na targu widziałam cygańską wróżkę. Przyciemniła jej skórę wywarem z orzecha włoskiego i każą sprzedawać koszyki. Ktoś może ją porwać i zażądać okupu; a wszystko przeze mnie. Wyprawa na targ była śmiałym pomysłem, który można było przedsięwziąć jedynie wtedy, gdy dałoby się wkraść do domu równie niepostrzeżenie, jak przedtem z niego wyjść. A to było możliwe jedynie w dzień ważnego przyjęcia.

Teraz zaś Esmeralda zaginęła. Co miałam robić? Wiedziłam, że muszę wracać do domu. Wyznam, co się stało, i zacząć się poszukiwania.

Ta perspektywa nie zachwyciła mnie zbytnio, bowiem wiedziałam, że domownicy nie zapomną mi podobnego występku. Może nawet zostaną odesłana do sierocińca. Popęnienie takiego grzechu w oczach kuzynki Agaty dostatecznie uzasadni konieczność pozbycia się mojej osoby. Niełatwo mi więc było opuścić targ. Jeszcze tylko chwila, obiecywałam sobie, zagłębiając się w tłum i desperacko wypatrując Esmeraldy.

Raz wydało mi się, że ją dostrzegłam i rzuciłam się w pościg. Ale to nie była ona.

Musiałoby być już bardzo późno. Dotarcie tutaj zabrało nam pół godziny, pobyt co najmniej godzinę, a do tego dochodził półgodzinny powrót.

Pomaszerowałam na przystanek omnibusu i tam zaczęłam czekać. Jakże długo stałam! Szalałam z niepokoju. „Głupia Esmeralda!”, pomyślałam, i obwinianie jej przyniosło mi pewną ulgę. Niemądra mała! Dlaczego nie została ze mną?

Wreszcie nadjechał omnibus. Co miałam im powiedzieć? Będzie straszna awantura! W jaki sposób Esmeralda zdoła trafić do domu? Och, co się z nią stało?!

Wysiadłam na przystanku i ruszyłam w kierunku domu z zamiarem wśliznięcia się przez drzwi dla służby. Z dreszczem strachu ujrzałam czerwony dywan przed drzwiami i osłaniającą wejście czerwoną markizę. Zaczynali zjeżdżać się goście. Pobiegłam na tyły domu. Muszę znaleźć Rose! Ona mnie wysłucha. Najprawdopodobniej będzie w stajni, ponieważ tam właśnie powinien czekać na nią stangret Carringtonów, ona zaś nigdy nie opuszczała możliwości spotkania.

Pobiegłam do stajni, ale pokojówki tam nie było. O Boże, teraz pozostało mi jedynie wrócić do domu i wyznać wszystko pierwszej napotkanej osobie. Kucharce? Zapewne krząta się teraz, do ostatniej chwili doglądając kolacji. Może niani Grange, bo ona zawsze wiedziała, że mam w sobie, jak to nazywała, „niespokojną krew”, i nie będzie na mnie aż tak wściekła.

- To ta jej krew - szepnie ze zrozumieniem.

Do domu weszłam drzwiami dla służby. W pobliżu nie było nikogo. Wspięłam się po schodach do holu i wtedy usłyszałam głosy.

Był tam policjant, pełen szacunku, współczujący i godny zaufania. A obok, w porównaniu ze swym towarzyszem jeszcze drobniejsza niż zwykle, stała błada Esmeralda.

- Znaleźliśmy ją wędrującą bez celu - wyjaśniał policjant. - Zabłądziła. Przyprowadziłem ją do domu, gdy tylko podała mi adres, proszę pani.

Do końca życia nie zapomnę tej sceny.

Kuzynka Agata, wspaniała w głęboko wyciętej sukni, błyszczących brylantach i szmaragdach, oraz kuzyn William Loring, odziany w nienaganny strój wieczorowy, zeszli po schodach do holu. Zamiast witać gości, musieli przyjąć swą zbłąkaną córkę, odprowadzoną do domu przez policjanta.

Na schodach zebrało się kilkanaście osób. W dodatku właśnie zajechali Carringtonowie - pan Carrington, lady Emily i wspaniała Rollo.

Cała posągowa postać kuzynki Agaty wyrażała najgłębszy wstyd; jej szmaragdowe kolczyki drżały we wściekłym oburzeniu. Esmeralda rozplakała się:

- Już wszystko w porządku, panienko - uspokojał ją policjant.

- Moi drodzy - wtrąciła lady Emily. - Co się, na Boga, stało?

- Nasza córka zabłądziła... - zaczął kuzyn William, lecz kuzynka Agata uciszyła go natychmiast.

- Gdzie jest niania? Co robiła w tym czasie? Esmeralda, idź do swojego pokoju.

Nagle Esmeralda dojrzała mnie przez tzy i krzyknęła:

- Ellen!

Kuzynka Agata obróciła się, wlepiając we mnie spojrzenie godne bazyliuszki.

- Ellen! - zawołała także, a jej głos nie wróżył nic dobrego.

Zrobiłam kilka kroków do przodu.

- Poszliśmy tylko na targ... - zaczęłam.

- Wilton! - Był na miejscu, dyskretny i uprzejmy na swój lokajski sposób.

- Tak, proszę pani. Odprowadzę panienki do ich pokoi. - Po czym odwrócił się do policjanta: - Jeśli pójdzie pan ze mną, otrzyma pan poczęstunek i odpowiednią nagrodę. Proszę pani, jest niania.

Pojawiła się niania Grange; jedną ręką ujęła moją dłoń, drugą - dłoń Esmeraldy. Mocny uścisk palców wyraźnie zdradzał jej gniew. Byłam pewna, że czekają mnie długie wyjaśnienia, w tej chwili jednak czułam wyłącznie ulgę. Esmeralda była bezpieczna. Zapamiętałam też jeszcze jedną rzecz - zaciekawione błękitne spojrzenie wspaniałego Rollo. Jego wzrok spoczął na mnie przelotnie. Kiedy niania ciągnęła nas po schodach na górę, zastanawiałam się, co o mnie myślał. Goście patrzyli na nas ciekawie, niektórzy uśmiechali się. A potem znalazłyśmy się na drugim ciągu schodów, prowadzących do pokoi dziecięcych.

- Pomyślałyśmy tylko, że pójdziemy obejrzeć targ - wyjaśniłam.

- To może mnie kosztować posadę - syknęła jadowicie niania Grange. - I wiem, kto się za tym kryje, panno Ellen. Niech panienka nawet nie próbuje obarczać winą panny Esmeraldy. To panienka przywiodła ją do złego.

- Ale ja chciałam pójść, nianiu - wymamrotała Esmeralda.

- Namówiła panienkę. Jakbym nie znała panny Ellen.

- Cóż, to był mój pomysł - przyznałam - i nie powinniście oskarżać Esmeraldy.

- Naprawdę nie wiem, panienko, co na to powie pani. Ale nie chciałam być w panienki skórce.

Odesłano nas spać bez kolacji - czym specjalnie się nie przejęliśmy - a ja leżałam długo w łóżku zastanawiając się, jak wygląda życie w sierocińcu.

Tego wieczoru Rose wróciła późno, dokładnie w chwili, gdy goście zaczęli się rozchodzić. Jej oczy błyszczały, jak zawsze, gdy miło spędziła czas w towarzystwie swego stangreta. Przesiadła na brzegu mojego łóżka i zachichotała.

- Niezłe z panienki ziółko. Nie powinna była panienka zabierać z sobą panny Esmeraldy. Wiadomo było, że się zgubi, albo i co gorszego.

- Skąd miałam wiedzieć, że będzie na tyle niemądra!

- I w dodatku wyszły panienki samiusienkie. Daję słowo, będą z tego kłopoty.

- Wiem - odparłam.

- No, proszę się rozchmurzyć. Na morzu bywa gorzej, jak mawiał mój pierwszy niedoszły. Był marynarzem.

- Jak jest w sierocińcu?

Twarz Rose nagle złagodniała.

- Moja kuzynka Alice została wychowana w jednym z nich. To prawdziwa dama. Teraz jest guwernantką. Nie dla niej praca zwykłej pokojowej. Miała mnóstwo towarzystwa. Na świecie jest bardzo dużo sierot - nachyliła się i pocałowała mnie. Wiedziałam, że próbuje mnie uspokoić. Była szczęśliwa ze swym stangretem i chciała, aby reszta świata dzieliła to szczęście.

Pomyślałam, że może w sierocińcu nie będzie tak źle.

Kuzynka Agata posłała po mnie następnego ranka. Wyglądała, jakby spędziła bezsenność.

- Co za zachowanie - wybuchnęła na mój widok. - Budzisz we mnie rozpacz. Wiem, skąd się biorą twoje złe skłonności. Masz je we krwi, ale - jak powiedziałam panu Loringowi - co powinniśmy zrobić z tym dzieckiem? Większość ludzi odesłałaby cię. W końcu musimy pamiętać też o naszej córce. Lecz krew gęstsza niż woda, a ty należysz do rodziny. Wystawiłaś naszą cierpliwość na ciężką próbę, Ellen - moją i pana Loringa. Ostrzegam, że jeśli chcesz pozostać w tym domu, będziesz musiała się poprawić.

Tłumaczyłam, że do głowy mi nie przyszło, iż Esmeralda się zgubi. Gdyby nie to, nikt by nie wiedział, że byliśmy na targu.

- Podobny fałsz - zawołała - jest nie do zniesienia. Cieszę się, że Esmeralda zablądziła - nawet jeśli zrujnowało to moje przyjęcie. Przynajmniej wiemy, jak bardzo niedobre dziecko wychowaliśmy pod naszym dachem.

Następnie poinstruowała nianię, że mam pozostać w swoim pokoju, póki nie opanuję na pamięć mowy „Cecha litości nie może być przymus” z „Kupca weneckiego”. To powinno nauczyć mnie wdzięczności dla tych, którzy - być może po raz ostatni - okazali litość wobec mojej osoby. Miałam dostawać jedynie chleb i wodę, aż osiągnę biegłość w deklamowaniu tekstu, a przebywając w zamknięciu winnam rozmyślać nad moimi złymi uczynkami.

- Nie wiem doprawdy, co pomyśleli o tobie Carringtonowie. Nie będę wcale zaskoczona, jeśli zabronią Philipowi widywać się z tobą.

Zostałam odprawiona i bardzo szybko wykonałam swe zadanie. Później kuzynka Agata odkryła, że uwielbiam poezję i uczenie się wierszy na pamięć nie nastrecza mi żadnych trudności. Wtedy zaczęła zadawać mi robótki ręczne. Wielokrotne odczytywanie pięknych, melodyjnych zdań sprawiało mi ogromną przyjemność. Dzierganie ściągów było prawdziwą męką. Na razie jednak jeszcze tego nie wiedziała.

Biedna Esmeralda nie mogła zapamiętać wierszy nawet w połowie tak szybko, jak ja, i kiedy miała wyrecytować je guwernantce podkradłam się blisko, aby jej podpowiadać.

Do świąt cała sprawa poszła już w niepamięć. Podczas szkolnych wakacji pojawił się Philip i pozwolono mu bawić

się z nami w parku. Opowiedziałam mu o wyprawie na targ i o tym, jak Esmeralda zabłądziła, a on w przypiływie pogardy wpełchnął ją do Stawu Serpentine. Esmeralda zaczęła krzyczeć. Philip stał na brzegu, wyśmiewając się głośno, podczas gdy ja weszłam do wody i wyciągnęłam ją. Po chwili zjawiała się niania Grange i zapędziła nas wszystkich do domu, abyśmy czym prędzej zmienili mokre rzeczy, zanim pozaziębiamy się na śmierć.

- Powiedzą, że to moja wina - powiedziałam Philipowi.

- I dobrze ci tak! - zawołał. Zupełnie nie przejął się, że Esmeralda mogła zachorować i umrzeć. Dodał jeszcze: - Tobie by się to nigdy nie przydarzyło. Nie jesteś tak głupia, jak ona.

Kiedy Esmeralda rzeczywiście się przeziębiała, niania Grange rozpowiedziała o wszystkim całej służbie. Wiedziałam, że ich zdaniem to właśnie ja byłam winna za wpadnięcie Esmeraldy do wody.

Biedna Esmeralda! Obawiam się, że niezbyt się z nią liczyliśmy. Nie chodzi wcale o to, że wraz z Philipem zmawialiśmy się przeciw niej. Po prostu brakło jej naszego awanturniczego ducha, a my byliśmy zbyt młodzi, by uszanować fakt, iż ktoś może się od nas różnić. Pamiętam, jak bardzo bała się Skały Samobójców. Sama nazwa wystarczyła, by wzbudzić lęk w sercach spokojnych ludzi, a już z pewnością aż nadto w sercu Esmeraldy. Miejsce to leżało niedaleko Trentham Towers. Wąska, stroma dróżka prowadziła na dość wysoki szczyt. Rzeczywiście nie było tam bezpiecznie, bowiem ścieżka leżała tuż przy krawędzi urwiska i w czasie deszczów stawała się zdradziecko śliska. Wszędzie wzdłuż drogi przez las widniały tablice ostrzegawcze. Głosiły: „Wchodzisz na własne ryzyko” albo „Niebezpieczna droga” - jakby specjalnie zostały zaprojektowane dla takich ludzi jak ja i Philip.

Skała nie tylko była niebezpieczna, ale też niesamowita, gdyż podobno nawiedzały ją duchy licznych osób, które odebrały tu sobie życie. Jeśli ktoś wyglądał smutno, pytano go: „Co się z tobą dzieje? Myślisz o skoku ze Skały Samobójców?”

Dla nas było to ulubione miejsce zabaw i często wyśmiewaliśmy Esmeraldę, jeśli wahała się czy pójść tam z nami. Philip lubił stawać na samym skraju urwiska, aby pokazać, jaki jest nieustraszony, a wtedy oczywiście ja musiałam zrobić to samo.

Kiedyś ktoś nas zobaczył i doniósł ówczesnemu nauczycielowi Philipa. Wtedy zabroniono nam tam chodzić, co naturalnie tylko dodało uroku Skale, którą tym chętniej odwiedzaliśmy.

- Zobaczymy się na Skale Samobójców - rzucił nonszalancko Philip z nadzieją, że będę się bała pójść tam sama. Po takim wyzwaniu zawsze zjawiałam się na miejscu, choć rzeczywiście czułam pewien lęk, bo naprawdę panowała tam niesamowita atmosfera, szczególnie jeśli szło się samotnie.

Czas dzieciństwa mijał bardzo szybko, ale zdarzył się jeszcze jeden wypadek, który przyniósł mi kolejną porcję niesławy. Myślałam, że dałam wtedy kuzynce Agacie dostateczny powód, by się mnie pozbyć. Miałam czternaście lat - wiek, w którym powinienam już być mądrzejsza - a Philip piętnaście. To było na wsi.

Philipowi zachciało się podwieczorku na dworze. Mieliśmy rozpalić ognisko, zagotować wodę w kociołku i zachowywać się jak Indianie albo Cyganie - tego nie był jeszcze pewien i postanowił zdecydować później. Najważniejsze było ognisko. Potrzebowaliśmy też kociołka, który ja miałam przynieść.

- W waszej kuchni jest ich pełno - stwierdził Philip. - Na pewno. Przynieście herbatę, wodę w butelce i ciastka. Wtedy rozpalimy ogień.

Kazałam Esmeraldzie wynieść z kuchni ciastka, ja zaś wzięłam garnek. Philip zdobył skądś parafinę, która - jak twierdził - znakomicie nadawała się na podpałkę.

- Lepiej bądźmy Cyganami - zaproponował. - Porwaliśmy Esmeraldę. Została wykradziona z domu, a teraz zwiążemy ją i zażądamy okupu.

- Czy ja nie mogłabym być też Cyganką? - pisnęła Esmeralda.

- Nie, nie możesz - odparł szorstko Philip. Biedna Esmeralda! Zawsze przypadła jej rola ofiary.

Niestety, w naszych planach nie wzięliśmy pod uwagę parafiny. Philip zebrał kilka dużych paproci i obficie je poleał olejem. Płomień najpierw nas zachwyił, a potem zaniepokoił. Nie mogliśmy nawet zbliżyć się do niego, a Esmeralda, ze skrzepowanymi kostkami u nóg i kneblem w ustach, bardzo nieszczęśliwa i marząca o innej roli, siedziała tuż obok ogniska.

Próbowaliśmy stłumić ogień, bez skutku jednak. Na szczęście miałam dość rozsądku, by rozwiązać Esmeraldę. W tym momencie już całe pole zdawało się płonąć.

Pozostawało nam jedynie wezwać pomoc. Służba zabrała się do gaszenia, by nie dopuścić ognia na pola kukurydzy.

Wynikły z tego wielkie kłopoty.

- I to na gruntach Carringtonów - jęknęła kuzynka Agata, jakbyśmy zbeczczyli jakąś świątynię. Na szczęście jeden z Carringtonów był w to również zamieszany, lecz największą częścią winy obarczono, rzecz jasna, mnie.

Usłyszałam, jak mówiła do kuzyna Williama:

- Ellen jest całkowicie nieodpowiedzialna. Bój się myśleć, do jakiej katastrofy przywiedzie w końcu Esmeraldę.

Wygłosiła też kolejny wykład:

- Masz już czternaście lat. Wiele biednych dziewcząt w twoim wieku od lat zarabia na życie. Ponieważ łączy nas pokrewieństwo, staraliśmy się okazywać ci dobroć. Nadchodzi jednak czas, Ellen, kiedy będziesz musiała sama pomyśleć o przyszłości. Pan Loring i ja nie pragniemy wyrzucić cię na bruk i uczynimy wszystko, by ci pomóc, mimo tego, w jaki sposób odpłacasz nam za nasze starania. Twoja ostatnia katastrofalna eskapada zmusza mnie do stwierdzenia, że nasze wysiłki poszły na marne. Wykazujesz godny ubolewania brak dyscypliny. Należy ci się kara, najlepiej różga. Oznajmiłam panu Loringowi, że jego obowiązkiem jest zaaplikować ci ją osobiście. Przyjdzie dziś do twojej sypialni, by wykonać ów bolesny obowiązek. Poza tym zaczniesz nową robotkę, którą będę osobiście sprawdzała co tydzień. I nauczysz się wiersza, „Wiej, wiej, zimowy wicherze, cieplejszy jesteś niż ludzka niewdzięczność.”

To, co następnie powiedziała, było jeszcze bardziej przygnębiające.

- Rozmawiałam z panem Loringiem o twojej przyszłości i oboje zgodziliśmy się, iż musisz zacząć przygotowywać się do zarabiania na życie. Ostatecznie nie możesz wiecznie korzystać z naszej szczodrości. Pozwiliśmy ci wychowywać się z Esmeraldą - choć niestety twój wpływ na nią był raczej pożałowania godny i często znakomicie obeszłaby się bez niego - ale za kilka lat znajdziemy jej męża i nie będzie dłużej potrzebowała twojego towarzystwa. Wraz z panem Loringiem nie zapominamy, że należysz do rodziny, toteż nie wypuścimy cię na osłep w świat. W odpowiednim momencie znajdziemy ci dobre miejsce. Oczywiście byłoby rzeczą niewyobrażalną, gdyby ktoś z rodziny miał się parać pracą fizyczną. Weźmiemy pod uwagę jedynie posadę guwernantki bądź damy do towarzystwa. Nasz krąg znajomych jest dość rozległy i mamy nadzieję, że znajdziemy dla ciebie odpowiednią ofertę. Nie jest to tak łatwe, jak byś mogła sądzić, bowiem wolimy umieścić cię w domu, którego nie odwiedzamy. To byłoby zbyt krępujące. Widzisz zatem, że wybór ten wymaga szczególnej uwagi. Tymczasem powinnaś zacząć się przygotowywać. Ucz się pilnie. Pracuj ciężko, szczególnie nad robótkami. A kiedy Esmeralda zadebiutuje w towarzystwie i wyjdzie za mąż, miejsce dla ciebie będzie już czekało. Mam nadzieję, że poczułaś skruczę. Teraz wracaj do pokoju i czekaj na zasłużoną karę. Pan Loring przyjdzie do ciebie.

Nieszczęsny kuzyn William! Było mi go bardzo żal. Wmaszerował sztywno do pokoju dzierząc w ręku trzcinę, którą miał mnie wychłostać. Widać było, że tego nienawidzi. Musiałam położyć się na brzuchu na łóżku, a on lekko poklepał trzcina moje uda. O mało nie parsknęłam śmiechem.

Jego twarz była cała czerwona z oczywistego zmieszania. Nagle oznajmił:

- No, mam nadzieję, że to cię czegoś nauczy.

Ponieważ czułam w tym momencie wielki lęk przed przyszłością, możliwość pośmiania się z kuzyna Williama przyniosła mi ulgę.

Tej nocy znów przysnił mi się pokój z czerwonym dywanem. Obudziłam się z przecuciem naciągającej kłeski.

Płynęły lata. Moje osiemnaste urodziny nadeszły i minęły. Zbliżał się dzień, kiedy miałam opuścić dom i zacząć zarabiać na życie. Esmeralda pocieszała mnie:

- Kiedy wyjdę za mąż, Ellen, mój dom będzie zawsze twoim domem.

Nie zazdrościłam jej. Nie potrafiłabym. Była taka łagodna. Prawda, że przybyło jej nieco urody, lecz trudno było nie zauważyć, że gdy pojawiałyśmy się gdzieś razem, to na mnie skupiały się spojrzenia ludzi. Moje czarne włosy i błękitne oczy stanowiły uderzające połączenie, a „ciekawski”, jak go nazywał Philip, nos sprawiał, iż moja twarz zdawała się o coś pytać. Przynajmniej jednak Esmeraldę czekała pewna przyszłość. Wszystko, co działo się wokół nas, to potwierdzało: dziewczęta zaczynały być w towarzystwie, wychodziły za mąż za wybranych przez rodziny dżentelmenów i stawały się matronami z małymi dziećmi. Ich przyszłość była starannie zaplanowana.

Inaczej niż w przypadku tych, które same musiały o siebie zadbać.

Przez te lata jeszcze raz czy dwa zdarzyło mi się wzbudzić oburzenie kuzynki Agaty, lecz żaden z tych wypadków nie mógł się równać z wyprawą na targ albo podpaleniem łąki Carringtonów. Podczas pobytu na wsi coraz częściej uczestniczyłyśmy w działalności społecznej. Odwiedzałyśmy biedaków, przywożąc im - jak je zwała kuzynka Agata - „delikatesy”. Zazwyczaj było to coś, co uznała za niegodne własnego stołu. Tuż przed wyjazdem do Londynu udekorowałyśmy kościół na święto dożynkowe. Brałyśmy udział w fetach i kiermaszach dobroczynnych, na których wystawiałyśmy własny kramik. Odgrywałyśmy role pomocniczej dobrej pani. Zaś w mieście jeździłyśmy konno, na podwieczorkach kuzynki Agaty pomagałyśmy roznosić poczęstunki; szyłyśmy dla ubogich; pracowałyśmy dla torysów; spacerowałyśmy po parku i ogólnie prowadziłyśmy żywot dobrze urodzonych panien. Wkrótce jednak zaszła drobna zmiana. Zbliżał się czas towarzyskiego debiutu Esmeraldy i coraz mniej czasu spędzałyśmy razem. Esmeralda poszła z rodzicami do teatru - beze mnie. Często też składała z matką wizyty, podczas gdy ja zostawałam w domu. Szwaczka, która co roku odwiedzała nasz dom i mieszkała w nim przez kilka tygodni przed sezonem, obecnie pozostała u nas na dłużej, pracując nad pięknymi nowymi strojami dla Esmeraldy. Ja otrzymałam tylko po jednej sukni na wiosnę, lato, jesień i zimę. Tak samo jak co roku.

Czułam, że zbliża się moje przeznaczenie. Zupełnie jak we śnie.

Esmeralda była lekko oszołomiona. Nie lubiła wychodzić gdziekolwiek beze mnie, obecnie jednak rzadko bywałyśmy gdzieś razem, poza spacerami po parku i wizytami dobroczynnymi.

Nad nami unosił się cień Carringtonów. Byli najbliższymi przyjaciółmi kuzynki Agaty. Imię lady Emily padało z jej ust dwadzieścia razy dziennie.

Philip często uczestniczył w rodzinnych przyjęciach, on też wraz z Esmeraldą, z kuzynką Agatą i kuzynem Williamem wybrał się do teatru. Grano właśnie „Wachlarz Lady Windermere”, po raz pierwszy wystawiony w lutym tego roku w Teatrze Świętego Jakuba. Słyszałam, że choć jest to lekka komedia salonowa, wprost skrzy się od dowcipu i zabawnych powiedzonek. Obawiałam się, że Esmeralda niewiele z tego zrozumie.

Patrzyłam, jak odjeżdżają powozem i niecierpliwie czekałam na ich powrót. Kiedy Esmeralda weszła na górę, zaciągnęłam ją do siebie i zaczęłam wypytywać o sztukę. Zwięźle streściła fabułę i dodała, że Philip zaśmiewał się przez cały czas. Po teatrze wybrali się na kolację i było bardzo wesoło. Wyglądała dość ładnie w jasnobłękitnej sukni i niebieskim aksamitnym płaszczu. Strasznie chciałam mieć taki płaszcz, ale przede wszystkim pragnęłam pójść do teatru i śmiać się razem z Philipem.

Następnego dnia wybrałyśmy się na spacer z nianią Grange, która nadal pracowała u nas. Prawdopodobnie w przyszłości, kiedy Esmeralda wyjdzie za mąż, pójdzie razem z nią i będzie opiekować się jej dziećmi. Kuzynka Agata uważała, że nianie powinny zostawać w rodzinie. Można było wtedy liczyć na ich lojalność. Poza tym, wszystkie najlepsze rodziny tak robiły.

Teraz, kiedy byłyśmy już starsze, niania Grange zawsze wędrowała kilkanaście kroków za nami niczym obrończy

pies, a kiedy w pobliżu znalazł się jakiś młody mężczyzna, gwałtownie przyspieszała, wysforowując się naprzód. Zawsze mnie to bawiło.

Tego dnia w parku spotkałyśmy Philipa. Podszedł bliżej i dołączył do nas. Ponieważ znałyśmy go, nie wzbudził czujności niani Grange. Ostatecznie był Carringtonem.

- Dlaczego nie byłaś wczoraj w teatrze? - spytał oskarżycielsko.

- Nikt mnie nie prosił - odparłam.

- To znaczy... - zatrzymał się i spojrzał na mnie. - Nie! - krzyknął. - To niemożliwe!

- Ależ tak. Nie wiedziałaś, że jestem tylko ubogą krewną?

- Przestań, Ellen - jęknęła Esmeralda. - Nie znoszę, kiedy tak mówisz.

- Nieważne, czy to znosisz, czy nie, moja droga. Taka jest prawda.

- Kiedy rodzice wybiorą się do teatru poproszę, aby zaprosili i ciebie - obiecał Philip.

- To miło z twojej strony - powiedziałam - ale nie chcę się narzucać.

- Uparta oślica! - prychnął i popchnął mnie, zupełnie jak wtedy, gdy byliśmy dziećmi.

Z radością stwierdziłam, że przynajmniej Philip nie traktuje mnie jak ubogiej krewnej.

Zaplanowano wielkie tańce. Rozkładane drzwi między trzema pokojami miały zostać szeroko otwarte, aby powstała spora sala balowa, udekorowana kwiatami. W istocie miał to być debiutancki bal Esmeraldy. Na tę okazję dostała specjalną suknię z błękitnego jedwabiu przybranego koronkami. Szwaczka Tilly Parsons twierdziła, że jej uszycie zabierze co najmniej tydzień.

- Daję słowo, wszystkie te zakładki i falbanki - mruzczała do siebie.

Mnie również pozwolono uczestniczyć w balu i z tej okazji także miałam dostać nową balową suknię. Marzyłam o szafirowym szyfonie, podkreślającym kolor moich oczu; widziałam w duchu, jak wiruję na parkiecie, a wszyscy nazywają mnie królową balu. Esmeralda, jak to ona, nie miałaby nic przeciw temu. Była naprawdę dobroduszną i wcale nie pragnęła tej roli. Nie znosiła zwracać na siebie uwagi.

Kiedy kuzynka Agata posłała po mnie, z łatwością domyśliłam się, co ma mi do powiedzenia. W końcu skończyłam już osiemnaście lat, a groźba, wisząca nade mną od dziecka, nie była czczą pogroźką.

- Usiądź, Ellen.

Posłusznie usiadłam.

- Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że osiągnęłaś już wiek, w którym powinnaś opuścić dom. Naturalnie uczyniłam wszystko, co w mojej mocy, aby znaleźć ci miejsce, i moje wysiłki zostały uwieńczone powodzeniem. Mam dla ciebie posadę.

Moje serce zaczęło bić mocniej ze strachu.

- Mam na myśli panią Omanową Lemming... Wielmożną panią Omanową Lemming. Wspominałam jej o tobie, bowiem za sześć miesięcy odchodzi od niej guwernantka. Chciałaby się z tobą spotkać, by rozważyć możliwość zatrudnienia cię.

- Pani Omanowa Lemming... - wyjąkałam.

- Wielmożna pani Omanowa Lemming. Jest córką lorda Pillingswortha. Znam ją doskonale od lat. Sądziłam wprawdzie, że nie powinnaś się znaleźć w domu, który często odwiedzamy, lecz w tym wypadku zachodzą dość szczególne okoliczności. Będziesz musiała być bardzo dyskretna i trzymać się z boku, gdybyśmy składali wizytę. Pani Omanowa Lemming z pewnością zrozumie delikatność sytuacji, jest moją dobrą przyjaciółką. Zaprosiłam ją do nas na podwieczorek i obiecała zjawić się w przyszłym tygodniu. Kiedy tu będzie, chciałaby skorzystać z okazji i zamienić z tobą parę słów. Mam nadzieję, Ellen, że zachowasz się właściwie, gdybyś bowiem nie spodobała się jej, trudno byłoby znaleźć ci inne miejsce. Podobne posady nie spadają z nieba.

Byłam oszołomiona. W głębi ducha chyba nigdy nie wierzyłam, że do tego dojdzie. Mój absurdalny optymizm nie pozwalał mi uwierzyć w coś takiego. A jednak moje przeznaczenie dopełniło się. Pozostało jeszcze tylko sześć miesięcy.

Kuzynka Agata, która wyraźnie oczekiwała słów podziękii, westchnęła.

- Nie chciałabym, aby twoja wyprawa była niekompletna, a to prowadzi nas do konieczności uszycia ci sukni wieczorowej. Wybrałam już odpowiedni materiał. Czarny jest bardzo praktyczny. Mam zamiar poprosić Tilly Parsons, aby uszyła ją w stylu, który się nie zestarzeje. Czasami możesz potrzebować eleganckiej sukni. Nie chcę, aby ci jej brakowało.

Wiedziałam, jaką suknię ma na myśli. Stosowną dla kobiety w średnim wieku. Aby wystarczyła mi na wiele lat. Poczułam nowy niepokój.

Kiedy poznałam wielmożną panią Omanową Lemming, spełniły się moje najczarniejsze obawy.

Podobnie jak kuzynka Agata, była to kobieta potężnej postury, na głowie miała kapelusz z długimi piórami, a dłonie opinały jej długie, ciasne rękawiczki z szarej kozłowej skóry. Ciężki złoty łańcuch spływał po tęgim gorsie; wielka brosza lśniła pod szyją. Rozpoznałam w niej pokrewną duszę kuzynki Agaty i ogarnęła mnie czarna rozpacz.

- To jest Ellen Kellaway - przedstawiła mnie kuzynka.

Wielmożna pani Omanowa Lemming uniosła lorgnon i przyjrzała mi się uważnie. Nie sądzę, aby zachwyciło ją to, co właśnie ujrzała.

- Jest bardzo młoda - zawyrokowała. - Ale może to nie takie złe.

- Młodych znacznie łatwiej przystosować do naszych wymagań, Letty - odparła kuzynka Agata, a ja pomyślałam, jak bardzo to imię nie pasuje do tak wojowniczej matrony.

- To prawda. Ale czy ona dobrze sobie radzi z dziećmi?

- Muszę przyznać, że jej doświadczenie w tej materii nie jest zbyt wielkie. Wychowywała się jednak z Esmeraldą i razem z nią pobierała nauki.

Wielmożna pani Omanowa Lemming skłoniła głowę, niczym wszechwiedząca wyrocznia. Zauważyłam, że jej oczy są zbyt blisko osadzone, a usta zaciśnięte w cienką, chłodną linię. Od pierwszej chwili zniechęciłam ją i myśl o dołączeniu do jej domowników, szczególnie w służebnej roli, nie sprawiła mi zbyt przyjemności.

Po chwili zwróciła się do mnie:

- Dzieci jest czworo. Najstarsza, Hester, ma czternaście lat, Claribel jedenaście, James osiem, a Henry cztery. James niedługo wyjeżdża do szkoły, Henry dołączy do niego w odpowiednim czasie. Dziewczynki zostaną w domu i twoim obowiązkiem - jeśli cię zaangażuję - będzie udzielanie im lekcji.

- Jestem pewna - wtrąciła kuzynka Agata - że wykształcenie Ellen zadowoli cię. Nasza guwernantka twierdzi, że jest nieprzeciętnie zdolna.

Pochwała z takich ust! Po raz pierwszy w życiu usłyszałam coś podobnego. Oczywiście dowodziło to jedynie, jak bardzo pragnęła się mnie poznać.

Ustalono, że za pięć miesięcy, na kilka tygodni przed odejściem obecnej guwernantki, dołączę do grona domowników Lemmingów, aby poprzedniczka mogła poinstruować mnie co do moich obowiązków.

Myśl ta przygnębiła mnie bardziej niż mogłam wyrazić.

Podczas spaceru w parku dołączył do nas Philip, jak miał to ostatnio w zwyczaju. We trójkę maszerowaliśmy kilka kroków przed nianią Grange.

- Wyglądasz dziś rano jak chmura gradowa - zauważył.

Po raz pierwszy zabrakło mi słów i Esmeralda ubiegła mnie z wyjaśnieniami.

- To ta przeklęta posada.

- Co takiego?! - zawołał Philip.

- Och, ty nic nie wiesz! Mania znalazła miejsce dla Ellen. U wielmożnej pani Omanowej Lemming.

- Miejsce! - Philip przystanął i wbił we mnie wzrok.

- Zawsze wiedziałeś, że kiedyś odejdę. Czas już, żebym zaczęła zarabiać na własne utrzymanie. Zdaje się, że zbyt długo żyłam na cudzy koszt. Nawet członkowie rodziny nie mogą oczekiwać wiecznego wsparcia.

- Ty... guwernantką! - Philip wybuchnął śmiechem.

- Może ciebie to bawi, bo mnie bynajmniej - odpaliłam.

- Miałaś uczyć dzieci? Co za bzdura! Można umrzeć ze śmiechu.

- To umieraj! Dla mnie to nic zabawnego.

- Ellen ma nadzieję, że coś się wydarzy - wtrąciła Esmeralda. - I ja też.

- Może i tak - odparłam. - Jeśli już mam być guwernantką, to wolę sama znaleźć sobie pracodawców. I nie będzie to pani Omanowa Lemming, możecie mi wierzyć.

- A co, jeśli trafisz na kogoś gorszego? - Esmeralda próbowała załagodzić sytuację. - Czy pamiętasz starą pannę Herron i jej damę do towarzystwa?

- Owszem, i nie sądzę, aby była gorsza od wielmożnej O. L.

- Nie przejmuj się - rzucił Philip, ujmując mnie pod ramię. - Będę cię odwiedzał.

- To miło z twojej strony, Philipie - powiedziała miękko Esmeralda.

- Szybko o mnie zapomnisz - burknęłam ze złością.

Nie odpowiedział, ale nie puścił mojej ręki.

Zaniepokoiła mnie szybkość, z jaką płynęły dni. Odbiłam kilka przymiarek z Tilly Parsons, która przygotowywała dla mnie suknię. Miała być uszyta z ciężkiego, czarnego aksamitu, i bezustannie spierałyśmy się o jej dekolt. Chciałam, aby była głęboko wycięta, co nie zgadzało się z wytycznymi kuzynki Agaty. Kiedy już przekonałam Tilly, aby ściągnęła suknię mocniej w pasie i na nowo skroiła dekolt, stała się nieco znośniejsza, chociaż wciąż była dla mnie o wiele za poważna. Jak słusznie stwierdziła kuzynka Agata, będzie odpowiednia nawet za dwadzieścia lat, bowiem jej podstawową zaletę stanowiło to, że nigdy nie wyjdzie z mody. Nie, poprawiłam się w duchu, ta suknia ani teraz nie jest modna, ani nigdy nie będzie.

Niania Grange była smutna. Miała rozstać się ze swymi wychowankami. Wcześniej czy później, jak mówiła, spotykało to każdą osobę jej profesji.

- Przychodzą do ciebie jako dzieci, zajmujesz się nimi całym sercem, i nagle dorastają.

- Cóż, nianiu - odparłam - nie możesz oczekiwać, że przez całe życie pozostaniemy dziećmi tylko po to, byś mogła dalej o nas dbać.

- To smutne - szepnęła. - Ale czas płynie. Kiedy panienka Esmeralda będzie miała dzieci, przeniosę się do niej. A o ile znam się na rzeczy, nie trzeba będzie zbyt długo na to czekać. Biedna panienka Esmeralda potrzebuje kogoś, kto by się nią zaopiekował.

To Rose przekazała mi najnowsze plotki. Usłyszała je od swojego stangreta.

- I tam, i u nas odbywały się długie narady. Daję słowo, planują wczesne zaślubiny. Podobno młodzi ludzie są niecierpliwi, tak twierdzą. Uśmiełam się z moim Harrym. „Niecierpliwi!” mówię. „Nasza panienka Esmeralda nie wie nawet, na co miałyby tak niecierpliwie czekać!”

- Chcesz powiedzieć, że zamierzają wydać za mąż Esmeraldę?

- Za Philipa - szepnęła Rose. - Chociaż oczywiście woleliby tego drugiego.

- Masz na myśli jego starszego brata?

- Właśnie. Tego Rollo.

- To czemu nie spróbują?

Rose ściągnęła usta, co oznaczało, że wie o czymś i bardzo pragnie mi to powiedzieć, choć nie powinna. Uznałam, iż konieczna będzie łagodna perswazja, i że jeśli dostatecznie nad nią popracuję, dowiem się w końcu, co ukrywa. I

rzeczywiście.

- Cóż, to było jakiś rok temu... Wszyscy o tym gadali... oczywiście w rodzinie. Na zewnątrz trzymali to w wielkim sekrecie. O tak, w wielkim.

- Ale co, Rose? Co?

- To jest tak: ożenił się... mówią, że z nią uciekł. Oczywiście plotkowali o tym za zamkniętymi drzwiami, a drzwi przy Park Lane są z solidnego dębu, mówię paniencie...

Skinęłam głową ze współczuciem.

- Ale ty się dowiedziałaś.

- No, kilka drobiazgów wyszło na jaw. Uciekli razem... wie panienska, w tajemnicy... i rodzina nie była zbyt zachwycona. Potem pan Rollo przekonał ich, że wszystko jest w porządku, i pogodzili się. Ale nikt nigdy jej nie widział. To właśnie było takie dziwne. Powiedziano nam jedynie, że pan Rollo wyjechał za granicę z żoną... śmieszne, bo przecież w domu nawet jej nie widziano. Dopiero później odkryliśmy, dlaczego.

- Dlaczego, Rose?

- Wygląda na to, że coś było okropnie nie w porządku z ich małżeństwem. Pan Rollo popełnił straszny błąd. Ona mieszka gdzieś, ale nigdy nie odwiedza domu.

- A zatem nadal jest z nią żonaty?

- Oczywiście, że tak, i dlatego właśnie to panicz Philip musi ożenić się z panienką Esmeraldą.

Wiele rozmyślałam o Rollo. Zawsze uważałam, że jest w nim coś niezwykłego, i że jego życie musi być dalekie od pospolicitości. Okazało się, że miałam rację.

Minął tydzień i nadszedł dzień wyprawy do teatru z Carringtonami. Ku mojej radości także zostałam zaproszona. Philip dotrzymał słowa, ku wyraźnemu niezadowoleniu kuzynki Agaty. Usłyszałam, jak rozmawiała o tym z mężem.

- Nie mam pojęcia, dlaczego lady Emily zaprosiła Ellen. To naprawdę niestosowne, zważywszy, że dziewczyna będzie niedługo pracowała u naszych wspólnych znajomych. Mogą z tego wyniknąć jakieś nieprzyjemności. Może powinnam pomówić o tym z lady Emily?

Jakże jej nie cierpiałam! Znacznie bardziej niż zwykle. Moją niechęć podsycił jeszcze lęk przed tym, co przyniesie przyszłość.

Grano kolejną sztukę Oscara Wilde'a, „Kobietę bez znaczenia”. Udaliśmy się do teatru na Haymarket. Byłam niezmiernie podekscytowana grą pana Tree i w czasie antraktów z ożywieniem dyskutowałam o sztuce z Philipem i panem Carringtonem, ponieważ posadzono mnie akurat między nimi.

Zauważyłam, iż kuzynka Agata obserwuje mnie z ogromną dezaprobatą, nie przejmowałam się jednak. Bawiłam się znakomicie. Tajemniczy Rollo był nieobecny, a Esmeralda, siedząca po drugiej stronie Philipa, prawie się nie odzywała.

Następnego dnia kuzynka Agata przywołała mnie do porządku.

- O wiele za dużo mówisz, Ellen - oświadczyła. - Musisz zwalczyć w sobie ten zwyczaj. Mam wrażenie, że pan Carrington był lekko niezadowolony.

- Zupełnie na takiego nie wyglądał - odparowałam, nie mogąc się powstrzymać. - Był bardzo miły i najwyraźniej zainteresowany tym, co mam do powiedzenia.

- Moja droga Ellen - ucięła kuzynka Agata tonem wskazującym na to, że słowo „droga” stanowi jedynie kurtuazyjny ozdobnik. - Pan Carrington jest dżentelmenem i nigdy nie wyraziłby głośno swojej niechęci. Naprawdę uważam, że lady Emily postąpiła raczej niemądrze, zapraszając cię, szczególnie biorąc pod uwagę twoją pozycję. Raz jeszcze muszę poprosić, abyś w przyszłości zachowywała się z większą skromnością.

Nic, co powiedziała, nie mogło jednak odebrać mi radości z tego wieczoru i naprawdę odniosłam wrażenie, iż pan Carrington z rozbowieniem słuchał moich komentarzy i sprzeczek z Philipem. Co do lady Emily, to dawno już odkryłam, że miała o mnie dość mgliste pojęcie i zapewne nawet nie wiedziała, iż dla mnie wyprawa do teatru była ostatnią rozrywką przed wkroczeniem w szary świat guwernantek.

Dzień balu zbliżał się.

Trzy wielkie pokoje, zwane salonami pierwszego piętra, otwarto i połączono tworząc dość ładną salę balową. Wszystkie trzy miały balkony, wychodzące z jednej strony na park, a z drugiej na ogrody i eleganckie budynki. Na balkonach ustawiono w ozdobnych pojemnikach wiecznie zielone rośliny, a kiedy pokoje ustrojono kwiatami, ogólny efekt był naprawdę czarujący.

Zimną kolację miano podać w jadalni, gdzie stały liczne małe stoliki. Wynajęto też sześciu muzyków, którzy mieli przygrywać do tańca i później, spokojniej, przy jedzeniu. Nie szczędzono wysiłków, bowiem był to w końcu debiutancki bal Esmeraldy i kuzynka Agata chciała, aby wszyscy - ze szczególnym uwzględnieniem Carringtonów - wiedzieli, iż rodzina jest bardzo dobrze sytuowana i można spodziewać się sporego posagu.

Nawet ja zarażałam się ogólnym podnieceniem, choć nie byłam do końca zadowolona z sukienki. Czarny nie należał do moich ulubionych kolorów, zaś krój był tak surowy, że suknia z najwyższym trudem podpadała pod kategorię strojów balowych. Kiedy ujrzałam przepiękną kreację Esmeraldy, ozdobioną koronkami i falbankami, o cudownej morskiej, niemal zielonej barwie, poczułam, jak ogarnia mnie zazdrość. Właśnie o czymś takim marzyłam. Lecz oczywiście podobne cudo nie byłoby praktyczne i nie służyłoby mi przez lata, jak mój czarny aksamit.

W noc przed balem znów śniłam o pokoju z czerwonym dywanem. Raz jeszcze stałam obok kominka i wsłuchiwałam się w szepty. Nagle ogarnęło mnie przeczucie nadchodzącego nieszczęścia. Spojrzałam na drzwi, które - to był nowy element - zaczęły się otwierać. Ogarnął mnie paraliżujący strach. Nie mogłam oderwać wzroku od drzwi. Uchylały się bardzo wolno i wiedziałam, że za nimi jest coś, czego tak bardzo się lękam.

I wtedy obudziłam się. Byłam cała mokra i dygotałam z przerażenia. Sen był bardzo wyraźny, jak zawsze zresztą,

lecz tym razem nadchodząca katastrofa zbliżyła się o krok.

Usiadłam w łóżku. Jakież to głupie tak bać się snu, i to snu o niczym specjalnym... po prostu o pokoju.

Nagle dostrzegłam, że drzwi mojej szafy stoją otworem. Wydało mi się, iż dostrzegam za nimi kołyszącą się ciemną sylwetkę. Znów zalała mnie fala grozy. Wtedy zrozumiałam, że to tylko moja czarna suknia. Musiałam zapomnieć porządnie zamknąć szafę.

Opadłam na łóżko, upominając się w duchu. To był tylko sen. Dlaczego jednak nawiedzał mnie uporczywie od lat?

Staralam się otrząsnąć z przecucia nadciągającego nieszczęścia. Bezskutecznie. Od czasu rozmowy z panią Omanową Lemming minęło już sześć tygodni. Zbliżał się dzień odjazdu.

Lecz na razie mogłam myśleć jedynie o balu. To prawda, że miałam jedynie czarną suknię, która nie podobała mi się. Ale uwielbiałam tańczyć. I umiałam, znacznie lepiej niż Esmeralda, której brakowało wyczucia rytmu. Odpędziłam od siebie myśl o pani Lemming.

Rano poczta doręczyła niewielkie pudełeczko, które ku mojemu wielkiemu zdumieniu adresowane było właśnie do mnie. Rose przyniosła je na górę. To ona odebrała przesyłkę przy wejściu dla służby.

- Proszę spojrzeć, panienko Ellen. Ktoś przysłał to dla panienki. Jakiś wielbiciel, daję słowo!

W pudełku, starannie ułożona, leżała przepiękna, delikatna orchidea w różowofioletowym odcieniu. Była to właśnie taka ozdoba, jakiej potrzebowałam, by ożywić swą czarną suknię.

Pomyślałam: „To od Esmeraldy!” i pobiegłam, by jej podziękować.

We wzroku kuzynki malowało się zdumienie.

- Załuję, że sama nie wpadłam na ten pomysł, Ellen. Idealnie pasuje ci do sukni. Sądziłam, że kwiatów starczy dla wszystkich.

- Ale nie dla ubogich krewnych - odparłam. Nie chciałam być złośliwa w stosunku do Esmeraldy, która zawsze odnosiła się do mnie przyjaźnie. Po prostu przepełniało mnie szczęście z powodu mojej orchidei.

Zabawiałam się zgadywaniem, kto też mi ją przysłał. W końcu uznałam, iż musiał to być kuzyn William Loring, ponieważ, jak mi się zdawało, czuł lekki niepokój w związku z odesłaniem mnie do pracy. Rose słyszała kiedyś, jak mówił do żony, że przecież nie ma potrzeby tego robić.

- Proponował raczej, że kiedy Esmeralda wyjdzie za mąż, panienka mogłaby zostać jej damą do towarzystwa i sekretarką, bo gdy Philip zajmie się interesami, będzie bardzo zajęty, a jego żona musi w tym czasie prowadzić ożywione życie towarzyskie. Nie sądzę, aby podobał mu się pomysł z odesłaniem panienki, ale ona nie dała się przekonać.

Zatem z dużym prawdopodobieństwem mogłam założyć, iż orchidea stanowi prezent od kuzyna Williama.

Była piękna i bez wątplenia całkowicie odmieniła suknię. Nie czułam się już jak zaniedbana uboga sierota. Esmeralda pożyczyła mi szpilkę z małym brylantem, utrzymującą kwiat na miejscu. Ubrałam się starannie i wysoko upięłam włosy. Uznałam, że prezentuję się bardzo elegancko.

Esmeralda w swej wspaniałej sukni wyglądała naprawdę ślicznie, była jednak zdenerwowana, wiedząc, że znajdzie się wkrótce w centrum zainteresowania. Bała się także mających nastąpić oświadczeń.

- Tak bym chciała, Ellen, żebyśmy nie musiały dorastać - powiedziała. Perspektywa wspaniałego małżeństwa wyraźnie ją przerażała. - Wszyscy oczekują, że wyjdę za Philipa, ale ja nigdy nie sądziłam, że mu się podobam. Ostatecznie to on wepchnął mnie do Stawu Serpentine.

- Byliśmy wtedy dziećmi. Mężczyźni często zakochują się w dziewczętach, których w dzieciństwie nie dostrzegali.

- Ale on mnie dostrzegał... dość dobrze, by wrzucić mnie do wody.

- No cóż, jeśli nie chcesz za niego wyjść, zawsze możesz powiedzieć nie.

- Ale widzisz, mama tego pragnie, a mama...

Kiwnęłam głową. Zazwyczaj dostawała to, czego chciała.

Zaczęłam pocieszać Esmeraldę. Ojciec będzie po jej stronie, zatem nie ma powodu, by wychodziła za mąż, jeśli tego nie chce.

Kilka dni wcześniej kuzynka Agata poinstruowała mnie:

- Spróbuj okazać się użyteczna, Ellen. W jadalni upewnij się, czy wszyscy zostali obsłużeni. Zwróć szczególną uwagę na lady Emily i dopilnuj, by się nią zajęto. Znajdę paru dżentelmenów, którym cię przedstawię. Być może nawet poproszą cię do tańca.

Wyobrażałam sobie ten wieczór Uboga krewna Ellen w surowej czerni, odróżniającej ją od prawdziwych gości. „Ellen, powiedz Wiltonowi, że potrzebujemy jeszcze łososia” albo „Ellen, biedny stary pan Jakiśtam siedzi samotnie. Chodź, przedstawię mu cię. Może poprosi cię do tańca”. I oto Ellen wlecze się po parkiecie ze zreumatyzowanym starcem, podczas gdy jej nogi same rwą się do prawdziwego tańca.

Rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej. Moje obawy choć raz się nie sprawdziły. Od pierwszej chwili u mego boku stał Philip.

- A zatem dostałaś moją orchideę - stwierdził.

- Twoją!?

- Mam nadzieję, że nikt inny nie przysłał ci kwiatów.

Roześmiałam się, bo zawsze byliśmy bliskimi przyjaciółmi.

Zatańczyliśmy. Ciekawa byłam, czy zauważyła to kuzynka Agata. Miałam nadzieję, że tak. Jak doskonale współgrały nasze kroki! Wiedziałam, że tak będzie - na wsi tańczyliśmy ze sobą wiele razy, wymyślając coraz to nowe figury.

- Czy wiesz, że jestem tu dzisiaj jako uboga krewna? - spytałam.

- To znaczy?

- Że muszę uważać na samotnych gości.

- W porządku. Uważaj na mnie. W przeciwnym razie będę się czuł bardzo samotny.

- I kto to mówi? Jeden z Carringtonów! - zakpiłam.

- Ale tylko młodszy syn.

- Czy jest tu dzisiaj Rollo Wspaniały?

- Rollo Wspaniały wyjechał. Rzadko bywa w mieście.

- Co sprawia, że zostałeś główną atrakcją sezonu.

- Posłuchaj - zaczął. - Chciałbym porozmawiać. Mam ci wiele do powiedzenia. Gdzie możemy być sami?

- Na tym piętrze jest jeszcze parę pokoi. Przeznaczono je na prywatne rozmowy.

- A zatem chodźmy.

- Ale czy powinieneś i, co ważniejsze, czy ja powinnam? Wkrótce zaczną mnie wypatrywać sokole oczy kuzynki Agaty. Zwłaszcza jeśli w okolicy znajdzie się jakiś starszy dżentelmen, który chciałby zakręcić się ze mną po parkiecie.

- Kolejny powód, dla którego warto uciec.

- Czy to jest jakaś gra? Pamiętaj, że nie mamy już czterestu lat.

- Niebiosom niech będą dzięki. Nie, to śmiertelnie poważna sprawa.

- Stało się coś złego?

- Może wręcz przeciwnie, ale najpierw muszę z tobą porozmawiać.

Poszliśmy do jednego z mniejszych pokoi. Stały tam donice z kwiatami, kozetka i kilka krzesel. Usiadłam na kozetce, Philip zajął miejsce obok mnie.

- Ellen - zaczął - słyszałem różne pogłoski. Wasza służba plotkuje z naszą i vice versa. Ci ludzie wiedzą o naszych sprawach tyle samo, co my. Może nawet więcej. Z tego, co mówią, wynika, że istotnie masz wyjechać i zostać guwernantką dzieci tej nieznośnej Omanowej Lemming.

- Mówiłam ci przecież.

- Nie mogłem uwierzyć. Ty... guwernantką!

- To jedyne zajęcie dla młodej damy z dobrego domu, wykształconej i pozbawionej pieniędzy.

- Ale dlaczego... po tych wszystkich latach?

- Kuzynka Agata spełniła swój obowiązek wobec bezbronnej sieroty. Teraz dziecko wyrosło na kobietę i ta musi sama o siebie zadbać, toteż łagodnie, lecz bardzo stanowczo, popycha się ją w objęcia okrutnego świata.

- Nie dopuścimy do tego. Nie będziesz guwernantką u tej kobiety. To jadowita wiedźma.

Odwrociłam się do niego czując, jak nagle ogarnia mnie strach przed przyszłością.

Philip położył mi dłonie na ramionach i ze śmiechem przyciągnął do siebie.

- Ellen, ty głuptasie, czy naprawdę sądzisz, że pozwolę ci odejść?

- Jakąż to władzą dysponujesz, aby mnie powstrzymać?

- Najpotężniejszą. Na pewno nie będziesz guwernantką dzieci tej kobiety! Przypadkiem wiem, że to małe potworki.

Zawsze pragnąłem, abyśmy byli razem, Ellen. Pobierzemy się. Oto rozwiązanie. Zawsze tego chciałem.

- Ty... miałbyś się ze mną ożenić! Ale przecież masz poślubić Esmeraldę. Wszystko zostało ułożone. Po to właśnie jest ten bal.

- Co za bzdura!

- I tu się mylisz. To bal Esmeraldy i wiem z dobrego źródła, że jeszcze podczas niego albo zaraz potem mają nadzieję ogłosić wasze zaręczyny.

- Przysłowie głosi, że nadzieja jest matką głupców. „Oni”, co - jak zakładam - ma oznaczać Loringów, odkryją wkrótce, jak bardzo się mylili. Zaręczyny - owszem, ale z Ellen, nie z Esmeraldą.

- To znaczy, że chcesz dziś ogłosić swoje zaręczyny ze mną?

- Oczywiście. Zawsze lubiłem dramatyczne efekty. Wiesz o tym.

- Co na to twoi rodzice?

- Będą zachwyceni.

- Mną? Żartujesz chyba.

- Bynajmniej - nagle stał się bardzo poważny. - Mój ojciec czuje do ciebie sympatię. Uważa, że jesteś zabawna, a on lubi, kiedy się go zabawia.

- A lady Emily?

- Ona też cię lubi. Przede wszystkim jednak pragnie mojego szczęścia.

- Możliwe, ale z pewnością woleliby inną kandydatkę na żonę.

- Mylisz się. Wspominałem im o tobie i zgodzili się natychmiast. Uważają, że powinienem jak najprędzej się ożenić.

Po prostu nie mogłam w to uwierzyć. Byłam kompletnie oszołomiona. Philip zawsze uwielbiał żartować. To prawda, że byliśmy parą świetnych kompanów, całkowicie lekceważąc Esmeraldę. Philip nieodmiennie wyrażał swe rozczarowanie, jeśli zabrakło mi na przyjęciach, organizowanych przez kuzynkę Agatę. Nie kochałam go - na pewno nie, bowiem jego domniemane małżeństwo z Esmeraldą nie budziło we mnie żadnego smutku. W istocie kuzynka Agata tak mocno wpoila mi przekonanie o mojej niskiej pozycji i nieskończonej wyższości Carringtonów, że nie potrafiłam nawet wyobrazić sobie poślubienia członka tej rodziny - nawet Philipa. Teraz ta perspektywa podnieciła mnie - nie z powodu samego Philipa, niestety, choć szalenie go lubiłam - lecz dlatego, iż małżeństwo z nim oznaczałoby, iż nie muszę już podejmować posady guwernantki u strasznej Omanowej Lemming i jej potomstwa, które z pewnością odznaczało się równie paskudnym charakterem. Chyba przede wszystkim jednak napawałam się tym, że oto zostałam wybranką. Mina kuzynki Agaty w momencie ogłoszenia zaręczyn stanowiłaby dostateczne zadośćuczynienie za lata poniżenia i musiałabym nie być człowiekiem, by nie zachwycić się tą myślą. Co do Esmeraldy, którą darzyłam prawdziwym uczuciem, to nie

sądziłam, by się specjalnie zmartwiła. Nigdy nie chciała poślubić jednego z Carringtonów przekonana, że Philip gardzi nią od dnia, kiedy wpechnął ją do stawu.

- No i? - spytał Philip. - Czyżby zabrakło ci słów? Zdarzyłoby się to po raz pierwszy, odkąd się znamy.

- Pierwszy raz w życiu ktoś mi się oświadczył.

- Będziemy się świetnie bawić, Ellen.

Spojrzałam na niego i uwierzyłam w to.

- Nigdy nie myślałam o tobie, jako o przyszłym mężu.

- Dlaczego? Wydawało mi się, że to oczywiste.

- Nigdy o tym nie wspominałeś.

- Cóż, zatem wspominam teraz - ujął moje dłonie i pocałował mnie. - I co teraz?

- Daj mi trochę czasu - poprosiłam. - Muszę przywyknąć do tej myśli.

- Nie zaczynasz chyba mieć wątpliwości? To niepodobne do ciebie.

- Postaw się w mojej sytuacji. Przybyłam tu oczekując ogłoszenia zaręczyn Esmeraldy.

- Ze mną!?

- Oczywiście. Kuzynka Agata całym sercem pragnęła zięcia Carringtona. A jeśli ona tak bardzo czegoś chce, to zazwyczaj udaje jej się to osiągnąć.

- Będzie musiała zadowolili się mężem kuzynki.

- Dalekiej... i to bardzo.

- Kto by się tam nią przejmował!

- Z minuty na minutę lubię cię coraz bardziej.

Objął mnie ramieniem.

- To będzie świetna zabawa, Ellen. I żadnego więcej gadania o ubogich krewnych. Kiedy usłyszałem, że masz zostać guwernantką, postanowiłem podjąć odpowiednie kroki. Rodzina chce, abym się ożenił. Napomykają o tym od jakiegoś czasu. Wydaje mi się, że przede wszystkim pragną wnuków, a nie wygląda na to, żeby Rollo miał mieć synów albo nawet córki.

- Dlaczego?

- Och... to trochę skomplikowane. Jego żona jest nieco... dziwna. Opowiem ci o tym kiedyś. W każdym razie rodzicom bardzo zależy na moim szybkim małżeństwie.

- Będziesz bardzo młodym mężem.

- A ty jeszcze młodszą żoną.

Zaczynałam oswajać się z tym pomysłem. Coraz bardziej mi się podobał. Musiałam przestać myśleć o Philipie jako o starym przyjacielu i zamiast tego ujrzeć w nim męża. Nie było to zbyt trudne. Powoli wracała mi pewność siebie.

Philip mówił mi, że zawsze mnie kochał, choć w dzieciństwie nie uważał tego za miłość. Po prostu lubił przebywać w moim towarzystwie. Kiedy przyjeżdżał na wieś, jego pierwszą myślą było: „Czy ona już tu jest?”.

- To były wspaniałe czasy, Ellen - stwierdził.

Opowiadał dalej, jak będzie wyglądało nasze wspólne życie. Oczywiście liczne podróże - to konieczne przy interesach ich rodziny. Rollo prowadził większość spraw, lecz Philip wkrótce zacznie mu pomagać. Podróże to doskonała zabawa. Pojedziemy do Indii i Hongkongu i zamieszkamy tam na trochę. Teraz uczył się prowadzenia interesów u swego ojca. Nawet w tym mogłabym mu pomóc, bo kiedy zamieszkamy w Londynie, będziemy musieli prowadzić rozległe życie towarzyskie.

Roztaczał przede mną świetlane wizje. W Londynie kupimy własny dom nie opodal rezydencji rodziców. Dopilnuje, aby sprowadzono mi najlepsze szwaczki.

- W odpowiednich sukniach będziesz oszałamiająca - zapewnił. - Jesteś naprawdę piękna, tylko jak dotąd nie miałaś okazji, by to pokazać.

- Kuzynka Agata uparczywie skrywa mój blask pod korcem. Jeśli o mnie chodzi, z przyjemnością ukażę go światu.

- I powinnaś. Na Boga, Ellen, będzie naprawdę cudownie.

- Tak - odparłam. - Też tak sędę.

Przytulił mnie do siebie i oboje roześmieliśmy się radośnie.

- I kto by pomyślał - mruknęłam. - Po tym, jak mnie prześladowałeś.

- To było pierwsze stadium miłości.

- Naprawdę?

- Wiesz, że tak. Już od dość dawna byłem zdecydowany cię poślubić.

- Jedną z tych sekretnych decyzji... sekretnych nawet dla tego, kto je podejmuje - dokończyłam. - Okropnie mnie krytykowałeś.

- Ponieważ inaczej nie mogłem wyrazić swej miłości.

- Jak będą teraz wyglądać twoje komplementy?

- Poczekaj, a zobaczysz.

Poczułam się szczęśliwa. Wróciliśmy do starych utarczek, a roztaczane przede mną perspektywy wyglądały wspaniale.

- Wiesz, że nie mam posagu.

- Wezmę cię bez niego.

- Z Esmeraldą dostałbyś całkiem spory.

- Nie dam się skusić. Ellen albo nikt.

Zarzuciłam mu ręce na szyję i serdecznie ucałowałam. Rzecz jasna dokładnie w tym momencie w pokoju zjawiała się kuzynka Agata.

- Ellen! - W jej przenikliwym głosie zabrzmiało niedowierzanie oraz gniewne oburzenie.

Odskoczyłam od Philipa, czując się bardzo nieswojo.

- Co ty robisz? To niesłychane. Porozmawiam z tobą później. Tymczasem zaniedbujesz gości.

- Nie wszystkich - wtrącił śmiało Philip. Zawsze lubił zbijać kuzynkę Agatę z pantafelki i nieodmiennie mu się to udawało. Bowiem nawet jeśli pragnęła okazać oburzenie, to jak mogła zachować się tak wobec Carringtona?

- Pójdę i zobaczę, co mogę zrobić - oznajmiłam.

Chciałam odejść, ponieważ wciąż nie wierzyłam, że Philip mówi serio. Próbował wziąć mnie za rękę, ale zbyt szybko się wycofałam. Ciekawa byłam, jak potoczyła się jego rozmowa z kuzynką Agatą. Później mi opowiedział, że wspomniała coś o pogodzie, co, rzecz jasna, według niej, stanowiło szczyt wykwintu i dyplomacji, jeśli chodzi o zmianę tematu.

W głowie wirowały mi myśli i uczucia. Przechodząc korytarzem, dojrzałam swe odbicie w jednym z mijanych luster. Rumieniec pokrywał mi policzki, moje oczy lśniły. Zdecydowałam, że czarna suknia nie jest jednak tak brzydka, jak myślałam.

Po chwili pan Carrington poprosił mnie do tańca. Zachowywał się uprzejmie i szarmancko. Rozmawialiśmy o wspólnie oglądanej sztuce. Kiedy muzyka umilkła, usiedliśmy obok siebie. Niedługo potem dołączył do nas Philip.

- Zgodziła się, ojczu - oznajmił.

Pan Carrington z uśmiechem skinął głową. Ujął moją dłoń i uściśnął ją.

- Jestem bardzo rad - powiedział. - Sprawiasz wrażenie wyjątkowej młodej damy.

- Ogłosimy to przy kolacji - ciągnął Philip. - Ty to zrób, ojczu. Wolałbym nie obarczać tym matki. Jeszcze zapomni, kto jest narzeczoną i zanim się zorientuję, odkryję, iż wydała mnie za kogoś zupełnie niestosownego.

Następnie zatańczyłam z Philipem. To był walc, wirowaliśmy cudownie połączeni. W końcu czyż nie pobieraliśmy wspólnie lekcji tańca?

- Twoja kuzynka Agata wbija w nas wzrok godny Gorgony - poinformował mnie.

- Niech sobie patrzy - odparłam. - Akurat ta Gorgona nie ma już żadnej mocy. Nie może zamienić mnie w kamień ani nawet w guwernantkę.

- Ellen, mam wrażenie, że jesteś raczej zadowolona z życia.

- Wiem teraz dokładnie, jak czuł się Kopciuszek, kiedy pojechał na bal.

- Uroczy ze mnie księżę, nie ma co.

- On wybawił ją od grzebania w popiele. Ty mnie - od kuzynki Agaty i wielmożnej Omanowej Lemming. Zaręczam ci, są osoby dużo gorsze od złej macochy.

- Zapamiętaj to, Ellen. Będę ci o tym przypominał przez następnych pięćdziesiąt lat.

- A potem?

- Obudzę w tobie taką wdzięczność, że nie będzie potrzeby wspominać już o tym. To załatwi kolejne dwadzieścia lat.

- Jakie to dziwne myśleć o nas jako o starych ludziach.

- Niestety, wcześniej czy później spotka to wszystkich, nawet moją boską Ellen.

- Och, Philipie, jestem bardzo szczęśliwa. Nasze życie będzie teraz takie... zabawne, prawda?

- Wyobraź sobie tylko: sami we dwoje. Bez niani Grange w roli przyzwoitki i małej, niemądrej Esmeraldy, wlokącej się w tyle.

- Nie bądź niemiły wobec Esmeraldy. Tak naprawdę lubisz ją, a mnie jest ona bardzo droga. Nie zapominaj, że straciła dziś narzeczonego.

- Nie wierzę, by myśleli o tym poważnie.

- Czemu nie? Chcą, aby wyszła za męża. Twoi rodzice niewątpliwie szukali ci żony. Dwie rodziny, kierowane przez geniuszów finansowych! Cóż prostszego niż połączyć je z sobą? A ty popsuleś wszystko, wybierając ubogą krewną.

- To ty wszystko popsulaś. Kto chciałby spojrzeć na Esmeraldę, skoro byłaś w pobliżu?

Gdy walc się skończył, Philip odprowadził mnie na miejsce i znów zaczął mówić o przyszłości, ja jednak zbyt byłam zaabsorbowana wspaniałą teraźniejszością, by poświęcać uwagę temu, co miało dopiero nastąpić. A kiedy nadeszła pora kolacji, pan Carrington ogłosił zebrany nowinę. Powiedział, że z przyjemnością zawiadamia, iż jest to bardzo szczególny dzień dla ich rodziny, bowiem jego syn Philip zwierzył mu się, że poprosił o rękę pewną młodą damę, a ona zgodziła się mu ją oddać. Pragnął, aby wszyscy wypili za zdrowie i przyszłe szczęście panny Ellen Kellaway i jego syna Philipa.

Jaka cisza zapadła w jadalni! Towarzystwo, zebrane wokół wielkiego stołu, tak fachowo zastawionego przez Wiltona i jego pomocników, uginającego się od półmisków z fososiem, wszelkimi odmianami wędlin, sałat i deserów, otoczonego oddziałem służby w czarnych strojach, białych czepeczkach i fartuszkach, zamarło. Wszystkie oczy skierowały się na mnie. Wiedziałam, iż niektóre surowe wdowy myślą w tym momencie: „Ale przecież to miała być Esmeralda, a jeśli nie ona, to czyż nasze córki nie są lepsze od ubogiej krewniaczki Agaty Loring?”

A ja stałam przed nimi w prostej czarnej sukni, która teraz, dzięki orchidei Philipa, wyglądała uroczko i tak jak ona czułam się piękna dzięki temu, iż zostałam jego wybranką. Wiedziałam, że błyszczą mi oczy, policzki pokrywa lekki rumieniec, i czułam, że Philip jest ze mnie dumny. Mocno ścisnął moją dłoń. Tak, byłam szczęśliwa, jak jeszcze nigdy przedtem. Zdarzył się cud. Pani Omanowa Lemming odplynęła w siną dań, niczym nocny koszmar w blasku dnia. Ona i jej domostwo okazali się jedynie złym snem. Żadnych upokorzeń więcej. Co za ironia losu - ja, dotąd pogardzana, miałam stać się jedną z Carringtonów. Zupełnie jakby Philip, który stał u mego boku, wsunął mi na nogę szklany pantofelek i ogłosił, że

wybiera właśnie mnie.

Lady Emily podpiłyła do nas i pocałowała mnie w ucho. Zapewne miał to być policzek, ale ona nigdy nie trafiała do celu. Potem pan Carrington ucałował moją dłoń, a jego uśmiech był ciepły i przyjazny. Esmeralda zarzuciła mi ręce na szyję. Kochana Esmeralda! Chociaż nie chciała wyjść za mąż za Philipa, mogłaby poczuć lekką zawiść, że tak ją zlekceważono. Ale nie ona! Widziała, że jestem szczęśliwa, i to ją zadowalało.

Philip i ja usiedliśmy wraz z jego rodzicami. Po chwili dołączyli do nas kuzynka Agata i kuzyn William Loring wraz z Esmeraldą. Był to rodzaj rytuału - dwie rodziny wspólnie świętują szczęśliwe wydarzenie. Kuzynka Agata odważnie próbowała ukryć furię, szarpiącą jej serce, i muszę przyznać, iż czyniła to z dużym powodzeniem. Kiedy jednak nasze spojrzenia spotykały się, jej oczy pełne były jadu.

Pan Carrington oświadczył, że według niego nie ma co odwlekać ślubu. Kiedy dwoje ludzi podjęło już decyzję i nie istnieją żadne przeszkody, powinni się po prostu pobrać.

Gdy żegnałam się z Philipem, ten zapowiedział, że następnego dnia złoży mi wizytę. Mieliśmy tak wiele do zaplanowania, ponieważ zgadzał się ze swym ojcem, że nie powinniśmy czekać.

Poszłam do swojej sypialni i zdjęłam z siebie moją praktyczną balową suknię. Zatrzymam ją na zawsze, przysięgam sobie w duchu, nawet kiedy będę miała mnóstwo wspaniałych carringtonowskich kreacji. Roześmiałam się, wspominając nabożny szacunek, z jakim w naszym domu wymawiano zawsze to nazwisko. A teraz ja miałam je nosić!

Właśnie zaczęłam rozczesywać włosy, gdy drzwi otworzyły się i do pokoju wtargnęła kuzynka Agata. Oddychała głęboko i najwyraźniej z całych sił powstrzymywała się od wybuchu.

Na swój sposób wyglądała wspaniale - potężne, rozkofysane łono, migoczące klejnoty. Powinna była trzymać w jednej ręce naczynie z trucizną, w drugiej zaś sztylet, i kazać mi wybierać. Tymczasem to jej lśniące oczy ciskały sztylety, a głos ociekał jadem.

- No, no - powiedziała - zrobiłaś z nas ostatnich głupców.

Miałam na sobie tylko halki, włosy spływały mi na ramiona.

- Ja? - krzyknęłam, po czym nie mogłam się powstrzymać, by nie dodać: - Sądziłam, że będzie się pani cieszyć. Nareszcie się mnie pozbędziecie!

- Czyżbyś nagle stała się takim niewiniątkiem? Przyznaję, że znakomicie się spisawsz. Zapewne wiedziałaś o tym przez cały czas, a moja biedna Esmeralda myślała, że to jej zaręczyny dzisiaj ogłosimy!

- Nie sądzę, by czuła się zbyt zawiedziona.

- Niewdzięczna! Nigdy zresztą nie okazywałaś nic innego. Od chwili, gdy znalazłaś się w tym domu, sprawiałaś same kłopoty. Jesteś złą dziewczyną i żal mi Carringtonów.

Czemu zawsze pragnęłam rozłożyć ją jeszcze bardziej? A tym razem na dodatek czułam się całkiem bezpieczna. Powiem o tym Philipowi, pomyślałam, i nagle ogarnęła mnie szaleńcza radość, że w przyszłości będę mogła dzielić się z nim wszystkim. Po raz pierwszy uświadomiłam sobie, jak bardzo czułam się samotna.

- Zawsze dawała mi pani do zrozumienia, że Carringtonowie są najważniejszą rodziną w Londynie - odparłam. - Nie sądzę zatem, by potrzebowali pani współczucia.

- Nie wiedzą jaką... jaką...

- Żmiję wyhodowała sobie pani na łonie? - podsunęłam, dość bezczelnym tonem, przyznając, lecz upajało mnie powodzenie.

- Proszę, nie wystawiaj na próbę mojej cierpliwości. Zawiodłaś zaufanie, jakie w tobie pokładaliśmy.

- Wiem, że podobne małżeństwo nie leżało w pani planach. A praca guwernantki u Omanowej Lemming nie leżała w moich. Los zainteresował i uwolnił mnie od roli ubogiej krewnej, którą, zapewniam cię, kuzynko Agato, czasami trudno było znieść.

- Kiedy pomyślę o wszystkim, co dla ciebie zrobiłam... Przyjęłam cię do mojego domu...

- Ponieważ przyrzekła to pani mojej babce.

- Bo należysz do rodziny.

- Choć nie jest to zbyt bliskie pokrewieństwo - szybko dokończyłam.

Zacisnęła pięści. Wiedziała, że została pobita. Tej nocy zwycięstwo oszołomiło mnie zupełnie.

Odwracając się oznajmiła jeszcze:

- Prawdziwa intrygantka z ciebie. Mogłam zresztą tego oczekiwać. Córnka takiej matki!

Z tymi słowami wyszła, i dobrze. Gdyby bowiem została, Bóg jeden wie, co bym jej powiedziała.

Jakże zmieniło się moje życie! W przeszłości drwiłam z potęgi Carringtonów, wyobrażając sobie, iż kuzynka Agata podziwia ich, ponieważ są bogatsi od niej i przewodzą sferze, do której pragnie się dostać. Okazało się, że nie miałam racji. Josiah Carrington był nie tylko bankierem i finansistą o wysokiej pozycji w City; był również doradcą rządu i prawdziwą potęgą w kręgach dyplomatycznych. Jego starszy syn Rollo wstępował w ślady ojca, również Philip powoli człapał w tym kierunku. Lady Emily, córka hrabiego, miała szerokie koneksje, a przed ślubem była jedną z dam dworu. Kuzyn William Loring, choć też nieubogi, w porównaniu z nimi jawił się jako mała płotka. Dlatego właśnie małżeństwo z członkiem rodu Carringtonów uważano za szczyt marzeń i nawet młodszy syn stanowił wspaniałą partię.

To, że ja, rodzinny wyrzutek, uboga krewna, zdobyłam tę partię, było niemal komiczne. Rose powiedziała mi, że na dole służba „umiera ze śmiechu”. Cieszyli się, bo nigdy nie cenili sobie kuzynki Agaty, i z radością przyjęli „klapsa”, jakiego ich zdaniem wymierzył jej panicz Philip.

Ze zdumieniem odkryłam, jak dużo ci na dole wiedzą o nas. Miałam powody sądzić, iż niewiele umykało ich oczom. Bawiło mnie, że mogę wykorzystywać Rosę jako swego łącznika.

Philip to wielki ulubieniec służby, twierdziła Rose. Zawsze wymyślał nowe figle i psoty. Pan Rollo był inny. Bardzo

chłodny i wyniosły, a od czasu swego tajemniczego małżeństwa również dość przewrażliwiony. Pana Carringtona chwalono również. Zawsze w rozjazdach, wciąż prowadził coraz to nową rozgrywkę finansową. Lubili także lady Emily, choć zawsze sprawiała wrażenie nieco zaspanej. Nie odróżniała pokojówki od garderobianej, a kucharka przysięgała, że często myliła ją z lokajem. Mimo to, jako pani domu, cieszyła się ogólną sympatią. Nigdy nie sprawdzała domowych rachunków ani nie kwestionowała cen tego czy owego. Dobrze było służyć u Carringtonów.

Wraz z Philipem chcieliśmy kupić dom nie opodal i oczywiście korzystalibyśmy z wiejskiej rezydencji, jak wszyscy członkowie rodziny.

Czekała nas nowa przygoda: wybór domu. Philip obiecał, że zajmie się tym natychmiast. Cały czas musiałam upewniać się, czy aby nie śnię. Oto ja, która nigdy nie byłam pewna, czy za chwilę nie wyrzucą mnie z mojego pokoju, mam zostać panią we własnym domu! Nowina szybko się rozniosła, a ponieważ Philip był Carringtonem, sfotografowano nas do kroniki towarzyskiej.

Poczułam się, jakbym rzeczywiście śniła. W „Tatlerze” znalazło się moje zdjęcie. „Panna Ellen Kellaway, która ma wkrótce poślubić pana Philipa Carringtona. Panna Kellaway mieszka wraz z opiekunami, państwem Loring z Knightsbridge, zaś pan Carrington to oczywiście drugi syn Josiaha Carringtona.”

Mój status uległ zmianie. Esmeralda była zachwycona. Uścisnęła mnie i powiedziała, jak bardzo się cieszy, widząc, że znalazłam się w swoim żywiole.

- Oczywiście - oznajmiła. - Od początku można się było domyśleć. Zawsze przepadała za tobą. Byliście sprzymierzeńcami. Philip uważał, że jestem głupia.

- Naprawdę cię lubi - wtrąciłam, aby ją pocieszyć.

- On mną gardzi - odpaliła. - Rzecz jasna nie byłam tak śmiała, jak ty. Świetnie do siebie pasujecie. Nawet lubicie te same rzeczy. To prawda, Ellen. Będziecie bardzo szczęśliwi.

Ucałowałam ją.

- Jesteś cudowna, Esmeraldo. Czy ty na pewno nie kochasz Philipa?

- Na pewno - odparła z naciskiem. - Okropnie się bałam, że poprosi mnie o rękę, a ja będę musiała powiedzieć „tak”, ponieważ mama sobie tego życzyła. I nagle wszystko się zmieniło!

- Nie sądzę, aby twoja matka była tym zachwycona.

- Ale ja jestem. Och, Ellen, to mnie przerażało.

Kuzynka Agata otrząsnęła się już z pierwszego szoku i zdołała przełknąć rozczarowanie. Zapewne pocieszała się, że lepsze dalekie pokrewieństwo niż żadne.

- Oczywiście - stwierdziła - będziesz potrzebowała nowych strojów. Nie możemy pozwolić, by ludzie gadali, że skąpimy ci pieniądze.

- Nie martw się, kuzynko Agato - odparłam - Philip zupełnie nie przejmuje się moimi strojami. Może po ślubie kupi mi parę rzeczy.

- Mówisz jak głupia gęś. Nie rozumiesz, że od tej chwili wszystkie oczy skierowane są na ciebie? Ludzie będą starali się odkryć, co on w tobie widzi - jej nos zdrzął lekko, sugerując, iż ona sama nie potrafiłaby odpowiedzieć na tak postawione pytanie. - Potrzebujesz odpowiednich sukienek. Czekają cię spotkania towarzyskie... przyjęcia. No i oczywiście jeszcze suknia ślubna.

- Nie chcemy wielkiej ceremonii.

- Ty jej nie chcesz. Zapominasz, że wychodzisz za jednego z Carringtonów - ponowne drgnięcie nosa. - Owszem, to jedynie młodszy syn. Ale jednak Carrington. Po ślubie będziesz musiała być w pewnych kręgach. Nie wątpię, że zechcesz, by Esmeralda, twoja towarzyszka lat dziecinnych, przyłączała się do ciebie od czasu do czasu.

Nagle zrozumiałam, że mam władzę. Było to cudowne uczucie. Nie mogłam się powstrzymać, by nie posłać kuzynce Agacie dobrotliwego uśmiechu. Oświadczyłam jednak, iż mam nadzieję często gościć Esmeraldę w moim domu.

„Jestem szczęśliwa, pomyślałam. Niezwykle szczęśliwa. Wszystko się zmieniło. Mówcie sobie o Kopciuszku! Czyżby Philip miał zostać moją matką chrzestną - wróżką? Chyba to właśnie jest miłość.”

- Nie mogę pozwolić, by ludzie mówili, że nie daliśmy ci wszystkiego, co najlepsze - ciągnęła kuzynka Agata. - Stało się to, co się stało, i o ile Philip nie zmieni zdania, zostaniesz członkiem jego rodziny. Oczywiście, zawsze będziesz pamiętać o swe zadziwiające szczęście i skąd się ono wzięło. Nie wątpię, że okażesz wdzięczność tym, którzy opiekowali się tobą, i bez których nigdy nie nadarzyłaby ci się podobna szansa.

Pozwoliłam jej mówić. Euforia złagodziła moją niechęć, a słowa stanowiły niewielkie zadośćuczynienie za rozczarowanie, jakie ją spotkało. Na szczęście nigdy nie byłam mściwa z natury i potrafiłam szybko zapomnieć urazy i upokorzenia dzieciństwa.

- Obawiam się, że Tilly nie da sobie rady ze wszystkim, czego potrzebujemy. Może najwyżej uszyć ci domowe suknie. Zapewne lady Emily będzie chciała posłać cię do swej krawcowej. Potrzebujesz eleganckiej sukni wizytowej i, oczywiście, sukni ślubnej. Niedawno rozmawiałam o tym z twoim kuzynem, panem Loringiem, który jest gotów pokryć wszystkie rachunki, abyś z wdziękiem mogła rozpocząć nowe życie. W końcu, jak mu powiedziałam, odbije się to również na nas, a my musimy myśleć o przyszłości Esmeraldy.

Ledwie jej słuchałam. Działo się tak wiele ekscytujących rzeczy!

Philip bez przerwy był w naszym domu. Razem jeździliśmy konno. Miałam nowy strój jeździecki - prezent od pana Loringa, bez wątpienia naciskanego przez kuzynkę Agatę, bowiem jazda po parku stanowiła przywilej wyższych sfer. Bezustannie nas fotografowano.

- Co za nuda - mawiał Philip. - Komu potrzebne to wszystko? Chcę tylko, abyśmy zawsze byli razem.

Z radością odkryłam, jak mocno mnie kocha. Drażnił się ze mną i sprzeczał tak samo, jak kiedyś; stale toczyliśmy ze

sobą zacięte bitwy słowne, które radowały nas oboje. Miałam dziewiętnaście lat, on - prawie dwadzieścia jeden, i życie zdawało się pasmem szczęśliwych chwil. Nie sądzę, aby jego wiedza o świecie znacznie przewyższała moją, a ta nie była zbyt imponująca. Czasami jednak lepiej nie wiedzieć, co szykuje nam przyszłość.

Przyjemnie było składać wizyty u jego rodziny. Roztargnienie lady Emily stanowiło część jej uroku, zaś ona sama wyznała mi kiedyś, że nie może się już doczekać dzieci, które nam się urodzą. Lubiła wiele mówić, zresztą w dość chaotyczny sposób. W rodzinie Carringtonów zawsze byli chłopcy, powiedziała. Ona urodziła Rolla w rok po ślubie, a potem, po długiej przerwie, Philipa. Dwóch bardzo różnych chłopców.

- Rollo czasami budził we mnie lęk, kochanie. Był taki bystry. Philip jest zupełnie inny.

Posiadanie synów stanowiło rodzinną tradycję, a biorąc pod uwagę małżeńskie niepowodzenie Rolla to Philip i ja mieliśmy wydać na świat kolejne pokolenie małych Carringtonów. Sugerowano nawet, byśmy nie czekali zbyt długo z wyprodukowaniem pierwszego wnuka.

Myśl o tym, że miałabym mieć dziecko, zachwycała mnie i przez pierwsze tygodnie po balu na moim niebie nie pojawiła się żadna, nawet najmniejsza, chmurka. Myślę, że naprawdę wierzyłam, iż tak będzie wiecznie.

Pojechaliśmy na tydzień na wieś, bowiem Carringtonowie pragnęli uczcić nasze zaręczyny w gronie tamtejszych przyjaciół. Zawsze przyciągał mnie ich dom, od pierwszej chwili, kiedy go ujrzałam. Teraz jednak, gdy wchodziłam do rodziny, dzięki czemu miał to być również mój dom, czułam jeszcze większe podniecenie.

Trentham Towers było starą rezydencją, jeszcze z czasów Tudorów, choć w późniejszych okresach dokonano tam licznych przeróbek. Zbudowany na wzgórzu dwór spoglądał władczo na leżącą u jego stóp okolicę w sposób, jak kiedyś myślałam, typowo carringtonowski. Odkąd jednak przyjęli mnie do swego grona stwierdziłam, iż niesłusznie oczerniałam ich w myślach. Jakaż inna rodzina okazałaby mi tyle serca, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę kręgi, w jakich się obracali.

Powiedziałam Philipowi, że chciałabym zwiedzić dwór, a on, zarażony moim entuzjazmem - często dawał się porwać moim pomysłom w sprawach, które jego samego niezbyt interesowały, to była jedna z jego najmiłszych cech - chętnie się zgodził. Znałam już ogrody, które zwiedziłam dokładnie jeszcze w dzieciństwie. Interesował mnie sam dom.

Philip przeprowadził mnie przez wielką sień do kaplicy, a następnie do jadalni, w której wisiały portrety jego rodziny ze strony matki. Potem sprowadził mnie w dół spiralnymi kamiennymi schodami i otwierając na oścież ciężkie, dębowe drzwi, oznajmił:

- To stara zbrojownia. Obecnie przechowujemy tu strzelby.

- Jakie mnóstwo broni! - krzyknęłam. - Mam nadzieję, że nikt już dziś z niej nie strzela.

Wyśmiał mnie.

- Ależ oczywiście, że korzystamy z niej w czasie sezonu. Sam jestem niezłym strzelcem.

- Nienawidzę strzelania do zwierząt - oświadczyłam gwałtownie.

- Nie sądzę jednak, abyś miała coś przeciw soczystej kuropatwie na talerzu - Philip otworzył pudło. Na czerwonej satynie leżał samotny srebrzystoszary pistolet.

- Czyż nie jest piękny? - spytał chełpliwie.

- Nie powiedziałabym.

- To tylko świadczy o twojej ignorancji, moja droga.

- Gdzie jest drugi? Powinny być przecież dwa, prawda?

- Och, tamten znajduje się w bezpiecznym miejscu.

- To znaczy?

- A gdybym tak znalazł się sam w moim skrzydle domu? Ostrożne kroki skradają się korytarzem. Drzwi otwierają się wolno i do środka wkracza człowiek w masce. Chce ukraść srebra, obrazy, rodzinne skarby. Co wtedy robię? Sięgam pod poduszkę. Wymijuję pistolet. „Ręce do góry, łotrze!”, krzyczę. A on? Cóż może poradzić wobec mnie i mojego cacka? Skarby rodzinne zostają uratowane, a wszystko dzięki temu - z lubością pogładził broń, po czym zatrasnął pudło.

- Nie trzymasz chyba pistoletu pod swoją poduszką, prawda, Philipie?

- Owszem, póki się nie pobierzemy. Od tej chwili ty będziesz mnie bronić.

- Idiota! - prychnęłam. - Nie podobają mi się te pistolety. Chodźmy dalej.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem - odrzekł natychmiast. - Ruszajmy.

Zachwyciły mnie stare spiżarnie i magazyny. Oczarowana, zwiedziłam pokój, w którym podobno nocowała królowa Elżbieta. Stało tam nawet jej łóżko z baldachimem. Najpiękniejsze jednak było rozświetlone solarium. To właśnie tam spytałam Philipa:

- Kiedy poznam żonę Rolla?

Philip wydawał się zakłopotany.

- Nie widujemy jej. Nawet o niej nie wspominamy. To nieszczęsna historia i tak niepodobna do Rolla. Trudno wprost wyobrazić sobie, by zrobił coś podobnego. Zawsze pochłaniały go tylko interesy... finanse i tym podobne... zupełnie jak ojca, a może nawet jeszcze bardziej. Wciąż podróżowali gdzieś we dwóch, cały czas dyskutując o giełdzie. Sądziłem, że nie zwracają uwagi na nic innego. I nagle ten ślub.

- A zatem było to pośpieszne małżeństwo?

- Najprawdopodobniej. Nic o nim nie słyszałem, póki nie stało się fait accompli. A potem, już po upływie miesiąca miodowego, odkrył prawdę.

- Jaką prawdę?

- Że ona jest, jak to mówią, niezrównoważona.

- To znaczy szalona?

- Musi przebywać... pod stałą opieką. Ktoś się nią zajmuje.

- Gdzie? W tym domu?
 Potrząsnął głową.
 - Mieszkali tu przez jakiś czas. W pokojach na górze. Ale przy ciągłych zjazdach rodzinnych trudno było wszystkiego dopilnować. Więc teraz przenieśli ją gdzie indziej.
 - Dokąd?
 - Nie wiem. Nie rozmawiamy o tym. To sprawa Rolla.
 - Musi być bardzo nieszczęśliwy.
 - Ciężko poznać, co naprawdę myśli. Ale proszę, nie wspominaj o tym przy mojej matce. To ją wytrąca z równowagi. Jak zresztą wszystkich... przypuszczam, że najbardziej Rolla, choć on niczego po sobie nie pokazuje. Nigdy nie ujawniał swoich uczuć.
 - Ciekawe, co czuje ona.
 - Może nie jest niczego świadoma. To się często zdarza u takich ludzi.
 - Mówiłaś, że mieszkała kiedyś w tym domu.
 - Tak, Rollo trzymał ją tu przez jakiś czas. Opiekowała się nią bardzo zręczna kobieta... a kiedy nie dało się już tego znieść, wyjechały.
 - Chciałabym zobaczyć pokoje, które zajmowała.
 - Na Boga, po co?
 - Po prostu taki mam kaprys.
 - Są na samej górze.
 - Dalej - zakomenderowałam. - Pokaż mi.

Wspięliśmy się po starych dębowych schodach o misternie rzeźbionych poręczach i dotarliśmy niemal na szczyt domu. Pokojom na górze brakowało wyniosłych sufitów pomieszczeń niższych pięter; okazały się też dużo skromniejsze. W sumie było ich cztery - razem tworzyły coś w rodzaju odrębnego mieszkania. W dwóch stały łóżka. Jedno dla żony Rolla, pomyślałam. Drugie dla opiekunki.

Zawsze byłam wrażliwa na atmosferę panującą wokół mnie i kiedy tak stałam w pokoju na górze wydało mi się, iż wyczuwam w nim echa cierpienia. Wzdrygnęłam się. Philip spytał:

- Zimno ci?
 - Nie, to tylko dreszcz.
 - Skąd się zatem wziął?
 - Jak to mówią: ktoś przeszedł po moim grobie.
 - Zejdźmy na dół.
 - Nie, jeszcze nie. Chcę tu chwilę pobyc. Zastanawiam się jak się tutaj czuła - podeszłam do okna i wyjrzałam na dwór. - Bardzo wysoko - dodałam.
 - Może dlatego się wyprowadziły.
 - Myślisz, że mogłaby spróbować odebrać sobie życie?
 - Ludzie tacy jak ona robią to czasami. Och, chodź już, Ellen. Zaczynasz popadać w ponury nastrój. Nic o niej nie wiem. Nie rozmawiamy na ten temat. To sprawy Rolla.
 - Jej także - odparłam. Podeszłam do łóżka i dotknęłam kapy, potem oparcia krzesła. Mieszkała tu, pośród tych rzeczy. Chciałam dowiedzieć się o niej wszystkiego, spotkać ją. Może mogłabym z nią porozmawiać, jakoś jej pomóc.
 „Nie wspominamy o tych sprawach” - powiedział Philip. Ale to była cecha Carringtonów. Kiedy działo się coś niemiłego; należało udawać, że tego nie ma. Nigdy nie potrafiłabym tak postępować i nie mogłam przestać myśleć o żonie Rolla.

Podczas pobytu na wsi Philip nalegał, abyśmy wybrali się na Skatę Samobójców. Razem przeszliśmy przez las i dotarliśmy do miejsca, niedaleko ścieżki, gdzie stała drewniana ławka. Usiedliśmy na niej i Philip powiedział:

- Przypominają się stare czasy, prawda? To zawsze było jedno z moich ulubionych miejsc. Bałaś się trochę przychodzić tu sama, Ellen, przyznaj.
 - No, troszeczkę.
 - Straszne było ze mnie zwierzę, żeby zmuszać cię do tego.
 - Często zachowywałeś się jak okropny mały potwór.
 - Ale byłaś zawsze taka przemądrzała, musiałem utrzc ci czasem nosa. Rzeczywiście, jest tu trochę niesamowicie.
 - Zastanawiam się, ilu ludzi siedziało na tej ławce, myśląc o skoku w przepaść.
 - Jeśli w tym, co mówią ludzie, jest dużo prawdy, to całkiem sporo.
 Philip wstał i tak jak kiedyś podszedł do samej krawędzi ścieżki.
 - Wracaj! - krzyknęłam.
 Posłuchał ze śmiechem.
 - Ależ Ellen, ty naprawdę się zlekłaś. Nie sądziłaś chyba, że skoczę, co?
 - Pomyślałam, że kiedyś zaryzykujesz o jeden raz za dużo. Powinna tu być jakaś barierka.
 - Wspomnę o tym w domu. To nasz teren, wiedziałaś o tym?

Ze zdumieniem odkryłam, że istotnie nie zapomniał tego zrobić. Zanim wyjechalibyśmy do Londynu, na szczycie ustawiono żelazną barierkę.

Po powrocie do stolicy często spacerowaliśmy we dwójkę po parku, snując plany na przyszłość. Tylko tam mogliśmy umknąć przed ludźmi, którzy pragnęli odwiedzić nas i złożyć gratulacje. W parku byliśmy sami i korzystaliśmy z tego, kiedy się tylko dało. Wędrowaliśmy wzdłuż Stawu Serpentine do Ogrodów Kensingtonskich i dalej, aż na drugą stronę

parku. To właśnie tam zorientowałam się, że śledzi nas jakiś mężczyzna. Nie wyróżniał się niczym szczególnym poza niezwykle krzaczastymi brwiami. Zjawił się cicho, niczym duch, i usiadł na jednej z ławek nie opodal nas.

Nie wiem dlaczego wyczułam jego obecność, ale tak było. Budził we mnie niepokój.

- Czy widzisz tego mężczyznę, Philipie? - spytałam.

Rozejrzał się.

- Tego na ławeczce?

- Tak. Mam wrażenie, że nas obserwuje.

- Cóż, pewnie rozmyśla, jak pięknie dziś wyglądasz.

- Wydaje się nami zainteresowany.

Philip ścisnął moje ramię.

- Oczywiście. Jesteśmy szczególnymi ludźmi.

Po chwili mężczyzna wstał z ławki i odszedł, a my zapomnieliśmy o nim.

ROZDZIAŁ 2 DOM NA FINLAY SQUARE

Poszliśmy obejrzeć dom przy Knightsbridge. Z rosnącym podnieceniem patrzyłam, jak Philip wyjmuje klucz. Po chwili weszliśmy do środka. Był to wysoki biały budynek w stylu królowej Anny, czteropiętrowy, z frontowym ogrodem. W pustych domach jest coś niemal osobistego. Niektóre zdają się zapraszać do swego wnętrza; inne - odrzucają.

Nie sądzę, abym była obdarzona jakimś specjalnym zmysłem. Może to tylko wpływ rozszalałej wyobraźni, lecz ów dom wywarł na mnie takie samo wrażenie, jak szczytowe pokoje wiejskiej rezydencji Carringtonów: był wrogi. Czułam się w nim źle i obco i po raz pierwszy w tych szczęśliwych dniach ogarnął mnie przenikliwy chłód. Czy to dlatego, że dom symbolizował rzeczywistość, podczas gdy reszta była jedynie marzeniem?

Miałam spędzić swe życie z Philipem - stać u jego boku przez wszystkie następne lata. Zestarzejemy się razem, upodobnimy do siebie. Będziemy dla siebie najważniejszymi ludźmi na świecie. Ta myśl otrzeźwiła mnie nieco. Nagle poczułam, że za chwilę zatrzasną się drzwiczki klatki - wygodnej i złoconej, to prawda, lecz na zawsze odgradzającej mnie od świata, którego jeszcze nie poznałam.

Spojrzałam na Philipa, który pytał właśnie z zapałem:

- Podoba ci się?

- Nie widziałam go jeszcze. Nie można osądzić domu tylko po przedsionku.

- Chodźmy zatem.

Ujął moją dłoń i poprowadził mnie do pokoi na parterze. Były ciasne, ściany wydawały się zamykać wokół mnie. Nie, krzyczałam w myślach. Nie!

Philip pobiegł na górę, ciągnąc mnie za sobą. Pomieszczenia na pierwszym piętrze okazały się jaśniejsze i bardziej przestronne. Nawet mi się spodobały.

- Tu będziemy urządzić przyjęcia - oznajmił. - Całkiem elegancko, prawda?

Przeszliśmy jeszcze wyżej, gdzie znajdowały się kolejne wielkie pokoje, nad nimi zaś strych.

- Dom jest za duży - stwierdziłam nie wiedząc jak inaczej wyrazić swoją niechęć.

Philip wyraźnie zdumiał się. Jak na standardy Carringtonów, siedziba była raczej mała.

- Będziemy potrzebowali tylu pomieszczeń. Jest jeszcze służba... trzeba gdzieś ich pomieścić. No i pokoje dziecięce.

Co ci jest? Chcesz mieć chyba pokoje dziecięce, prawda?

- O tak, bardzo. Ale mam wrażenie, że coś tu jest... nie w porządku.

- Co masz na myśli? Duchy?

- Oczywiście, że nie. Wygląda to tak... pusto! - wypaliłam.

Roześmiał się.

- A czego się spodziewałaś, gąsko? Rozejrzyjmy się. No chodź - nalegał z entuzjazmem. - W dzisiejszych czasach nie tak łatwo o odpowiedni dom. A im szybciej go sobie znajdziemy, tym szybciej będziemy mogli się pobrać. Zejdźmy na dół.

- Chciałabym zostać tu przez chwilę... Sama.

- Po co?

- Żeby sprawdzić, jak się tu czuję.

- Uparciuch - prychnął, niczym dawny Philip, którego znałam w dzieciństwie. Ale pobiegł na dół.

Stałam na środku pokoju. Wyjrzałam przez długie, wąskie okno. Za szybą widać było ogród - rzecz jasna niewielki - z dwoma drzewami i okrągłym kwietnikiem.

Czułam się dziwnie. Wiedziałam, że nie chcę tu mieszkać. Przypominało to lęk, który nawiedzał mnie we śnie. Jakie to niezwykłe, pomyślałam, i niepokojące, bowiem wiedziałam, że to nigdy nie będzie mój dom.

Zesłam piętro niżej i właśnie stałam przy oknie, wyglądając na ogród, kiedy obok mnie coś się poruszyło. Czyjeś ręce otoczyły moją szyję. Zachłysnęłam się ze strachu.

- De di do da! - krzyknął Philip. - Jam jest duch ostatniego lokatora. Znalaziono mnie wiszącego u krokwi.

Obrócił mnie i przyciągnął do siebie.

Pocałował mnie i oboje wybuchliśmy śmiechem.

Złapaliśmy się za ręce i zbiegliśmy po schodach.

Nie mogłam otrząsnąć się z niepokoju, jaki ogarnął mnie w domu przy Finlay Square. Wiedziałam, że Philip bardzo pragnie go kupić. Powiedział, że nie zamierza spędzić kilku miesięcy, poszukując odpowiedniej rezydencji. Sam zakup był wystarczająco czasochłonny.

- Zawsze możemy go sprzedać, jeśli nadal będziesz niezadowolona - powtarzał. - Śmiem przypuszczać, że po pewnym czasie i tak będziemy potrzebowali czegoś większego.

Dom miał stanowić ślubny prezent od jego ojca i nie chciałam hamować entuzjazmu Philipa. Nie mogłam nawet wskazać niczego konkretnego, co by mnie odręczało od tego miejsca, jednak odkąd je odwiedziliśmy, moje szczęście nieco przygasło. O dziwo, znów wrócił mój sen. Zaskakujące, bowiem od ostatniego, w noc poprzedzającą bal, minęło tak niewiele czasu.

Myśl o domu zaprzętała moje myśli tak bardzo, że pewnego dnia udałam się do pośrednika handlu nieruchomościami i poprosiłam o klucz, aby jeszcze raz go obejrzeć. Agent rozpoznał mnie i przypomniał, iż pan Carrington ma już jeden klucz. Wyjaśniłam, że chcę zwiedzić dom sama, i dostałam duplikat.

Na Finlay Square przybyłam po południu, około trzeciej. Dzień był dość ciepły, wokół kręciło się niewielu ludzi. Przystanąłam przy ogrodach, leżących w centralnym punkcie placu, i spojrzałam na budynek, stojący po drugiej stronie ulicy.

Znów poczułam dziwną niechęć. Instykt nakazywał mi natychmiast zawrócić, oddać pośrednikowi klucze i oznajmić, iż odstępujemy od zamiaru kupna. Philip byłby rozczarowany, lecz z pewnością potrafiłabym go przekonać.

Nagle poczułam, jak jakaś niewytłumaczalna siła każe mi przejść przez ulicę. Nie chciałam tam iść, ale zmuszał mnie do tego jakiś przemożny impuls. Otworzę drzwi i uważnie obejrzę dom. Przekonam się, że jest najzwyczajniejszy pod słońcem. Niczym nie różni się od tysięcy innych pustych domów.

Furtka przy otwarciu wydała z siebie jęk - jak mi się zdawało - protestu. „Szukasz złowróżbnych znaków”, upomniałam się w duchu. Zdecydowana nie poddawać się podobnym złudzeniom, pomaszerowałam krótką ścieżką, wiodącą do drzwi frontowych, i weszłam do środka. Zamknąwszy za sobą drzwi stanęłam w holu. I nagle znów to poczułam - niesamowitą wrogość. Zupełnie jakby dom nakazywał mi odejść. Nie mógł mi ofiarować nic dobrego. Czekają mnie tu tylko nieszczęście.

Uniosłam wzrok ku wysokiemu, ozdobnemu sufitowi i pięknym, rzeźbionym schodom. Wydało mi się, że dom nie chce mnie przyjąć.

Przypuszczam, że mimo pozornego opanowania, w gruncie rzeczy byłam osobą o nadmiernie wybujałej fantazji. Tylko ktoś taki mógł mieć powracający sen i próbować coś z niego odczytać. Prawdopodobnie wielu ludzi miewa sny - i rano zapomina o nich. Naprawdę zachowywałam się niemądrze.

Powoli, z rozmysłem wspięłam się po schodach i zwiedziłam pokoje na pierwszym piętrze - salony i bawialnie. Były bardzo eleganckie - wysokie okna do samej podłogi - i typowe dla okresu, w którym powstały. Kominki zachwycały szlachetną prostotą - czysty styl Adamów (Adamowie, bracia, Robert i James; słynni architekci angielscy drugiej połowy XVIII wieku; przyp. tłum.). W duchu umeblowałam je i wyobraziłam samą siebie jako panią tego domu, przechadzającą się wdzięcznie między gośćmi - gośćmi Carringtonów, dodałam wydymając wargi. „Och, dobry wieczór, kuzynko Agato. Jak to miło, że przysłaś. Philip będzie zachwycony”, albo „Ależ to pani Omanowa Lemming! Jak miło znów panią widzieć. Czy to pani córki?” (Było ich dwie, prawda?) Wszyscy z zachwytem przyjmą zaproszenie na przyjęcie u Carringtonów. Pomyślałam, że wieczorem odegram tę scenkę przed Philipem, i nagle ogarnął mnie pusty śmiech.

Potem poszłam na górę. Tu urządzimy sobie sypialnię, a ten niewielki pokoik zostanie zamieniony na łazienkę.

- Nie musimy tu prawie nic zmieniać - stwierdził Philip. - To idealny dom, Ellen.

- To idealny dom - powtórzyłam teraz na głos, i wydało mi się, że skądś dobiega mnie szyderczy śmiech.

Ruszyłam do pomieszczeń, które miały stać się pokojami dziecięcymi, i na strych, gdzie zamieszka służba. Wyobraziłam sobie białe ściany, ozdobione błękitnym szlakiem, przedstawiającym zwierzątka, i małe łóżeczko z białego drewna, przykryte niebieską kołderką.

Spoglądałam w przyszłość. Ale w końcu do tego właśnie służy małżeństwo, czyż nie? To tego pragnęli Carringtonowie. Philip musi ożenić się młodo, ponieważ wygląda na to, iż Rollo nigdy nie będzie miał dzieci. Dziwne - myśleć o nas jako o rodzicach!

I nagle poczułam, jak serce trzepocze mi ze strachu. Panującą w budynku ciszę zakłócił delikatny szmer. Zamarłam, nasłuchując. Nic. Czyżbym to sobie wymyśliła? To niezwykle, jak czasami mimo nieobecności dźwięku można wyczuć czyjąś obecność. Miałam niesamowite uczucie, że ktoś jest w domu. Trwałam nadal w bezruchu pośrodku pokoju i znów to usłyszałam. Nie myliłam się. Ktoś tu był.

Moje serce zaczęło boleśnie tłuc się w piersi. Kto? To nie mógł być Philip. Wiedziałam, gdzie jest w tej chwili. Wcześniej uprzedził mnie, że tego dnia odwiedzi londyńskie biuro ojca.

Nasłuchiwałam nadal. I znów dźwięk powtórzył się. Stłumiony odgłos otwieranych drzwi.

Usłyszałam na schodach czyjeś kroki.

Odkryłam, że nie mogę się ruszyć. Zupełnie jakby sparaliżował mnie lęk. To śmieszne, powiedziałam sobie. Dom jest na sprzedaż, nie kupiliśmy go jeszcze, więc czemu inny potencjalny kupiec nie miałby przyjść go obejrzeć?

Kroki zbliżały się. Jak zahipnotyzowana wpatrywałam się w drzwi. Ktoś był tuż za nimi.

Kiedy wolno otwarły się, westchnęłam. Przede mną stał Rollo Carrington.

- Dziwne - stwierdził. - Sądziłem, że nikogo tu nie ma.

- Ja... również.

- Obawiam się, że panią przestraszyłem.

- Usłyszałam, że ktoś wchodzi po schodach, i...

Był taki wysoki, przypomniałam sobie, jak dawno temu Philip nazywał go wikingiem. Miał nawet odpowiednie imię.

Choć spotkałam go już kilka razy wcześniej, w tym momencie wydało mi się, że tak naprawdę widzę go po raz pierwszy. Promieniowała z niego siła i niezwykły magnetyzm. Kiedy Rollo Carrington wchodził do pokoju, wszyscy natychmiast wyczuwali jego obecność.

- Pan jest bratem Philipa, poznaję pana. Ja jestem Ellen Kellaway, jego narzeczona.

- Tak, wiem. Proszę pozwolić, że złożę pani moje gratulacje.

- Dziękuję. Nie wiedziałam, że jest pan w Londynie.

- Przyjechałem wczoraj w nocy. Oczywiście już wcześniej dotarły do mnie wieści o waszych zaręczynach.

Ciekawa byłam, czy dlatego właśnie wrócił.

- Philip opowiedział mi o tym domu. Obiecałem, że rzucę na niego okiem, więc dał mi klucz.

- Chciałam go jeszcze raz obejrzeć - wyjaśniłam.

Skinął głową.

- To naturalne.

- Jakie jest pańskie zdanie?

- Wydaje się, że to rozsądna oferta. Oczywiście nie widziałem jeszcze całości.

Nie spuszczał ze mnie wzroku i czułam się nieswojo. Zdawało mi się, że próbuje mnie ocenić, zgłębić najskrytsze myśli, i nie miałam pojęcia, co o mnie sądzi. Co do mnie, to nie mogłam przestać rozmyślać o jego nieszczęsnej żonie - mglistej postaci z mojej wyobraźni - zamkniętej w szczytowych pokojach Trentham Towers. Kiedy zdecydował, że żona potrzebuje stałej opieki?

Nie można było wyobrazić sobie tego człowieka zakochanego do szaleństwa, a tylko to mogłoby go przywieść do pośpiesznego małżeństwa. Wydało mi się, iż dostrzegam wokół jego ust delikatne linie goryczy. Bez wątpienia nienawidził losu za to, że obdarzył jego piękną żonę nie zrównoważonym umysłem, pozwalając mu odkryć to dopiero po ślubie. Był taki opanowany, tak pewny siebie i władczy, że zupełnie nie umiałam pogodzić romantycznej historii o tragicznym małżeństwie z osobą jej bohatera.

- Czy rozejrzała się już pani?

- Niedokładnie.

- Proponuję, abyśmy razem obejrżeli wszystko dokładnie.

- Chętnie.

- Zatem chodźmy. Zaczniemy od samej góry.

Mówił o zasadzkach, jakich należy się wystrzegać. Nie zwracałam szczególnej uwagi na słowa. Chciałam po prostu słuchać głosu Rolla, głębokiego i pełnego autorytetu. Tak wiele pragnęłam się o nim dowiedzieć - najlepiej wszystkiego. W porównaniu ze mną i Philipem zdawał się dojrzały. Mówił o swym bracie, jakby ten był jeszcze małym chłopcem i wyraźnie mnie również uważał za bardzo młodą.

- Mam pewne doświadczenie w zakupach nieruchomości - oznajmił. - Trzeba być bardzo ostrożnym. caveat emptor.

Zwiedziliśmy cały budynek i przeszliśmy do ogrodu. Tam stanęliśmy pod jednym z drzew.

Obejrzałam się na dom. Wyglądał jeszcze groźniej niż zwykle i zapragnęłam nagle uciec jak najdalej od niego, mimo że obok stał brat Philipa, który mógł obronić mnie przed każdym niebezpieczeństwem.

Skierował się z powrotem do domu, a ja podążyłam za nim. Ściany zdawały się zamykać wokół mnie niczym więzienie i z najwyższym trudem zdołałam otrząsnąć się z dziwnego lęku. Bałam się, że moja twarz może coś zdradzić. Rollo spojrział na mnie uważnie, jakby chciał coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. Otworzył przede mną drzwi. Kiedy wyszłam na dwór, ogarnęła mnie ogromna ulga.

- Sprowadzę powóz - powiedział - i odwiozę panią do domu.

Nie wiem, jak mam opisać Rolla. Miał w sobie coś tajemniczego. Ani w połowie tak przystojny jak Philip, o rysach bardziej nieregularnych, a jednak biła z niego siła i dziwny magnetyzm. Należał do tego typu ludzi, którzy mogą wśliznąć się cicho do pokoju i natychmiast wszyscy wyczują ich obecność. Sprawiał wrażenie kogoś, komu wszystko się udaje.

Nie mogłam uwolnić się od myśli o nim. Możliwe, że przyczyniły się do tego okoliczności naszego spotkania. Kiedy usłyszałam jego kroki, byłam tak przerażona - zupełnie bezsensownie zresztą - ponieważ już wcześniej wyobraziłam sobie czyjąś obecność w domu. I wtedy pojawił się Rollo.

Od chwili, gdy usłyszałam historię jego małżeństwa, nie przestawałam o nim rozmyślać, a widok szczytowych pokoiów w Trentham Towers jeszcze pobudził moją fantazję. Potrafiłam już ujrzeć w duchu pośpieszne zaloty i przerażające odkrycie, lecz nadal nie umiałam wyobrazić go sobie zakochanego do szaleństwa albo nieszczęśliwego, ze złamanym sercem. Wciąż musiałam powtarzać, iż nie należy on do tych, którzy łatwo okazują targające nimi emocje.

Może w przyszłości poznam go lepiej. Ostatecznie miał zostać moim szwagrem.

W parku, podczas spaceru z Philipem opowiedziałam mu o spotkaniu z Rollem. Wysłuchał mnie z rozbawieniem.

- Wczoraj w nocy wrócił z Rzymu - wyjaśnił. - Zupełnie nieoczekiwanie. Matka napisała mu o naszych zaręczynach.

- I to sprawiło, że przyjechał?

- O tak, w tej sytuacji musiał wrócić.

- Aby obejrzeć narzeczoną?

- Widział cię już wcześniej. Bardzo dobrze zna twoją rodzinę.

- I zaraz wybrał się na oględziny domu?

- Tak, gdy tylko usłyszał, że zastanawiamy się nad jego kupieniem, zapragnął go obejrzeć. Uważa, że to prawdziwa okazja. Proponuje, abyśmy złożyli ofertę.

- Nie ma żadnych obiekcji wobec naszego ślubu?

- Obiekcji? A niby dlaczego?

- Cóż, ty jesteś bogaty, a ja nie mam ani grosza.

Philip wybuchnął śmiechem.

- Kto by się przejmował. Moja matka była biedna, kiedy wychodziła za ojca, który już wtedy dorobił się znacznego majątku.

- Miała tytuł.

- Zatem spójrzmy, czym ty dysponujesz. Jesteś piękna i dobra, a dobre serce to więcej niż hrabiowska korona.

Powinnaś o tym wiedzieć.

- A naiwna wiara lepsza jest niż błękitna krew. Czy moją wiarę można uznać za naiwną?

- Najwyraźniej tak, skoro zdołałaś mnie pokochać.

Był wesoły, energiczny, pewien, że życie szykuje nam same przyjemne niespodzianki. Cały czas porównywałam go z bratem. Tak bardzo się różnili!

- Uważam, że są wspaniali - stwierdziłam. - Tak łatwo mnie zaakceptowali. Kuzynka Agata jest zdumiona.

- Kuzynka Agata to głupia stara baba. Wybacz, wiem że to twoja krewniaczka.

- Bardzo daleka, jak ci już mówiłam. Nie przepraszaj. Z dużą przyjemnością wysłuchałam opinii jednego z Carringtonów w tej szczególnej materii.

- Oczywiście, że są zachwyceni. Chcą, żebym się ożenił. Uważają, że dobrze mi to zrobi. I tęsknią za małymi Carringtoniówkami. A co do Rolla, to on również jest niezmiernie zadowolony. Moje małżeństwo rozwiązuje wszystkie rodzinne problemy, i to w całkiem rozsądny sposób.

- Bardzo rozsądny - powtórzyłam. - W istocie można by to nazwać małżeństwem z rozsądku.

- Jeśli o mnie chodzi, znakomicie dogadza ono mojemu rozsądkowi.

- Mogłeś jednak wybrać sobie kogoś z własnej sfery.

- A ktoś byłby lepszy? Kogo wyśmiewałem i prześladowałem w czasach głupiego dzieciństwa?

- O ile pamiętam, otrzymałeś wtedy ode mnie równą dawkę drwin i wyzwisk.

I tak toczyła się nasza rozmowa. Lubiłam go, lecz w głębi ducha czułam niepokój: nie darzyłam miłością Philipa. Był bardzo miły i kochany, znałam go od dziecka. Nagle jednak ogarnął mnie strach przed przyszłością.

Chciałam dowiedzieć się czegoś więcej o Rollu Carringtonie. Rose, dzięki swojemu stangretowi, stanowiła znakomite źródło informacji.

- Harry mówi, że pobierzemy się na przyszły rok - powiedziała. - Główny stangret odchodzi i Harry zajmie jego miejsce, a to oznacza ładny, miły domek przy stajni. Pan Carrington już mu go obiecał. To dobry pan. Ja będę pracowała we dworze - taki jest zwyczaj. Harry twierdzi, że to najlepszy dom, w jakim kiedykolwiek służył. Pan Carrington wciąż jest w rozjazdach, a lady Emily nie wtrąca się do niczego. Od czasu do czasu będę nawet widywać panienkę, bo, jak sądzę, przyjadą państwo z wizytą. Nie mogę powiedzieć, abym czuła się zbyt dobrze w naszym domu. Ona stale wtyka nos we wszystko, narzeka i nigdy nie jest zadowolona. Kucharka mówi, że gdyby nawet w kuchni pracował sam Archanioł Gabriel, pani i tak miałaby mu coś do zarzucenia. Tam jest inaczej. Nikt się nie wtrąca. Nie przypomina wciąż, że jesteś służącą. W ogóle o tym nie myślą. Pan Carrington jest zbyt zajęty sprawami rządowymi, a lady Emily to nie ten typ pani.

- A syn?

- Panicz Philip? Ależ panienko, wie panienka o nim więcej, niż ktokolwiek inny.

- Chodzi mi o pana Rollo.

- On? To wykapany ojciec. Wciąż tylko interesy i interesy, tak przynajmniej mówią.

- Jednak się ożenił.

- A, to!

- Rose, czy kiedykolwiek ją widziałaś?

Rose zamilkła. Po kilku minutach powiedziała:

- Harry widział ją. Jechał z nimi raz czy dwa.

- Jaka ona jest?

- Harry nie umiał powiedzieć. Nigdy nie słyszał, by coś po wiedziała. Po prostu siedziała w powozie z panem Rollo.

- A on? Odzywał się do niej?

- Harry mówi, że nie. Zupełnie jakby oboje byli niemi i głusi. Nie, żeby często z nimi jeździł. A potem wyjechała i już nigdy jej nie widział.

- Jak wyglądała?

- Pytałam o to Harry'ego, panienko, ale wie panienka, jacy są mężczyźni. Nigdy nic nie zauważają. Nie umiał powiedzieć. Tylko tyle, że była jakby smutna. Powiedział, że wyglądała jak szary duch. Zawsze ubierała się w szare suknie.

- Smutny szary duch - powtórzyłam.

- Zaczyna panienka fantazjować. Jakbym nie pamiętała, co panienka potrafi. Ciekawa wszystkiego, a jeśli nie dało się czegoś wywęszyć, wymyślała panienka resztę. O tak, panno Ellen.

Do pokoju weszła jedna ze służących.

- Czego chcesz, Bess? - spytała Rose.

- Przyszłam tylko powiedzieć, że Janet cię szuka.

- Powiedz jej, że wkrótce zejdę. Teraz jestem zajęta z panienką Ellen.

Kiedy pokojówka zniknęła, Rose dodała:

- Te młode dziewczyny... wszystkiego słuchają. I słyszą więcej niż potrzeba.

W tym momencie naszła mnie niespodziewana myśl: co ja robię? Plotkuję ze służącą, i to w tak zażyły sposób. Powinnam nauczyć się większej dystynkcji teraz, kiedy mam zostać jedną z Carringtonów.

Powiedziałam więc nieco gwałtownie:

- Cóż, Rose, nie będę cię już zatrzymywać.

Lady Emily okazała się dobrą informatorką. O dziwo, polubiła mnie, co stanowiło ogromną niespodziankę, bowiem nie mógł jej raczej zachwycić mój nie istniejący majątek. Zachęcała mnie do wizyt i często odwiedzałam jej dom. Fachowo dziergała koronki, a ja przyglądałam się, zafascynowana, jak jej palce pracują sprawnie, podczas gdy umysł wędruje bez celu.

Lubiła, bym siadała obok niej. Wtedy zaczynała mówić:

- Zawsze pragnęłam mieć córkę. Mam nadzieję, że urodzisz parę dziewczynek. Oczywiście oni chcą chłopców... i przypuszczam, że pierwszy powinien być syn, ale dziewczynki są takie urocze. Zawsze chciałam mieć jedną albo dwie.

Z jej opowieści dowiedziałam się wiele o Carringtonach.

Dom w Sussex należał do niej. Była jedynaczką, a dwór Trentham Towers stanowił własność jej rodziny od pięciuset lat.

- Taka szkoda, że nie mieli synów... tytuł przeszedł na kuzyna, wiesz. Ale zatrzymałam dom. Tak się cieszyłam. W

pewnym momencie wydawało się... a potem urodziłam chłopców, dwóch chłopców, i ani jednej córki. Czy to nie dziwne? Moi rodzice pragnęli syna, a dostali mnie... Ja chciałam mieć córki i urodziłam dwóch chłopców. Ty jesteś moją nową córką, Ellen, i myślę, że będziemy się lubić. Bystre z ciebie dziewczę, i jesteście oboje tacy młodzi...

- Może sądzi pani, że za młodzi - wtrąciłam.

- Ja miałam siedemnaście lat, kiedy wyszłam za mąż. To była dobra partia. Byliśmy bardzo biedni. Trentham wprost rozpadało się. Josiah tak wiele zrobił dla tego domu. Kiedyś w sypialni dygotało się z zimna. Teraz zimy spędzamy w mieście, a jeździmy tam latem. To takie przyjemne; i oczywiście służba... zatrzymaliśmy tylko najwzierniejszych. Biedacy, rzadko mogliśmy im płacić. Prawdziwie szlachetni ludzie; a dach sprawiał nam wieczne kłopoty. Wciąż tylko rozmawiali o strukturze budynku. Co za dziwaczne określenie! A potem zjawił się Josiah. Oczywiście jego rodzina nie mogła się równać z naszą... ale takie bogactwa. Był ode mnie starszy o dziesięć lat, czy uwierzysz? Carringtonowie wolno się starzeją. To wszystko przez tę energię. Zawsze robią coś, od czego zależy czyjś los - państwa, współpracowników, i oczywiście ich własny. To im pozwala zachować czujność, a czujność, jak powiadają, to klucz do młodości. Sama nigdy nie byłam zbyt czujna, ale wyszłam za Josiaha, co oznaczało koniec kłopotów z Trentham. Od lat nie słyszałam, by ktoś wspominał o strukturze. Ludzie Josiaha - architekci i im podobni - zajmują się tymi rzeczami. Gdy tylko struktura robi coś, czego nie powinna, wkraczają natychmiast. W dniu naszego ślubu wszystko uległo zmianie. Moi rodzice byli zachwyceni, a w rok później urodził się Rollo. Moja droga, może za rok o tej porze...

- Mam nadzieję, że zdołam urodzić te wszystkie dzieci.

- Bez trudu, moja droga, bo jesteś zakochana. Uważam, że to bardzo ważne. Philip cię uwielbia. Zresztą już od dawna tak było. Czy wiesz, że stale o tobie opowiadał?

- Sądziłam, że to będzie Esmeralda.

- Cóż, szczerze mówiąc, ja również. Widzisz, twoja kuzynka zdawała się tego tak pewna. Ale, jak twierdzi Josiah, ty jesteś znacznie żywsza i zabawniejsza, i, przynajmniej otwarcie, dużo, dużo ładniejsza. Bardzo się cieszymy z waszego związku. Niespodziewanie dla samej siebie ujęłam jej dłoń i pocałowałam. Zaczynałam bardzo lubić lady Emily.

- Kochane z ciebie dziecko. Gdyby tylko Rollo znalazł sobie kogoś podobnego do ciebie. Ach, Rollo...!

- Sprawił pani zawód? - naciskałam.

- Ach, moja droga, oczywiście.. Jego sytuacja... To wykapany ojciec. Z pewnością zostanie królem City... i wszystkiego, czego się tknie. Potrzebuje żony, która by go wspierała. Och, kochanie, takie nieszczęście! Ale, rzecz jasna, nie wolno nam o tym mówić. To sprawia wszystkim przykrość, a teraz nastał czas radości. Powiedz, czy ustaliliście już datę ślubu?

- Philip chciałby, aby odbył się pod koniec czerwca.

- Wspaniały miesiąc na śluby. My z Josiahem także pobraliśmy się w czerwcu. To była piękna uroczystość... oczywiście w kościele w Trentham. Wasz ślub też powinien się tam odbyć... choć może Londyn jest wygodniejszy. Lecz cóż znaczy miejsce, jeśli młodzi się kochają? Tak, z pewnością Londyn będzie lepszy, bo bez wątplenia twoja kuzynka zechce urządzić wam wystawne wesele.

- Nie wiem. Wie pani, lady Emily, że nie mam żadnych własnych pieniędzy.

- I dobrze - odparła. - Ja też ich nie miałam. Wniosłam w wianie jedynie stary dom o zrujnowanej strukturze. Uważam, że tak być powinno. Mąż lubi, kiedy jest jedynym żywicielem rodziny.

I tak rozmawiałyśmy, a łącząca nas sympatia pogłębiała się z każdą chwilą. Sądzę, że Philip był jej ulubieńcem, choć oczywiście szczyła się osiągnięciami Rolla. Zwierzyła mi się, iż onieśmiela ją inteligencja starszego syna. Rollo wrodził się w ojca. Z Josiahem rozumieli się bez słów.

Philip często przychodził do pokoju i zasiadał w fotelu, spoglądając na przemian to na mnie, to na matkę. Widziałam, że cieszą go zadzierzgnięte przez nas więzi przyjaźni.

Któregoś dnia zaprowadził mnie do stajni, by pochwalił się świeżo kupionym koniem.

Natychmiast zauważyłam jednego z koniuszych, ponieważ już go gdzieś widziałam. Philip przedstawił mnie i zaczął z nim gawędzić w miły, bezpośredni sposób, który budził ogólną sympatię.

- To jest Hawley - oznajmił. - Pracuje u nas dość krótko.

- Dzień dobry, panno Kellaway - powiedział Hawley. Ja jednak wciąż nie mogłam pozbyć się dziwnego uczucia.

Kiedy wyszliśmy ze stajni, oznajmiłam:

- Gdzieś go już spotkałam. Ciekawe gdzie?

- Może po prostu w czyimś domu. Nie pamiętam, gdzie pracował, nim u nas nastał, ale w rzeczywistości nie jest stajennym. Szukał jakiegokolwiek zajęcia, tak przynajmniej twierdził ojciec. A że wygląda na uczciwego i akurat zwolniło się miejsce w stajni, zatrudniliśmy go... Myślę, że kupimy ten dom na Finlay Square. Jest najlepszy ze wszystkich, które oglądaliśmy. Musisz to przyznać.

- Chciałabym jeszcze raz rzucić na niego okiem, Philipie.

- Daj spokój, Ellen, jeśli szybko nie podejmiemy decyzji, ktoś może sprzątnąć nam go sprzed nosa. Gdzie zamieszkamy po ślubie, jeśli nie będziemy mieli domu? I tak musimy zatrzymać się na razie tutaj, bo wątpię, by do czerwca wszystko było gotowe.

Poczułam nagle lekki dreszcz niechęci. Czerwiec. To tak niedługo, a ja wciąż czułam niepokój.

Kiedy tej nocy kładłam się, przypomniałam sobie twarz stajennego i uświadomiłam sobie, gdzie ją przedtem widziałam.

W parku. To był mężczyzna, który - jak sądziłam - wtedy nas śledził.

Wybieraliśmy się na wieczorek muzyczny u Carringtonów. Lady Emily wynajęła słynnego włoskiego pianistę, który miał nas zabawić. Kuzynka Agata była zachwycona:

- Zjawi się tam połowa Londynu. A przynajmniej wszyscy, którzy są kimś.

- Przypuszczam - odparłam - iż każdy jest kimś, a wątpię, czy nawet przestronny salon lady Emily zdoła pomieścić więcej niż siedemdziesiąt osób.

Nigdy nie mogłam oprzeć się pokusie „impertynenckiego”, jak by to kiedyś nazwano, zachowania. Nie byłabym człowiekiem, gdybym choć trochę nie korzystała z obecnej sytuacji. Bawiło mnie, jak z dnia na dzień wzrastała moja pozycja, szczególnie odkąd stałam się częstym gościem w rezydencji przy Park Lane. W istocie moje wizyty były zupełnie nieoficjalne.

Wiedziałam, że taki stan rzeczy stanowił powód nieustannego zdumienia kuzynki Agaty. Rose doniosła mi, że pani powiedziała do kuzyna Williama Loringa, iż udało mi się oczarować nie tylko Philipa - co jeszcze dałoby się zrozumieć, bo w końcu to tylko nieopierzony chłopak - ale i lady Emily oraz pana Carringtona. Oczywiście lady Emily zawsze była dosyć roztargniona, a pana Carringtona pochłaniały głównie interesy...

Tilly pracowała przez całe dni i sporą część nocy, szyjąc stroje dla mnie i Esmeraldy, bowiem nie było wątpliwości co do tego, iż nowa sytuacja przyniesie Esmeraldzie wymierne korzyści. Byłam zdecydowana uczynić wszystko, by tak się stało. Wydam dla niej przyjęcie, przyrzekłam sobie, i znajdę odpowiedniego męża - kogoś miłego, łagodnego i niewymagającego.

Powiedziałam jej kiedyś:

- Całe to zamieszanie powinno być z twojego powodu.

A ona odparła:

- Jakże jestem wdzięczna, że tak nie jest. Nie umiałabym spisać się nawet w połowie tak dobrze, jak ty. Pan Carrington mnie przeraża. Jest okropnie mądry, prawda? I nigdy nie potrafię zrozumieć, co mówi lady Emily.

Z ulgą pojęłam, że nie złamałam jej serca.

Rozmawialiśmy o czekającym nas wspaniałym życiu na wsi. Esmeralda obiecała nas odwiedzać; miałyśmy urządzać cudowne przyjęcia i razem jeździć konno, zupełnie jak w dzieciństwie.

- Tak się cieszę, Ellen, że wszystko się ułożyło - mówiła. - Ta Omanowa Lemming to koszmarna kobieta. Bessie opowiadała mi, iż bardzo źle traktuje służbę, a szczególnie guwernantkę. Biedaczka nie może się doczekać chwili, kiedy odejdzie.

- Cud, że udało mi się uniknąć jej losu! - krzyknęłam. - Dziękuję Philipowi.

Gdzieś w głębi mojego umysłu tkwiła świadomość, iż staram się upewnić co do słuszności podjętej decyzji. Z początku wszystko wydawało się wspaniałe, teraz jednak doszłam do wniosku, iż zbyt łatwo pozbyłam się problemów. Już samo to było dość niepokojące.

Kilka dni później odbył się muzyczny soiree u Carringtonów. Stałam obok Philipa, a ludzie podchodzili do nas, aby złożyć nam życzenia. Był tam również fotograf z prasy.

- Co za nuda - mruknął Philip - ale zwrócili się do mojej matki, a ona nie lubi im odmawiać.

Recital obejmował utwory Chopina, pięknie interpretowane przez włoskiego pianistę. Muzyka rozbrzmiewała marzycielsko i romantycznie, to znów dziarsko i porywająco.

- Prowadzimy negocjacje w sprawie ceny domu - poinformował mnie Philip. - Nie śpieszą się, to pewne. Ci prawnicy! Rollo jest bardzo zainteresowany, by zakończyć wszystko najszybciej, jak się da.

Skinęłam głowę, słuchając jednym uchem.

- Pojedziemy na Kontynent. Co powiesz na Wenecję? A może Rzym? Jak myślisz, Ellen?

Odparłam, że z pewnością będzie uroczo.

- Może do naszego powrotu zdążą już przygotować dom. Rollo zajął się wszystkim, bo ma zamiar zostać w Londynie nieco dłużej. Ojciec nie ma czasu. Zdaje się, że obaj sądzą, iż ja nie dałabym sobie rady - i pewnie mają słuszność.

- To miłe ze strony Rolla.

- O, on lubi zajmować się podobnymi sprawami.

Po recitalu podano zimną kolację. Wszyscy dyskutowali o muzyce i nawet Philip, dostrzegłszy starego przyjaciela, zostawił mnie na chwilę samą, aby zamienić z nim kilka słów.

Nagle z tyłu dobiegł mnie głos:

- Przez cały wieczór chciałem panią poznać.

Odwrociłam się błyskawicznie i ujrzałam jednego z najwyższych ludzi, jakich kiedykolwiek znałam. Natychmiast zorientowałam się, iż nigdy wcześniej nie spotkałam go na żadnym z przyjęć Carringtonów, bowiem na pewno bym go zapamiętała. Nie chodziło jedynie o imponujący wzrost i szerokie bary, było w nim jednak coś innego - otaczała go aura siły. Miał ciemne, głęboko osadzone oczy o ciężkich powiekach, lecz bardzo bystre i wyraziste - choć trudno było ustalić, co się w nich kryje. Jego nos był dość długi i arogancki; usta mogły wyrażać czułość bądź okrucieństwo. Mogę jedynie powiedzieć, że nawet w tej pierwszej chwili pomyślałam, iż jest to jedna z najbardziej interesujących twarzy, jakie widziałam.

- Nie spotkaliśmy się dotąd - stwierdziłam.

- Przyjechałem tuż przed rozpoczęciem recitalu. Widziałem pani zdjęcia w gazetach. Niech mi będzie wolno stwierdzić, iż żadne z nich nie dorównuje oryginałowi.

- Miłe to słowa, lecz niezbyt prawdziwe - odrzekłam. - Fotografie były bardzo udane.

- Ach, widzę, iż jest pani nie tylko piękna, ale i skromna. Czarujące połączenie, lecz rzadko spotykane.

- Czy jest pan przyjacielem rodziny?

- Znajomym.

- Mam nadzieję, że podobał się panu recital.

- Bardzo. Czy ustaliliście już państwo datę ślubu?

- Niezupełnie. Planujemy tę ceremonię na czerwiec. Nie zdecydowaliśmy jeszcze, którego dnia.

- Będę tam. Nie mógłbym opuścić pani ślubu.

- Lady Emily przygotowuje listę gości dla mojej kuzynki.

Philip podszedł do nas i spojrzął na mnie.

- Ellen - powiedział - musimy porozmawiać z sir Bevisem.

Mój towarzysz ukłonił się i odszedł.

- Stary Bevis zaczyna się irytować - wyjaśnił Philip. - Zawsze tak jest, kiedy czuje, że nie poświęca mu się dostatecznej uwagi. A przy okazji, kto to był? Ten wysoki mężczyzna, z którym rozmawiałaś?

- Nie wiem. Powiedział, że jest waszym znajomym.

Philip wzruszył ramionami.

- Zapewne to jeden ze współników ojca albo Rolla. Muszę powiedzieć, że wygląda na takiego.

- Tak sądzisz? Zdawało mi się, że to raczej typ podróżnika.

- Prawdopodobnie prowadzi interesy na Bliskim Wschodzie. Niektórzy z nich tak robią. Chodziło mi o otaczającą go atmosferę władzy. Oni wszyscy ją mają. Nie wiem, jak dam sobie radę w ich towarzystwie, bo wyróżnia mnie spośród nich jej brak.

- Może to nie jest cecha wrodzona - pocieszyłam go. - Musisz ją w sobie rozwinąć. To przychodzi z doświadczeniem.

- Nie wierz w to. Ci ludzie urodzili się geniuszami. A przecież w jednym względzie spałem się lepiej niż oni. Zdobyłem ciebie.

- Och, Philipie, mówisz takie cudowne rzeczy. Sprawiasz, że czuję się cenniejsza niż ich fortuny. Czyżby nasza miłość była ważniejsza niż giełda?

- Jak na dość inteligentną młodą kobietę jesteś czasami zaskakująco niemądra. Naprawdę potrzebowałaś aż kontaktu z finansowymi magikami z kręgu Carringtonów, żeby to zauważyć?

Sir Bevis pogratulował Philipowi z okazji naszego zbliżającego się małżeństwa, wyczułam jednak, iż w istocie to mnie gratulował. Jak większość ludzi, nie potrafił pojąć, dlaczego Carringtonowie zaakceptowali pannę bez posagu. Jedynym logicznym wytłumaczeniem mógł być fakt, iż przy ich bogactwach dodatkowy majątek nie stanowiłby już specjalnej różnicy.

Kiedy opuściliśmy sir Bevisa dostrzegłam mężczyznę nazwiskiem Hawley, którego widziałam kiedyś w Hyde Parku, a później w stajniach Carringtonów.

Philip zauważył moje zainteresowanie i roześmiał się.

- A, twój człowiek z parku. Stary Hawley. Przenieśliśmy go do domu. Wydaje się mieć talent do wszelkich zajęć. Teraz jest lokajem.

- Czym? - spytałam.

- Tak naprawdę to nas wszystkich. Lokaj ojca odszedł niedawno, a Hawley zna się na rzeczy. A ponieważ zawsze obsługiwał nas jeden lokaj... Ojciec i Rollo spędzają wiele czasu poza domem, więc i tak niewiele miał do roboty.

- Przypuszczam, że za parę lat i ty będziesz podróżował, a ja zwiedzę świat u twego boku.

- Tak właśnie będzie - odparł, ja zaś pomyślałam nagle, jak wielkie szczęście mnie spotkało. Nagły zwrot w moim życiu, który zawdzięczałam Carringtonom, i zniknięcie zmyły biedy kazały zapewne mojemu umysłowi zadreć się myślą, iż wszystko to jest zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. I choć ludzie twierdzą, iż pieniądze leżą u źródła wszelkiego zła, to musiałam przyznać, iż dobrze jest mieć ich wystarczająco wiele, by nie martwić się już o przyszłość.

Przez resztę wieczoru szukałam wzrokiem wysokiego mężczyzny, który ze mną rozmawiał, lecz nie mogłam go dostrzec. Nie wątpiłam, że gdyby wciąż był obecny, z pewnością znalazłabym go bez trudu, bowiem nie należał do osób łatwo niknących w tłumie. Żałowałam, iż zabrakło mi przytomności umysłu, by spytać, jak się nazywa.

- Zdaje się - stwierdziła Esmeralda - że jeden ze służących Carringtonów zaleca się do Bessie.

- Naprawdę? Cóż, przypuszczam, że jest dość ładna.

- Mamy więc Rose i jej stangreta, a teraz Bessie i Hawleya.

- Powiedziałaś: Hawleya?

- Tak. Jestem pewna, że tak się nazywa. Wygląda na to, iż nas i Carringtonów łączą liczne więzi.

- Czy nie tego pragnęła zawsze twoja matka? - spytałam, myśląc: Hawley! Mężczyzna z parku, wspólny dla wszystkich domowników lokaj. Philip może się śmiać z mojego zainteresowania tym człowiekiem, ale odkąd wyobraziłam sobie, że nas obserwował, jego obecność drażniła mnie.

Czas płynął i minęła już połowa maja. Kasztanowce w parku dumnie wznosiły swe pąki, gotowe w każdej chwili wystrzelić pięknymi kwiatami. Powinnam się cieszyć, często jednak budziłam się wczesnym rankiem z uczuciem niepokoju. Nawet w szalonym świecie snów nie opuszczała mnie mglisty, niesprecyzowany lęk.

Oferta Carringtonów, dotycząca domu przy Finlay Square, została przyjęta i prawnicy układali już szczegółowy kontrakt. Nadal mieliśmy z Philipem po jednym kluczu. Nie chciałam oddać mojego, ponieważ wciąż coś kazało mi odwiedzać ów budynek i kilka razy usłuchałam, starając się przywyknąć do tego miejsca. Stawałam na środku któregoś pokoju próbując odkryć, czego w nim nienawidzę.

Kiedyś, wychodząc na dwór, natknęłam się na Bessie. To było jej wolne popołudnie i zapewne spacerowała w pobliżu placu. Wiedziała, że tam poszłam, bowiem rozmawiała ze mną, kiedy wyjmowałam klucz z szuflady.

Spojrzała na mnie nieśmiało.

- To ma być panienki nowy dom, prawda, panienko Ellen?

- Tak - powiedziałam.

- Jest piękny. Mam nadzieję, że pewnego dnia my z Hawleyem też będziemy razem. On tak uważa.

- Śmiej się, że jego słowa się spełnią - odparłam wesoło. - A Rose wyjdzie za mąż za swojego stangreta.

Wszyscy będziecie razem.

- Często tu panienka przychodzi, prawda. Ja bym tak robiła. Żeby zaplanować wszystko na przyszłość. Nie mogłabym oderwać się od tego.

Bessie wróciła do domu, a ja za nią, znacznie leniwszym krokiem.

W dwa dni później znów odwiedziłam budynek przy Finlay Square. Otwierając drzwi mówiłam sobie w duchu: umeblowany będzie wyglądał zupełnie inaczej. Weszłam na piętro. Powoli oswajałam się z tym miejscem. Nie mogłam zrozumieć, co sprawiło, że z początku tak się go bałam. Czy była to jedynie niechęć do samego domu, czy też lęk przed przyszłością i życiem, jakie mieliśmy prowadzić z Philipem w tych czterech ścianach?

Czy chciałam wyjść za Philipa? Oczywiście, że tak. Pomyślałam o alternatywie. Ostatnich kilka tygodni sprawiło, iż zapomniałam, jak poniżające było moje położenie. Przestałam myśleć o pani Omanowej Lemming, poszukującej guwernantki. Jaka czekała mnie przyszłość, zanim Philip poprosił o moją rękę? Wszystko to umknęło mi w pamięci jedynie dlatego, iż spotkałam brata Philipa i uświadomiłam sobie, że stary towarzysz zabaw - choćby darzyło się go naprawdę ciepłym uczuciem - niekoniecznie musi być wymarzoną kandydatką na męża.

Zgodziłam się wyjść za Philipa, aby uciec - a nie był to specjalnie dobry powód do małżeństwa, przynajmniej. Jak jednak miałabym się teraz wycofać? Ale nie było jeszcze za późno. Czułam się zupełnie jakby to dom podsuwał mi podobne myśli. Możesz to jeszcze powstrzymać. Negocjacje nie zostały ukończone, nie złożono dotąd podpisu na wykropkowanej linii. Wciąż możesz uciec.

Uciec? Ale dokąd? Do pani Omanowej Lemming?

Może. Ale ucieczka przed nią nie stanowi jeszcze wystarczającego powodu do małżeństwa.

A zatem, upomniałam się w duchu, czemu wcześniej o tym nie pomyślałaś? Dlaczego dopiero teraz zaczynasz się tym zadręczać?

Po prostu bałam się tego, co mnie czekało. Widmo Omanowej Lemming zbliżało się coraz bardziej i wydawało się, że nic nie uratuje mnie przed koszmarnym losem, którego tak nienawidziłam. Oświadczenia Philipa były tak nieoczekiwane i obiecywały tak wiele; dopiero za pięć dwunasta uświadomiłam sobie, iż rzucam się na oślep w małżeństwo, zupełnie nie znając życia.

Co za bzdura! Jakie doświadczenie życiowe mają młode panny? Na przykład Esmeralda. Co wiedziała o życiu? Kiedyś zabłądziła na targu. To było jej najbliższe zetknięcie ze światem leżącym poza ciasnym kręgiem krewnych i znajomych.

A jednak czułam, jak ogarnia mnie niezwykły lęk. Ten dom odrzucał mnie. Nie chcemy cię tutaj, zdawał się mówić. Te pokoje nie są dla ciebie. Nigdy cię nie przyjmujemy. Tak właśnie brzmiały jego słowa.

Zacisnęłam pięści, w myślach grożąc nimi domowi. Jeśli zechcę tu zamieszkać, zamieszkać. To moje życie. Miałabym teraz zostać guwernantką u tej starej tyranki i jej paskudnych dzieciaków? Philip nigdy by na to nie pozwolił.

Myśl o Philipie, jego wesołości, przyjaźni, czułości, przyniosła mi sporą ulgę. Naprawdę go kochałam - w pewnym sensie.

I wtedy usłyszałam ten dźwięk - a może wyczułam go? I znowu uświadomiłam sobie, iż nie jestem sama w tym domu.

Wokół panowała absolutna cisza. Może to tylko wyobraźnia? Nie, dźwięk powtórzył się. Czyjeś kroki na schodach. Skrzywienie drewnianej podłogi. Teraz słyszałam go już wyraźniej. Ktoś wchodził na górę. Natychmiast pomyślałam o tamtym dniu, kiedy spotkałam Rolla. To znowu on, uspokajałam się w myślach. Zajmował się przecież kupnem - nic dziwnego, że przyszedł, by raz jeszcze rzucić na coś okiem.

Drzwi otworzyły się wolno. Niemal krzyknęłam:

- Rollo! - ale nagle poczułam dreszcz strachu, to nie był on. W drzwiach stał mężczyzna i uśmiechał się do mnie. Schowałam ręce za plecami w obawie, iż mógłby dostrzec, jak drżą.

Znałam tego człowieka. To był ciemny mężczyzna, który rozmawiał ze mną za recitalu chopinowskim.

- Jak... - zająknęłam się. - Jak pan tu wszedł?

Pokazał mi klucz.

- Skąd pan go ma? - spytałam ostro.

Roześmiał się.

- Z tego, co mi wiadomo, ten dom jest na sprzedaż.

- Nie, został już sprzedany. Nie rozumiem... Zapewne to pośrednik dał panu klucz. Nie powinien był tego robić. Dom jest sprzedany... czy też niemal sprzedany.

- Och, oni nigdy nie są do końca pewni, póki wszystko nie zostanie podpisane i poświadczane. Cały czas próbują znaleźć lepszego kupca.

Mówiąc, nie odrywał ode mnie wzroku i poczułam, jak ogarnia mnie coraz większy niepokój. Z całą mocą uświadomiłam sobie, że oto znalazłam się sam na sam z obcym mężczyzną. Poza nami w domu nie było nikogo.

- A zatem - ciągnęłam, czując potrzebę powiedzenia czegokolwiek, choć sytuacja była całkiem jasna - przyszedł pan obejrzeć dom.

Skinął głową i wszedł do pokoju. Rozpaczliwie pragnęłam wydostać się na zewnątrz, ale nie miałam pojęcia, jak wyjść, nie zbliżając się do tego mężczyzny.

- Niestety, definitywnie nie jest już na sprzedaż - dodałam.

- Szkoda, ponieważ bardzo mi się spodobał.

- Marnuje pan tylko czas.

Jego ciemne oczy spjrzały na mnie przenikliwie. Żałowałam, że nie wiem, o czym myśli, było w nim bowiem coś

dziwnego, czego nie mogłam ogarnąć.

- Może i tak - odparł. - Ale skoro już tu jestem, rozejrzę się. Nigdy nic nie wiadomo... jeśli szczególnie by mi odpowiadał, to w razie ewentualnego załamania negocjacji mógłbym natychmiast podjąć odpowiednie kroki.

Byłam już prawie przy drzwiach, lecz mężczyzna zrobił krok w moją stronę.

- Zostawię pana zatem - powiedziałam pośpiesznie - aby mógł pan w spokoju obejrzeć wnętrze domu.

- Czy nie moglibyśmy zwiedzić go razem? Niespecjalnie znam się na domach. Z przyjemnością wysłuchałbym pani opinii.

- Raz jeszcze powtarzam panu, iż dom jest już sprzedany.

Pomyślałam przebiegle, że udam, iż zgadzam się oprowadzić go, ale kiedy dotrę na parter, „przypomnę sobie” pilne spotkanie i, zanim zdąży mnie zatrzymać, otworzę drzwi i wyjdę.

- Mimo wszystko - dodałam - jeśli chce pan się rozejrzeć, to proszę. Zaczniemy od parteru.

- Bardzo pani uprzejma - odsunął się, przepuszczając mnie. Schodząc w dół czułam, że idzie tuż za mną. Dlaczego się bałam? Wydawał się taki wysoki, taki potężny, że czułam się przy nim bezbronna. Co więcej, w głębi ducha nie do końca wierzyłam, iż przyszedł tu, by obejrzeć dom. Czemu pośrednik miałby dawać mu klucz, skoro wiedział, że Carringtonowie kupują rezydencję? Wszystko to było bardzo tajemnicze.

- Przyjemny dom - powiedział nieznajomy.

- Mój narzeczony też tak uważa - odparłam.

- A pani nie?

- Sądzę, że jest odpowiedni.

- Proszę spojrzeć na tę poręcz. Naprawdę elegancka, czyż nie?

- Tak, ładnie rzeźbiona.

Kolejnych kilka stopni. Nigdy nie byłam tak przerażona.

Może to szaleniec?, zastanawiałam się gorączkowo. Po co tu przyszedł? Wiem, że nie po to, by zwiedzić dom. Czemu wszedł za mną na górę?

Stojąc tam na schodach zaczęłam się modlić. O Boże, pozwól mi uciec. Nigdy więcej nie przyjdę do tego domu. Daj mi tylko uwolnić się od tego człowieka.

- Mówiła pani coś? - spytał.

- Ładnie rzeźbiona - powtórzyłam.

- O tak, tak. A zatem docenia to pani? Ja także. Zawsze lubiłem piękne przedmioty.

Zastanawiałam się, czy nie powinienam nagle zbiec ze schodów. Ale nie, pobiegłby za mną. Może zdołałabym zachować się naturalnie, powiedzieć coś w rodzaju: „Na miłość boską, proszę spojrzeć, która godzina. Nie miałam pojęcia, że jest tak późno. Muszę uciekać. Jestem umówiona z narzeczonym.”

Dlaczego tu przyszedł? Musiał widzieć, jak wchodzę do środka. Czyżby czaił się na placu? Pośrednik nie miał prawa dać mu klucza. Zjawił się tu w jakimś celu, a ja nie umiałam wyobrazić sobie, w jakim.

Zejdź po schodach, powiedziałam sobie w duchu. Kiedy znajdziesz się w sieni, uciekaj. Mówią, że człowiek w niebezpieczeństwie zyskuje nowe siły. Możesz biec prędzej niż kiedykolwiek. To dar Matki Natury.

Czy zdołam dostatecznie szybko otworzyć drzwi? Staralam się przypomnieć sobie, jak wygląda zasuw. Niektóre drzwi bywały odporne... miały swoje kaprysy.

Tak bardzo się bałam! A on wyczuwał mój strach, to pewne. Bawił się nim. Kącikiem oka dostrzegałam lekkie skrzywienie warg, nagły błysk w oku.

Znów zaczęłam się modlić: Boże, pomóż mi.

I wtedy moja modlitwa została wysłuchana. Staliśmy właśnie na schodach, prowadzących w dół, do sieni, kiedy ujrzałam ciemny kształt za szybkami drzwi wejściowych. On także go zobaczył. Usłyszałam, jak ze świstem wciąga powietrze. Drzwi otwarły się i do środka wszedł Rollo.

Nie mógł być bardziej zdumiony naszym widokiem niż my - jego. Spojrzał zaskoczony. Nagle ujrzałam, jak wyraz jego twarzy ulega zmianie na widok ciemnego mężczyzny.

Stałam nieruchomo, jak wrosła w podłogę. Usłyszałam własne słowa:

- Zaszło nieporozumienie. Ten pan nie wiedział, że dom został już sprzedany. Przyszedł, aby go obejrzeć.

Rollo zmarszczył brwi.

- Czyżby pośrednik nie wyjaśnił sytuacji?

- Sądzę, że nie był zupełnie pewien - odparł ciemny mężczyzna. - Nie podał żadnych powodów, dla których powinienem zrezygnować z oględzin.

- Nie miał prawa stwarzać fałszywych oczekiwań.

Ciemny mężczyzna uśmiechnął się.

- Zapewne uważał, że nie zaszkodzi mieć kogoś w odwodzie, na wypadek, gdyby coś nie wypaliło. Rozmówię się z nim. Nie miałem pojęcia, że negocjacje posunęły się aż tak daleko. Wygląda na to, że dalsze oględziny nie miałyby sensu.

Uklonił się i ruszył do wyjścia. Już w progu odwrócił się i zanim drzwi zamknęły się za nim, spojrzął prosto na mnie.

- Co za niezwykły przypadek! - wykrzyknął Rollo. - Nie pojmuję, jak pośrednik mógł dać mu klucz przy takim zaawansowaniu rozmów. Niemał podpisaliśmy już umowę!

- Kto to był? - spytałam. - Powiedział, że jest waszym znajomym.

- Moim? Nie znam go. Znajomym, mówisz?

- Tak, był na recitalu. Wtedy mi o tym powiedział.

- A zatem spotkałaś go już wcześniej. Nie mam pojęcia, kto to. Może ojciec będzie wiedział. Jak się nazywa?

- Nie wiem. Nie przedstawiono mi go. Po prostu podszedł i zamienił ze mną kilka słów. Tutaj zobaczyłam go po raz drugi.

- Dziwne. Wydajesz się zdenerwowana.

- To przez to, że tu wszedł... zaczął oglądać dom.

Rollo skinął głową.

- No nic, dowiemy się, kto to był. Trochę mnie martwi sufit w jadalni. Wygląda na lekko zawilgocony. Mierniczy zwrócił mi na to uwagę. Pomyślałam, że przyjdę i rzucę okiem.

Idąc za nim do jadalni nadal czułam oszołomienie. Rollo obejrzał sufit i stwierdził, że poradzi się robotników, po czym wyszliśmy na dwór.

- Powinniście zatrudnić zawodowego ogrodnika, choć ogród nie jest zbyt duży - zauważył. - Philip nie zna się na tym. A ty?

- Wcale - odparłam.

- Zatem rozwiązaniem jest dobry ogrodnik. Znajdźcie kogoś, kto wszystko rozplanuje i utrzyma w porządku. Wtedy może być całkiem ładnie.

Przeszliśmy przez dom do drzwi frontowych i na plac.

- To miło z twojej strony, że zadajesz sobie tyle trudu - powiedziałam.

- Dla mojego brata i jego żony! - odwrócił się, by na mnie spojrzeć, jego oczy były czujne, lecz pełne ciepła. - Chcę Ellen, żebyś wiedziała, jak bardzo cieszymy się, że zostaniesz członkiem rodziny.

Nadal czułam niepokój. Nie potrafiłam otrząsnąć się z niego.

Rollo sprowadził powóz. Klang-klang, stukwały końskie kopyta, a Rollo siedział obok mnie, wyprostowany i zadowolony, jakby coś, czego się podjął, okazało się ogromnym sukcesem.

Kiedy skręcaliśmy na plac, moje serce ścisnęło się ze zgrozy, bowiem na chodniku, wpatrując się wprost w powóz, stał ciemny mężczyzna.

Uniósł kapelusza i ukłonił mi się.

Zerknęłam na Rolla. Nic nie zauważył.

Nie mogłam uwolnić się od myśli o porannym spotkaniu. Nie wróciłam już do domu przy Finlay Square - nie potrafiłam się zmusić. Przeszłam jedynie obok, raz czy dwa, spoglądając w górę, na wysokie okna. Powiedziałam do siebie:

- Nic nie przekona mnie, bym tam weszła.

Ślub miał się odbyć za trzy tygodnie. Osobista krawcowa lady Emily kończyła już suknię. Kuzyn William Loring z radością pokrył rachunek. Mój ślub miał być wydarzeniem sezonu i nawet kuzynka Agata zaczęła okazywać podniecenie, zupełnie jakby nasze małżeństwo było wyłącznie jej zasługą. Choć miało to być wesele ubogiej krewnej, wszystko musiało zostać dopracowane w najdrobniejszych szczegółach, aby towarzystwo na własne oczy ujrzało, jak Loringowie traktują członków swojej rodziny. Żałowała jedynie, że cały ten zamęt dotyczył mojej osoby, wkrótce jednak wmówiła sobie, iż jest to rodzaj próby generalnej przed ślubem Esmeraldy, i to ją pocieszyło. A Esmeralda - rzecz jasna - miała być druhną.

- Cały ten ślub to straszne zamieszanie - oświadczyła. - Jak się cieszę, że to nie ja jestem panną młodą.

Wybraliśmy sporo mebli do nowego domu, w którym podczas naszej nieobecności miano dokonać znacznych zmian. Po ślubie zaplanowaliśmy wyjazd na cztery tygodnie do Włoch. Philip z zachwytem dowiedział się, że jeszcze nigdy tam nie byłam. Na początek planowaliśmy odwiedzić Wenecję.

Powinłam być szczęśliwa, nie mogłam jednak pozbyć się uczucia, iż oto znalazłam się na krawędzi katastrofy.

To małżeństwo, pomyślałam. Nie jestem jeszcze gotowa. Chcę trochę poczekać.

Ale jak miałam powiedzieć Philipowi:

- Odtóżmy ślub. Poznajmy się lepiej. - Wybuchnąłby śmiechem i stwierdził, że jeśli nie poznaliśmy się do tej pory, to już nigdy się nam to nie uda.

Nie o to mi jednak chodziło. Nie znaliśmy się, ponieważ prawie nic nie wiedzieliśmy o świecie - ani on, ani ja. Gdyby nagle pojawił się przede mną dzinn z lampy Aladyna i spytał, czego sobie życzę, bez wahania odpowiedziałabym: czasu.

Przerażała mnie szybkość, z jaką upływał. Jeszcze dwa tygodnie, dziesięć dni...

Pragnęłam zatrzymać czas, krzyknąć:

- Zaczekaj! Muszę pomyśleć.

Niezbyt dobrze spałam. Często leżałam bezsenne w łóżku przez całą noc. Poza tym miałam wrażenie, że Rollo zmienił się w stosunku do mnie od ostatniego spotkania w tamtym domu. Zdawał się mnie unikać.

Philip szalał z radości. Wyraźnie widziałam, że nie podziela moich obaw. Ujrzałam go jakby na nowo, opętanego entuzjazmem dla tego, co go akurat interesowało, i wciąż powtarzałam w myślach: jest taki młody. Ja zresztą również, ale wydawało mi się, że od czasu zaręczyn gwałtownie dorosłam. Tak jest: dorosłam, zostawiwszy Philipa w tyle.

Nadeszła ostatnia niedziela przed dniem weselnym. Jeszcze sześć dni. Uroczystość miała się odbyć w kościele Świętego Jerzego przy Hanover Square, po czym całe towarzystwo przeniosłoby się do domu Loringów na wesele, a późnym popołudniem mieliśmy wyjechać do Wenecji.

Powinłam była gratulować sobie własnego szczęścia i chwilami robiłam to, ale nie na długo. Wkrótce bowiem ogarniało mnie natrętne przekonanie, iż popełniam błąd, niebezpieczny błąd, i już nigdy więcej nie będę dawną Ellen, która - nawet jako uboga krewna - całym sercem cieszyła się z życia i często umiała śmiać się z własnych niepowodzeń.

Po południu wybraliśmy się z Philipem na spacer do Ogrodów Kensingtonskich. Okrążyliśmy pałac i obserwowaliśmy kaczki unoszące się na wodzie. Potem wróciliśmy przez rozległy trawnik aż do Stawu Serpentine i tam usiedliśmy na ławce, nie przerywając rozmowy. Philip był w znakomitym nastroju. Przynajmniej on nie miał żadnych

wątpliwości. Pamiętam, że kiedy jako dzieci zrobiliśmy coś, co z pewnością miało skończyć się surowymi karami, on nie wybiegał myślami w przyszłość. Nie znałam nikogo innego, kto by potrafił do tego stopnia przeżywać chwilę bieżącą, nie myśląc o jutrze. To wielki dar. Kochany Philip! Później miałam być wdzięczna losowi, że go posiadał.

- Jeszcze sześć dni! - mówił. - Wydają się całym wiekiem. Tęsknię do chwili, gdy skończy się to zamieszanie. Już niedługo, Ellen, będziemy unosić się na Canale Grande, a gondolier ukoi nasze nerwy cudowną pieśnią. Nie cieszysz się?

- Oczywiście. Będzie wspaniale.

- To zawsze mieliśmy być my, prawda? Gdy tylko wracałem ze szkoły do domu, natychmiast pytałem, czy już przyjechałaś. Rzecz jasna zawsze wlokła się za nami Esmeralda, ale mimo to chciałem być blisko ciebie.

- Jesteś okrutny w stosunku do Esmeraldy. Po pierwsze, w młodości powinieneś być traktować ją uprzejmie, a po drugie, powinieneś się z nią ożenić.

- Ponieważ w naszym kraju wolno mieć tylko jedną żonę, a ja już wcześniej zdecydowałem się na ciebie, jak miałem to zrobić?

- Zawsze byłeś uparty.

- A ty nie? Nasz związek zapowiada się raczej wybuchowo, Ellen. Będziemy się kłócić i spierać, a potem godzić; i kochać do końca naszych dni.

- Spróbujmy, Philipie - odparłam.

Ujął moją dłoń i mocno ścisnął.

- Nie mam żadnych wątpliwości - oznajmił poważnym tonem.

- Nawet teraz nie jest jeszcze za późno, by się wycofać. Jeśli potrzebujesz więcej czasu...

- Więcej czasu? Mam go w nadmiarze! Tydzień to diabelnie długo.

I tak gawędziliśmy na ławeczce w parku. Później starałam się dokładnie odtworzyć każde słowo, które padło, z nadzieją, że kryje się w nim wyjaśnienie tego, co wkrótce nastąpiło. Nic takiego nie mogłam sobie przypomnieć. Wyglądało to na zwyczajną rozmowę, jedną z tysięcy podobnych rozmów z Philipem.

Tego wieczoru poszliśmy do kościoła, a po mszy wróciłam pieszo do domu w towarzystwie kuzynki Agaty, kuzyna Williama i Esmeraldy. Pożegnaliśmy się dość wcześnie, bowiem w niedzielę w naszym domu nigdy nie podejmowano gości. Przez długi czas siedziałam przy oknie, wyglądając na ogrody. Za tydzień o tej porze będę już mężatką, powtarzałam w duchu. Razem z Philipem będziemy w drodze do Wenecji.

Rano wstałam jak zwykle, nie przeczuwając, co się zdarzyło tej nocy. A potem przed południem przyjechał Rollo.

Rose, z twarzą bladą jak ściana, przyszła do sypialni, w której sortowałam ubrania. Tuż za nią podążała Bessie, zerkając jej zza ramienia.

- Co się stało? - spytałam.

- Jakiś wypadek. Nie wiem, co dokładnie, ale jest tu pan Rollo Carrington i chce się z panią zobaczyć.

Zbiegłam do salonu. Rollo stał obok kominka.

- Czy coś się stało? - krzyknęłam.

W tym momencie ujrzałam jego twarz - bladą, wyczerpaną, napiętą. Nie przypominał Rolla, którego dotychczas znałam.

- Wydarzyło się coś strasznego - odparł. - Postaraj się zachować spokój.

- Chodzi o Philipa - stwierdziłam.

- Tak - potwierdził. - Chodzi o Philipa.

- Jest chory...

- Nie żyje.

- Philip... nie żyje? Nie, to niemożliwe! Jak to się mogło...

- Znalaziono go martwego dziś rano.

- Ale przecież na nic nie chorował.

- Został postrzelony.

- Postrzelony? Ale kto?

Rollo potrząsnął głową - powoli, ze smutkiem.

- Wygląda na to, że sam to zrobił.

Poczułam, że wszystko wiruje mi przed oczami. Rollo podtrzymał mnie przez chwilę, póki nie odzyskałam sił.

- To pomyłka - powiedziałam ostro. - Nie wierzę w to.

- Niestety. Nie ma żadnych wątpliwości.

Mój świat runął w gruzy. To było zupełnie jak zły sen. Zaraz się obudzę. Muszę się obudzić! Otaczająca mnie rzeczywistość zniknęła, zastąpiona dziwną krainą, pełną koszmarnych wizji. A w najgorszej z nich stał Rollo i mówił cichym, tragicznym głosem:

- Philip nie żyje. Odebrał sobie życie.

ROZDZIAŁ 3 SKAŁA SAMOBÓJCÓW

Leżałam w łóżku. Nie chciałam się ruszyć. Wciąż nie mogłam w to uwierzyć. Philip nie żył! Philip, który zawsze aż kipiał życiem! Niemożliwe. I w dodatku zginął z własnej ręki. On, taki beztrocki! Zaledwie dzień wcześniej z entuzjazmem snuł plany na temat czekającej nas przyszłości. Cóż mogło się tak nagle wydarzyć, co zmusiłoby go do podobnego czynu?

Do pokoju weszła Esmeralda i usiadła obok mojego łóżka. Nie chciałam wprawdzie widzieć nikogo, ale ją mogłam jeszcze znieść. Była bardzo cicha. Przyniosła chusteczkę, nasączoną wodą kolońską, i położyła mi ją na czole. Wiedziałam, że odtąd ten zapach zawsze będzie mi przypominał ów straszny dzień.

Przed oczami migwały mi sceny z przeszłości. Dzień, kiedy podpaliliśmy pole - i łobuzerskie spojrzenie Philipa. Chciał, abyśmy odczekali chwilę, zanim wezwiemy pomoc. Jakże błyszcząły jego oczy! Jaka radość z nich biła! Później nas ukarzą, ale na razie cieszymy się chwilą, póki trwa! Philip na balu, jego oświadczenia i nagle poważny ton głosu, zapewniający, iż zawsze będzie się mną opiekował.

A teraz zrobił coś takiego.

- Nie wierzę! - krzyknęłam. - To nieprawda. Niemożliwe.

Esmeralda milczała. Cóż można było powiedzieć?

Oczywiście mnóstwo rzeczy, i już niedługo zaczną je mówić.

Tego samego dnia gazety zamieściły wielkie nagłówki: „Samobójstwo niedoszłego pana młodego. Sześć dni przed ślubem z panną Ellen Kellaway, Philip, syn Josiaha Carringtona, odebrał sobie życie. Jaka tajemnica kryje się za tą tragedią?”

Wszyscy uważali, że jest w tym jakaś tajemnica, i że tylko ja mogę ją rozwiązać.

Dlaczego młody człowiek, obdarzony wszelkimi darami losu, miałby zastrzelić się na kilka dni przed ślubem? Jedyne wyjaśnienie brzmiało, iż nie mógł już dłużej znieść swojego życia i wybrał ostateczne rozwiązanie. A nadchodzące małżeństwo stanowiło główny temat spekulacji.

Leżałam w sypialni, zaciągnięte żaluzje nie wpuszczały do środka nawet najmniejszego promienia słońca. Słońca, które zdołałoby odegnać ogarniający mnie chłód. Nie mogłam jeść, nie mogłam spać. Leżałam w łóżku w całkowitej ciszy i wciąż powtarzałam jedno pytanie: Dlaczego? Dlaczego?

Esmeralda zrelacjonowała mi, co zaszło. Zmusiłam ją do tego, a ona, od dziecka nawykła do słuchania moich poleceń, posłuchała i tym razem.

- Został zastrzelony z jednego z pistoletów z Trentham Towers. Musiał go stamtąd przywieźć.

- Niemożliwe. To by znaczyło, że wszystko zaplanował.

Zamilkła, a moje myśli powędrowały z powrotem do dnia, w którym zwiedzaliśmy razem zbrojownię w Trentham Towers. Przypominałam sobie wybite satyną pudło i srebrzystoszary pistolet, który Philip gładził tak miłośnie. W pudle było wolne miejsce, a on opowiadał żartobliwie - tak przynajmniej wtedy sądziłam - o tym, że trzyma broń pod poduszką. Co miał na myśli? Czyżby mówił poważnie? Czy jego słowa o włamywaczach zostały wypowiedziane serio? A nawet jeśli tak, to co mogło go skłonić, by skierował pistolet przeciw sobie? Czy to możliwe, abym ja, która - jak mi się zdawało - tak dobrze go znałam, myliła się? Może jego charakter miał również mroczniejszą stronę, której Philip nigdy nie pozwolił mi dojrzeć? Jednak nie potrafiłam w to uwierzyć.

- Nie mógł się zabić! - zawołałam gwałtownie. - Rozmawiał ze mną zaledwie dzień wcześniej. Pomyśl tylko, Esmeraldo, jak wielka musi być rozpacz, która doprowadza człowieka do samobójstwa? Czy możesz wyobrazić sobie Philipa, ogarniętego rozpaczą? Ja nigdy go takim nie widziałam. A ty? Nie należał do ludzi, którzy skrywają swe uczucia. Nawet nie próbował. Znałam Philipa lepiej niż ktokolwiek inny i twierdzę, że to niemożliwe. Nigdy w to nie uwierzę.

A jednak moje słowa nie mogły odmienić prawdy.

Esmeralda powiedziała:

- Byli tu ludzie z prasy. Chcieli się z tobą zobaczyć. Niedługo odbędzie się rozprawa. Musisz na nią pójść.

Wstałam z łóżka.

- Chcę pójść - oświadczyłam. - Chcę się dowiedzieć, dlaczego to zrobił.

To było zupełnie jak sen. Widziałam ich twarze... Pan Josiah Carrington wyglądał jak ktoś obcy, jego bladą twarz wykrzywiał grymas smutku; lady Emily, jeszcze bardziej oszołomiona niż zazwyczaj, z tragicznym spojrzeniem jasnych oczu... I Rollo, zimny i surowy. Jego oczy chłodne jak lód wbijały się we mnie uważnie, budząc dreszcz.

Werdykt mógł być tylko jeden. Samobójstwo. Pragnęłam głośno wykrzyknąć mój sprzeciw.

Nie Philip! On nigdy nie mógłby tak postąpić. Każdy, kto go znał, musiał to wiedzieć. Ale tak właśnie zawyrokował sąd.

A potem był pogrzeb. Błagałam, aby zostawili mnie w domu. Po prostu leżałam w łóżku, osłabiona targającymi mną emocjami, brakiem jedzenia i snu.

- Matka uważa, że powinnaś wyjechać na wieś - poinformowała mnie Esmeralda. - Ja mam ci towarzyszyć. Cały czas kręcą się tu ludzie z prasy. Mama sądzi, iż lepiej będzie oddalić się na jakiś czas.

Wyjechałyśmy zatem i Esmeralda okazała się wspaniałą podporą. Przypuszczam, iż w głębi ducha uważała, że uratowała ją przed podobną męką. Łatwo bowiem mogła znaleźć się w moim położeniu, gdyby Philip zgodnie z ogólnymi oczekiwaniami poprosił o rękę ją, a nie mnie.

Na wsi poczułam się nieco lepiej, nadal jednak nie mogłam spać. Kiedy już zasnęłam, śniłam o Philipie, pistolecie w jego dłoni, krwi na łóżku. Nawiedzał mnie także mój stary sen. Znowu byłam w pokoju z czerwonym dywanem. Na ścianie wisiał obraz, a obok mnie stał Philip.

- Zawsze przeczuwałaś katastrofę, prawda, Ellen? - powiedział. - Cóż, oto nadeszła. Nie żyję... zabiłem się. Musiałem, bo nie mogłem cię poślubić.

Budziłam się, wołając jego imię.

To były koszmarne dni.

Po dwóch tygodniach naszego pobytu na wsi w Trentham Towers pojawił się Rollo.

Przyszedł, aby się ze mną zobaczyć. Esmeralda zawałowała mnie. Zeszłam do niewielkiego saloniku. Kiedy stanął przede mną i ukłonił się sztywno pomyślałam, jak bardzo się zmienił, jak ja musiałam się zmienić.

Nalegał, abymy zostali sami, ponieważ musi ze mną porozmawiać. Natychmiast też przeszedł do rzeczy.

- Chcę, żebyś powiedziała mi, dlaczego Philip popełnił samobójstwo.

- Gdybym tylko wiedziała!

- A nie wiesz? - spytał szorstko.

- Skąd miałabym wiedzieć? Gdybym domyśliła się, co zamierza zrobić, znalazłabym sposób, aby go powstrzymać.

- Musiało coś być...

- Nie wiem o niczym.

- Kto jeszcze mógłby wiedzieć?

- To musiało być coś, o czym nikomu nie wspomniał.

- Nie był tego typu człowiekiem - Rollo nie spuszczał ze mnie wzroku. - Nie istniał żaden, nawet najmniejszy powód. Nie miał żadnych zmartwień. To musiało dotyczyć jego życia osobistego, bo nigdy nie zagłębiał się w nasze sprawy zawodowe. Czy jesteś absolutnie pewna, że między wami nic nie zaszło? Wygląda na to, że tylko to mogło zmusić go do odebrania sobie życia.

Jego oczy spoglądały zimno i uwierzyłam, że mnie nienawidzi, że naprawdę podejrzewa, jakobym miała swój udział w śmierci Philipa. To było więcej niż mogłam znieść.

- To wstrząsnęło mną bardziej niż tobą! - krzyknęłam. - Miałam zostać jego żoną!

Podszedł bliżej. Jego usta zacisnęły się w wąską linię i zauważyłam, że mocno splótł dłonie, jakby powstrzymywał impuls, który nakazywał mu wyrzucić mi krzywdę. Tak bardzo obwinał mnie za śmierć swego brata.

- Myślę, że coś ukrywasz.

- Powiedziałam ci już. Nie mam pojęcia, dlaczego mógłby zrobić coś takiego.

- To musiało wiązać się z tobą. Może go oszukałaś, a on to odkrył. Zdradziłaś go i to go zniszczyło. Był taki niedoświadczony! Wolał raczej się zabić, niż stawić czoło konsekwencjom twojego uczynku.

- Nie możesz wierzyć w podobny nonsens. To kłamstwo... obrzydliwe, okrutne kłamstwo.

- Kim był mężczyzna, z którym zastałem cię w domu przy Finlay Square?

- Skąd mam wiedzieć? Twierdził, że jest waszym znajomym.

- Wiesz, że to nieprawda.

- Kim więc był?

- Zapewne twoim przyjacielem.

- Powtarzam, że nie wiem, kto to jest. Był u was na recitalu... a potem przyszedł na Finlay Square, żeby obejrzeć dom. Tylko tyle mi o nim wiadomo.

Rollo wyglądał na nieprzekonanego.

- W jaki sposób dostał się do środka?

- Powiedział ci przecież. Pośrednik dał mu klucz.

- Nie oszukasz mnie, Ellen. Postanowiłem, że dowiem się wszystkiego. Umówiłaś się z nim, a ja was przytapałem.

- To potworne, co mówisz.

- Wnioski nasuwają się same. Ty miałaś jeden klucz, a Philip drugi, którego ja używałem. Trzeciego nie było. Rozmawiałem z pośrednikiem i spytałem go, dlaczego dał klucz temu człowiekowi. Powiedział, że nic takiego nie zrobił. Stwierdził, iż my mieliśmy jedyne klucze. Jest jeden sposób, w jaki ów mężczyzna mógł dostać się do domu. Ty go wpuściłaś. Nie kłam już i nie dziw się, że skoro odmawiasz wyznania prawdy, sam wyciągam wnioski.

- To bzdura! - krzyknęłam. - Nie wpuściłam go do domu! Byłam równie zdumiona jego widokiem, co ty! On miał klucz, a pośrednik kłamie.

Rollo wstał.

- Bardziej bym cię szanował, gdybyś wyznała prawdę. Najwyraźniej dobrze znałaś tego człowieka. Sądzę, że to właśnie on stanowi jądro tajemnicy, a ty znasz odpowiedź. Philip zginął, ponieważ coś mu zrobiłaś, i odpowiadasz za jego śmierć.

- Jak możesz! Jak śmiesz! To wszystko kłamstwa...

- Widzę, że powiedziano już zbyt wiele kłamstw. Ale teraz Philip nie żyje. Na Boga, żałuję, że cię w ogóle spotkał.

Z tymi słowami wyszedł i wydaje mi się, że była to najgorsza chwila w moim życiu.

Byłam zdruzgotana. Utraciłam Philipa, a wraz z nim całą resztę. Zapewne zniosłabym to lepiej, gdyby nie fakt, iż Rollo gardził mną, tak okrutnie i niesprawiedliwie podejrzewał, że coś wiem, zrobiłam bądź ukrywam - że jestem kimś, kim nie byłam. Nie uwierzyłyby w moje wyjaśnienia. Śmierć Philipa była dla mnie taką samą zagadką, jak i dla niego.

Chodziłam na długie spacerunki, ale nic to nie pomagało. Wszędzie widziałam Philipa. Odwiedzaliśmy wspólnie prawie każde miejsce w okolicy. Często wypuszczałam się też na dalekie samotne przejażdżki, choć Esmeralda zwykle starała mi się towarzyszyć. Dotarłam do gospody, w której razem z Philipem i Esmeraldą, chociaż szczerze mówiąc nie zwracaliśmy na nią specjalnej uwagi, wstąpiliśmy kiedyś na cydr i przekąskę. Obok mieszkał stary kowal, który podkuwał nam konie. Pozdrowił mnie, kiedy przejeżdżałam, ale oczy miał spuszczone i wyraźnie nie wiedział, co powiedzieć. Tak samo było w

wiosce, gdzie znali nas od dziecka. Patrzyli na mnie ukradkiem i czułam, że ich myśli krążą wokół jednego: dlaczego Philip się zabił? To miało coś wspólnego ze mną. Wolał umrzeć, niż zostać moim mężem. Tak przynajmniej brzmiał ich werdykt.

Nie mogłam oprzeć się pokusie odwiedzenia Skały Samobójców. Tam siadałam na drewnianej ławce i wspominałam chwile, kiedy Philip i ja bawiliśmy się w lesie. Wychodziliśmy spośród drzew, ciągnąc za sobą niechętną Esmeraldę, i zmuszaliśmy ją, by była świadkiem naszych popisów na krawędzi urwiska.

Skała Samobójców! Wiele rozmyślałam o ludziach, dla których życie stało się taką męką, że zapragnęli je skrócić. Zastanawiałam się, jaka tragedia mogła doprowadzić ich do podobnej desperacji. Jednego byłam pewna: Philipa nigdy nie spotkało nic takiego. Po prostu nie mógł się zabić. To jednak głośno orzeczenie sądu. Dlaczego? Czy naprawdę znamam chłopca, z którym dzieliłam swoje dzieciństwo? Czy można w ogóle poznać drugiego człowieka? Zawsze sądziłam, iż Philip należy do osób, które łatwo zrozumieć. Mówił to, co myślał, i rzadko zastanawiał się, jaki efekt mogą wywrzeć jego słowa. Był miły, dobroduszny, może nieco leniwy, złakniony wszelkich życiowych przyjemności, lecz niechętny podejmowaniu starań, by je uzyskać. Syn bogatej rodziny, któremu nigdy niczego nie brakowało. Tak właśnie myślałam o Philipie, lecz jak dużo wiedziałam o tym, co kryło się w mrocznych zakamarkach jego umysłu?

I kiedy tak siedziałam na ławce, ogarniała mnie głęboka melancholia. Kiedyś Esmeralda spytała mnie, gdzie byłam, a gdy jej powiedziałam, spojrzała na mnie z przerażeniem.

- Nie powinnaś tam chodzić - stwierdziła. - To niezdrowe.

- Pasuje do mojego nastroju - odparłam. - Mogę tam myśleć o Philipie i to w dziwny sposób pomaga mi.

- Pójdę z tobą - proponowała nieraz, ale zawsze protestowałam:

- Nie, nie, chcę być sama.

Martwiła się o mnie.

Pewnego ranka, kiedy byłam w lesie, ogarnęło mnie niezwykle uczucie, że nie jestem sama. Nie byłam pewna, co je wywołało. Może usłyszałam niespodziewany dźwięk - stuk kamienia, szelest liści, nagły ruch spłoszonego zwierzęcia. Ale kiedy siedziałam na drewnianej ławce, wyczułam czyjąś obecność. Czy to prawda, pomyślałam, że nieszczęsne dusze ludzi, którzy umarli gwałtowną śmiercią, nie mogą zaznać spokoju i wracają w ostatnie miejsce, jakie znali na Ziemi? Wierzyli w to ci wszyscy, którzy twierdzili, że Skała jest nawiedzona.

O dziwo, miast zniechęcić, uczucie to przyciągało mnie. Może miałam nadzieję, że objawi mi się duch Philipa i wyjaśni mi przyczyny tragicznej śmierci.

Zatem każdego poranka niemal odruchowo kierowałam swe kroki w stronę Skały Samobójców i często wydawało mi się, że ktoś mnie śledzi.

Tego dnia było gorąco i parno, toteż z radością przywitałam leśny chłód. To był jeden z tych cichych, zastygłych poranków, kiedy ludzie mówią, że burza wisi w powietrzu. Mocniej niż zwykle czułam, że ktoś mnie obserwuje. Siedziałam na ławce i myślałam o Philipie, marząc, by usłyszeć, jak szepce moje imię. Gdybym tylko mogła znów być młoda i beztraska, ogarnięta jedynie chęcią wygrania z Philipem i udowodnienia mu, iż dziewczynki są równie dobre, co chłopcy. Zapragnęłam cofnąć się w czasie do dnia jego oświadczenia, abym mogła nie traktować wszystkiego jako coś, co mi się należy, i spróbować lepiej zrozumieć człowieka, za którego miałam wyjść za mąż. Mimo wszystkich dowodów, mimo werdyktu sądowego wiedziałam, że nigdy nie uwierzę w to, iż popełnił samobójstwo. Musiało być jakieś inne wytłumaczenie.

Podeszłam na skraj ścieżki, jak zawsze przed powrotem do domu. Lubiłam spoglądać z wysoka na krzaki daleko w dole i wspominać, jak bardzo podniecało mnie to w dzieciństwie.

Zacisnęłam dłonie na barierce i wychyliłam się naprzód. Nagle poręcz ustąpiła ciągnąc mnie za sobą. Przez chwilę zawisłam w powietrzu, rozpaczliwie trzymając się barierki. Zdumiony ptak przeleciał obok mnie, muskając moją twarz. Miałam zaledwie dość czasu, by pomyśleć: to już koniec! - zanim runęłam w przepaść.

Otworzyłam oczy. Ledwie mogłam oddychać, tak szybko waliło mi serce. Spojrzałam w dół: daleko pode mną dostrzegłam wierzchołki drzew. Poczułam, jak moje stopy ześlizgują się i przywarłam do otaczających mnie krzewów.

Po chwili rozumiałam, co zaszło. Nieprawdopodobnym zrządzeniem losu spadłam jedynie jakieś trzy metry, bowiem moją spódnicę pochwyciła gęsta kępa krzaków, porastających strome zbocze.

Przez kilka minut nie byłam w stanie nic zrobić, poza ściskaniem gałęzi. Wreszcie serce zaczęło zwalniać swój obłąkańczy rytm i mogłam zastanowić się nad moją sytuacją. Uniosłam głowę i stwierdziłam, iż barierka, na której się opierałam, oderwała się z jednej strony. Tylko cudem uniknęłam niechybnej śmierci.

Co teraz jednak miałam robić? Jeden fałszywy ruch i runę w przepaść. Muszę pozostać tam, gdzie jestem, i mieć nadzieję, że zdołam przyciągnąć czyjąś uwagę. Niewielu ludzi odwiedzało Skałę Samobójców, a jeśli nawet, to nikt nie wiedział, że tu jestem, przywierając do krzaka.

Krzyknęłam, a mój głos powrócił do mnie echem. Czułam ból w rękach i nogach. Miałam mocno otarte dłonie, a ciało całe w sińcach. Poczułam się słabo, jakbym zaraz miała zemdleć, wiedziałam jednak, że to ostatnia rzecz, na jaką mogę sobie pozwolić.

Nigdy nie zapomnę tej okropnej męki i tego, jak w końcu Esmeralda okazała się moją wybawicielką. Jednak dopiero po kilku godzinach zauważyła, że wciąż nie wróciłam, i wtedy natychmiast pomyślała o Skale Samobójców. Wiedziała, co jeszcze podejrzewała, choć nigdy nie wspomniała o tym ani słowem. Wysłała dwóch służących, aby sprawdzili, czy tam jestem, a kiedy nie mogli mnie znaleźć i dostrzegli złamaną barierkę, zeszli na dół i tak odkryli mnie, wczepioną w krzewy.

Ściągnięcie mnie na dół nie było łatwym zadaniem. Z pobliskiego miasteczka przybyli dwaj specjaliści od wspinaczki z odpowiednim ekwipunkiem; zebrało się wielu gapiów, a całe zajście opisano w prasie. Zamieszczono też artykuł o tym, jak niebezpieczna jest Skała Samobójców, i że barierka, choć niedawno umieszczona, musiała być uszkodzona. Wzywano do podjęcia kroków zmierzających do lepszego zabezpieczenia tego miejsca.

Esmeralda opiekowała się mną przez trzy dni. Tyle bowiem czasu potrzebowałam, by ochłonąć po wstrząsie, zaleczyć sińce i skaleczenia.

Fakt, iż Philip jakoby odebrał sobie życie, stał się podstawą do pewnych spekulacji na temat tego, co właściwie mi się przytrafiło. Nikt przy mnie nie wygłaszał na głos tych podejrzeń, ale mieli je, to pewne.

Nie mogłyśmy zostać na wsi na zawsze i kuzynka Agata wezwała nas wreszcie do domu.

Nie mogłam opanować dreszczu lęku, kiedy znowu ją ujrzałam. Na jej twarzy malowała się mieszanina irytacji i skrywanego triumfu. Irytacji, bowiem ów nieprzyjemny wypadek na wzgórzu sprawił, że znów wzięto mnie „na języki”, jak to ujęła. Triumfu - bo choć nie zachwylił jej fakt, iż jeden z członków rodziny nie zdołał wspiąć się na wyżyny carringtonowskiej oligarchii, to jednocześnie była wdzięczna losowi, że po całym tym „zgiełku i zamęcie” poniosłam klęskę. Znowu więc musiałam powrócić do starej, znajomej roli ubogiej krewnej, narażonej na kaprysy możnej pani.

Poszłam na Finlay Square, aby rzucić okiem na dom. Ponownie był wystawiony na sprzedaż, nic nie mogłoby mnie zmusić, abym weszła do środka. Zastanawiałam się, czy to, co się stało, wpłynie na jego cenę, ponieważ wspomniano o nim jako o przyszłej siedzibie mojej i Philipa. Ludzie mogli uznać, iż przynosi pecha. Ostatecznie w taki sposób rodzą się legendy.

Kiedy tak stałam na placu wydało mi się, jakby dom szydził ze mnie. Od początku przecież wiedziałam, że mnie nie chciał, ostrzegał mnie, bym trzymała się od niego z daleka. Ale ja nie posłuchałam ostrzeżenia, choć zrozumiałam je aż za dobrze.

Niewiele bywałam. Carringtonowie zdawali się mnie unikać. Zapewne nawet mój widok sprawiał im ból, a co więcej, wciąż byli w żalobie i nie przyjmowali gości. Kiedy ktoś odwiedzał nasz dom, kuzynka Agata, jak zawsze całkowicie obojętna na moje uczucia, sugerowała, bym trzymała się z boku.

- Nie chcemy, aby znów zaczęły się plotki - oznajmiła z nieprzyjemnym śmiechem. - To bardzo krępujące.

Rozstrojona i nieszczęśliwa, żyłam z dnia na dzień, wiedząc, iż taki stan rzeczy nie może trwać wiecznie.

Miałam rację. Pewnego dnia kuzynka Agata wezwała mnie do swojego salonu.

Kiedy stanęłam przed nią, spojrzała na mnie z niesmakiem. Krótki okres mojej chwały dobiegł kresu.

- Przypuszczam - zaczęła - iż minie wiele czasu, nim ucichną pogłoski na temat tych nieszczęsnych wydarzeń. Oczywiście nigdy tak naprawdę nie wierzyłam, że to małżeństwo dojdzie do skutku. Zawsze podejrzewałam, że zajdzie coś, co mu przeszkodzi. Gdyby tylko mnie posłuchali... - potrząsnęła głową, co miało oznaczać, iż nigdy nie wyraziłaby zgody na nasz ślub; może nawet zmusiłaby Philipa, aby ożenił się z Esmeraldą.

Westchnęła. Mój duch przekory ulotnił się i nie czułam już nieodpartej potrzeby zaprzeczania jej słowom, milczałam więc.

- Wszelako nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, jak mówią, i wygląda na to, że powiedzenie to można odnieść i do twojej osoby. - Spojrzałam na nią ze zdumieniem, a ona obdarzyła mnie lodowatym uśmiechem. Powinnam była wiedzieć, że moje cierpienie sprawi jej przyjemność.

- Pani Omanowa Lemming zdecydowała się zatrudnić kogoś innego, lecz nie znalazła dotąd odpowiedniej kandydatki. Teraz, kiedy potrzebujesz posady, postanowiła w swej łaskawości, iż mimo wszelkich przeciwwskazań da ci szansę.

- Och, nie! - zaprotestowałam.

- Tak, wiem, że to szlachetne z jej strony. Cała ta pisanina w gazetach. W gruncie rzeczy można by powiedzieć, że zostałaś napiętnowana. Wszelako pani Lemming uważa, iż w miarę upływu czasu wszystko zostanie zapomniane, a cała sprawa może wyrzucić na ciebie zbawienny wpływ. Postanowiłam być z nią szczerą, toteż uznałam, iż moim obowiązkiem jest poinformować ją, że czasami zachowujesz się impertynencko. Również fakt przynależności do rodziny i życia pośród nas dał ci fałszywe pojęcie o własnej pozycji. Pan Loring, człowiek absurdalnie wręcz tolerancyjny - w istocie często musiałam go powstrzymywać przed nierozsądnymi posunięciami - nie życzył sobie, aby uświadamiać ci twój status...

- A pani oczywiście nie posłuchała go - wyrwało mi się. Nie mogłam się powstrzymać.

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz znów zachowywać się impertynencko, Ellen. Osoba w twojej sytuacji winna okazać szczególną skruczę.

- Dlaczego? Cóż takiego zrobiłam?

- Moja droga Ellen - powiedziała kuzynka Agata tonem, który wskazywał, iż z pewnością nie byłam dla niej „droga”. Kiedy mężczyzna zamiast zenić się woli odebrać sobie życie, ludzie krzywo patrzą na kobietę, która miała zostać jego żoną.

- To nie miało nic wspólnego z naszym małżeństwem. Philip mnie kochał. Pragnął tego ślubu bardziej niż czegokolwiek. I nie popełnił samobójstwa. Jestem tego pewna. Zaledwie na dzień przed śmiercią...

- Proszę cię, tylko bez hysterii. Musisz pamiętać, gdzie jest twoje miejsce.

- Czy zatem histeria jest zarezerwowana dla bogatych?

- Nie wiem, o czym mówisz. Jesteś rozstrojona i najlepiej dla ciebie będzie, jeśli rozpoczniesz nowe życie tak szybko, jak to tylko możliwe. Nic tak jak praca nie pomaga zapomnieć o nieszczęściu. Praca, praca, i jeszcze raz praca. Tak więc, ponieważ pani Omanowa Lemming jest gotowa cię przyjąć, powiedziałam, że możesz zacząć od początku przyszłego miesiąca.

Poczułam, jak tonę w oceanie nieszczęść. Philip odszedł i nie było nikogo, kto by mnie uratował.

Musiałam przygotować swe rzeczy. Kuzynka Agata stwierdziła, iż będę potrzebowała solidnych, praktycznych ubrań. Spojrzałam na moją niemodną czarną suknię wieczorową. Z przodu miała niewielką plamę w miejscu, gdzie przypięłam orchideę. Żałowałam, że nie zachowałam tego kwiatu. Zawsze przypominałby mi Philipa i ten wieczór, gdy zaskoczył zarówno mnie, jak i kuzynkę Agatę, oświadczając się o moją rękę.

Miałam jedynie piękne stroje, przygotowane jako wyprawa. Byłam pewna, że kuzynka Agata najchętniej by je

zabrała, ale trudno by jej przyszło wymyślić jakiś powód. Nie pasowałyby na Esmeraldę, bowiem byłam od niej wyższa i znacznie szczuplejsza. Jakąż jednak pociechę stanowiły stroje dla kogoś zagubionego w okrutnym świecie! Mój mały stateczek - niegdyś tak beztroski, żeglujący z pełnymi honorami u boku możnego galeonu Carringtonów - miał wkrótce roztrzaskać się na skałach nieszczęścia pod nadzorem wielmożnej pani Omanowej Lemming, w porównaniu z którą nawet kuzynka Agata sprawiała wrażenie uroczej osoby.

Momentami ogarniała mnie całkowita obojętność. Czymże było moje nieszczęście w zestawieniu ze śmiercią Philipa? Straciłam swojego rycerza, a mój smutek był tym większy, że nie doceniałam go, kiedy jeszcze żył. W takich chwilach nie liczyło się nawet, iż dzień, kiedy rozpoczną bezbarwną egzystencję guwernantki w domu, o którym służba wyrażała się z niesmakiem, szybko się zbliżał.

Następnego ranka obudziłam się przygnębiona - często tak się czułam od czasu śmierci Philipa - i odkryłam, że czeka na mnie list. Nie znałam pisma, którym zaadresowano kopertę - śmiałych, zamasystrych linii, nakreślonych czarnym atramentem.

Adres zwrotny brzmiał: Daleka Wyspa, Polcrag, Kornwalia.

Droga panno Kellaway (tak się zaczynał).

Po przeczytaniu tych słów zapewne zdziwi się pani, czemu nie napisałem wcześniej. Prawda jest taka, że dopiero niedawno udało mi się zdobyć pani adres. Ja sam mieszkam w odległym zakątku, gdzie stał dom należący niegdyś do pani ojca. Kiedy prawie rok temu ojciec pani umarł, wyznaczył mnie pani opiekunem do czasu pani dwudziestych pierwszych urodzin. Wiem, że nie osiągnęła pani jeszcze tego wieku - nastąpi to dopiero za rok. Byłbym szczerze rad, gdyby zechciała pani odwiedzić nas na wyspie. Mam powody sądzić, iż dotąd trzymano panią w nieświadomości co do rodziny ojca i z pewnością zechce pani dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Proszę zatem przyjechać i złożyć nam wizytę. Z przyjemnością przyjmę panią u siebie.

Jago Kellaway

Kilka razy przeczytałam list. Daleka Wyspa. Nikt mi nigdy o niej nie wspominał. Dom mojego ojca! Co w ogóle wiedziałam o ojcu? Tylko tyle, że matka porzuciła go, kiedy miałam trzy lata, i zabrała mnie ze sobą. Znalazłam atlas i otworzyłam go na właściwej stronie. Wyspa musiała leżeć przy brzegu Kornwalii, ale na mapie nie zaznaczono miejscowości Polcrag.

W pierwszym odruchu chciałam pobiec do kuzynki Agaty i spytać, co wie o moim ojcu, zawahałam się jednak. Tak bardzo zależało jej, abym została guwernantką u pani Omanowej Lemming, że mogłaby uczynić wszystko, co w jej mocy, żeby zapobiec mojemu wyjazdowi. Powoli zaczynało ogarniać mnie podniecenie. Cóż za zrzędzenie losu, że list nadszedł akurat w najodpowiedniejszym momencie. Sama nazwa - Daleka Wyspa - brzmiała romantycznie. A mój ojciec nie żył dopiero od roku. Umarł tak niedawno, a ja nigdy go nie poznałam!

Ani słowem nie wspominałam o liście - nawet Esmeraldzie - póki szczęśliwie nie nadarzyła się sposobność rozmowy z kuzynem Williamem Loringiem. Pokazałam mu list i spytałam, co wie na ten temat.

- Ależ tak - odparł - twoja matka istotnie po ślubie wyjechała na tę wyspę. Małżeństwo nie układało się zbyt dobrze i w końcu uciekła stamtąd, zabierając cię ze sobą. Ojciec twój nie zapewnił jej żadnych środków utrzymania - nic zresztą dziwnego, przecież go porzuciła. Kiedy odeszła, utraciła wszystko, co należało do niej - i do ciebie.

- Kim jest ten Jago Kellaway?

- Najpewniej to jakiś krewny - spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem i dostrzegłam w jego oczach współczucie. - Niestety, Ellen, niewiele potrafię ci powiedzieć, ale pamiętam, że tak nazywała się wyspa, na której mieszkał twój ojciec. Skoro zaś umarł, a ci ludzie zapraszają cię do siebie, może chcą ci wynagrodzić, że przez tyle lat zupełnie się tobą nie interesował. - Położył dłoń na moim ramieniu - Ellen, wolałbym, abyś nie przyjmowała posady guwernantki. Jeśli o mnie chodzi, zawsze możesz...

- Wiem. Dziękuję ci, kuzynie - czułam, że powinnam powstrzymać go przed powiedzeniem czegoś, co byłoby niełojalne w stosunku do jego żony, i czego później mógłby żałować. - Chciałam się upewnić - ciągnęłam - czy to naprawdę rodzina mojego ojca. Sądzisz więc, kuzynie, że powinnam ich odwiedzić?

Skinął potakująco głową i zrozumiałam, że jego zdaniem to najlepsze wyjście z moich obecnych trudności.

Tego popołudnia złożyła nam wizytę pani Omanowa Lemming. Przez okno sypialni ujrzałam jak wysiadała z powozu. Przesadnie ukwiecony kapelusz siedział na jej głowie pod okropnym kątem, a arogancja, z jaką zignorowała swego służącego, który pomógł jej wysiąść z powozu, budziła wstręt.

Wkrótce posłał po mnie oczekując, iż stanę przed nimi ze spuszczoneymi oczami. Uboga krewna, dla której były tak łaskawe: kuzynka Agata, nienawidząca mnie przez wszystkie lata, spędzone pod jej dachem i pani Omanowa Lemming, która tak szlachetnie zapomniała o roli, jaką - według nich - musiałam odegrać w niedawnej tragedii i miała zamiar ofiarować mi wyjątkową szansę doświadczenia obelg i poniżeń w jej własnym domu!

Siadłam za biurkiem i bez namysłu odpisałam Jagonowi Kellaway, że z radością przyjadę na Daleką Wyspę i spotkam się z rodziną, aby nadrobić długi czas przymusowego rozstania.

Właśnie skończyłam list i patrzyłam na leżącą przede mną zaklejoną kopertę, kiedy przyszło wezwanie.

To była Bessie. Delikatnie zapukała do moich drzwi, jakby z przykrością przekazywała mi polecenie swej pani.

- Panienko Ellen, pani wzywa panienkę do salonu. Jest tam pani Lemming.

Zeszedłam na dół, wysoko unosząc głowę, jakby odrodził się mój stary, przekorny duch. Nie będę pracować u pani Omanowej Lemming i narażać się na wzgardę i poniżenie. Mam zamiar odwiedzić krewnych na Dalekiej Wyspie u wybrzeża Kornwalii.

CZĘŚĆ II
WYSPA

ROZDZIAŁ 4 RZUT OKA NA DWÓR HYDROCKÓW

Do Polcrag dotarłam późnym popołudniem, bowiem po podróży główną linią kolejową na ostatnie sześć czy siedem mil musiałam przesiąść się na lokalny pociąg. Na stacji czekała na mnie bryczka. Poprosiłam stangreta, aby jechał do gospody w Polcrag. Jago Kellaway to właśnie zaproponował w liście. Napisał też, że jest zachwycony, iż przyjął jego zaproszenie.

„Bowiem - pisał - wyspa leży trzy mile od brzegu, pośród morza, na łaskawość którego, jak się obawiam, trzeba zaczekać. Może się zdarzyć, że kiedy przybędziesz, moja droga, łódź nie będzie w stanie przepłynąć na ląd. W takim wypadku proponuję ci nocleg w gospodzie w Polcrag, której właścicieli znam bardzo dobrze. Uprzedzę gospodarzy, aby zajęli się tobą szczególnie troskliwie”.

Moje rzeczy zmieściły się w trzech średniej wielkości torbach. Większość z tego, co posiadałam, stanowiły stroje, składające się na moją wyprawę. Teraz, kiedy opuszczałam londyńskie towarzystwo, byłam lepiej wyposażona niż kiedykolwiek przedtem.

Esmeralda pożegnała mnie ze łzami w oczach. Kuzynka Agata nie próbowała nawet ukryć ulgi, z jaką wreszcie pozbywała się mojej osoby, zaś kuzyn William Loring wcisnął mi w dłoń sakiewkę suwerenów, mruczając:

- Nalegam, abyś to wzięła, Ellen. Mogą ci się przydać.

Kiedy bryczka z turkotem kół posuwała się w stronę gospody, obejrzałam dokładnie niewielkie miasteczko, które, stłoczone tuż pod urwiskami, zdawało się jednak wspinać na strome zbocza. Niektóre domy przytulały się do stoków, do innych wchodziło się po stopniach wykutych w litej skale. Zbudowano je z szarego kornwalijskiego kamienia, a wiele pyszniło się oszklonymi werandami, bez wątplenia spełniającymi dwa zadania: wpuszczały do środka słońce, chroniąc jednocześnie od wiatru, który - jak przypuszczałam - stale wiał od morza. Gospoda w Polcrag, trzypiętrowy budynek o łukowato sklepionej bramie, mieściła się przy głównej ulicy. Przejechaliśmy przez bramę i skierowaliśmy się do stajni. Właśnie miałam wysiadać, gdy na podwórze wyszedł mężczyzna w skórzanym fartuchu. Przypuszczałam, że jest to sam gospodarz i okazało się, iż miałam rację.

- To pani pewnie jest panną Kellaway - powiedział.

Odparłam, że istotnie jestem panną Kellaway.

- Przygotowałem dla pani wygodny pokój. Uprzedzono mnie o pani przyjeździe.

- Sądziłam, że od razu przeprawię się na wyspę.

- Boże zmiłuj się, panienko, to niemożliwe. Morze jest dziś bardzo zdradzieckie. Czy widzi pani grzywy białych koni? Daleko, to prawda, ale kiedy je widać, wiadomo, że nie czas ruszać łodzią na wyspę.

- A zatem muszę tu przenocować.

- To jedyne wyjście, panno Kellaway, i jesteśmy na to przygotowani. Polecono nam, abyśmy zajęli się panią, póki nie zjawi się łódź.

Rozczarowana tym, że nie dotrę tak szybko na wyspę, pocieszyłam się myślą, iż nowo odkryty krewniak okazał troskę o moją wygodę.

- Ten tu Jim zaniesie pani bagaże na górę. Może jutro stare białe konie powrócą do stajni.

Ruszyłam za gospodarzem przez podwórze i drzwiami do środka. Znaleźliśmy się w holu, prawie zatarasowanym dębowym kredensem, na którym stał cynowy pólmisek.

- Dokąd teraz, moja złota? - krzyknął karczmarz i do holu weszła kobieta. - To jest panna Kellaway - oznajmił.

Oczy kobiety rozwarły się szeroko ze zdumienia. Spojrzała na mnie ciekawie.

- A jednak? - mruknęła i dygnęła. - Najlepiej zabiorę ją od razu do pokoju.

- Chciałabym się umyć - wtrąciłam. - I zmienić bluzkę.

- Oczywiście - powiedziała żona gospodarza. - Proszę za mną, panno Kellaway.

Jej mąż przyglądał mi się, gdy wchodziłam po schodach.

- To jest pani pokój, panno Kellaway - kobieta otworzyła drzwi. - Najlepszy w całej gospodzie. Mieliśmy go zatrzymać, w razie gdyby miała tu pani zostać przez jakiś czas. Każę przysłać gorącą wodę.

- Dziękuję.

- Och, to dla nas przyjemność, panno Kellaway. Musi mieć pani wszystko, co najlepsze, inaczej nie uchodzi. Za moment doniosą pani bagaże.

Zawahała się. Od chwili spotkania nie odrywała ode mnie wzroku. Spojrzałam na nią zachęcająco, miałam bowiem wrażenie, że pragnie coś mi powiedzieć.

I rzeczywiście. Po kilku sekundach niezdecydowania wybuchnęła:

- Znałam pani matkę. Wygląda pani zupełnie jak ona.

- Znała pani moją matkę!? To wspaniale.

Przytaknęła.

- Służyłam u niej jako pokojówka. Pracowałam na wyspie zanim wyszłam za Toma Pengelly. Byłam z nią... póki nie wyjechała.

- Tak się cieszę, że spotkałam kogoś, kto ją znał. Miałam zaledwie pięć lat, gdy umarła, więc niewiele pamiętam.

Gospodyni skinęła głową.

- A teraz przyjechała pani tutaj! Mała panienska Ellen! Słowo daję, zmieniła się pani.

Uśmiechnęłam się, słysząc te słowa.

- Przypuszczam, że istotnie wyglądam nieco inaczej niż wówczas, gdy widziała mnie pani po raz ostatni. Mogłam mieć wtedy najwyżej trzy lata.

- Jak ten czas płynie - westchnęła. - Wydaje się, jakby to było zaledwie wczoraj, a przecież z pewnością zdarzyło się mnóstwo rzeczy. Teraz mieszka tam mój chłopiec - skinęła głową w stronę okna. - Pracuje u pana Jago. Proszę spytać o Augustusa - choć wszyscy nazywają go Śpioch.

- Zapytam - obiecałam.

- Wysłałam za mąż niedługo po tym, jak pani matka odeszła. Wkrótce urodził się nam Augustus. Wszystko z nim jest w porządku, naprawdę. Tylko że urodził się trochę za wcześnie. Ale to dobry chłopiec.

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju weszła służąca, niosąc gorącą wodę. Za nią pojawił się posługacz z moimi torbami.

- W piecu dochodzi już prosię - oznajmiła pani Pengelly i wyszła.

Podeszłam do okna, za którym roztaczał się wspaniały widok na morze. Wyteńczyłam wzrok, próbując dostrzec choćby zarys wyspy, lecz ujrzałam jedynie ciemne, złowieszcze chmury, gnane po szarym niebie porywami wiatru. Ten sam wiatr wygnał na swobodę białe konie, których obecność uwięziła mnie na łądzie.

Znów usłyszałam pukanie i w drzwiach stanęła służąca z ręcznikami.

- Czy widać stąd Daleką Wyspę? - spytałam.

- Tylko przy dobrej pogodzie, proszę pani.

Kiedy myślałam się i zmieniałam bluzkę, czułam, jak ogarnia mnie coraz większe podniecenie. Wkrótce dowiem się czegoś o moich rodzicach. Dotąd wiedziałam tylko, iż byli ze sobą nieszczęśliwi, bo matka porzuciła ojca. Często zastanawiałam się, jaki był, i wyobrażałam go sobie jako groźnego olbrzyma. Uwierzyłam też, iż ta przygoda okaże się znakomitym lekarstwem, pozwalającym mi zapomnieć o przeszłości i żalu po stracie Philipa oraz uwolnić się od wyrzutów sumienia. Tak mało doceniałam go za życia!

Nie rozpakowałam zbyt wielu rzeczy, wiedziona nadzieją, iż wyjadę nazajutrz, kiedy białe konie „wrócą do stajni”. Ciekawa byłam bardzo, czy Jago Kellaway wyjdzie mi na spotkanie, i jak on wygląda. Jego list zawierał naprawdę szczere, ciepłe zaproszenie i nie mogłam się już doczekać chwili, kiedy go poznam.

Już na schodach dobiegła mnie smakowita woń pieczonej wieprzowiny. Poczulałam głód - po raz pierwszy od dnia śmierci Philipa. W jadalni nie dostrzegłam jeszcze żadnego gościa. Widząc moje zdziwienie pani Pengelly wyjaśniła, że jest zbyt wcześnie na ogólny posiłek.

- Sądziliśmy jednak, iż po podróży zechce pani coś zjeść.

Zapewniłam ją, że istotnie. Odniosłam wrażenie, iż podobnie jak ja rada była z nieobecności pozostałych stołowników, dzięki temu bowiem mogłyśmy bez przeszkód porozmawiać.

- Musiała pani bardzo dobrze znać moją matkę - zaczęłam pogawędkę, kiedy tylko skończyłam jeść, zdecydowana jak najlepiej wykorzystać nadarżającą się okazję.

- O tak, panno Kellaway. I panią także, kiedy była pani całkiem mała. Trudno było panienkę upilnować.

- Dlaczego matka opuściła wyspę?

Pani Pengelly spojrzała na mnie zaskoczonym wzrokiem.

- Ależ moja droga, ona sama najlepiej знаła powody. Zdaje się, że nie szło im z pani ojcem.

Do sali wszedł właściciel gospody. Spytał, jak mi smakowało, a kiedy odparłam, że wszystko było znakomite, z zadowoleniem zatarł dłonie. Udało mi się jednak dostrzec spojrzenie, jakie rzucił żonie. Może przyszedł tu nie tylko po to, by sprawdzić, czy jestem zadowolona z obsługi, ale też chciał ją ostrzec przed zbyt gwałtownością.

- Jeśli ma pani ochotę na coś jeszcze... - zaczął.

Odpowiedziałam, że nic mi nie potrzeba. Po chwili gospodyni spytała, czy nie mam ochoty na kawę. Kiedy odparłam twierdząco, zaprosiła mnie do saloniku.

- Przyniosę pani - dodała tonem, jak mi się zdawało, obiecującym kontynuację naszej rozmowy. Ale gdy wreszcie zjawiła się z kawą, a ja próbowałam zadać jej parę pytań o moich rodziców, zasznurowała usta, jakby nie chciała pozwolić im powiedzieć czegoś, na co wyraźnie miała ochotę. Domyśliłam się, że mąż ostrzegł ją przed niedyskrecją.

Czyżby wyspę i jej mieszkańców otaczała jakaś tajemnica?

Skończyłam kawę i wróciłam do pokoju. Tam usiadłam przy oknie, spoglądając na morze. Był to piękny widok, bowiem wzeszedł już księżyc i jego promienie kreśliły srebrzystą smugę na ciemnych falach. Odniosłam wrażenie, iż morze jest spokojniejsze niż w chwili, kiedy przybyłam do miasteczka, i że wiatr zaczyna słabnąć.

Przypłyną po mnie rano, powiedziałałam do siebie.

Choć wielkie, okryte pierzyną łożo w przytulnym pokoju było ciepłe i bardzo miękkie, długo nie mogłam zasnąć. Kiedy wreszcie zapadłam w drzemkę, nieuchronnie zjawił się mój sen. Tym razem był mglisty i niewyraźny. Znów stałam w pokoju, który rozpoznawałam po czerwonych kotarach, ale zanim zaczęły się pojawiać znane mi od lat przedmioty - fotel na biegunach, obraz, ceglany kominek, rozkładany stół - nagle ocknęłam się.

A jednak przebudzeniu nie towarzyszyło uczucie strachu, stanowiące moją normalną reakcją na koszmar, lecz podniecenie i dziwne oczekiwanie, jakbym miała się wreszcie dowiedzieć, co kryje się w mrokach mojego snu. Przez kilka sekund nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie jestem. Potem wyszłam z łóżka i stanęłam przy oknie, spoglądając w stronę wyspy. Uświadomiłam sobie, iż sen do pewnego stopnia odzwierciedlał moje uczucia, bowiem istotnie miałam wkrótce wyruszyć w podróż, by dokonać odkrycia.

Wczesnym rankiem znów zerwał się wiatr. Fale z hukiem rozbijały się o brzeg. Czułam się zawiedziona. Wczorajsze białe konie nie tylko nie wróciły do stajni, ale nawet dołączyły do nich następne.

Zesłam na śniadanie. Pani Pengelly ze smutkiem potrząsnęła głową.

- Morze się wścieka - oznajmiła. - Dziś nie przyplynie żadna łódź.

Zjadłam świeży chleb, wyjęty prosto z pieca i jeszcze gorący tak, iż masło, którym go smarowałam, topiło się natychmiast. Do tego dostałam prawie wrzącą kawę w glinianym kubku. Czekał mnie długi dzień, toteż powiedziałam, że przejdę się po mieście.

Oprócz głównej ulicy niewiele było do zwiedzania: kilka sklepów i domów, nic więcej. Zauważyłam, że ludzie przyglądają mi się ciekawie. Zapewne nie przywykli do obcych.

W jednym z budynków mieściła się także poczta. Zdecydowałam, iż wstąpię tam i kupię parę znaczków, bo przyrzekłam Esmeraldzie, że gdy tylko dotrę na miejsce dam jej znać, jak przebiegła podróż.

Po przybyciu na wyspę napiszę dłuższy list, ze wszystkimi szczegółami, które tak lubiła. Ale to później, a na razie z pewnością umierała z ciekawości i z utęsknieniem wypatrywała jakichkolwiek, nawet zwięzłych wieści.

Poczmistrzynie i jej mąż, pracujący przy sąsiedniej ladzie, spojrzeli na mnie, gdy weszłam do środka. Z uśmiechem powiedziałam dzień dobry, ale oni nieufnie oddali mi pozdrowienie. Kobieta, przygotowująca potrzebne znaczki spytała, czy zamierzam zatrzymać się w okolicy.

- Owszem - odparłam - choć nie na ładzie. Czekam tylko, aby morze nieco się uspokoiło.

- A zatem wybiera się pani na wyspę?

- Tak. Rodzina zaprosiła mnie do siebie.

- I nigdy wcześniej tu pani nie była?

- Prawdę mówiąc, urodziłam się na Dalekiej Wyspie, ale nie widziałam jej od czasu, gdy skończyłam trzy lata.

- Nie jest pani chyba...

- Jestem Ellen Kellaway.

Spojrzała na mnie ze zdumieniem.

- No no - mruknęła po chwili. - Coś takiego.

- Najwyraźniej zna pani moją rodzinę.

- Wszyscy znają Kellawayów. Mieszkają na Dalekiej Wyspie od setek lat, tak przynajmniej mówią ludzie.

- Zaprosił mnie pan Jago Kellaway. Oczywiście zna go pani.

- Cóż, to będzie pan wyspy, tak go nazywają.

Zorientowałam się, że budzę żywe zainteresowanie wszystkich obecnych w sklepie. Nagle pomyślałam, iż mówię stanowczo za dużo i to w bardzo naiwny sposób, toteż pośpiesznie zapłaciłam za znaczki i wróciłam do gospody, gdzie dostałam drugie śniadanie, które składało się z szynki, sera i owoców.

Nadeszło długie popołudnie, ale morze ani trochę nie uspokoiło się. Chmury były równie posępne, co poprzedniego dnia, a fale, zwieńczone białymi grzebieniami, z których wiatr porywał w powietrze długie strzępy piany, z łoskotem uderzały o piasek.

Nie mogłam usiedzieć w pokoju, więc postanowiłam znów wyjść na spacer. Skręciłam z głównej ulicy i skierowałam się w stronę przystani. Cumowało tu kilka niewielkich łódek. Przechodząc, odczytałam ich nazwy: „Nasza Sally”, „Jennie”, „Wesoła trzpiotka”, „Śmiały podróżnik”. Tańczyły na wodzie, obmywającej nabrzeże. Minęłam garnki na homary i reperującego sieci rybaka, który rzucił mi ciekawe spojrzenie. Pozdrowiłam go, a on odburknął coś w odpowiedzi i schylił się nad robotą. Była tam też duża, cuchnąca rybą szopa ze stojącą w środku wagą. Domyśliłam się, iż trafiłam na targ rybny, tego dnia jednak nie było na nim nikogo i panowała cisza. Żadna z łódek nie mogła wypłynąć. Miałam wrażenie, iż w okrzykach mew pobrzmiwa pretensja - brakowało im kasków; które zazwyczaj towarzyszyły pomyślnym połowom.

Zeszłam z plaży i skręciłam w wąską ścieżkę, wijącą się przez las, rozmyślając o wszystkim, o czym chciałabym zapomnieć. Trudno mi jednak było wygnać na dłużej z pamięci obraz twarzy Philipa, roześmianego, dobrotliwie drwiącego ze mnie, lecz zawsze gotowego do obrony pani swego serca. Równie często widziałam przed sobą oczy Rolla, spoglądające oskarżycielsko. Głęboko raniło mnie posądzenie, że doprowadziłam jego brata do samobójstwa.

- Och, Philipie - powiedziałam głośno - nigdy nie uwierzę, byś to zrobił. Wiem z absolutną pewnością, że to niemożliwe. Ale w takim razie, co się stało?

I oto znów znalazłam się tak blisko tragedii, jak owego ranka, gdy Rollo przybył, aby mnie o niej powiadomić.

Ponieważ moje myśli zawędrowały daleko w przeszłość, nie zauważyłam, jak bardzo zagłębiłam się w las. Teraz przyszło mi na myśl, iż powinnam wrócić tą samą drogą do gospody. Nie śpieszyło mi się jednak, bowiem czekał mnie jeszcze długi, samotny wieczór.

Ponieważ nie chciałam się zgubić, zawróciłam i skierowałam w stronę, z której - jak mi się zdawało - przyszłam. Spodziewałam się, że niedługo dojdę do miejsca, gdzie las zaczynał rzednąć i między drzewami widać było morze. Tak się jednak nie stało i wkrótce straciłam jakiegokolwiek poczucie kierunku. Z przerażeniem zrozumiałam, że zabłądziłam.

Pocieszałam się w duchu, że w końcu muszę dotrzeć do morza, lecz po półgodzinnym wytężonym marszu nadal błądziłam w lesie. Wreszcie dotarłam do jakiejś furki. Otworzyłam ją i pełna nadziei ruszyłam dalej. Drzewa rosły tu jakby rzadziej i pomyślałam, że powinnam dojechać do jakiegoś domu. Tam zapytam o drogę.

Wchodząc na polanę usłyszałam tętent kopyt. Po chwili pojawił się jeździec - mężczyzna na szarym koniu - który na mój widok ściągnął wodze.

- Czy mógłby mi pan pomóc? - spytałam. - Zabłądziłam.

- A co więcej - przekroczyła pani granicę - odparł. - Ten las stanowi prywatną własność i jest zamknięty. To z powodu bażantów.

- O Boże, tak mi przykro. Naprawdę, próbowałam tylko wydostać się z niego.

- Dokąd chce pani dojechać?

- Mieszkam w gospodzie w Polcrag.

- Daleko pani zaszała.
- Obawiam się, że dalej niż zamierzałam.
- Najprostsza droga prowadzi obok domu. To także zamknięty teren, ale też i najlepszy skrót.
- Czy sądzi pan, że właściciel będzie miał coś przeciw temu?
- Na pewno nie - powiedział z uśmiechem. - Ja w każdym razie nie mam, a to mój dom. Nazywam się Michael

Hydrock.

- A zatem to pański las. Proszę o wybaczenie.
 - O, obcy często tu trafiają. Bardzo łatwo jest nieświadomie wkroczyć na teren prywatny. Powinniśmy chyba ustawić więcej znaków.

- Byłabym wdzięczna, gdyby mógł mi pan wskazać drogę.
- Z przyjemnością.

Ruszyłam naprzód, lecz przy pierwszym kroku potknęłam się o starą bukową gałąź i runęłam jak długa na trawę.

Nieznajomy natychmiast zeskoczył z siodła i pomógł mi wstać. Zauważyłam, że ma bardzo miłą twarz. W tej chwili malował się na niej prawdziwy niepokój.

- Czy coś sobie pani zrobiła? - zapytał.
- Nie wydaje mi się - wyprostowałam się. Po chwili dotknęłam kostki.
- Widzę, że może pani stać. A chodzić?
- Tak sądzę.

- Później może zacząć boleć. Z pewnością nie powinna pani wracać na piechotę. Powiem pani, co zrobimy. Jesteśmy niedaleko domu. Podjedziemy tam i sprawdzimy, jak mocno zwichnęła pani kostkę. Potem odeślę panią moim powozem.

- To niezwykle uprzejmie z pana strony.
- Skądże. Pomogę pani wsiąść na konia i poprowadzę go do domu.
- Ależ to naprawdę zbyt cenne. Jakoś dojdę.
- Może pani sobie zrobić krzywdę - nalegał łagodnie.
- Ale to taki kłopot. Najpierw wdzieram się na pański teren, a potem jeszcze odbieram panu konia.
- Przynajmniej tyle mogę zrobić.

Podsadził mnie na siodło, po czym ujął wodze i ruszył naprzód.

Istnieją rzeczy, których nigdy nie zapomnę - i jedną z nich był pierwszy rzut oka na Dwór Hydrocków. Szary, kamienny budynek ze zwieńczoną blankami stróżówką o ostrej, łukowatej bramie, ozdobionej po bokach gotyckimi wzorami. Po najrówniejszym i najzwyklejszym z trawników przechadzał się wspaniały paw, barwny i napuszony, a w ślad za nim postępowała niepozorna, zachwycona panem i władcą samica.

Poczułam, że ogarnia mnie głęboki, cudowny spokój, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczyłam. Otoczenie zawsze wywierało na mnie przemożny wpływ. Bez żadnego powodu ogarnęła mnie radość, że tu jestem - mimo zwichniętej kostki i tego, że byłam zdana na łaskę i niełaskę nieznajomego.

Trawnik przecinała wysypana żwirem ścieżka, prowadząca wprost do bramy. Przeszliśmy przez nią i znaleźliśmy się na dziedzińcu. Tu także panował niezamącony spokój. Niewielkie kępki trawy wyrastały między kamieniami podwórza, na które wychodziły wysokie, witrażowe okna.

Mężczyzna zawołał:

- Tom! - i pomógł mi zsiąść z konia. Tom, niewątpliwie stajenny, przybiegł na wezwanie. Rzucił mi zaskoczone spojrzenie i odprowadził wierzchowca.

- Proszę tędy - gospodarz poprowadził mnie do drzwi.

Znaleźliśmy się w holu, niezbyt wielkim, lecz cudownie proporcjonalnym, o belkowanym suficie. Podłogę pokrywała mozaika z płytek. Z jednej strony pomieszczenia znajdowało się podium, z drugiej - galeria minstrelów.

- Sądzę - oświadczył Michael Hydrock - że lepiej będzie, jeśli zawołam moją ochmistrzynię. Natychmiast powie czy pani kostka została poważnie wywichnięta. Ale najpierw proszę usiąść.

Pociągnął za sznur od dzwonka. Usłyszałam melodyjny dźwięk w głębi domu i z wdzięcznością opadłam na jeden z drewnianych zydl, pochodzących chyba jeszcze z szesnastego wieku. Spojrzałam na gobelin na ścianie.

Gospodarz podążył za moim wzrokiem.

- Przedstawia zdarzenia z życia biskupa Trelawny'ego, który cieszy się tu doskonałą opinią - wyjaśnił. - Tu widzi go pani w drodze do londyńskiej Tower. A tu maszerujących mieszkańców Kornwalii. Zapewne zna pani tę starą pieśń:

„I jeśli zdarzy się ta rzecz,
 i jeśli Trelawny zginie...”

- „Każdy z dwudziestu tysięcy z Kornwalii wie,
 jak postąpić powinien” - dokończyłam.

- A, widzę, że zna ją pani.

- I to bardzo dobrze. Zastanawiałam się, jak wiele pracy włożono w te drobne ściegi. Przepiękny gobelin.

Pojawił się służący.

- Zawołaj tu panią Hocking, proszę - polecił Michael Hydrock, a kiedy mężczyzna zniknął, wyjaśnił: - Pani Hocking to moja ochmistrzyni. Kiedy nastąpiła u nas, mnie jeszcze nie było na świecie.

Zanim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć, dołączyła do nas rzeczona niewiasta. Miała około siedemdziesiątki, tak mi się przynajmniej wydawało, i otaczała ją aura służącej, pracującej u jednej rodziny od tylu lat, iż uważa się ją za osobę uprzywilejowaną.

Michael Hydrock wytłumaczył, co się stało, i ochmistrzyni uklęknęła, by delikatnie obmacać mi kostkę.

- Czy to boli? - spytała.
- Troszeczkę.
- Proszę wstać - poleciła. Usłuchałam. - Teraz niech pani oprze się na niej... tak, całym ciężarem. - Zrobiłam, co kazała. - W porządku? - spytała, a ja odparłam, że chyba tak.
- To tylko lekkie zwichnięcie - orzekła. - Na pani miejscu dałabym jej dzisiaj odpocząć. Najpewniej do jutra wszystko minie.
- Odwiozę panią do gospody moim powozem - powiedział Michael Hydrock.
- Och, z pewnością mogę pójść sama - zaprotestowałam.

Pani Hocking potrząsnęła głową.

- To by mogło sforsować nogę.
- Nie wiem, jak mam państwu dziękować.
- To naprawdę drobnostka, panno...
- Kellaway - dokończyłam. - Nazywam się Ellen Kellaway.

Zapadła ciężka cisza. Wreszcie Michael Hydrock powiedział:

- Musi być pani krewną Kellawayów z wyspy.
- Owszem. Właśnie się do nich wybieram. Zatrzymałam się w gospodzie w Polcrag do czasu, gdy pogoda pozwoli na przeprawę.

Pani Hocking zacisnęła usta. Fakt, że jestem Ellen Kellaway, najwyraźniej nie wzbudził w niej specjalnej sympatii dla mojej osoby. Ciekawe, dlaczego?

- Zapewne - stwierdził gospodarz - ma pani ochotę na herbatę. Pani Hocking, proszę się tym zająć. Napijemy się w zimowym salonie. To tuż obok, nie będzie pani musiała daleko chodzić, panno Kellaway.
- Sprawiam panu tyle kłopotów - zaczęłam bez przekonania i urwałam, czekając, by zaprotestował, że to nie kłopot, lecz przyjemność, co oczywiście uczynił ze staroświecką galanterią.

Pani Hocking wyszła, a Michael zapytał:

- Czy da pani radę przejść kawałeczek?
- Z łatwością. W istocie zdaje się, iż znalazłam się tutaj pod fałszywym pretekstem. Kostka niemal w ogóle mnie nie boli.

Ujął mnie pod ramię i poprowadził przez hol. Wspięliśmy się na kamienne schody, wiodące do pomieszczenia wyraźnie służącego za jadalnię. Tu znów na murach ujrzałam przepiękne gobeliny, dostrzegłam też, że witrażowe okna na najdalszej ścianie wychodzą na kolejny dziedziniec. Sześć stopni prowadziło z tego pokoju do zimowego salonu, gdzie, jak przypuszczałam, rodzina spożywała posiłki, gdy towarzystwo nie było zbyt liczne. Pośrodku pokoju stał owalny rozkładany stół na spiralnie rzeźbionych nogach, otoczony wyściełanymi krzesłami. Było to niewielkie pomieszczenie o jednym wąskim oknie.

- Proszę usiąść - powiedział Michael Hydrock. - Jak tam kostka po małym spacerze?
- Prawie nie czuję bólu. Jestem pewna, że to nic poważnego.

Powiedziałam, że jego siedziba jest urocza i moje słowa wyraźnie sprawiły mu przyjemność.

- Ja również tak sądzę - odparł - ale to w końcu mój dom. Należy do naszej rodziny od ponad czterystu lat.
- To musi być cudowne uczucie - stwierdziłam - wiedzieć, że jest się związanym z podobnym miejscem.
- Obawiam się, że wtedy przyjmuje się to jako coś zupełnie naturalnego. Urodziłem się tu i przypuszczam, że tu umrę. Podobnie jak całe pokolenia mężczyzn z mojego rodu. Kobiety zazwyczaj wychodzą za mąż i wyjeżdżają. Lecz ja znam każdy kamień tego domu. Może wydawać się mały jak na dwór, ale dla mnie jest w sam raz. Czy wychowała się pani na wsi, panno Kellaway?
- Nie, niezupełnie. Choć zazwyczaj letnie miesiące spędzaliśmy poza miastem, uważałam, iż moim domem jest Londyn.

Herbatę przyniosła młodzieńka służąca. Towarzyszyła jej pani Hocking.

Taca, mieszcząca srebrny staroświecki imbryk oraz czajniczek zawieszony nad lampką spirytusową, znalazła się na stole. Obok postawiono srebrny półmisek, pełen cukrowych ciasteczek.

- Czy mam nalać? - spytała pani Hocking. W jej wzroku, skierowanym wprost na mnie, wyczułam chłodną dezaprobatę.
- Może wolałaby to zrobić panna Kellaway? - zaproponował Michael, a ja natychmiast przyjął propozycję.

Ucieszyłam się, kiedy stara ochmistrzyni odeszła, zabierając ze sobą służącą. W pokoju panowała dziwnie odprężająca atmosfera, która sprawiła, iż poczułam się całkowicie swobodnie. Z każdą chwilą coraz bardziej lubiłam moją wybawcę. Był bardzo poważny - może porównywałam go z Philipem? - lecz jednocześnie ciepły i serdeczny. I nagle zaczęłam opowiadać, zapewne nieco zbyt poufale, o moim życiu w Londynie. Zanim się zorientowałam, wyjaśniłam, iż miałam właśnie wyjść za mąż, kiedy zginął mój narzeczony.

- Co za okropna tragedia - stwierdził Michael Hydrock.

Zastanawiałam się, czy znał już tę historię. Niebiosa wiedzą, że została dostatecznie nagłośniona. A Michael Hydrock był tego typu człowiekiem, któremu dobre maniery nie pozwalają zdradzić najmniejszych oznak ciekawości w tak delikatnej materii, jednocześnie powstrzymując go od wyznania, że zna już całą sprawę w razie, gdyby miało mi to sprawić ból.

- A zatem - ciągnęłam - kiedy napisali do mnie krewni prosząc, abym ich odwiedziła, przyjechałam. Moja wizyta zapewne potrwa dość długo. Uznałam, iż nowe otoczenie pomoże mi sprecyzować plany na przyszłość.

- To mądra decyzja - odparł Michael.
- W istocie do niedawna nie wiedziałam nawet, że mam jakąkolwiek rodzinę. - Opowiedziałam mu o życiu w domu kuzynki Agaty i przyjaciół z Esmeraldą. Spoglądając w przeszłość odkryłam, iż wszystko to wydaje się raczej zabawne. Często tak się rzecz ma z wydarzeniami, które z początku wydają się bardzo ponuro.

- Tak - dodałam. - Tęsknię już za chwilą, kiedy spotkam moich krewnych. Zdaje się, iż są doskonale znani w tej okolicy.

- Wszyscy w sąsiedztwie znają Jagona Kellowaya.

- Jakiego pokroju to człowiek?

Michael Hydrock uśmiechnął się.

- Trudno go opisać, bo nie ma nikogo, kto by go przypominał.

- Przypuszczam zatem, iż będę musiała zaczekać. Czy często odwiedza pan wyspę i czy oni tu przyjeżdżają?

- Znam kilka osób należących do rodziny - odparł z powagą Michael.

W jego zachowaniu dostrzegłam niemą prośbę, bym nie drążyła już tego tematu.

A potem zaczął opowiadać o okolicy, miejscach wartych zwiedzenia i zwyczajach mieszkańców. W święta odbywały się tu zazwyczaj zawody zapaśnicze, w których nagrodę stanowił elegancki kapelusz, ufundowany przez lokalnego kapelusznika, albo skórzana kamizelka, podarunek krawca. Urządzano także biegi i konkursy gotowania dla kobiet - można w nich było wygrać koszulę z szarego płótna bądź inną sztukę odzieży. Były też tańce, rzucanie młotem i wszelkie inne sporty.

W maju odbywał się korowód - powitanie lata. Szlachta tańczyła go w południe, dzieci o wpół do jedenastej, a służba pod wieczór; tym obchodom towarzyszyły zawody w rzucaniu, niemal równie popularne, jak zapasy. Dzień świętego Jana świętowano największym festynem w roku.

- Wiąże się to z kultem słońca - wyjaśnił Michael Hydrock. - To zwyczaj pochodzący jeszcze z czasów pogańskich. Powinna pani zobaczyć ludzi tańczących wokół ognisk. Ma to zapewnić ochronę przed złymi czarami. W dawnych, przedchrześcijańskich czasach wrzucano w płomień żywe stworzenie, żeby uchronić się od złego spojrzenia. Jeszcze teraz w niektórych miejscowościach ciskają w ogień wianki, zioła i kwiaty. Stare przesady nie umierają tak łatwo. I oczywiście są jeszcze ogniska rozpalane po północy. Wydaje się wtedy, iż płoną całe wrzosowiska.

Wszystko to było szalenie ciekawe, lecz w końcu uświadomiłam sobie, że jestem tam już zbyt długo. Podziękowałam zatem za gościnę i oświadczyłam, że muszę już wracać. Było to niezwykle przyjemne popołudnie i cieszyłam się, że zabłądziłam w lesie.

Podstawiono dwukólkę i służący pomógł mi do niej wsiąść. Zająłam miejsce obok Michaela Hydrocka, który ujął lejce. Był zwrócony do mnie wyrazistym profilem i pomyślałam, że ma przyjemną twarz - niezbyt oryginalną, lecz miłą. Oto człowiek, którego nietrudno zrozumieć. Czuję, iż zawsze da się przewidzieć, jak postąpi.

- Wydaje mi się, że wiatr zaczyna słabnąć - powiedział. - Bardzo możliwe, że do jutrzejszego ranka morze uspokoi się na tyle, by mogła się pani przeprawić na wyspę.

- Nie miałam pojęcia, że aż tak się to opóźni.

- W istocie wynika to z geograficznego położenia wyspy. Nie leży ona zbyt daleko od lądu - jedynie trzy mile, ale tutejszy brzeg ma swoje kaprysy. W najlepszym razie można go nazwać zdradzieckim, i nie powinno się wyruszać na morze bez doświadczonego przewoźnika. Tuż pod powierzchnią wody kryje się masyw skalny, który trzeba ostrożnie wyminać, a około mili na wschód od plaży w Polcrag zaczynają się ruchome piaski. Powiadają, że to dlatego wyspę nazwano Daleką. Nie chodzi tu o faktyczną odległość, która nie jest zbyt wielka, ale warunki, często czyniące ją niedostępną.

- Czy jest tu więcej wysp?

- Ta jest największa, w ogóle spora jak na wyspę. Ma mniej więcej pięć na dziesięć mil. Tuż obok leży druga, niewielka. Stoi na niej tylko jeden dom. Jest jeszcze trzecia, w ogóle nie zamieszkała. Stanowi coś w rodzaju rezerwatu ptaków.

Byliśmy już prawie w mieście, dostrzegłam nawet główną ulicę. Żałowałam nieco, bowiem nie chciałam jeszcze kończyć przejażdżki z Michaeliem Hydrockiem. Pragnęłam nadal słuchać jego opowieści o tutejszym życiu. Może zdołałabym nawet wyciągnąć z niego jeszcze jakieś informacje o mojej rodzinie.

- To bardzo uprzejme z pana strony, że tak się pan mną zajął po tym, jak przekroczyłam granicę pańskich gruntów - zagadnęłam.

- Miałem wyrzuty sumienia, że potknęła się pani w moim lesie.

- Gdzie w ogóle nie miałam prawa przebywać! Ale obawiam się, że nie mogę powiedzieć, by było mi przykro. Spędziłam rozkoszne popołudnie!

- Przynajmniej obejrzała pani okolicę. Spotkamy się jeszcze, bo przecież będzie pani niedaleko.

- Mam taką nadzieję. Czy często podróżuje pan na wyspę?

- Czasami. A pani musi odwiedzić Dwór Hydrocków, kiedy będzie pani na lądzie.

- Powinnam wybrać pogodny dzień, jeśli nie chcę utknąć tu na dłużej.

- Wydaje mi się, iż jutro już uda się pani przeprawić. W istocie wszelkie znaki wskazują, że tak właśnie będzie.

Perspektywa ta podnieciła mnie.

Teraz jechaliśmy już przez miasteczko. Kilka osób obejrzało się za dwukólką. Zapewne zastanawiali się, kim jest ta obca kobieta, siedząca obok Michaela Hydrocka.

Kiedy skręciliśmy w bramę gospody, pani Pengelly, przechodząca akurat obok, spojrzała na nas z niemym zdumieniem.

Michael Hydrock uśmiechnął się do niej.

- Wszystko w porządku, pani Pengelly. Panna Kellaway skrzyła kostkę w lesie, toteż odwozłem ją z powrotem.

- Matko Przenajświętsza! - wykrzyknęła gospodyni.

Michael zeskoczył na ziemię i pomógł mi wsiąść.

- I jak? - spytał, gdy stanęłam obok niego.

- Wydaje mi się, że wszystko w porządku. Prawie nic nie czuję.

- Może pan wejdzie? - wtrąciła pani Pengelly. - Zaraz podam kufel piwa albo kieliszek wina... a może zaparzyć herbaty?

- Dziękuję, ale nie, pani Pengelly. Muszę już jechać.

Ujął moją dłoń i uśmiechnął się łagodnie.

- Proszę uważać na tę kostkę - powiedział. - A kiedy wróci pani na ląd... albo będzie pani czegoś potrzebowała... czy po prostu znajdzie panią ochota... proszę mnie odwiedzić. Sprawi mi tym pani ogromną przyjemność.

- Był pan dla mnie niezwykle miły - stwierdziłam szczerze.

- To nic takiego. Cała przyjemność po mojej stronie.

Po chwili siedział już z powrotem w dwukółce i z uśmiechem zawracał konie ku bramie.

Obie z panią Pengelly przyglądałyśmy się, jak odjeżdża.

Potem weszłam do gospody i wróciłam do pokoju. Tam położyłam się na łóżku, prostując obolałą nogę. Nie minęło nawet pięć minut, kiedy rozległo się pukanie do drzwi i do środka wkroczyła pani Pengelly. W jej oczach błyszczała ciekawość. Bez wątplenia uważała, iż fakt, że odwoził mnie Michael Hydrock, jest co najmniej niezwykły.

- Zastanawiałam się, czy czegoś pani nie potrzebuje, panienko Kellaway - powiedziała.

Zapewniłam ją, że niczego mi nie trzeba, lecz ona wyraźnie ociągała się z wyjściem i dostrzegłam, że ma ochotę porozmawiać. Muszę przyznać, że sama chciałam zamienić z nią parę słów. Znała przecież moją matkę, a nawet mieszkała na wyspie, mogła więc wiele mi opowiedzieć.

- To dziwne, że spotkała pani sir Michaela - zdumiała się pani Pengelly.

- Nie miałam pojęcia, że należy zwracać się do niego sir.

- O tak, rodzina używa tego tytułu od lat... jeden z Hydrocków otrzymał go dawno temu. To miało coś wspólnego z walką u boku króla przeciw parlamentowi. Kiedy król powrócił, rodzina dostała tytuł i ziemię.

- Z tego wynika, że mieszkają we dworze od wieków. To piękny, stary dom.

- Hydrockowie władają tą ziemią od czasu, kiedy zyskali tytuł - a było to sporo lat temu. Podobnie jak Kellawayowie, do których należy wyspa. Oba rody mieszkają tu prawie tak samo długo.

- Cała wyspa należy do nich?

- Tak, nazywają ją zresztą Wyspą Kellawayów.

- Z pewnością jednak nie mieszkają tam sami Kellawayowie.

- Boże uchoj, nie. To kwitnąca osada. Przynajmniej tak było do... Są tam farmy, sklepy, a nawet gospoda. Ludzie przenoszą się tam, żeby zaznać spokoju. Człowiek czuje się na wyspie naprawdę odcięty od świata.

- Pani Pengelly, co pani wie o mojej matce i ojcu?

Gospodyni wyciągnęła przed siebie ręce i zerknęła na nie, jakby szukając natchnienia. Następnie uniosła wzrok i spojrzała wprost na mnie.

- Ona po prostu nie mogła znieść tego miejsca - powiedziała. - Zawsze powtarzała, że odejście. Kłócili się. Pani ojciec nie był łatwy we współżyciu. A potem wyjechała, zabierając panią ze sobą. To wszystko, co wiem.

- Służyła pani u niej jako pokojówka, więc musiałyście być sobie bliskie.

Pani Pengelly wzruszyła ramionami.

- Przybyła z miasta. Nienawidziła huku fal, rozbijających się na skałach. Twierdziła, że krzyki mew szczydzą z niej, bo jest tam więźniem.

- Więźniem!

- Tak się czuła... zostawiwszy dom w Londynie i przybywszy tu, na Wyspę Kellawayów.

- A zatem porzuciła swój dom, męża, wszystko... oprócz mnie. Musiała być bardzo nieszczęśliwa.

- Kiedy tu przybyła, była taka radosna i pełna życia. Potem się zmieniła. Są ludzie, którym nie odpowiada żywot na wyspie, i ona do nich należała.

- A ojciec? Czy próbował sprowadzić ją z powrotem?

- Nie, po prostu pozwolił jej odejść.

- Nie zależało mu więc na nas za bardzo.

- Był człowiekiem, który nie interesuje się zbytnio małymi dziećmi. A potem, rzecz jasna... Urwała, a ja wtrąciłam niecierpliwie:

- Tak? Co się wtedy stało?

- Och, nic. Ja też odeszłam. Po jej wyjeździe nie mieli powodów, by mnie zatrzymać. Wróciłam na ląd. Mój ojciec prowadził wówczas tę gospodę. Później wyszłam za mąż za Pengelly'ego, który pomagał nam w pracy, a kiedy umarł ojciec, gospoda przeszła na nas.

- Kim jest Jago Kellaway? W jaki sposób jesteście spokrewnieni?

- To już on pani powie. Nie byłby zadowolony, gdybym za dużo gadała.

- Czyżby się go pani bała?

- Pan Kellaway nie należy do tych, których mądrze byłoby rozgniewać.

- Najwyraźniej jest moim opiekunem.

- Naprawdę, panienko?

- Tak mi napisał w liście.
- Słuszną jest rzeczą, by zamieszkała pani pod jego dachem.
- Wydaje mi się, iż wyspę albo Kellawayów otacza jakaś tajemnica. Zauważyłam zmianę w zachowaniu ludzi, kiedy dowiadują się, kim jestem.
- Przypuszczam, że są zaskoczeni. Tutejsi sporo wiedzą o sprawach innych ludzi i pamiętają, jak pani matka uciekła z wyspy z dzieckiem. A pani jest tym dzieckiem. To naturalne, że chcą zobaczyć, na kogo pani wyrosła.
- I to wszystko? Żałuję, że nie wiem nic bliższego o tej wyspie i mojej rodzinie.
- Cóż, panienko, wkrótce dowie się pani wszystkiego, prawda? Boże, zmiłuj się, zapomniałam prawie, że mam mnóstwo pracy. Czy na pewno nic pani nie przynieść?
Podziękowałam jej i zapewniłam, że niczego nie potrzebuję. Najwyraźniej obawiała się powiedzieć zbyt wiele.
Wieczór upłynął szybko. Rozmyślałam nad wszystkim, co spotkało mnie tego dnia. Wreszcie doszłam do wniosku, iż nie powinnam się martwić, nawet jeśli wzburzone morze jeszcze jutro nie pozwoli mi przepłynąć na wyspę. Może wtedy znów zobaczę się z Michaelem Hydrockiem.
Następnego poranka przebudziłam się, by ujrzeć spokojną taflę wody, migoczącą w słońcu.
Byłam pewna, że wkrótce znajdę się na wyspie i nie myliłam się. O dziesiątej przybyła po mnie łódź.

ROZDZIAŁ 5 ZAMEK

Dostrzegłam ją z mojego okna. Mężczyzna i chłopiec wysiedli, a dwóch wioślarzy zostało w łódce. Mężczyzna - średniego wzrostu, mocno zbudowany, miał jasnobrązowe włosy; chłopiec natomiast wydawał się wątłym czternastolatkiem. Zeszłam na dół. Przywitała mnie pani Pengelly.

- Panno Kellaway, przybiła łódź.

Jeden z posługaczy zniósł moje bagaże. W tym samym momencie mężczyzna i chłopiec weszli do gospody.

Pani Pengelly pośpiesznie zakrzętnęła się wokół nich.

- Och, panie Tregardier, więc w końcu pan się zjawił. Widziałam pańskie przybycie. Panna Kellaway z przyjemnością pana pozna.

Mężczyzna wyciągnął rękę i uściśnął mi dłoń. Z zainteresowaniem przyjrzał się mojej osobie.

- Bardzo mi miło wreszcie panią poznać. Jestem William Tregardier, rządca pana Kellaway. Prosił mnie, żebym przekazał pani, jak niecierpliwie oczekuje pani przyjazdu na wyspę. Niestety, jesteśmy zdani na łaskę i niełaskę morza.

- Dzisiaj jest spokojne.

- Tak, wygląda jak jezioro. Zapewniam panią, że wypłyniemy tak szybko, jak tylko będzie to możliwe. Nie chcieliśmy, aby na początku podróży spotkały panią niewygody.

Uśmiechał się raczej dobrotliwie. Pani Pengelly powiedziała:

- Panie Tregardier, przed drogą powrotną zapewne zechce pan odrobinę się odświeżyć.

- Tak, to doskonały pomysł.

- Zaraz coś przygotuję. Mam wino własnej roboty, jeśli ma pan ochotę. Jest także tarniówka, świeżo upieczone bułeczki i szafranowe ciastka prosto z pieca.

- Wie pani, czym mnie skusić, pani Pengelly.

- Dlaczego pan nie usiądzie i nie zaznajomi się z panną Kellaway? Wrócę tak szybko, że nawet nie zauważy pan mojego odejścia.

Opuściła nas, a pan Tregardier uśmiechnął się do mnie.

- To dobra kobieta - stwierdził - i zawsze gotowa podjąć ludzi z wyspy. Kiedyś służyła u pani rodziny, a jej syn nadal dla nas pracuje. Usiądźmy i, jak zaproponowała, zapoznajmy się. Po pierwsze, pan Jago kazał mi przekazać, że bardzo się cieszy, iż przyjęła pani zaproszenie na wyspę. Może ocean nie okazał się zbyt gościnnie, ale rodzina powita panią inaczej. Mam nadzieję, że nie ma pani żadnych skarg, dotyczących pobytu w gospodzie.

- Skarg! Byłam wprost rozpieszczana.

- Tego życzył sobie pan Jago. Nie wątpił, że tak się stanie, otrzymali przecież jego dyspozycje.

- Nie mogę się już doczekać spotkania z moją rodziną i chwili, gdy zobaczę wyspę. Martwię się tylko, że tak mało wiem na ich temat.

- Czy matka nic pani nie opowiadała?

- Kiedy umarła, miałam tylko pięć lat.

Skinął głową.

- No cóż. Jago rządzi wyspą. To spory majątek ziemski. Ja pracuję pod jego kierunkiem jako zarządca. Tak naprawdę to zwyczajna wielka posiadłość. Przypadkiem tak się złożyło, że jednocześnie jest wyspą. Razem z Jagonem mieszkają jego siostra i siostrzenica. Siostra zajmuje się domem. Robi to już od wielu lat.

- Jaki jest stopień pokrewieństwa między mną a Jagonem?

- Sam to pani wyjaśni. To trochę skomplikowane.

- To dziwne, że przez tyle lat nie mieliśmy ze sobą żadnego kontaktu.

- Czasami tak bywa w rodzinach. Ale lepiej późno niż wcale.

Pani Pengelly przyniosła wino i ciastka i obsłużyła nas. Po mniej więcej półgodzinie wyruszyliśmy na wyspę. Wiała lekka bryza - dość, by delikatnie zmarszczyć powierzchnię wody - a słońce świeciło pełnym blaskiem. Czułam, jak rośliny moje podniecenie i po chwili naszym oczom ukazała się wyspa.

- Tam! - wskazał William Tregardier. - Stąd jest znakomity widok. Wspaniała, nieprawdaż? Wspaniała i żywna.

- Jest piękna! - krzyknęłam.

- Daleka Wyspa. W tej okolicy bardziej znana jako Wyspa Kellawayów.

Ogarnęła mnie nagła дума. W końcu ja także należałam do Kellawayów i skojarzenie własnego nazwiska z nazwą tak pięknego miejsca było niezmiernie ekscytujące.

- Tam jest jeszcze inna! - krzyknęłam.

- Najbliższa lądu. Z przyczyn oczywistych nazywają ją Błękitną Skalą. W odróżnieniu od głównej wyspy, na tej nie ma gruntów uprawnych. Jest to formacja kamienna, a część warstw skalnych pokrywa osad, który w odpowiednim świetle nadaje im niebieski poblask. A teraz może pani dostrzec jeszcze jedną. Wygląda jak garb wynurzający się z morza. Nic tam nie ma, ale gniazdują na niej kruki i mewy.

Zwróciłam wzrok na główną wyspę. Z jednej strony sterczały skaliste urwiska, pod którymi rozciągała się piaszczysta zatoczka. Ujrzałam kilka łodzi.

- Czy tam płyniemy? - spytałam.

- Nie - odparł William Tregardier. - Wylądujemy z innej strony. Stamtąd brzeg wygląda zupełnie inaczej. Tu woda jest bardzo płytka, kryją się w niej skały. Trzeba być ostrożnym. Łądowanie tutaj jest niebezpieczne, póki człowiek nie

nauczy się, gdzie leżą głazy i płyną prądy.

- Ilu ludzi mieszka na wyspie?

- Podczas ostatniego spisu doliczyliśmy się stu osób. Ale ta liczba stale rośnie. Ludzie żenią się i mają dzieci.

Niektórzy mieszkają tutaj od wielu pokoleń.

Teraz wyspa odsłoniła inne oblicze. Od tej strony była łagodniejsza. Widziałam małe domki o śnieżnobiałych ścianach i czerwonych dachach. Ku morzu zbiegało pasmo niskich wzgórz - zielonych i pięknych, upstrzonych liliowymi wrzosami i żółtymi janowcami.

- Jest prześliczna.

- Tam, gdzie jesteśmy zasłonięci od wiatru, panuje klimat wręcz subtropikalny. Po tej stronie wyspy rosną nawet dwie czy trzy palmy. Nasze owoce i warzywa dojrzewają wcześniej niż na lądzie. Ale tylko w kotlinach osłoniętych od burz.

- Poznawanie wyspy zapowiada się pasjonująco.

- Z pewnością ucieszy to Jagona.

Dopłynęliśmy do piaszczystej zatoczki, w której czekało - wyraźnie na nas - dwóch mężczyzn z wierzchowcami.

- Mam nadzieję, że jeździ pani konno - powiedział William Tregardier. - Jago był tego pewien.

- Zastanawiam się, skąd wiedział. Rzeczywiście, umiem jeździć. Zawsze bardzo lubiłam konie.

- To znakomicie. Będzie pani mogła jeździć po wyspie. To najlepszy sposób, by ją zwiedzić.

Lekki wiatr szarpał tasemkami czepka i cieszyłam się, że byłam na tyle przewidująca, aby założyć takie nakrycie głowy. Niektóre z modnych kapeluszy będących częścią mojej wyprawy będą tu zupełnie nieprzydatne i nie na miejscu. Bagaże, płynące w innej łodzi, dotarły do brzegu w tym samym czasie, co i my, i William Tregardier polecił jednemu z wioślarzy zająć się nimi.

- Sądzę, że lepiej będzie, jeśli spróbuje pani osiągnąć tę małą klaczy, panno Kellaway. Później oczywiście wybierze pani sobie własnego konia ze stadniny. Jestem pewien, że Jago będzie sobie tego życzył. Ma bardzo piękne stado.

Klacz okazała się spokojnym, posłusznym stworzeniem. William Tregardier wskoczył na drugiego konia i odjechaliśmy z plaży.

- Do zamku już niedaleko - oznajmił.

- Zamek! Nie miałam pojęcia, że jedziemy do zamku.

- Zawsze tak go nazywamy. Zamek Kellawayów. Jest bardzo stary i zapewne otrzymał tę nazwę, gdy tylko rodzina się tutaj osiedliła.

Objechaliśmy wzgórze i przed nami ukazała się budowla.

Niewątpliwie był to prawdziwy zamek - z wieżami i grubymi, kamiennymi murami. Zbudowano go na planie kwadratu, wyniosłe mury wieńczyły cztery baszty, wznoszące się ponad blankowaniami dachów. Nad kamienną bramą wyrastała jeszcze jedna baszta. Wyglądała potężnie, jakby miała za zadanie odstraszać intruzów. Przejechaliśmy pod nią i znaleźliśmy się na kamiennym podwórku; stamtąd, mijając romańskie sklepienie, wjechaliśmy na inne podwórze. Jak tylko tam dotarliśmy, pojawił się stajenny. Można było pomyśleć, iż oczekiwał naszego przybycia.

- Zabierz konie, Albercie. To jest panna Kellaway, która przyjechała, aby u nas zamieszkać.

Albert skłonił się przede mną.

- Dzień dobry - powiedziałam.

Zabrał konie, a William Tregardier poprowadził mnie w stronę ciężkich drzwi, nabijanych żelaznymi ćwiekami.

- Przypuszczam, że przed spotkaniem z Jago zechce się pani umyć i przebrać. Myślę, że najlepiej wezwać jedną z pokojówek, aby wskazała pani pokój.

Byłam zaskoczona. Sądziłam, że dom położony na odległej o trzy mile od lądu wyspie będzie raczej prymitywny. Z pewnością nie spodziewałam się zamku. Był tak wielki jak..., nie, nawet większy od Dworu Hydrocków. I wyraźnie starszy. Weszliśmy do środka i długim korytarzem dotarliśmy do komnaty recepcyjnej, skromnie umeblowanej stołem i trzema krzesłami. W jednym rogu stała zbroja, a na ścianach wisiały tarcze i broń. Pomyślałam, że kiedyś musiała to być część zbrojowni lub wartowni.

Wyglądało na to, że wszyscy w zamku czekali na mój przyjazd, ponieważ gdy wchodziliśmy do pokoju, w innych drzwiach pojawiła się pokojówka.

- Janet, to jest panna Kellaway.

Janet dygnęła grzecznie.

- Zaprowadź ją do pokoju i sprawdź, czy ma wszystko, czego potrzebuje.

- Tak, proszę pana - powiedziała Janet.

- A zatem... - William Tregardier spojrzał na mnie - ... powiedzmy za pół godziny?

- Doskonale, tyle mi wystarczy.

- Za pół godziny przyprowadź pannę Kellaway na dół.

- Dziękuję - powiedziałam.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł.

- Proszę tędy, panno Kellaway - odezwała się Janet.

Poszłam za nią, zachwycona. Minęliśmy kilka kamiennych korytarzy i weszliśmy po spiralnych schodach. Znalazliśmy się w galerii, leżącej w mieszkalnej części zamku, której średniowieczny charakter łagodziła atmosfera komfortu.

- Proszę tędy, panno Kellaway.

Otworzyła drzwi i weszliśmy do pokoju, którego ściany obwieszono starymi tkaninami utrzymanymi w odcieniach czerwieni i szarości. Na podłodze leżał czerwony dywan, a pluszowe, czerwone zasłony obszyto złotymi frędzlami. Czerwone

toże z baldachimem miało czerwone zasłony - ogólny efekt był wręcz wspaniały.

Okno, z półokrągłą górą, wykute w zaskakująco grubym murze, miało kamienną ławeczkę. Prowadziły do niej trzy stopnie. Weszłam po nich i wyjrzałam. Jakkolwiek zamek stał w lekkim odosobnieniu, zauważyłam, że wyspa jest licznie zamieszкана. Małe domki wyglądały bardzo malowniczo, a czerwone dachy nadawały im dziwnie obcy wygląd. Widziałam ulicę, przy której mieściły się sklepy i prawdopodobnie karczma. Wyglądało to niczym miniaturowe miasto. Dostrzegłam zabudowania na farmach, otoczone charakterystyczną mozaiką uprawnych ziem. Widziałam sady, mały zagajnik i jeszcze więcej zabudowań. Wszystko to sprawiało wrażenie małej, ale dobrze prosperującej społeczności. Dostrzegłam też drugą wyspę, Błękitną Skałę, która wyglądała jakby leżała nie dalej niż pół mili od głównej. Dzielił je od siebie tylko wąski pasek morza. Popatrzyłam na odległy ląd i zastanawiałam się, co porabia Michael Hydrock i czy kiedykolwiek jeszcze o mnie pomyśli.

- Jest wspaniały - powiedziałam odwracając się od okna i rozglądając po pokoju.

- Pan Jago rozkazał, aby przygotować go dla pani, panno Kellaway. To jeden z najlepszych pokoi w całym zamku.

- To bardzo uprzejmie z jego strony.

- Wszyscy otrzymaliśmy szczegółowe polecenia, panienko - zachichotała. - Mamy zająć się panią ze szczególną troską.

Z pewnością było to ciepłe powitanie.

- Tutaj jest wszystko, czego będzie pani potrzebowała... - podeszła do czerwono-złotego sznura -...wystarczy pociągnąć, a przyjdę natychmiast. Zdaje nam się, że wszystko jest na miejscu, ale nigdy nie można być do końca pewnym, prawda?

W tej chwili pojawił się chłopiec z moimi bagażami.

- Czy życzy sobie pani, abym pomogła jej się rozpakować? - spytała Janet.

- Proszę. - Nie zrobiłam tego, ponieważ potrzebowałam jej pomocy, ale po prostu chciałam zadać jeszcze kilka pytań. - Nie zajmie to dużo czasu - dodałam.

- Najpierw przyniosę ciepłą wodę, panienko.

Kiedy wyszła, rozejrzałam się po pokoju. Obejrzałam dębowe meble, wielką szafę, kominek i stojące na gzymsie nad nim potężne świeczniki. Wysoki sufit był misternie rzeźbiony.

Otworzyłam pierwszą z brzegu torbę i wyjęłam z niej suknię: jedną z przygotowanych na podróż poślubną, uszytą z wyjątkowo twarzewego, szafirowego jedwabiu. Przypomniałam sobie Philipa, który wybrał się ze mną na ostatnią przysmarę.

- No cóż, Ellen - powiedział zerkając ponad parawanem - zdaje się, że poślubię prawdziwą piękność.

Nagle poczułam gwałtowny żal. Nie mogłam powstrzymać myśli o naszych planach dotyczących podróży poślubnej.

- Wenecja - mówił. - Gondolierzy. Serenady i Canale Grande. Bardzo romantyczne.

Stałam z suknią w rękach, kiedy weszła Janet niosąc gorącą wodę.

- Co za piękna suknia, panienko - wykrzyknęła.

Skinęłam głowę i odłożyłam ją na łóżko.

- Właśnie wrócił pan Jago, panienko. Będzie chciał się z panią zobaczyć. Wydaje mi się, że nie powinna pani pozwolić na siebie czekać. Właśnie przyjechał do stajni.

- Najpierw się umyję.

Janet odsunęła zasłonę. Za nią znajdowała się alkowa z umywalnią i dzbankiem. Nalata do umywalni gorącej wody. Myłam się, a Janet wieszala moje ubrania do szafy.

Błękitna suknia nadal leżała na łóżku.

Podniosłam ją.

- Czy założy ją pani do obiadu, panienko? - spytała Janet.

Zanim odpowiedziałam, ktoś zapukał do drzwi i chłopiec imieniem Jim wsunął do środka głowę.

- Pan Jago jest w salonie. Powiedział, że panna Kellaway może teraz przyjść.

- Dobrze. Możesz odejść, Jim - poleciła Janet. - Proszę, panienko. Pan Jago nie lubi, jak każe mu się czekać.

Zauważyłam, że trzęsą mi się ręce. Miałam spotkać się z człowiekiem, którego od kilku dni usiłowałam sobie wyobrazić. Zeszłam na dół, do salonu, na moje pierwsze spotkanie z Jagonem Kellawayem. Salon był pięknym pomieszczeniem, z wielkim, łukowatym oknem wychodzącym na morze. Znajdował się tam ogromny, otwarty kominek z kutymi kolumnami na drewno; przed nim stała ława nakryta materią w tym samym kolorze, co tkaniny wiszące na ścianach. Sufit pokrywały kasetony z wyrzeźbionym w każdym z nich herbem rodowym. Słowo „salon” zdawało się zbyt słabe na określenie takiego wnętrza. Komnata była wspaniała i dostojna, ale wszystko to zauważyłam dopiero później.

Janet zapukała do drzwi i kiedy się otworzyły, jakby za sprawą magii, weszłam do pokoju. Najpierw pomyślałam, że nikogo tam nie ma, potem jednak usłyszałam za plecami śmiech. Drzwi zamknęły się. Stał oparty o nie plecami, przyglądając mi się z rozbawieniem.

- To pan! - krzyknęłam. - To pan jest... Jago Kellaway!

Ponieważ człowiekiem, który stał przede mną, był ciemny mężczyzna, z którym rozmawiałam na recitalu, a potem spotkałam się w domu przy Finlay Square tamtego ranka, kiedy przyszedł Rollo i zastał nas razem.

Poczułam biegnący po plecach dreszcz. Wywołał go strach i zdumienie.

- Ależ ja nie rozumiem - wyjąkałam.

- Wiedziałem, że będzie pani zaskoczona. - Kiedy brał mnie pod rękę, w jego głosie brzmiał śmiech. Zapomniałam, jaki był wysoki. Pociągnął mnie w głąb komnaty i podprowadził do okna. Położył ręce na moich ramionach i spojrzał mi

prosto w twarz.

- Ellen! - powiedział. - Wreszcie!

- Chciałabym się dowiedzieć... - zaczęłam.

- Oczywiście, że się dowiesz. Jesteś bardzo ciekawą młodą damą i zgadzam się z tobą, że wyglądasz to nieco dziwnie.

- Nieco dziwnie! Czuję się, jakbym śniła. Dlaczego przyjechał pan do Londynu? Co pan robił na recitalu? A w domu przy Finlay Square? Dlaczego nie powiedział mi pan, kim pan jest? I kim pan w ogóle jest?

- Zadaje pani zbyt wiele pytań i nie jestem w stanie odpowiedzieć na nie wszystkie jednocześnie. Po pierwsze, chcę panią powitać na Wyspie Kellawayów i powiedzieć, jak bardzo jestem szczęśliwy z powodu pani przybycia. Jest pani z pewnością prawdziwą córką Kellawayów. Wrodziła się pani w swego ojca. Był bardzo niecierpliwym człowiekiem.

- Czy mógłby pan wytłumaczyć...

- Z pewnością to uczynię. Chodź, moja droga Ellen. Usiądź, a ja odpowiem ci na wszystkie twoje pytania.

Zaprowadził mnie do wyściełanego fotela o rzeźbionych poręczach i prawie siłą w nim usadził. Powoli, jakby bawił się moją ciekawością i wcale nie śpieszył się, by ją zaspokoić, przysunął sobie drugi fotel, który wyglądał prawie jak tron. Wielki - i taki musiał być, bo Jago był potężnie zbudowanym mężczyzną - misternie rzeźbiony, z oparciem inkrustowanym kamieniem, który wyglądał jak lapis.

Wreszcie mogłam przyjrzeć się Jagonowi. Robił dużo potężniejsze wrażenie niż w Londynie. Miał gęste, ciemne włosy; ponownie zwróciłam uwagę na przesłonięte ciężkimi powiekami oczy, kryjące tak wiele tajemnic. W tej chwili przyglądały mi się z wyraźną przyjemnością. Jago Kellaway założył na tę okazję granatowy, wieczorowy smoking i biały krawat. Jego ręce, spoczywające na poręczach niby-tronu, były kształtne i lekko opalone, a na małym palcu prawej ręki miał sygnet, na którym mogłam dojrzeć literę „K”.

- Po pierwsze - powiedział - pytałaś, kim jestem. Odpowiem ci. Nazywam się Jago Kellaway. Jakie jest moje pokrewieństwo z tobą? Widzisz, moja droga Ellen, to nieco skomplikowana historia. Lepiej będzie, jak wszystko opowiem ci sam i nie będziesz musiała wysłuchiwać plotek. To raczej pospolita opowieść. - Jego wargi zdrząły lekko, jakby z rozbawienia. - Z pewnością będzie także nieco nieodpowiednia dla twoich delikatnych uszu. Choć właściwie nie. Przybyłaś z wyrafinowanego londyńskiego światka i wiesz, że takie sprawy zdarzają się nawet w najbardziej szacownych rodzinach. Czy mam słusność?

- Trudno mi powiedzieć, zanim nie dowiem się, o co chodzi - odparłam ostro, ponieważ coś w jego zachowaniu wywoływało mój odruchowy sprzeciw. Wiedział, z jaką niecierpliwością czekałam na wyjaśnienia i rozmyślnie z nimi zwlekał. Przyjechał do Londynu i zachowywał się w dziwny sposób, który bardzo mnie dotknął. Najwyraźniej uważał to za doskonały dowcip. Zupełnie inaczej wyobrażałam sobie „mojego opiekuna”, jak sam się nazywał. Byłam zirytowana.

- W tym momencie na scenie pojawia się dziecko z nieprawego łoża - ciągnął dalej. - Jeden z naszych przodków, nie tak znowu odległy, bo twój pradziadek, miał siostrę imieniem Gwennol, piękną i dziką. W galerii wisi jej portret, muszę ci go pokazać. Kellawayowie byli znakomitym rodem. Posiadali wyspę i żyli na niej po królewsku. Dla Gwennol zaplanowano wspaniałe małżeństwo, ale pewnego dnia oświadczyła dumnie, że spodziewa się dziecka. Nie podała imienia sprawcy i nie zamierzała wychodzić za niego za męża. Jej ojciec, wściekły, zagroził, że wygna ją z zamku, o ile nie wyzna, kto splotził dziecko. Odmówiła i opuściła wyspę z grupką służących. Nie wiem, czy towarzyszyli jej z oddania, czy ze strachu, bowiem miała opinię wiedźmy i powiadano, że jej kochankiem jest sam diabeł. - Ponownie w jego oczach błysnęło rozbawienie. - My, Kellawayowie, zawsze mieliśmy w sobie coś diabelskiego. Czy odnosi się to również do ciebie, Ellen? Oczywiście, że nie! Nie należysz do diabelskiej linii. Pochodzisz z szacownej gałęzi rodu. Cóż, w każdym razie Gwennol udała się na Błękitną Skalę, która leży tylko o pół mili stąd. Z pewnością ją widziałaś.

- Pan Tregardier pokazał mi ją. Widać ją też z mojego pokoju.

- Tam właśnie osiadła. Zamieszkała w szałasie z drewna i trawy, dopóki nie wybudowano dla niej domu. Wciąż tam jeszcze stoi. Urodził się w nim jej syn. Był moim ojcem.

- Zaczynam rozumieć nasze pokrewieństwo. Jesteśmy w pewnym sensie kuzynami.

- Bardzo dalekimi, ale obydwoje nosimy nazwisko Kellaway. Byłem jeszcze młody, kiedy zmarł mój ojciec i razem z siostrą Jenifry zamieszkaliśmy w zamku. Twój ojciec i ja razem chodziliśmy do szkoły i bawiliśmy się ze sobą. Przez parę lat zarządzaliśmy wspólnie wyspą. W pewnym momencie był już zbyt chory, żeby temu poddać i przejąłem wszystkie obowiązki. W zeszłym roku twój ojciec zmarł.

- I przez tyle lat nie chciał dowiedzieć się, gdzie jestem?

Jago popatrzył na mnie przeciągle i potrząsnął głową.

- Przed śmiercią pomyślał o tobie. Kazał mi cię odszukać i opiekować się tobą, dopóki nie ukończysz dwudziestu jeden lat.

- Niewiele już mi brakuje. Musiał o tym wiedzieć.

- Z pewnością wiedział, ile masz lat. Ale odnalezienie ciebie nie było proste. Twoja matka opuszczając wyspę zadbała o to.

- Wie pan, że wróciła do swojej rodziny.

- Twój ojciec nic mi o tym nie powiedział. Kiedy jednak przeglądając gazety dowiedziałem się o twoim planowanym małżeństwie, natychmiast pojechałem do Londynu.

- Dziwne, że nie powiedział mi pan, kim jest.

- Ach, to w wyniku mojej skłonności do żartów. Zapewne wkrótce przekonasz się, iż miewam takie kaprysy. Lubię sprawiać różne niespodzianki. Uważam, iż życie powinno być bardziej dramatyczne. Chciałem cię poznać, zanim ty mnie poznasz. Dlatego przyszedłem na recital.

- Jak? Carringtonowie nie znali pana.

- Powiedzmy, że się wprosiłem. To łatwe, jeśli ma się dość pewności siebie. A tą akurat cechą dysponuję w nadmiarze. W końcu nikt nie żąda od ciebie biletów.

- Co za... tupet!

- Tak, tego też mi nie brakuje.

- W jaki sposób wszedł pan do domu na Finlay Square? Powiedział mi pan, że dostał klucze od pośrednika. Zdawało mi się, że były tylko dwa.

- Tak pewnie twierdził pośrednik. Wie pani, jacy są handlarze nieruchomości. Chcą mieć pewność, że dobili targu, a w tym przypadku najwyraźniej istniały jakieś wątpliwości.

- Jak to się stało, że trafił pan tam dokładnie w tym samym czasie, co ja?

- Czekałem, dopóki pani nie przyszła. Łatwo zrozumieć, prawda? Pozwoli pani, że powiem tylko tyle: to był mój obowiązek. Jestem pani opiekunem. Musiałem dowiedzieć się, z jaką rodziną chce się pani związać.

- Przypuszczam, że szybko pan odkrył, kim są Carringtonowie.

- O tak, dowiedziałem się interesujących rzeczy. A kiedy wydarzyła się ta tragedia, zaprosiłem panią tutaj. Czy teraz zaczyna pani rozumieć?

- Tak - odpowiadałam.

- Mam nadzieję, Ellen, że zostanie pani u nas na dłuższy czas.

- Jest pan bardzo miły - odparłam dość szorstko, bowiem czułam, iż nie powiedział mi całej prawdy.

- Chciałbym, aby polubiła pani to miejsce. Jest moim domem już od tylu lat. Matka zabrała panią stąd, ale teraz pani wróciła. Mam nadzieję, że pomożemy pani zapomnieć o tragedii, która stała się jej udziałem.

Mówił szczerze. Jego ciężkie powieki uniosły się i oczy spoglądały bardzo przyjacielsko. Myślę, że miał najbardziej wyrazistą twarz, jaką kiedykolwiek widziałam. Przed chwilą wyglądał jak złośliwy chochlik. Pamiętam, że w domu przy Finlay Square miał wręcz demoniczny wyraz twarzy, a teraz jawił się idealnym, troskliwym opiekunem.

Nie byłam pewna co do niego, ale uznałam, że jest interesujący.

- Jak mam się do pana zwracać? - zapytałam.

- Jago, oczywiście. To moje imię, a jesteśmy przecież kuzynami. Nie przejmuj się tym, że mianowano mnie twym prawnym opiekunem.

- Nie ma obaw. Sama musiałam dbać o siebie przez całe życie i z pewnością nie potrzebuję już opiekuna.

- Ale go masz, Ellen. Czy chcesz tego, czy nie. I to - na twoje błogosławieństwo lub przekleństwo - obdarzonego silnie rozwiniętym poczuciem obowiązku. Mimo że nie chcesz opieki, musisz dotrzymać złożonej obietnicy. Zostańmy przyjaciółmi i mów mi Jago. To brytyjska forma od Jamesa, wywodząca się z bardzo starych czasów. Studiując przeszłość - a mam nadzieję, że uda mi się zainteresować cię paroma naszymi starymi zwyczajami - wyrobiłem sobie na ten temat zdanie. James pochodzi od łańckiego Jacobusa. Nie ma nic wspólnego z hiszpańskim. Niektórzy sądzą inaczej, ponieważ na wybrzeżu istniały silne wpływy hiszpańskie. W czasach elżbietańskich Hiszpanie często nas najeżdżali, a kiedy rozbito armadę, wielu żeglarzy z zatopionych statków osiadło tutaj. Ale Jago to imię starobrytyjskie... nie angielskie, zwróć uwagę. Czy znasz historię?

- Bardzo słabo - odpowiadałam. - Przypuszczam, że nasza guwernantka czegoś nas uczyła, ale nic nie pamiętam.

- Jesteśmy czystej krwi Brytyjczykami. Nie skażonymi żadną z ras, które stworzyły Anglików. Ich wpływy nie sięgały tak daleko, więc udało się nam zachować odrębność... i stare zwyczaje. To dziedzictwo Kellawayów. Wyspa jest w naszym posiadaniu od kilku stuleci. Jest wspaniałym miejscem; żywnym, bo ma sprzyjający klimat. Skalne formacje na wschodzie i na południowym zachodzie chronią nas przed zimnymi wichrami, a Golfstrom ogrzewa nas. Pokażę ci palmy w moich ogrodach. Mamy własne miasto, kościół, cmentarz, gospodę. Jesteśmy niezależni... no prawie... od lądu. To jest ziemia Kellawayów.

Kiedy mówił, jego zachowanie zmieniło się ponownie. Teraz jaśniał z dumy. Widziałam, jak bardzo kocha wyspę i poczułam do niego sympatię, ponieważ ten dziki entuzjazm był zaraźliwy. Właściwie nie widziałam jeszcze wyspy, a sama zaczynałam czuć się z niej dumna, ponieważ należałam do Kellawayów, a to była ich ziemia.

Z ciekawością oczekiwałam na to, co mi jeszcze opowie. Zauważył moje zainteresowanie, wyraźnie go ucieszyło.

- Zamierzam pokazać ci wszystko, Ellen. Obchodzimy tu święta po swojemu, mamy tu komediantów, miotaczy i zapaśników, własne ogniska w Noc Świętojańską. Stare zwyczaje przetrwały, silniejsze niż na lądzie. Niektóre pochodzą jeszcze z czasów przedchrześcijańskich. Ale najpierw musisz poznać rodzinę. Jenifry, moja siostra, jest wdową, kilka lat temu straciła męża. Zmarł w czasie epidemii tyfusu, która wybuchła na lądzie i ktoś przywłókł ją na wyspę. Jest kilka lat starsza ode mnie i zarządza zamkiem. Poszła z wizytą do chorego. Przekonasz się, jak dbamy o okolicznych mieszkańców. Zwracają się do nas, kiedy tylko mają kłopoty. To wielka odpowiedzialność. Córka Jenifry, Gwennol, będzie dla ciebie dobrą towarzyszką. Jest mniej więcej w twoim wieku. Zajmie się tobą. A teraz opowiedz mi o sobie... i życiu w domu twojej kuzynki.

Zacęłam opowiadać. Wyglądał na rozbawionego lub być może ja podkreśliłam zabawniejsze strony mojego życia. Zawsze starałam się tak robić, opowiadając o kuzynce Agacie.

- Przestań - zaprotestował wreszcie. - Nie było tam zbyt miło, prawda? Miała córkę, która nawet w połowie nie była tak piękna jak ty. Widziałem ją. I pewnie na każdym kroku przypominała ci, że żyjesz dzięki jej łasce.

Zaskoczyła mnie jego przenikliwość.

- To się zdarzało - odparłam.

- I wtedy pojawił się on - ciągnął Jago - młody człowiek, chętny, bogaty, uległy. Chcieli go na męża swojej córki, ale on wybrał ciebie. Mądry szczeniak. A potem się zabił.

- Nie, nie zrobił tego. Nie mógł tego zrobić. Gdybyś go znał, wiedziałbyś, że to niemożliwe.

- Wszystko już się skończyło - głos Jagona stał się miękki i kojący. - To przeszłość. Nie będziemy już o tym

rozmawiać. Zajmiemy się teraźniejszością... i przyszłością. Ale, zanim zakończymy temat, powiedz mi, co czekało cię w przyszłości?

- Miałam zostać guwernantką u przyjaciółki kuzynki.

- I cieszyła cię ta perspektywa?

- Nienawidziłam samej myśli o tym - powiedziałam gwałtownie.

- No pewnie! Ty... guwernantką! Moja droga Ellen, jesteś zbyt dumna na taki służalczy zawód. Nie wytrzymałabyś ani jednego dnia. To ty powinnaś angażować guwernantki dla swoich dzieci.

- Ale jestem niezamężna.

- Tak atrakcyjna dziewczyna nie pozostanie zbyt długo w stanie wolnym.

Potrząsnęłam głową.

- Nie zamierzam... - zaczęłam.

- Oczywiście - dopóki nie pojawi się odpowiedni mężczyzna. Jako twój opiekun, z radością wydam cię za męża. No dobrze, przypuszczam, że teraz masz ochotę udać się do swojego pokoju i troszeczkę odpocząć. Jeśli będziesz czegoś potrzebować, po prostu zadzwoni. Janet ci usłuży.

Podniosłam się, a on równocześnie ze mną. Podszedł do sznura i pociągnął za dzwonek. Położył rękę na moim ramieniu i mocno je uściśnął. Kiedy zśliśmy do drzwi, czułam siłę jego palców.

Prawie natychmiast pojawił się służący.

- Zaprowadź pannę Ellen do jej pokoju - rozkazał Jago. Uśmiechnął się puszczając moje ramię.

Poszłam do pokoju w dziwnym nastroju. Jago okazał się najbardziej niezwykłym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałam. Nie byłam go całkiem pewna i nie mogłam odpędzić od siebie myśli, które naszły mnie po pierwszym spotkaniu w domu przy Finlay Square. Jego nastrój zmieniał się tak szybko, a razem z nim jego osobowość. Pewna byłam tylko jednego: zupełnie nie wiedziałam, co sądzić o moim opiekuńczym kuzynie.

Nie chciałam odpoczywać. Byłam zbyt podniecona. Do obiadu zostało jeszcze mnóstwo czasu i postanowiłam obejrzeć parter zamku. Wyraźnie mi powiedziano, że mam czuć się jak u siebie w domu. Cóż, zacznę od rozejrzenia się i zbadania otoczenia.

Zeszłam po schodach, które prowadziły do sypialni, i znalazłam się w pokoju recepcyjnym. Teraz, kiedy byłam tu sama, poczułam jak silny wpływ wywiera na mnie to pomieszczenie. Zupełnie inaczej to sobie wyobrażałam. Wielki zamek i opiekun, który nie tylko nie był w średnim wieku, ale ledwie przekroczył trzydziestkę, a na dodatek zachowywał się w dość niekonwencjonalny sposób. Jego siostra z córką, które miałam poznać, pochodzące z bocznej linii rodziny, podejrzanym o konszachy z diabłem. Z pewnością moja przyszłość w miejscu tak zdominowanym przez tego człowieka daleka będzie od nudy i bardzo inspirująca. Po raz pierwszy od śmierci Philipa poczułam prawdziwe ożywienie. Zastanawiałam się, dlaczego moja matka opuściła zamek tak pośpiesznie i tajemniczo. Musiałam to odkryć. Jakże inaczej wyglądałoby moje życie, gdyby tego nie zrobiła.

Kiedy tak stałam, komnata nagle wydała mi się groźna. Uświadomiłam sobie, iż moje przybycie tutaj było dość nierozsądne. Ale nie, to przecież moja rodzina. Co prawda fakt, że Jago był człowiekiem, który mnie wystraszył w domu przy Finlay Square, zaskoczył mnie nieco. Mój kuzyn okazał się dość niezwykłym żartownisiem. Są tacy ludzie. Przyznał, że lubi dramatyczne efekty. Tak, pomyślałam, a sam odgrywa w nich rolę głównego zawiadacza!

Moje obawy były całkiem naturalne. Zawsze poddawałam się wpływowi otaczającej mnie atmosfery. Wzdrygnęłam się na myśl o wstręcie, który poczułam wchodząc pierwszy raz do domu przy Finlay Square. Ta komnata o średniowiecznym wystroju, z bronią wiszącą na ścianach - dwa skrzyżowane miecze, topór, coś na kształt włóczni z ostrzem topora bojowego, co zdaje się nosiło nazwę halabardy - podświadomie kojarzyła mi się ze zbrojownią w Trentham Towers, gdzie Philip pokazał mi pistolet, taki sam jak ten, z którego się zastrzelił. To ponure wspomnienie, kołające w mym umyśle, przypominało o tajemnych niebezpieczeństwach. Wydawało mi się, że tak jak kiedyś w domu przy Finlay Square, teraz wyczuwam przyczajoną groźbę także w Zamku Kellawayów.

Ruszyłam do drzwi, moje kroki głośno rozbrzmiewały na marmurowej posadzce, wypełniając komnatę dźwiękiem. Stanęłam bez ruchu. Jaka cisza! Co za bzdura nadawać domowi cechy ludzkie. Ale któż to wie? Kiedy dom stoi przez ponad siedemset lat, staje się świadkiem wielu wydarzeń. Gdyby kamienie umiały mówić, jakie opowieści snułyby! W domu takim jak ten, musiały mieć miejsce zdarzenia radosne i smutne, śmieszne i tragiczne. Miałam wrażenie, że część owych zdarzeń została zapisana i zatrzymana w tych murach, a czasami nadchodzi pora, gdy ściany nie potrafią już dłużej utrzymać sekretu.

Głupie myśli, ale byłam jak na rozdrożu. Usiłowałam uciec od jednego życia, z jego wszystkimi niechcianymi reperkusjami i rozpocząć nowe, którego nie byłam jeszcze pewna.

Wyszłam na zewnątrz na podwórzec i ujrzałam łukowate przejście wykute w murze. Prowadziło na następny dziedziniec, położony nieco niżej. Przeszłam przezeń i po kilku stopniach zeszłam na jeszcze niższy. Wychodziło na niego kilka okien - małych, z szybkami z ołowiowego szkła. Zauważyłam następne przejście, z którego prowadziła kręta ścieżka, oflankowana murami. Podążyłam nią.

Nagle usłyszałam gwałtowne bicie skrzydeł i ptasie gruchanie. Znalazłam się na następnym podwórku. Właśnie stąd dobiegały ptasie głosy, kilka gołębi dziobało tam kukurydzą rozsypaną na bruku.

Kiedy się zbliżyłam, niektóre z ptaków odfrunęły i usiadły w małych gołębnikach rozwieszonych na ścianach. Reszta zignorowała mnie zupełnie, dalej zawzięcie dziobiąc ziarno. Większość ptaków miała pospolite, szaroniebieskie pióra, ale niektóre były brązowe. Nigdy wcześniej nie widziałam gołębi o takiej barwie upierzenia.

Kiedy stałam i patrzyłam na ptaki, kątem oka zauważyłam cień w jednym z parterowych okien. Ktoś mnie obserwował.

Gwałtownie odwróciłam się. Cienia już nie było.

Obejrzałam się na gołębie i czekałam. Cień znowu się pojawił.

- Czy to twoje ptaki? - zawołałam.

Żadnej odpowiedzi. Podeszłam bliżej do okna, w którym zauważyłam cień, ale nikogo nie było.

W ścianie znajdowały się małe drzwi i zapukałam w nie. Chciałam spytać o brązowe gołębie. Uświadomiłam sobie, że wcześniej drzwi były lekko uchylone, ale kiedy przyglądałam się ptakom, zostały cicho zamknięte. Ktoś po drugiej stronie wyraźnie nie chciał mnie wpuścić.

Wydawało mi się, że słyszę ciężki oddech.

Dziwne! Cóż, skoro ten ktoś nie chciał ze mną rozmawiać, nie powinnam mu przeszkadzać... lub jej. Jednak impuls zmusił mnie do ponownego zapukania do drzwi.

Brak odpowiedzi.

Krzyknęłam:

- Chciałam tylko spytać o gołębie.

Wciąż żadnego odzewu.

Jakie dziwne. Jakie nieprzyjemne. Przypuszczałam, że musi to być ktoś ze służby. Wzruszyłam ramionami, zostawiłam dziedziniec ptakom i wróciłam drogą, którą przyszłam.

Być może postąpiłam nierozsądnie sama rozpoczynając zwiedzanie zamku. Gdyby mnie ktoś oprowadzał, byłoby zdecydowanie przyjemniej. Wśród mieszkańców z pewnością znalazłby się ktoś, komu sprawiłoby to przyjemność.

Znalazłam drogę powrotną do swojego pokoju. Musiałam przebrać się do obiadu. Postanowiłam założyć niezwykle elegancką błękitną suknię i zastanowiłam się przez chwilę, czy kiedykolwiek jeszcze będę potrzebowała tę praktyczną, czarną, którą włożyłam na bal Esmeraldy, kiedy oświadczył mi się Philip. Gdy przypięłam orchideę Philipa, wyglądała całkiem uroczo...

Znowu myślałam o przeszłości. Czy nigdy się od niej nie uwolnię? Czy kiedykolwiek będę zdolna pozbyć się wspomnień? Nawet teraz, zakładając suknię w kolorze błękitu, przypominałam sobie, że miałam ją włożyć na kolację z Philipem przy Canale Grande.

Jakże mocno zapadła mi w pamięć pierwsza noc spędzona na zamku!

Służąca przysłała do pokoju, aby zaprowadzić mnie do miejsca, w którym zebrała się już oczekująca na mnie rodzina. Jago, z rękoma założonymi do tyłu, stał przed kominkiem. Jego oczy lśniły, a postać górowała nad wszystkimi zgromadzonymi w pokoju. Z obu stron stały kobiety. W starszej, około czterdziestki, domyśliłam się jego siostry Jenifry. Młodsza musiała zatem być siostrzenicą, Gwennol. Tak jak mówił, była mniej więcej w moim wieku.

- Chodź, Ellen - powiedział. - Chodź i poznaj rodzinę. To jest Jenifry, moja siostra.

Moje serce zamarło, kiedy zbliżyła się z wyciągniętą ręką. Była prawie tego samego wzrostu co Jago, miała też orli nos, który nadawał jej twarzy wyniosły, arogancki wyraz. Rodzinne podobieństwo między nimi było bardzo wyraźne.

Miała ciepły i przyjemny głos.

- Bardzo się cieszymy z twojego przyjazdu, Ellen - powiedziała, ale w jej oczach pozostał chłód, będący w wyraźnej sprzeczności z tonem.

- To miło z pani strony - odparłam.

- Bardzo się cieszymy, że w końcu jesteś z nami. Gwennol, podejdź i poznaj Ellen.

Gwennol także była ciemna. Miała prawie czarne włosy, brązowe oczy, lekko zadarty nos i szerokie usta. Kontrast pomiędzy sentymentalnym, marzycielskim spojrzeniem oczu a wyrazistymi rysami twarzy, był naprawdę uderzający.

- Witaj, Ellen - powiedziała. - Witaj na Wyspie Kellawayów.

- Powinnyście się zaprzyjaźnić - wtrąciła Jenifry.

- Musisz oprowadzić Ellen po zamku - dodał Jago i uśmiechnął się do nas.

Prawie jednocześnie wszedł służący mówiąc, że podano do stołu. Jago ofiarował mi ramię.

- Ponieważ jest to specjalna okazja, obiad podano w dużej jadalni. To zwyczaj zarezerwowany dla świąt i innych ważnych okoliczności. A czy może być coś bardziej specjalnego niż dzisiejszy dzień?

Nigdy nie zapomnę widoku tej komnaty pierwszego wieczoru w zamku Kellawayów. Odczułam wtedy mieszaninę zachwytu i nabożnego podziwu, tym bardziej ekscytującego, że doprawione go pewną dozą lęku.

W jednym końcu olbrzymiej sali znajdowały się drzwi prowadzące do kuchni, przez które wchodzili i wychodzili służący, nad drzwiami znajdowała się galeria minstreli. W drugim końcu ustawiono pod kątem prostym do długiej osi sali podwyższenie. Balustradę galerii minstreli dekorowały jelenie poroża, a część ścian pokrywały przepiękne tkaniny. Wysoki sufit, kamienne mury i porozwieszana na ścianach broń, nadawały komnacie iście królewski wygląd. Na podwyższeniu stał długi dębowy stół. Długie ławy były zajęte. Jak później powiedział mi Jago, zasiadali tam zatrudnieni w posiadłości pracownicy - farmerzy, zarządcy, urzędnicy, a na samym końcu - z trudem mogłam w to uwierzyć - ludzie pomniejszej rangi. Właśnie w ten sposób w dawnych czasach ucztowali królowie.

Scena, która rozgrywała się na moich oczach, była jakby przeniesiona wprost ze średniowiecza, a kiedy z galerii minstreli rozległa się cicha muzyka, z rozbawieniem pomyślałam o determinacji, z jaką usiłowano tu odtworzyć atmosferę minionych dni. Lecz jednocześnie poczułam wzruszenie, ponieważ wiedziałam, że wszystko to odbywa się na moją cześć.

Kiedy weszliśmy, wszyscy siedzący przy długim stole podnieśli się. Jago szedł pierwszy w stronę podium, wciąż trzymając mnie pod rękę. Wreszcie stanął przy stole ze mną u boku.

- Mam wielką przyjemność - ogłosił - przedstawić państwu pannę Ellen Kellaway, moją podopieczną i kuzynkę, która przybyła do nas, miejmy nadzieję, na bardzo długo. Dzisiejszy obiad został wydany, aby uczcić jej przyjazd na zamek i wyspę, i wierzę, że jej widok cieszy was równie mocno jak mnie.

Rozległ się szmer uznania. Nie byłam pewna, jak powinnam się zachować, więc tylko uśmiechnęłam się, a Jago

podsunął mi krzesło. Wszyscy usiedli. Podano gorącą zupę.

- I co o tym myślisz? - szepnął do mnie Jago.

- To niewiarygodne. Nigdy sobie nie wyobrażałam czegoś takiego.

Poklepał mnie po ręce.

- To dla ciebie. Żeby pokazać ci, jak tutaj żyjemy i abyś przekonała się, jak bardzo cieszymy się z twojego przybycia.

- Dziękuję - odpowiedziałam. - Jesteś dla mnie taki miły. Nigdy w życiu mnie tak nie podejmowano.

- O to nam właśnie chodziło.

Zupa była wspaniała. Po niej podano dziczyznę. Słuchałam muzyki i pomyślałam, że sala ta zapewne niezbyt zmieniła się przez ostatnie trzysta lat. Jenifry siedziała po lewej stronie Jagona, a Gwennol obok mnie. Zauważyłam, że niektórzy goście przy długim stole rzucali w moją stronę ukradkowe spojrzenia. Zastanawiałam się, co sądzą o całej tej uroczystości. Ale uświadomiłam sobie, że prawdopodobnie przywykli do podobnych uczt. Potwierdził to Jago.

- Do starych zwyczajów wracamy zawsze w czasie Bożego Narodzenia. Jadalnia przystrojona zostaje ostrokrzewem i bluszczem. Występują tutaj kołodźnicy i trupy aktorskie.

- Staramy się ustalić dokładny wiek zamku - dodała Jenifry. - Oczywiście początkowo był tylko twierdzą chroniącą wyspę i dopóki nie został zamieniony w rezydencję, musiał być bardzo mały i niewygodny. Gwennol bardzo się tym interesuje, prawda córeczko?

- Kiedy się tutaj mieszka, trudno nie myśleć o zamku - wyjaśniła Gwennol. - Wciąż znajdujesz nowe aspekty tego miejsca i usiłujesz wyjaśnić, kiedy właściwie się pojawiły.

- Z tobą będzie tak samo - powiedział do mnie Jago - gdy tylko poczujesz atmosferę. Jutro zaczniemy zwiedzanie. O ile wiem, jeździsz konno.

- Tak. Kiedy byliśmy w Londynie, jeździłam, choć rzadko. Na wsi oczywiście dużo częściej.

- Doskonale. Zaoszczędzi to nam kłopotów z nauką. Musimy wybrać dla ciebie właściwego wierzchowca.

- To będzie dla mnie prawdziwa przyjemność.

- Mamy taką nadzieję - stwierdził Jago, zwracając się do kobiet. - Chcemy, żebyś się dobrze bawiła, bo wtedy nie będziesz chciała nas opuścić.

- Za wcześnie jeszcze, żeby o tym mówić. Chyba wiesz, co się mówi o gościach?

- Nie. Powiedz mi.

- Wspaniale, kiedy odwiedzą cię na kilka dni. Ale jeśli nadużywają gościnności, nie możesz doczekać się ich wyjazdu.

- Ellen, nie jesteś gościem. Należysz do rodziny. Czyż nie?

- Oczywiście - potwierdziła Gwennol.

- Opowiedz mi o wyspie - poprosiłam. - Z niecierpliwością oczekuję zwiedzania.

- Nie będziesz się czuć odcięta od świata. Wyspa jest wystarczająco duża.

- Chociaż są chwile, że nie można przedostać się na ląd - wtrąciła Gwennol.

- A czasem - dodała Jenifry - może to trwać całymi dniami... nawet tygodniami.

Jago przerwał jej.

- Ellen już o tym wie. Czyż nie oczekiwała w gospodzie w Polcrag na łódź? Tutejsi ludzie nie odczuwają braku niczego, co można dostać na łądzie. Możemy obyć się bez niego. Mamy nawet własną gospodę. Przybysze zatrzymują się w niej.

- Są tam tylko cztery łóżka dla gości i raczej rzadko zajęte - uzupełniła Gwennol. - Tak naprawdę to raczej karczma, gdzie ludzie przychodzą, aby coś wypić, pośpiewać i znaleźć towarzystwo.

- I bardzo dobrze - stwierdził Jago. - Nie chcemy, żeby obecność zbyt wielu przyjezdnych zepsuła to miejsce.

Odkrywałam, że wyspa stanowi dla niego prawdziwą obsesję. Kochał ją. Według niego była po prostu rajem. Rozumiałam go. Wyspa należała do niego i był z niej dumny.

- Czy zdarzają się tu jakieś przestępstwa? - spytałam.

- Bardzo rzadko - zapewnił mnie. - Wydaje mi się, że wiem jak nauczyć ludzi przestrzegania prawa.

- A więc nie istnieje coś takiego jak więzienie?

- W zamku są lochy, które służą nam przy rzadkich okazjach, kiedy zachodzi taka potrzeba.

- I prawo na to zezwala?

- Jestem sędzią pokoju. Oczywiście w przypadku ciężkiego przestępstwa... na przykład morderstwa... sprawca musi zostać odtransportowany na ląd. Ale z drobnymi przewinieniami radzimy sobie sami.

- A czy teraz w lochach są jacyś więźniowie?

Jago roześmiał się.

- Dlaczego pytasz? Obawiasz się, że jakiś zdesperowany człowiek mógłby uciec, włamać się do twojego pokoju i zabrać ci pieniądze lub życie? Nie, moja droga Ellen, nikogo tam nie ma. To zdarza się rzadko. Podziemia są rzeczywiście straszne, prawda?

- Wilgoć i ciemności - wzdrygnęła się Gwennol - a do tego ponoć grasują tam duchy. W przeszłości Kellawayowie zamykali w lochach swoich wrogów i zostawiali ich tam, żeby umarli. Duchy nieposłusznych prawom nawiedzają podziemia. Oczywiście teraz ludzie dwa razy pomyślą, zanim zrobią coś, co mogłoby ich doprowadzić do spędzenia choćby jednej czy dwóch nocy w lochach.

- Chciałabym je obejrzeć.

- Jak sobie życzysz - obiecał mi Jago. - Wszystko jest do twojej dyspozycji. Zwiedzaj, co i kiedy chcesz.

- Jeśli o tym już mowa, trochę już obejrzałam przed obiadem.

- Doprawdy? - Jago wyglądał na zadowolonego. - I cóż znalazłaś?
- Widziałam gołębie. Nigdy wcześniej nie spotkałam gołębi o brązowej barwie.
- Zawsze trzymaliśmy trochę takich na zamku. Jenifry, opowiedz Ellen tę historię.
- Po prostu - zaczęła jego siostra - jeden z naszych przodków został uratowany przez brązowego gołębia. Myślę, że pochodzą z Włoch. Po którejś z bitew dostał się do niewoli. Tam odwiedzał go mały, brązowy gołąb i siadał na parapecie. Zaprzyjaźnili się. Gołąb zaczął przylatywać z samiczką, a więzień je karmił. Wkrótce oswoił ptaki, a potem przywiązał do ich nóg wiadomość, licząc na to, że dotrze ona do któregoś z jego przyjaciół. Choć nawet on sądził, iż to ponne nadzieje. Kiedy więc po dłuższym czasie list rzeczywiście dotarł do celu, uznał to za rodzaj cudu, a ptaka za wysłannika losu. Został uratowany i zabrał ze sobą brązowego gołębia razem z samiczką. Mówi się, że dopóki na zamku gnieźdzą się brązowe gołębie, Kellawayowie pozostaną na wyspie.

- Miła opowieść, czyż nie? - spytał Jago.

- Czarująca - odparłam.

Kiedy obiad dobiegł końca, Jago wstał, a my: Jenifry, Gwennol i ja, poszłyśmy za nim do drzwi w końcu sali. Reszta gości pozostała przy stole. Wyobrażałam sobie, że musieli poczuć dużą ulgę z powodu zakończenia oficjalnej części; wreszcie mogli normalnie porozmawiać ze sobą.

Weszliśmy do salonu, gdzie podano kawę.

Atmosfera zrobiła się zdecydowanie bardziej przytulna. Usiadłam obok Gwennol, która chciała dowiedzieć się szczegółów o moim życiu w Londynie. Opowiadałam więc dokładnie o domu w pobliżu Hyde Parku i o przechadzkach po Ogrodach Kensingtonskich, o karmieniu kaczek na stawie, o krytej alejce wokół Pond Garden.

- W naszym ogrodzie także mamy krytą alejkę i staw - powiedział Jago, zupełnie jakby chciał mnie zapewnić, że na wyspie znajdę wszystko, co do tej pory znałam. Był oczywiście dumny ze swej posiadłości, ale miałam wrażenie, że wciąż niepokoi się, czy będę szczęśliwa i zechcę zostać.

Gwennol chciała wiedzieć więcej, więc opowiadałam o przyjęciach u kuzynki Agaty i u Carringtonów, o herbatkach u Gunthera w zimowe popołudnia, o czerwonym dywanie i markizie zawieszanej przed przyjściem gości.

Słuchali uważnie, potem sami opowiadali o wyspie. Życie, jakie pędziłam u kuzynki Agaty zaczęło mi się wydawać tak odległe, jakby go nigdy nie było.

O wpół do jedenastej Jago uznał, że muszę być zmęczona.

- Jenifry odprowadzi cię do pokoju - powiedział.

Jego siostra wzięła ze stołu świecznik. Podziękowałam Jagonowi za wspaniały wieczór i pożegnałam się.

- Rano wybierzemy się na przejażdżkę po wyspie - obiecał.

Potem wyszłam razem z Jenifry.

Z powrotem weszliśmy do jadalni. W świecznikach płonęły świece, rzucające ruchome cienie na ściany. Sala jeszcze bardziej wyglądała jak przeniesiona wprost ze średniowiecza.

- Tędy idzie się do twojego pokoju - poinformowała mnie Jenifry. Przeszliśmy przez jadalnię do kamiennych schodów. - Niedługo poznasz drogę, ale początkowo mogłabyś zabłądzić.

- Zamek jest bardzo rozległy.

- O tak, ma mnóstwo komnat, ale my nie jesteśmy liczną rodziną. W takim miejscu mogłaby mieszkać znacznie większa.

Doszliśmy do szczytu schodów, minęliśmy galerię i wspięliśmy się na inne schody. Teraz już wiedziałam, gdzie jestem.

Otworzyła drzwi. Pokój wyglądał inaczej, niż w momencie, w którym go opuściłam. Teraz był zbyt mroczny i stał się jakby obcy. Zasłony przysłoniły okno, ukrywając kamienną alkówę z siedzeniem przy parapecie. Nad całym pomieszczeniem dominowało łożo z baldachimem.

- Poczekaj chwileczkę - powiedziała Jenifry i zapaliła świece od płomienia utrzymanego w ręku kaganka. Na stole stały dwa świeczniki i dwa na półce nad kominkiem. W migającym świetle było coś tajemniczego. Wspominając wydarzenia całego dnia, pomyślałam: Dzisiejszej nocy nie będę zbyt dobrze spała.

Jenifry uśmiechnęła się do mnie.

- Mam nadzieję, że będzie ci wygodnie. - Wskazała na czerwono-złoty sznur dzwonka. - Dzwoni w służbówce i ktoś natychmiast zjawi się na wezwanie.

- Na pewno mam wszystko, czego mi potrzeba - zaczynałam przyzwyczajając się do światła świec. - Jesteście tacy mili.

Uśmiechnęła się. Jej dobrotliwe zachowanie sprawiło, że poczułam się jakbym była dzieckiem, a ona przyjaciółką, która się mną opiekuje.

Spojrzałam w lustro i ujrzałam siebie, bardzo elegancką w nowej sukni, z nienaturalnie błyszczącymi oczami i rumieńcami na policzkach. Wyglądałam jak ktoś obcy.

Zauważyłam też odbicie Jenifry. Wyraz jej twarzy zmienił się zupełnie, stała tam inna kobieta. Miała zmrużone oczy i zacięte usta; zupełnie jakby zsunęła się maska, ukazując skrywaną pod spodem prawdę. Nie był to przyjemny widok. Odwróciłam się gwałtownie. Ale jej twarz ponownie uśmiechała się do mnie.

- Cóż, skoro uważasz, że masz wszystko, czego ci trzeba, to powiem tylko dobranoc.

- Dobranoc - odpowiedziałam.

Już przy drzwiach odwróciła się i jeszcze raz uśmiechnęła.

- Śpij dobrze.

Drzwi się zamknęły. Przez chwilę patrzyłam za nią niewidzącym wzrokiem. Moje serce biło nienaturalnie szybko.

Znowu zerknęłam w lustro i zauważyłam, że jest bardzo stare, nieco zmętniałe, ale w pozłacanej, pięknie rzeźbionej ramie. Prawdopodobnie stało tutaj od dwustu lat. Nieco zniekształcało odbicie, ale czyżby aż tak zmieniło jej twarz? Czy naprawdę patrzyła z wyrachowaniem, wrogo, prawie ze złością, jakby mnie nienawidziła?

Usiadłam i wyjęłam z włosów szpilki. Potrząsnęłam głową, a włosy opadły mi na ramiona. Były ciężkie, ciemne i sięgały do pasa.

Problem w tym, powiedziałam do siebie, że tyle czasu traktowano mnie jak nie chcianego intruza, iż nie mogę uwierzyć w prawdziwą przyjaźń. Musiałam wyobrazić sobie zmianę na jej twarzy. Ale przez chwilę naprawdę było to przerażające. Powoli wyszczotkowałam włosy i zaplotłam je, próbując się uspokoić i przygotować do snu. Odsunęłam zasłony i weszłam po stopniach, usiadłam przy parapecie. Domy na wyspie wyglądały na pogrążone we śnie, tylko gdzieś tam w ciemnościach lśniły światełka. Morze było spokojne i piękne, w wodzie odbijał się blask księżyca. Pełen spokoju, sielski pejzaż. Jakże różny od moich myśli! Oczywiście wybiłam się ze snu. Tyle się dzisiaj wydarzyło! Spotkałam Jagona Kellowaya i odkryłam, iż nie jest dla mnie całkowicie obcy. Spodziewałam się zastać skromny dom na wyspie, a trafiłam do zamku, którego Jago jest dumnym właścicielem. Odnalazłam dalekich krewnych i miałam dowiedzieć się o mojej rodzinie. Chciałam, żeby był już dzień, tak niecierpliwie oczekiwałam nowych odkryć.

Migający blask świec był naprawdę niesamowity. Meble rzucały długie cienie po całym pokoju. Podeszłam do toaletki i spojrzałam w lustro. Nagle wydało mi się, że ujrzałam obok swojej twarzy Jenifry, wykrzywioną w demonicznym uśmiechu. To wszystko wyobraźnia, oczywiście. Jestem przewrażliwiona. Jutro będę się śmiała sama z siebie, ale jest jeszcze dzisiaj, a do świtu pozostało kilka godzin ciemności.

Kiedy spojrzałam w lustro, usłyszałam za sobą jakiś dźwięk. Drgnęłam i przewróciłam jedną ze świec. Szybko podniosłam ją, parząc się gorącym woskiem, który polał się na moją rękę. Uniosłam świecę wysoko i rozejrzałam się po pokoju.

Nikogo nie było.

Sprawdziłam drzwi - zamknięte. Znowu usłyszałam dźwięk i domyśliłam się, że dochodzi z szafy. Podeszłam do niej i roześmiałam się głośno z własnego strachu, ponieważ przyczyną hałasu były niedokładnie zamknięte drzwi.

Otworzyłam je. Moje ubrania wisiały rzędem. Kiedy tak stałam, niebieska suknia, którą miałam na sobie tego wieczoru, powoli zsunęła się z wieszaka i spadła na ziemię. Podniosłam ją i wtedy ujrzałam jakiś napis na ścianie. Prawdopodobnie został wydrapany na powierzchni farby ostrym narzędziem.

Odsunęłam na bok ubrania i zniżyłam świecę.

Przeczytałam: „Jestem więźniem w tym pokoju. S. K.”

Zastanawiałam się kim był S. K. i co miał na myśli twierdząc, iż jest tu więźniem. Uznałam, że to zapewne dziecko, ponieważ litery świadczyły o niewprawnej ręce, a w zwyczaju dzieci leży wypisywanie takich haseł, kiedy zostaną za karę odesłane do pokoju.

Odstawiłam świecę na toaletkę. Całe wydarzenie nie uczyniło mnie bardziej śpiącą, ale położyłam się do łóżka. Wydawało się takie wielkie! Zaczęłam rozmyślać o tych wszystkich ludziach, którzy sypiali w nim od ponad stu lat. S. K. był pewnie jednym z nich.

Nie zgasiłam świec od razu. Chciałam przez jakiś czas zatrzymać przyjemne światło, które mi dawały. Leżałam patrząc na rzeźbiony sufit, którego ornamenty trudno było dostrzec w mroku.

Ocknęłam się gwałtownie. Wydało mi się, że słyszę kroki pod moimi drzwiami. Usiadłam w łóżku i zaczęłam nasłuchiwać.

Ponosi cię wyobraźnia, pomyślałam. To nic takiego.

Esmeralda powiedziałaaby, iż sama się tak nastrajam. Kiedyś zwykle wymyślałam opowieści o innych ludziach, dla siebie rezerwując przyjemne role. Tym razem stwierdziłam, że moja imaginacja potrafi także działać na mą niekorzyść, choć kiedyś mi pomagała.

Wstałam z łóżka i sprawdziłam, czy klucz tkwi w zamku. Przekręciłam go i w bezpiecznym zamknięciu poczułam się na tyle lepiej, że zdmuchnęłam świece.

Leżałam przez chwilę, a wydarzenia minionego dnia wirowały mi w głowie. Wreszcie musiałam być tak zmęczona, że zasnęłam. To nieuniknione, że nawiedził mnie ów sen.

Wszystko było tak żywe, jakby działa się naprawdę. Pokój z czerwonymi zasłonami, stół, siedzenie przy oknie, krata przy kominku... porcelanowe bibeloty. Obraz, przedstawiający burzę na morzu, wiszący nad kominkiem. Zauważyłam, że wiatr porusza zasłonami. Drzwi zaczęły się otwierać. Powoli. Teraz... ten okropny strach, pewność, iż za chwilę znajdę się w wielkim niebezpieczeństwie.

Obudziłam się, jak zwykle ogarnięta przerażeniem. Przez chwilę nie wiedziałam, gdzie jestem. Potem sobie przypomniałam przyjazd na Wyspę Kellowayów.

Moje serce tłukło się w piersi. Zadrżałam ze strachu.

To tylko sen, uspokajałam samą siebie, ale przeznaczenie zdawało się coraz bliższe.

ROZDZIAŁ 6 TAJEMNICA SZKICOWNIKA

Promienie słoneczne wypełniły mój pokój. Świt odegnał bez śladu nocne koszmary.

Zadzwoniłam i po chwili zjawiła się Janet.

- Dobrze pani spała, panienko Ellen? - spytała.

Odparłam, że owszem, kiedy już wreszcie udało mi się zasnąć.

- Zawsze tak jest w nowym łóżku - stwierdziła i poszła po gorącą wodę.

Gdy zesłam na dół, Gwennol i Jenifry siedziały już przy stole. One również zapytały, jak spałam.

- Wszystko stoi na kredensie - powiedziała nie czekając na odpowiedź Jenifry. - Szynka, jajka i smażone cynaderki.

Jeśli wolałabyś coś innego, Benham dopilnuje, aby ci to podano.

Podeszłam do kredensu, na którym stały półmiski. Nałożyłam sobie trochę szynki i jajka, po czym usiadłam, aby je zjeść.

Rozmawialiśmy właśnie o pogodzie, kiedy w jadalni zjawił się Jago. Jego wzrok natychmiast powędrował w moją stronę. Spytał troskliwie, czy się wyspałam i czy mam wszystko, czego mi trzeba. Oznajmił, że za jakąś godzinę będzie mógł pokazać mi wyspę. Czy do tego czasu będę już gotowa? Odparłam, że tak.

- Jeśli jesteś zajęty, Gwennol lub ja możemy oprowadzić Ellen - zaproponowała Jenifry.

- Nie ma potrzeby - odrzekł ostro. - Pragnę zachować tę przyjemność dla siebie.

- Którego konia jej wybrałeś? - spytała Gwennol.

- W odpowiednim czasie, rzecz jasna, Ellen sama zadecyduje. Zastanawiałem się, czy na początek nie doradzić jej Daveth.

- Ma chyba nieco zbyt żywy temperament.

- Może więc będą do siebie pasowały - przyglądał mi się z dziwnym wyrazem twarzy, którego nie potrafiłam odczytać. W każdym razie sprawił on, iż natychmiast zdecydowałam się dosiąść nadmiernie żywej Daveth.

Po śniadaniu przebrałam się w strój do konnej jazdy, który na szczęście znalazł się w mojej wyprawie. Był jasnoszary i niezwykle elegancki. Miałam też do niego popielaty kapelusz - wysoki niczym męski cylinder - w którym, jak doskonale wiedziałam, było mi bardzo do twarzy.

Kiedy spotkaliśmy się na dziedzińcu przed stajniami, Jago spojrział na mnie z podziwem.

- Jesteś bardzo elegancka - stwierdził. - Wyglądamy przy tobie jak prostacy.

Roześmiałam się.

- Ten kostium należy do mojej wyprawy. Zapewniam cię, że wcześniej nie miałam nic równie wspaniałego.

- Przynajmniej coś ci zostało! Ale pamiętaj, zawarliśmy umowę, że nie rozmawiamy o przeszłości. Tutejsi mieszkańcy będą tobą oczarowani, a ja z przyjemnością przedstawię cię im - i wyspie. Najpierw pojedziemy na najwyższe wzniesienie, skąd widać całą okolicę i szmat morza, oczywiście przy sprzyjającej pogodzie. W ten sposób zorientujesz się w ogólnym ukształtowaniu terenu. Następnie zabiorę cię do naszego małego miasteczka. To nazwa nieco na wyrost, ale komu to szkodzi?

Dosiadał białego konia o czarnej grzywie i musiałam przyznać, iż zarówno jeździec, jak i wierzchowiec wyglądali wspaniale - znakomicie do siebie pasowali. Daveth, zgodnie z ostrzeżeniem Gwennol, była dosyć żywa, ale zdołałam ją opanować. Jago zerknął na mnie parę razy. Poczułam, jak ogarnia mnie ogromna, niewytłumaczalna radość, iż jestem w miarę wprawnym jeźdźcą, czym - jak sądziłam - zyskałam sobie aprobatę Jagona.

Na szczycie wzgórza przystanęliśmy. Cóż za piękny widok roztaczał się przed nami! Po raz pierwszy ujrzałam zamek z daleka - szare, kamienne mury i baszty zwieńczone blankami. Imponująca budowla! Dumny i niezdołany, zdawał się niemal wojowniczo wyzywać wroga, aby spróbował go zaatakować. W przeszłości stanowił znakomitą fortecę, niedostępną dla nieprzyjacielskiej piechoty. W dali dostrzegłam Błękitną Skałę, wyrastającą pośród fal.

Jago podążył wzrokiem za moim spojrzeniem.

- Błękitna Skała - stwierdził. - Szkoda, że pozwoliliśmy, by wymknęła się nam z rąk. Kiedyś należała do Kellowayów.

- Co się zatem stało?

- Twój dziadek ją sprzedał. Wpadł wtedy w kłopoty finansowe. Prawdę mówiąc, był niezłym hazardzistą. Rodzina do tej pory żałuje tej transakcji.

- Czy to dom? Tam, na wysepce?

- Tak. To Dom na Błękitnych Skałach. Ten zbudowany przez Gwennol, o której ci opowiadałem.

- A obecnie? Czy ktoś tam mieszka?

- Pewien malarz. Odziedziczył ją po człowieku, który kupił wyspę od twojego dziadka. Jest jego siostrzeńcem... albo stryjecznym wnukiem czy czymś takim.

- I mieszka tam sam?

- Zupełnie sam. Ale nie siedzi tam przez cały czas. Z tego, co wiem, sporo podróżuje.

- Czy to znany artysta?

- Nie znam się na tym dostatecznie dobrze, by ci odpowiedzieć. Nazywa się James Manton. Słyszałaś o nim?

- Niestety, także nie wiem zbyt wiele o malarstwie. Moja matka malowała. Pamiętam, jak zawsze nosiła przy sobie szkicownik i rysowała dla mnie różne zabawne obrazki. Chciałabym kiedyś poznać tego Jamesa Mantona.

- On nie odwiedza wyspy. Bardzo nie lubili się z twoim ojcem. Spójrz! Z tej strony można dostrzec łąd. Widzisz?

Istotnie, w dali rysował się zarys brzegu.

- To pocieszający widok.
- Pocieszający? - między jego brwiami pojawiła się drobna zmarszczka.
- Człowiek nie czuje się przynajmniej tak bardzo odcięty od reszty świata.
- Czy to ci przeszkadza? Odcięcie?
- Niespecjalnie, lecz przypuszczam, iż w głębi ducha zawsze czujesz, że jesteś na wyspie, a wtedy miło jest wiedzieć, że niedaleko leży stały ląd.
- Przy złej pogodzie rzeczywiście jesteśmy odcięci... jak się sama przekonałaś. Czasami szaleństwem byłoby wyprowadzić się na morze.
- Tak, ale zawsze pozostaje świadomość, iż zła pogoda nie trwa wiecznie.
Skinął głową.
- Pokażę ci naszą społeczność. Jest pełna i kompletna. Można powiedzieć, że tworzymy tu małe królestwo. Życie na wyspie jakby zatrzymało się w minionym czasie i zamierzam to zachować.
Prześlalopowaliśmy przez zieloną łąkę i znaleźliśmy się na plaży.
Pokazał mi pał, wbity w piasek.
- Przy wysokim przypiływie - oznajmił - zakrywa go woda. Stoi tu od pięćuset lat. W tamtych czasach pan wyspy rozkazywał, by zbrodniarza przywiązać do pała podczas niskiego przypiływu. Dawano mu dwa bochny jęczmiennego chleba i dzbanek wody i zostawiano tutaj. Kiedy woda podnosiła się, tonął.
- Jakież to okrutne!
- To była sprawiedliwość na miarę tamtych czasów.
- Mam nadzieję, że dziś nie stosujesz już podobnych praktyk - powiedziałam żartobliwie.
- Nie, ale utrzymuję tu porządek, jak już ci mówiłem. Spójrz! To jest stary stołek do pławienia. Do dziś pozostaje w użyciu... Czasami przyjaciel męża wykąpie gderliwą żonę. Nieraz też trzeba sobie radzić z kimś podejrzanym o czary.
- Takie rzeczy nadal się zdarzają?
Jago wzruszył ramionami.
- Stare zwyczaje nie giną tak łatwo, a tu na wyspie przetrwały dłużej niż na lądzie. Ruszajmy, chcę, żebyś poznała kilkoro mieszkańców. Pragnę, aby dowiedzieli się, iż jesteś moim honorowym gościem.
Wkrótce dotarliśmy do skupiska domów, leżących pośród pól. Z naprzeciwka nadjechał wyładowany wóz. Woźnica skłonił głowę i zawołał:
- Dzień dobry panu, panie Jago!
- Dzień dobry - odparł Jago. - To moja podopieczna, panna Ellen Kellaway.
- Dzień dobry pani - powiedział mężczyzna.
- I piękny, co, Jim?
- Tak, panie, jako żywo piękny.
Minął nas i odjechał.
- Wszyscy ci ludzie - oznajmił Jago - to nasi dzierżawcy. Każdy skrawek ziemi należy do Kellawayów i stanowi własność rodu od sześciuset lat.
W centrum osady znajdował się sklep o wystawie zapchanej towarami. Wyglądało na to, iż można tu dostać materiały, trykoty, świece, towary żelazne i kolonialne oraz pieczywo - wszystko naraz. Przyrzekłam sobie, iż skorzystam z pierwszej nadarżającej się okazji, by go odwiedzić.
Z jednego z domów dochodziły odgłosy wesołej zabawy.
- Mogę zgadnąć, co się tu dzieje - stwierdził Jago - bo wiem, że urodziło im się kolejne dziecko. To chrzciny. Nie byłoby zadowoleni, gdybym przejechał nie gratulując rodzicom i nie składając życzeń dziecku. Zsiądziemy i odwiedzimy ich na chwilę. Chłopcze! - krzyknął. - Chodź tu i przytrzymaj konie! - jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawił się jakiś wyrostek.
- Weź oba - mojego i pani - poleciał Jago. Zeskoczyliśmy z siodła i weszliśmy do domu.
- Ależ to pan! - wykrzyknęła jakaś kobieta i dygnęła.
Znajdowaliśmy się w niewielkim domku, w którym zgromadziło się kilkanaście osób, i dla nas z Jagonem ledwie starczyło miejsca - szczególnie dla niego. Kiedy stał tam, otoczenie przypominało raczej domek dla lalek.
- To wielki zaszczyt - powiedział mężczyzna, będący najprawdopodobniej mężem kobiety, która powitała nas w drzwiach.
- Gdzie dziecko? - zapytał Jago.
- W kołyszce, proszę pana. Bylibyśmy zaszczytzeni, gdyby zechciał pan jej pobłogosławić i poczęstować się kawałkiem strucli.
- Z chęcią - odparł Jago - i panienka również.
- I szklaneczkę tarniówki, dla popicia.
- Poproszę.
Pokrojono ciasto. Oboje z Jago dostaliśmy po kawałku i po kieliszku wódki, od której zapiekło mnie w gardle.
- Zdrowie dziecka - rzucił.
- Niechaj wyrośnie na dobrą poddaną swego pana - odparła matka dziecka.
- Niechaj tak będzie - zakończył Jago.
Wyszliśmy na ulicę, gdzie chłopak czekał cierpliwie z naszymi końmi. Dosiedliśmy ich i ruszyliśmy ulicą.
- Przekonasz się, iż większość domów jest bardzo podobna - poinformował mnie. - Znane są jako Dożywotnie Chaty. Zbudowano je nocą, toteż ich właściciele mają prawo w nich mieszkać przez określoną liczbę żywotów. Na przykład,

jeśli zbudował go jakiś mężczyzna, dom należy do niego, a potem do jego syna i wnuka. A wreszcie przechodzi na własność dziedzica. Na łądzie istnieją Chaty Księżycowe, które również buduje się nocą, ale potem na zawsze stanowią własność budowniczego. Jedynym warunkiem jest ten, aby rozpocząć budowę po zmroku i ukończyć przez nadejściem świtu.

- Czy w ogóle można wybudować dom w tak krótkim czasie?

- Jeśli są w pełni przygotowani i mają pod ręką materiały, mogą postawić cztery ściany i dach. Tylko tyle potrzeba.

A co powiesz na struclę?

- Odrobinę za żółta.

- Och, to z powodu szafranu - wielkiego tutejszego specjału. Nie pozwól, by ktokolwiek usłyszał, że go nie lubisz.

Tego ranka dowiedziałam się mnóstwa rzeczy o wyspie. Zamieszkiwała ją społeczność składająca się przeważnie z rybaków, choć było też kilku rolników. Kapryśny brzeg tworzył liczne zatoczki, z których każda stanowiła rodzaj mini-portu. Mijaliśmy rybaków naprawiających sieci, usadowionych między garnkami na homary. Wszyscy z szacunkiem pozdrawiali Jago i poczułam, iż respekt, z jakim go traktują, sprawia mi dziwną przyjemność.

Powiedział, że raz na miesiąc organizuje się tu jarmark, na który przybywają handlarze z łądu. Oczywiście, jeśli pozwala na to pogoda. Wtedy wyspiarze robią zakupy, które muszą wystarczyć do następnej wizyty kupców. Na jarmarku sprzedawano chyba wszystko. Zawsze wyczekiwano go z niecierpliwością.

Następnie zaczął opowiadać mi o innych zwyczajach.

- Rybacy nie lubią wyciągać sieci przed świtem. Twierdzą, że wtedy porywają je skrzaty. Na wyspie wszyscy boją się skrzatów, które, nie zawsze przyjaźnie nastawione, podobno obdarzone są specjalnymi mocami. Kiedy ludzie prowadzą niebezpieczny tryb życia, stają się przesądni - ciągną w zadumie. - Na morzu rybacy nigdy nie wspominają o królikach ani zajęcach, ani wszelkich innych dzikich zwierzętach. To przynosi pecha. Jeśli sadowiąc się w łodziach spotkają pastora, zawracają.

- Ciekawe, skąd wzięły się podobne zabobony.

- Może po prostu ktoś natknął się na pastora przed wypłynięciem i nie wrócił, może nawet zdarzyło się to dwa razy. Takim ludziom to wystarczy. A kiedy raz zrodzi się przesąd, zdaje się żyć wiecznie. W dawnych czasach te wyspy stanowiły rodzaj schronienia dla uciekających przed sprawiedliwością. Mamy własne prawa. Wielu wyrzutków osiedliło się tutaj, niektórzy zbiegowie polityczni odnaleźli azyl i stali się dzierżawcami Kellawayów. Jak widzisz, dzieje naszej wyspy są niezmiernie interesujące. My, Kellawayowie, mamy być z czego dumni.

- I linia zachowała się przez te wszystkie lata?

- Tak. Jeśli wyspę dziedziczy kobieta, ma obowiązek wyjść za mąż, a jej małżonek musi przybrać nazwisko Kellaway.

- To był ciekawy ranek - stwierdziłam - a także pouczający. Czuję, że dowiedziałam się tak wiele, a przecież chciałabym poznać więcej i więcej.

Jago odwrócił się do mnie i położył mi dłoń na ramieniu.

- Chcę, żebyś tu została, Ellen - oznajmił. - Nie potrafię ci nawet powiedzieć, jak bardzo. Kiedy ujrzałem cię w Londynie, ogarnęła mnie diabelska pokusa, aby cię porwać i zażądać, byś pojechała ze mną na wyspę, zanim wpadniesz w małżeńskie więzy. Nie wyobrażasz sobie, ile mnie kosztowało opanowanie tego impulsu.

- Nadal nie rozumiem, po co ci była taka tajemnica. Czemu po prostu nie powiedziałaś, kim jesteś?

- Zdecydował chwilowy kaprys. Byłaś tak pochłonięta perspektywą zamążpójścia... a potem, kiedy wszystko runęło w gruzy, poczułem, że nadchodzi moja szansa. Pragnąłem, abyś przybyła tu z własnej woli, dlatego, że sama tego chcesz. Trudno to wyjaśnić. Wystarczy stwierdzić, iż jestem szczęśliwy, bo przyjechałaś.

Wzruszył mnie pełen emocji ton jego głosu. Towarzystwo Jagona pobudzało mnie do czynu. Intrygował mnie od czasu spotkania na recitalu. W domu przy Finlay Square wzbudził we mnie lęk. Lecz tego ranka na wyspie zdecydowałam, iż jest najbardziej fascynujący ze znanych mi mężczyzn.

Zdawał się z najwyższym trudem opanowywać targające nim uczucia.

- Niestety - oznajmił wreszcie - musimy już wracać. Tak wiele chcę ci pokazać, ale zapewne, jak na pierwszy dzień, wystarczy wrażeń. Poproś Gwennol, aby oprowadziła cię po zamku, ale nie słuchaj zbyt wielu opowieści o duchach.

- Czy są tu jakieś duchy?

- Dziwne byłoby, gdybyśmy w ciągu sześciuset lat nie dorobili się własnej legendy o zjawach. Większość z nich mieszka w lochach. Kilka to duchy ludzi, którzy przed wiekami próbowali wydrzeć Kellawayom nasze włości, ponieważ żądza władzy nad wyspą wielu potrafi zaślepić. Ja rozumiem to, a ty, Ellen? Mamy tu świat w miniaturze, maleńkie królestwo. Może zaczynasz to pojmować, Ellen. Mam rację?

- Z pewnością musisz być dumny, gdy okazują ci tak wyraźny szacunek, jak dziś rano.

- Och, nie odważyliby się postąpić inaczej - roześmiał się. - Choć przyznaję, iż odkąd ja tu rządzę, nieźle im się powodzi. Zbiory były dobre. Możesz powiedzieć, że to wola boża. Ale też i wola Jagona Kellawaya. Wprowadziłem nowoczesne metody upraw, odkryłem nowe sposoby sprzedaży. Na takiej wyspie zapobiegliwością można wiele zdziałać. Twój ojciec i ja nie zawsze zgadzaliśmy się w tych sprawach, Ellen.

- Tak? - rzuciłam, chcąc, aby ciągnął dalej. Wszystko, co mógł powiedzieć mi o ojcu, niesłuchanie mnie interesowało.

- Już wiele lat temu dopadła go ciężka choroba. To pozostawiło wódze w moich rękach.

- I wtedy to sytuacja zaczęła się poprawiać?

- No proszę! Nie jesteś już zadowolona! Nie mówmy o przeszłości, Ellen. Jesteś tutaj. Niechaj twój przyjazd będzie początkiem nowych czasów.

Uśmiechnął się do mnie i przez moment wydało mi się, iż dostrzegam w jego oczach niepokojący błysk. Lecz, kiedy

jechaliśmy z powrotem do stajni, czułam się szczęśliwa. To był ekscytujący i pouczający ranek.

Wczesnym popołudniem zjedliśmy lunch, na który podano wędliny i sałatę. Było nas troje: Jenifry, Jago i ja. Gwennol popłynęła na ląd.

- W pogodny dzień często prosi jednego z mężczyzn, by ją tam przewiózł - wyjaśniła Jenifry.

Spytała, jak spędziłam ranek i gdzie byliśmy. Zachowywała się bardzo miło i uznałam, że to, co dostrzegłam w lustrze zeszłej nocy, stanowiło jedynie wytwór mojej wyobraźni.

Jago musiał wyjechać, aby załatwić parę spraw, a ponieważ Jenifry stwierdziła, iż zawsze odpoczywa o tej porze, postanowiłam przejść się po zamku. Samotne odkrycia winny sprawić mi szczególną radość.

Wyruszyłam około wpół do drugiej - w piękny październikowy dzień, kiedy słońce krzeszło na falach tęczy błyśki. Przeszłam pomiędzy dwoma bastionami na dziedziniec i nagle wyrósł przede mną gotycki łuk oraz dwa stopnie, wyraźnie wytarte pośrodku przez tysiące stóp. Jak wielu trzeba było ludzi, by do tego stopnia zeszlifować kamień? Dotarłam na kolejne podwórze, które wyglądało znajomo. Lecz dopiero po gruchaniu gołębi rozpoznałam je jako miejsce, które odwiedziłam poprzedniego wieczoru.

I wtedy go ujrzałam. Był bardzo drobny, ze strzechą włosów tak jasnych, że niemal białych. Błede oczy, cienkie, jasne brwi i rzęsy nadawały jego twarzy wyraz wiecznego zdziwienia.

Odwrócił się nagle i zobaczył mnie. Oceniałam, że ma jakieś czternaście - piętnaście lat, choć przedtem, nie widząc jego twarzy i sądząc jedynie po sylwetce, uważałam, iż musi być młodszy.

W dłoniach trzymał miskę kukurydzy, a kiedy uniósł wzrok, by spojrzeć na mnie, na ramieniu przysiadł mu ptak. W oczach chłopca pojawił się lęk, ruszył biegiem w stronę przybudówki, tej samej, w której poprzednim razem dostrzegłam cień. To musiał być on.

- Nie odchódź, proszę! - zawołałam. - Przyszłam zobaczyć gołębie.

On jednak nie zwolnił kroku.

- Jeśli pójdziesz, nie dostanę jedzenia - przypomniałam mu. - Pozwól mi popatrzeć, jak je karmisz. Bardzo mi się podoba, gdy tak trzepocą wokół ciebie.

Przystanął, jakby rozważając, co robić dalej.

Naszło mnie natchnienie.

- Ty chyba musisz być Śpioch - stwierdziłam. - Spotkałam twoją matkę w gospodzie.

Na jego twarzy pokazał się miły, nieśmiały uśmiech. Skinął potakująco głową.

- Jestem Ellen Kellaway. Przyjechałam tu na jakiś czas.

- Czy lubi pani gołębie?

- Niewiele o nich wiem, ale słyszałam, że brązowe przenoszą listy i uważam, że to wspaniałe.

- Te też to potrafią - oznajmił z dumą.

- To zakrawa na cud. Po prostu wiedzą, dokąd mają lecieć, prawda?

- Trzeba je wytresować - wyjaśnił z uśmiechem. Zacerpnął z miski garść ziarna i cisnął je na bruk. Zleciało się kilkanaście ptaków, które zaczęły dziobać kukurydzę. Kilka innych nadal siedziało na brzegu miski. Pogruchiwały z zadowoleniem.

- Zdaje się, że cię znają - powiedziałam.

- Oczywiście.

- Jak długo opiekujesz się nimi?

- Odkąd tu jestem - zaczął liczyć na palcach. Wyglądało to na jakieś pięć lat.

- Widziałam cię tu wczoraj wieczorem - wskazałam ręką przybudówkę.

- Ja też panią widziałem - odparł z przebiegłym uśmiechem.

- Wołałam cię, ale udawałeś, że nie słyszysz.

Przytaknął, nadal patrząc na mnie chytrze.

- Czy teraz mogę już zajrzeć?

- A chce panienka?

- Oczywiście, że tak. Zaczynam naprawdę lubić gołębie.

Otworzył drzwi i zesłiśmy po trzech kamiennych stopniach do niewielkiego pomieszczenia, w którym stały worki z kukurydzą i niewielkie korytka.

- To mój gołębnik - oświadczył. - Ale teraz muszę dokończyć je karmić.

Wróciliśmy na dziedziniec. Śpioch wyciągnął rękę i natychmiast przysiadły na niej dwa ptaki.

- No już, moje śliczne - mruknął. - Przyszłyście do waszego Śpiocha, co?

Ja również zacerpnęłam garść kukurydzy i rzuciłam ją na bruk. Chłopak patrzył, jak ptaki dziobią ziarno.

- Lubi panienka gołębie, prawda? Ona też je lubiła.

- Ona?

Z zapałem skinął głową.

- Lubiała je. Przychodziła i pomagała mi je karmić. A potem odeszła.

- Kto to był, Śpiochu? - spytałam.

- Ona - odparł. Jego oczy patrzyły na mnie ze zdumieniem. - Po prostu odeszła.

Wspomnienie to najwyraźniej bardzo go poruszyło. Widziałam, że niemal zapomniał o moim istnieniu. Nadal karmił gołębie, a ponieważ rozumiałam, że dalsze pytania mogą go tylko bardziej rozstroić i zupełnie zniechęcić do rozmowy, zostawiłam go samego.

Następnego dnia Gwennol oprowadziła mnie po zamku.

- Zaczniemy od lochów - zaproponowała. - Są naprawdę niesamowite.

Zeszliśmy spiralnymi kamiennymi schodami, zaciskając dłonie na sznurowej poręczy.

- Te schody są bardzo zdradzieckie - uprzedziła mnie Gwennol. - Nigdy nie można na nich polegać. Kilka lat temu jedna ze służących spadła z nich i odkryto ją dopiero następnego dnia. Biedne stworzenie! Zanim ją znaleźli, niemal oszalała - nawet nie z bólu, ale ze strachu przed duchami. Przysięgała, że jakaś widmowa ręka zepchnęła ją na dół i nic nie mogło jej przekonać, że było inaczej.

Dotarliśmy do obszernej okrągłej komnaty o podłodze wybrukowanej kamieniami niczym dziedziniec. Na całym obwodzie ścian rozmieszczono drzwi. Musiało ich być osiemnaście. Otworzyłam pierwsze z brzegu i ujrzałam wykutą w skale celę, w której człowiekowi obdarzonemu zwykłym wzrostem trudno byłoby się wyprostować. Do muru umocowano kawałek żelaznego łańcucha, zakończonego ciężkim pierścieniem. Zadrżałam, uświadamiając sobie, iż używano go, by przykuć więźnia. Mury ociekały wilgocią, w powietrzu unosił się stęchły zaduch. Z dreszczem zgrozy zatrzasnęłam drzwi. Za następnymi kryło się podobne pomieszczenie. Zbadałam inne. Wszystkie były równie straszliwe. Niektóre, wysoko sklepione, miały nawet okienka - zakratowane i pozbawione szyb. Na jednej ze ścian dostrzegłam rysunek szubienicy, wyskrobany w kamieniu; gdzieś indziej ujrzałam złowrogo uśmiechniętą twarz. Było to mroczne, ponure miejsce, w którym wielu ludzi musiało doświadczyć ostatecznej rozpacz.

- Makabryczne - stwierdziłam.

Gwennol przytaknęła.

- Wyobraź sobie, że jesteś tu więźniem. Krzyczysz, ale nikt cię nie słyszy, a jeśli nawet, to i tak nic go to nie obchodzi.

- Niemal czuje się cierpienie, rozpacz i desperację ludzi, których więziono w tych murach.

- Brrr! Okropieństwo - wzdrygnęła się. - Widzę, że masz już dosyć, ale oczywiście musiałaś je zobaczyć. To ważna część zamku.

Wspięliśmy się ku wyższym rejonom i Gwennol pokazała mi tyle komnat, że szybko straciłam ich rachubę. Zwiedziliśmy wieże - północną, południową, wschodnią i zachodnią, wędrowaliśmy wzdłuż galerii, schodami w górę i w dół. Oprowadziła mnie po kuchni, piekarni, spiżarniach, piwnicy na wina i rzeźni; przedstawiła służącym, którzy kłaniali się bądź dygali w zależności od płci, i przyglądali mi się ukradkiem z wyraźną ciekawością.

Jeden pokój, sąsiadujący z holem, wzbudził moje szczególne zainteresowanie, ponieważ wprowadzając mnie tam Gwennol oznajmiła:

- Słyszałam, że był to ulubiony pokój twojej matki. Miała na imię Frances, prawda? Niektórzy starsi służący nadal nazywają go komnatą Frances.

Był położony o stopień niżej od korytarza. Gwennol pierwsza weszła do środka i usiadła na niewielkiej ławie, idealnie wpasowanej w alkoowę.

- Podobno twoja matka malowała - dodała. - Tego pokoju nie mogła jednak wykorzystać na pracownię. Nie jest tu dostatecznie jasno. Nie sądzę, aby ktokolwiek mieszkał tu od czasu jej wyjazdu.

Łapczywie rozejrzałam się wokół, próbując wyobrazić ją sobie w tym miejscu. Z pewnością nie było to jasne pomieszczenie. Miało jedno małe okno z ołowianymi szybami. Umeblowano je jako salonik. Stało tam kilka krzesel, stół oraz drewniana ława.

- Zastanawiam się, czy są tu jeszcze jakieś jej rzeczy - powiedziałam.

- Zajrzyj do szafki.

Otworzyłam drzwiczki i wydałam okrzyk triumfu na widok sztalug i arkuszy papieru.

- To musiało należeć do niej! - krzyknęłam. Podnosząc jeden z papierów dostrzegłam leżący pod spodem szkicownik. Na okładce wypisano nazwisko: Frances Kellaway. Było to rzeczywiście cenne znalezisko. Ogarnęło mnie takie podniecenie, że kiedy przerzucałam kartki, ręce wyraźnie mi drżały. Gwennol wstała z ławy i zajrzała mi przez ramię. Ujrzałyśmy szkice zamku od różnych stron.

- Była prawdziwą artystką - stwierdziła Gwennol.

- Chciałabym zabrać ten szkicownik i przejrzeć go dokładnie w wolnej chwili.

- Czemu nie?

- To takie ekscytujące. Bawi cię to, ale ja prawie nie pamiętam matki, a ojca - w ogóle. Ty musiałaś go znać.

- Nikt nie znał go zbyt dobrze. Bardzo rzadko go widywałam. Młodość chyba go drażniła. Przez długi czas był chory i nie opuszczał swoich pokoi. Od czasu do czasu pojawiał się na wózku. Opiekował się nim Fenwick, jego lokaj i sekretarz. Wuj Jago prowadził z nim długie dyskusje na temat interesów. Ale właściwie nie czuło się, by był jednym z domowników.

- To dziwne, jeśli się nad tym zastanowić. Gdyby nie on, nie byłoby mnie tutaj, a przecież nigdy go nie poznałam.

- Pociesz się, że nie ty jedna. Wuj Jago stwierdził kiedyś, że twój ojciec to typ samotnika. Śmiem sądzić, że Fenwick mógłby opowiedzieć ci o nim więcej niż ktokolwiek inny.

- Gdzie on teraz jest?

- Odszedł po śmierci twojego ojca. Wydaje mi się, że mieszka gdzieś na lądzie.

- Czy wiesz, gdzie?

Potrząsnęła przecząco głową i, jakby pytania o mojego ojca zaczynały ją nudzić, zmieniła temat.

- Zastanawiam się, czy w ławie też są jakieś jej rzeczy. Popatrz, siedzenie stanowi jednocześnie wieko czegoś w rodzaju skrzyni.

Uniosła je, a ja podeszłam, by zajrzeć do środka. Nie było tam jednak nic, poza podróznym dywanikiem.

- Najwyraźniej używano jej przede wszystkim do siedzenia - stwierdziła Gwennol i opuszczając wieko usiadła na nie, lecz niemal natychmiast zerwała się znowu. - Chodź, poszukamy Śpiocha. Chcę, żeby jutro zawiózł mnie na ląd.

Chciałabyś wybrać się ze mną? Wiem, że jeszcze nie zwiedziłaś wyspy, a wcześniej przez parę dni czekałaś na przeprawę, ale zawsze staram się wykorzystać spokojne morze. Mam zamiar odwiedzić przyjaciół, a ty mogłabyś rozejrzeć się po okolicy. Możemy pójść do gospody i wypożyczyć konie, jeśli chcesz. Często tak robię.

Odparłam, że z chęcią przyłączę się do niej.

- To świetnie, choć oczywiście wszystko zależy od pogody.

- A Śpioch zawiezie nas łodzią?

- Tak, uwielbia to, a przy okazji może zobaczyć się z matką.

- To dziwny chłopiec. Widziałam go, kiedy karmił gołębie.

- A zatem spotkałaś już Śpiocha? Mówią, że brak mu piątej klepki, ale w pewnych sprawach jest bardzo bystry. Po prostu różni się od innych ludzi. Przybył do nas jako jedenastolatek. Wuj Jago go zauważył. Śpioch znalazł pisklę rudzika i doglądał go. Jago uznał, iż może przydać się do opieki nad gołębiami, które w tym czasie zaatakowała jakaś dziwna choroba. Legenda głosi, że kiedy gołębie wyginą, Kellowayowie utracą wyspę. Nie, żeby Jago w to wierzył, ale - jak twierdzi - zawsze szanuje przesady, ponieważ inni ludzie przejmują się nimi. Cóż, przekonał się, że Śpioch świetnie zna się na ptakach i przyrodzie w ogóle, toteż natychmiast najął go do pracy. Odtąd gołębie cieszą się doskonałym zdrowiem. Biedny Śpioch. Ledwo pisze i czyta, a kiedy jeszcze mieszkał na lądzie, znikał czasami na kilka dni. Jego matka szalała z niepokoju. A potem wracał. Okazywało się, iż obserwował ptaki w lesie. Teraz oczywiście nawet mu przez myśl nie przejdzie, by zniknąć. Ma swoje gołębie.

- Kiedy zatrzymałam się w gospodzie w Polcrag, jego matka wspomniała mi o nim.

- Tak. Ona też tu kiedyś pracowała. Jej ojciec był karczmarzem, a teraz prowadzą tę gospodę wraz z mężem. Śpioch to ich jedyne dziecko. Kiedy był jeszcze mały i mniej żwawy niż inne dzieci, mawiała, że z nim wszystko w porządku, tylko przyszedł na świat wcześniej niż powinien. Najwyraźniej urodził się dwa miesiące przed czasem. Twierdziła, że musi odespać tę różnicę, i ludzie zaczęli nazywać go Śpiochem. Niewielu go rozumie, ale ja sądzę, iż nikt nie docenia jego zalet. W głębi serca to dobry chłopak i znakomicie dba o gołębie.

- Widziałam jakim uczuciem je darzy. O dziwo, one zdają się odplącać mu tym samym.

- Bez wątplenia umie z nimi postępować. Chodź, poszukajmy go.

Śpioch był w przybudówce, oglądał gołębia. Nawet nie spojrzął na nas, kiedy weszliśmy.

- Skaleczyłeś sobie nóżkę, widzisz? - mamrotał. - No już, mój śliczny, to tylko panna Gwennol i panna Ellen. Nie zrobią ci krzywdy.

- Uda ci się go wyleczyć, Śpiochu? - spytała Gwennol.

- Jasne, panienko. To mój talent.

Gwennol spojrzała na mnie i uśmiechnęła się.

- Chciałabym, abys jutro zawiózł mnie na ląd. Oczywiście, jeśli morze będzie równie spokojne jak dzisiaj.

- Przygotuję łódź, panienko.

- Panna Ellen jedzie ze mną.

Skinął głową, lecz jego uwaga skupiona była na ptaku.

- Wiesz, co z nim zrobić, Śpiochu?

- O tak, panienko, wiem.

- I, co najdziwniejsze - stwierdziła Gwennol, kiedy już wyszliśmy - naprawdę wie. Niedługo ten gołąb będzie idealnie zdrowy. Nie odróżnisz go od innych.

Wróciliśmy przez dziedziniec do domu.

Po południu wybrałam się na spacer i zwiedziłam znaczną część wyspy. Podczas kolacji rozmawiałam z Jagonem o wszystkim, co dotąd widziałam. Odkryłam, iż zaczynam zarażać się jego entuzjazmem.

Wracając do pokoju czułam przyjemne zmęczenie. Każdego dnia dowiem się czegoś nowego o mojej rodzinie, przyrzekałam sobie. Cieszyłam się perspektywą dłuższej pogawędki z Gwennol w czasie jutrzejszej wycieczki. Pomyślałam też, że na lądzie zamienię parę słów z panią Pengelly.

Kiedy już miałam położyć się do łóżka, zauważyłam znaleziony rano szkicownik mojej matki. Postawiłam świecę na nocnym stoliku i zaczęłam go przeglądać.

Z ogromnym zainteresowaniem obejrzałam rysunki fragmentów zamku. Niewątpliwie miała talent. Czuło się sędziwy wiek szarych murów, niezwykle realistycznie odtworzonych. Znalazłam również uroczy pejzaż, przedstawiający Błękitną Skalę; w oddali majaczył mglisty zarys lądu. Były tam także portrety. Na jednym ujrzałam pulchne dziecko, spoglądające na świat wielkimi, pełnymi ciekawości oczami. Dopiero po chwili dostrzegłam podpis: „E., dwa latka”. No tak, teraz poznałam samą siebie. A więc tak wyglądałam. Odwróciłam kartkę. Patrzyłam na Jago - dwa portrety naprzeciwko siebie. Jakże doskonale uchwyciła podobieństwo! Wyglądały jak podobizny dwóch różnych ludzi - a przecież oba przedstawiały Jagona. O dziwo, na obu portretach uśmiechał się, lecz na jednym uśmiech ten, był dobrotliwy, na drugim zaś...? Ten Jago szczególnie mnie zainteresował. Matka namalowała go tak, że niezależnie skąd się patrzyło, zdawał się ciebie obserwować. Widziałam go już takiego. Czy było to w domu przy Finlay Square? Ciężkie powieki opadły na oczy, nadając im skryty, niemal złowrogi wyraz. Usta, lekko skrzywione, sprawiały, iż wyglądał, jakby knuł spisek.

Przez długi czas wpatrywałam się w ten rysunek i przyjemna senność, z jaką sięgnęłam po szkicownik, odeszła mnie bez śladu.

Co moja matka pragnęła przekazać poprzez te rysunki? Jedno było pewne: Jago nie zawsze jest taki, jakim się zdaje. Czyżby mówiła do mnie: Uwważaj, jest dwóch Jagonów?

Poczułam niepokój, bowiem zaczynałam lubić jego towarzystwo i to bardziej niż śmiałam przyznać.

Na następnych stronach widniał kolejny podwójny portret. Moja matka najwyraźniej lubiła tak rysować i

podobizny te, choć bez wątpienia przedstawiały tę samą osobę, różniły się od siebie równie mocno, jak portrety Jagona. Na pierwszym ujrzałam skromną dziewczynę o włosach splecionych w warkocze; jeden z nich przerzuciła przez ramię. Spoglądała ku górze, jakby się modliła, w dłoniach trzymała Biblię. Na obrazku na sąsiedniej stronie włosy dziewczyny były rozpuszczone. Nieporządnie opadały na ramiona, splątana zasłoną częściowo przesłaniając twarz. Jej oczy spoglądały dziko, a twarz miała niezwykle, obcy wyraz, którego nie potrafiłam określić. W pewnym sensie jej oblicze było pełne bólu, oczy błagalnie wpatrzone w dal. Sprawiała wrażenie kogoś, kto chce wyznać jakąś tajemnicę, ale nie wie, jak to zrobić.

To był straszny rysunek.

Nagle zauważyłam inicjał „S.”

Wstrząśnięta, wstałam z łóżka i otworzyłam drzwi szafy, aby spojrzeć na wyskrobaną dziecinnym pismem literę. Wiedziałam, że to ta sama „S.” napisała swą wiadomość na drewnianej płycie.

Kim, spytałam w duchu, była „S.”?

Sen zupełnie mnie opuścił. Odwracałam kartkę po kartce, oglądając idylliczne krajobrazy i fragmenty zamku z nadzieją, iż ukoji to moje myśli. Wciąż jednak widziałam błędne oczy „S.”, a portret Jagona przywoływał wspomnienie tamtych chwil w domu przy Finlay Square.

Ale szkicownik krył jeszcze jedną szokującą niespodziankę - największą ze wszystkich. Właśnie powtarzałam sobie, iż moja matka po prostu zabawiała się swymi rysunkami. Może po prostu szkicowała wymyślone obrazy... tworzyła wizerunki znanych jej twarzy, dodając gdzieś tam nowe, nie istniejące linie, aby pokazać, jak małe z pozoru modyfikacje mogą zmienić cały obraz.

Tak naprawdę nie wierzyłam w to, ale sama myśl była pocieszająca.

Odwróciłam kolejną kartkę i zachłysnęłam się ze zdumienia. Pierwszą myślą było, że zasnęłam i śnię, że to nowy sposób wprowadzenia w stary koszmar. Pokój z mojego snu był tu, na papierze, bez cienia wątpliwości.

Kominek, krzesła, fotel na biegunach, obraz na ścianie... wszystko dokładnie takie, jak w mych snach.

Oszołomiona, wpatrywałam się w rysunek.

Jedna myśl kołatała mi się w głowie: widmowy pokój istniał naprawdę. Moja matka go widziała. Czy znajdował się w zamku? Ale przecież zwiedziłam całą budowlę.

Blok wysunął mi się z rąk na koldrę. Co to znaczyło? Co to mogło znaczyć? Niemal poczułam, że w pokoju przebywa duch mojej matki i stara się ze mną porozumieć poprzez swój szkicownik.

Co wiedziała o Jagonie? Postrzeżała go jako dwóch różnych ludzi. I kim była „S”, która potrafiła wyglądać tak skromnie i tak dziko?

Ale to rysunek pokoju nie dawał mi zasnąć. Gdzie mógł się on znajdować? Dowiedziałam się jednego: istniał naprawdę, bowiem matka go znała. Narysowała go nawet. Nie powstał więc w mojej wyobraźni.

Próbowałam cofnąć się pamięcią do czasów, kiedy siadałyśmy obok siebie w ogrodzie mojej babki, a szkicownik leżał między nami na trawie.

Jednej rzeczy mogłam być pewna: pokój ze snu gdzieś istniał. Ale gdzie?

ROZDZIAŁ 7 NA PTASIEJ WYSPIE

Noc przeszła mi dość niespokojnie, ale, o dziwo, nie miałam mojego straszego snu. Zaraz po przebudzeniu wzięłam szkicownik, ponieważ przyszło mi do głowy - w co nie wierzyłam zresztą dłużej niż przez chwilę - że wszystko to jedynie mi się przyśniło.

Nie. Jednak był. Pokój, który znałam tak dobrze. Ale portret Jagona w świetle dnia wyglądał inaczej. Prawdopodobnie drgające światło świec wywołało nastrój grozy.

Kiedy Janet przyszła z ciepłą wodą, otworzyłam szkicownik na stronie, na której moja matka narysowała pokój ze snu.

- Co myślisz o tym pokoju, Janet? - spytałam, bacznie jej się przyglądając.

- Ładny, proszę pani.

- Widziałas go kiedykolwiek?

- A to on jest prawdziwy, panienko?

Z pewnością nigdy go nie widziałam.

Potem przyszła Gwennol zobaczyć, czy jestem już gotowa.

- Przejrzałam szkicownik mojej matki - powiedziałam. - Popatrz na rysunek tego pokoju.

Spojrzała i przytaknęła.

- Widziałas kiedyś to miejsce? - spytałam.

Była wyraźnie zaskoczona.

- Czy je widziałam? A powinnam? Przecież to zwykły pokój.

Zwykły pokój! Jak dziwnie brzmiało takie zdanie! Chciałam powiedzieć: Ten pokój prześladowuje mnie, odkąd pamiętam. Gdybym tylko mogła go znaleźć, być może zrozumiałabym, dlaczego o nim śnię i czemu w tak zwyczajnym pokoju odczuwam paraliżujący strach.

Ale zbyt trudno byłoby mi o tym mówić, więc powiedziałam tylko:

- Zastanawiałam się, czy to może jedna z komnat w zamku.

Potrząsnęła głową, zaskoczona moim zaangażowaniem w tak błahą sprawę. Rysunki wcale jej nie ciekawiły, a nie wątpiłam, że za główny powód mojego zainteresowania uznała fakt, iż narysowała je moja matka.

Rozległo się pukanie. Zawołałam:

- Proszę - i w drzwiach pojawił się Śpioch.

- Co się stało? - spytała Gwennol.

- Nic, panienko, tylko myślałam, że lepiej będzie, jeśli wcześniej wypłyniemy, przed przyprawem.

- Masz rację - stwierdziła Gwennol. - A my jesteśmy już prawie gotowe.

Pod wpływem impulsu pokazałam szkicownik Śpiochowi. Konsekwentnie postanowiłam nie przeoczyć najmniejszej nawet sposobności odkrycia położenia intrygującego mnie pokoju. Skąd matka znała go tak dobrze, że potrafiła odtworzyć go co do najdrobniejszego szczegółu?

- Śpiochu - spytałam - czy widziałeś kiedykolwiek ten pokój?

Nie powiem, żeby zmienił się kolor jego twarzy - tak naprawdę Śpioch był zawsze bardzo blady - ale zauważyłam na niej zmianę. Wyczułam w nim napięcie; wpatrywał się w rysunek i nie patrzył na mnie.

- Znasz go zatem? - nalegałam niecierpliwie.

- To ładny pokój, panno Ellen - powiedział powoli.

- Tak, Śpiochu, ale widziałeś go już, prawda?

Czy tylko sobie wyobraziłam, czy jego oczy straciły wyraz, zupełnie jakby gdzieś w głębi głowy zatrzasnęły się okiennice?

- Nie mogę mówić o tym narysowanym pokoju, panno Ellen.

- Dlaczego?

- Moja droga Ellen - wtrąciła Gwennol - masz obsesję na punkcie tego pokoju. Twoja matka narysowała przyjemne miejsce i to wszystko. Co jest takiego szczególnego w tym rysunku?

Śpioch skinął głową. Jego oczy nie miały wyrazu. Pomyślałam: A jednak naprawdę jest głupi.

- Idziemy - powiedziała Gwennol. - Czy wszystko gotowe, Śpiochu?

Wymienili znaczące spojrzenia, porozumienie, z którego byłam wykluczona.

- Wszystko przygotowane i jesteśmy gotowi do drogi - odparł.

Wyszliśmy z zamku i skierowaliśmy się na brzeg, gdzie cumowały łodzie. Morze było spokojne i łodzie lekko kołysały się na falach. Na twarzy Śpiocha malował się anielski uśmiech. Pomyślałam, iż zapewne bardzo lubi wyprawy na ład. Wyglądał zupełnie inaczej niż w chwili, kiedy spytałam go o pokój.

Obserwowałam go, ospałego chłopca - Śpiocha, który zbyt wcześnie znalazł się na tym świecie. Przydomek bardzo dobrze do niego pasował. Miał silne ręce, które wciąż jednak wyglądały jak ręce dziecka; jego oczy też były dziecinne, z wyjątkiem chwili, kiedy przysłaniała je nągła chmura.

- Jeśli morze będzie nadal tak spokojne, w drodze powrotnej ja powiosłuję - oznajmiła Gwennol. - Ellen, umiesz wiosłować?

- Trochę - odpowiedziałam i natychmiast przypomniałam sobie o wiosłowaniu na rzece koło Trentham Towers, gdy razem z Philipem wypłynęliśmy łódką. Wspomnienia o Philipie pojawiały się z zastraszającą łatwością.

- Tym bardziej potrzebna jest ci praktyka. Wkrótce sama stwierdzisz, że to bardzo pożyteczna umiejętność, kiedy się mieszka na wyspie. Zwykle jest ktoś, kto w razie czego przewiezie nas łódką, ale miło polegać tylko na sobie.

Łąd zbliżał się i w odpowiednim czasie wylądowaliśmy na piaszczystej plaży. Śpioch zdjął buty i podwinął nogawki spodni, zanim wyskoczył z łodzi; woda sięgała do połowy jego chudych tydek. Wciągnął łódkę na brzeg i przywiązywał do kołpaka.

Pani Pengelly wysłała nam na powitanie, a jej zadowolenie wyraźnie wzrosło, kiedy ujrzała syna.

- Augustusie, mój chłopcze, to ty! - zawołała, a ja przez chwilę zastanawiałam się kim jest Augustus, zanim zrozumiałam, że matka nie używałaby przecież przydomka w stosunku do swojego ukochanego syna.

- Witam panienki, panno Gwennol i panno Ellen. Czy zechcecie się nieco odświeżyć? Zgaduję, że będziecie potrzebowały koni.

- Ja tak - powiedziała Gwennol. - A ty, Ellen?

Przyszło mi na myśl, że przyjemnie byłoby odwiedzić Dwór Hydrocków, więc też poprosiłam o wierzchowca. W końcu zostałam zaproszona do złożenia odwiedzin, jeśli tylko znajdę się na łądzie, a właśnie nadarzyła się sposobność.

- Dobrze zatem. Augustusie, idź do stajni i powiedz ojcu, że przyjechały panienki. Wytłumacz, czego potrzebują. Potem przyjdź do kuchni, mam dla ciebie coś dobrego. Właśnie wyjęłam ciasto z pieca. Czym mogę służyć panienkom? Szklaneczkę wina, zanim wróci Augustus?

- Czy ktoś przyjechał do gospody? - spytała Gwennol.

- Nie, panienko. Nikogo nie ma.

- W takim razie napijemy się wina.

Weszliśmy do środka. Pani Pengelly przyniosła nam wino jeżynowe i szafranowe ciasto, z którym miałam już okazję się poznać.

Upłynęło niewiele czasu, gdy na podwórzu wybuchło zamieszanie. Stukot końskich kopyt nie pozostawiał wątpliwości, że ktoś nadjechał.

Gwennol siedziała bardzo spokojnie, ale uśmiechnęła się. Uśmiech uczynił jej twarz nie tylko interesującą, ale bardzo piękną.

- W saloniku. - Rozległ się głos, który rozpoznałam z przyjemnością jako należący do sir Michaela Hydrocka.

Kiedy wszedł, Gwennol zerwała się i podbiegła do niego. Wyciągnęła ręce, a on je ujął. Nagle dojrzał mnie i radość rozświetliła jego twarz.

- Panna Kellaway! - zawołał. - Panna Ellen Kellaway.

Gwennol patrzyła na nas zaskoczona.

- To... to wy się znacie? Skąd... nie możecie.

- Och, znamy się - powiedział Michael, puszczać jej ręce i ruszając w moim kierunku. Podałam mu dłoń, a on uściśnął ją serdecznie.

- Jak się pani podoba wyspa? - spytał.

- Szalenie.

- Nie rozumiem - wtrąciła Gwennol, raczej niecierpliwie.

- To łatwo wytłumaczyć - odparł Michael.

A ja dodałam:

- Czekaając na przeprawę na wyspę mieszkałam w gospodzie. Wybrałam się na wycieczkę i zabłądziłam w lasach Hydrocków. Uratował mnie sir Michael.

- Rozumiem - stwierdziła Gwennol chłodno.

- Teraz musi pani odwiedzić Dwór Hydrocków - powiedział ciepło Michael.

- Dziękuję. Z przyjemnością. Pański dom wydał mi się czarujący.

- Czy konie dla pań są już gotowe? - spytał.

- Zamówiłam je - odpowiedziała Gwennol.

- Dobrze. Jak tylko będą panie gotowe, ruszamy.

- Ellen może mieć inne plany. Mówiła mi, że chce zwiedzić okolice.

- Jeśli mam być szczerą - stwierdziłam - zastanawiałam się, czy nie pojechać właśnie do dworu. - Zwróciłam się do Michaela. - Powiedział pan, że mogę odwiedzić dom, kiedy będę na łądzie.

- Istotnie. Byłoby mi przykro, gdyby pani tego nie zrobiła.

- Z radością znowu ujrzę dwór.

- Teraz mieszka pani w zamku. Obawiam się, iż nasza siedziba nie jest równie wspaniała.

- Ale bardzo piękna.

- To najpiękniejszy dom, jaki kiedykolwiek widziałam - wtrąciła Gwennol gorliwie.

- Dziękuję ci, Gwennol - powiedział Michael. - Ja też tak myślę.

Wyszliśmy na podwórze, gdzie czekały na nas konie. Pani Pengelly zachwycona, że jej syn spędzi z nią kilka godzin, i zdaje się, że również nieco rada z mojej ponownej wizyty, obserwowała nasz odjazd. Po krótkiej chwili wyjechaliśmy na drogę prowadzącą do dworu.

- Zamierzam pokazać pani dom, panno Kellaway - oznajmił Michael. - Nie widziała go pani poprzednio. A tak przy okazji, jak pani kostka?

- Już mi więcej nie dolegała. Następnego ranka nie czułam nawet, że coś sobie zrobiłam.

- A zatem zwichnęłaś sobie kostkę? - spytała Gwennol.

Opowiedziałam jej dokładnie, co się stało. Słuchała uważnie, ale wyraz jej twarzy zmienił się, jakby była pogrążona

w nieprzyjemnych rozmyślaniach.

Weszliśmy do sali, w której stał zdobiony metalowymi ornamentami stół i pasujące do niego ławki. Odniosłam to samo wrażenie spokoju, które towarzyszyło mi w czasie poprzedniej wizyty.

- W atmosferze tego domu jest coś tak przyjaznego - powiedziałam.

- Wszyscy to odczuwamy - odparła krótko Gwennol.

- Tak - dodał Michael - w mojej rodzinie mawiano, że ten dom albo wita, albo odpycha i każdy odwiedzający czuje to zaraz po wejściu za próg. Panią wyraźnie wita, panno Kellaway.

- Przypisuje mu pan ludzki charakter - stwierdziłam. - Ja też traktuję domy jak ludzi. Wielu uznałoby to za dziwactwo.

- Powiedzmy, że to taki kaprys. Ale skoro dom się pani podoba, chciałbym go pani pokazać. Nie masz nic przeciwko temu, Gwennol? Gwennol jest moją wieloletnią przyjaciółką - poinformował mnie. - Zna dom równie dobrze jak ja.

- Z przyjemnością go obejrzę - zapewniłam, a Gwennol wtrąciła:

- Wiesz bardzo dobrze, że mnie nigdy nie nudzi oglądanie go od nowa.

- Proszę zwrócić uwagę na tę zbroję na ścianie. Te napierśniki nosili moi przodkowie podczas wojny domowej w czasach Cromwella, a cynowe naczynia są używane przez rodzinę od stuleci. Chcę zachować wszystko w niezmiennym stanie, tak długo, dopóki się da.

- Jago też jest taki, prawda Gwennol? - spytałam, ponieważ bardzo zależało mi, by włączyła się do rozmowy. Domyślałam się, że oczekiwała na Michaela w gospodzie i to właśnie on był przyjacielem, którego chciała odwiedzić. Nie była zachwycona, że już go wcześniej poznałam, a teraz przyłączyłam się do nich. Zrozumiałam też, że jej uczucia są o wiele cieplejsze niż zwyczajna przyjaźń, zdradzał to sposób, w jaki patrzyła na Michaela. Rzadko jej spojrzenie i linia ust stawały się tak miękkie.

- Jago najchętniej wróciłby do czasów feudalnych - powiedziała ostro Gwennol. - Chciałby być nie tylko panem zamku, ale także panem nas wszystkich.

- Jest bardzo dumny z wyspy - odparłam, broniąc go. - Trochę rozmawiałam z ludźmi w czasie przechadzek i widać, jakim darzą go szacunkiem. Robi wiele dobrego.

- Moja droga Ellen. Ludzie boją się powiedzieć jedno słowo przeciwko niemu. Jeśli nawet nie jest całkowicie ich panem i władcą, jest jednak właścicielem ziemskim. Gdyby mu się sprzeciwili, następnego dnia mógłby wyrzucić ich z domów.

- Jestem pewna, że nie zrobiłby nic takiego - powiedziałam gorąco.

Gwennol uniosła brwi i uśmiechnęła się do Michaela.

- Ellen musi się jeszcze wiele dowiedzieć.

Nasz gospodarz z wdziękiem zmienił temat:

- Proszę za mną, obejrzy pani kaplicę.

Kroki rozbrzmiewały na kamiennych płytach posadzki, gdy Michael poprowadził nas po kamiennych, spiralnych schodach do ciężkich, okutych dębowych drzwi.

- To miejsce było świadkiem wielu dramatów. Za kaplicą jest tajna komnata należąca niegdyś do księdza, potem ją wam pokażę. Mamy także okienko dla trędowatych. Jeden z moich przodków poślubił hiszpańską damę i to właśnie ona była na tyle nieostrożna, żeby trzymać w domu katolickiego duchownego. Zamierzam pewnego dnia spisać historię rodziny. W krypcie pod kaplicą znajduje się mnóstwo starych dokumentów.

- Brzmi to ekscytująco.

- Ten rodzaj zajęcia jest zabawny, jeśli dzieli się go razem z kimś. Gwennol obiecała mi pomóc.

- To nic wielkiego. Bardzo lubię szperać w starych papierach - powiedziała z ożywieniem. - Zwłaszcza, jeśli dotyczą takiej rodziny jak twoja, Michaelu. Nasza jest nieco inna - skrzywiła się. - Jesteśmy raczej awanturnikami. A wy arystokratami.

- Większość rodzin ukrywa szkielety w szafach - skomentował Michael. - Kto wie, co znajdziemy w tych dokumentach?

- Podniecająca myśl! - wykrzyknęła Gwennol. Wyglądała jakby zamierzała zaproponować natychmiastowe zejście do podziemi i pozostawienie mnie samej sobie.

Posadzka w kaplicy ułożona została z małych, kwadratowych płytek tworzących mozaikę. Ołtarz był nakryty pięknym obrusem wyhaftowanym, jak powiedział Michael, przez jego babkę, czyli w porównaniu z resztą przedmiotów dość współczesnym. Przed ołtarzem stało w rzędzie dwanaście ławek.

- W kaplicy są dwa okienka - opowiadał gospodarz. - Jedno dla trędowatych, wychodzące z małego, zewnętrznego pomieszczenia, w którym mogli zbierać się ci biedni ludzie i przez nie zaglądać do kaplicy bez ryzyka zarażenia czy niepokojenia tam obecnych. Drugie - tu wskazał ku górze - prowadzi do małej alkowy powyżej kaplicy, gdzie zasiadały damy, kiedy nie żyły sobie pokazywać się publicznie, na przykład ze względu na niedyspozycję. Teraz pokażę wam solarium i górne pomieszczenie.

- Jakże wspaniale jest należeć do takiej rodziny - westchnęła Gwennol.

- Przypomina to łańcuch, ciągnący się przez czas - odparł Michael. - Z każdego ogniwa wyrasta następne, i tak dalej. Szczęśliwie w rodzinie zawsze byli chłopcy, tak że nazwisko zostało zachowane. Chciałbym, żeby moi synowie mieli synów i aby ród trwał dalej.

- Czy ma pan synów? - spytałam.

Roześmiał się.

- Nawet nie jestem jeszcze żonaty.

- Ale będzie pan - powiedziałam. - Uważa to pan za swój obowiązek.
- Chciałbym, aby było to coś więcej.

Gwennol wpatrywała się w niego z napięciem i pomyślałam: „Tak, ona jest w nim zakochana. A ja stoję jej na drodze. Nie powinnam być tu z nimi. Powinnam zauważyć to wcześniej i pojechać sama zwiedzać okolicę. Gwennol okazywała to wyraźnie. A ponieważ Michael jest zbyt dobrze wychowany, nie mógł dać mi do zrozumienia, że nie życzy sobie mojego towarzystwa, a ja tylko wyobraziłam sobie, że zależy mu na moim przyjeździe.”

- Solarium jest oczywiście jasnym pomieszczeniem - ciągnął Michael. - Zbudowano je, aby chwytać słońce. Doskonale spełnia swe zadanie. Sądzę, że czasami urządzano tu bale. Pośrodku stawiano parawan, którym można podzielić komnatę na dwie mniejsze, ale teraz jest rzadko używany. Lubię ją taką, jaka została oryginalnie zaprojektowana.

Wskazywał drogę. Musieliśmy przejść przez salon, w którym już byłam podczas poprzedniej wizyty, następnie wdrapaliśmy się po kamiennych schodach, minęliśmy korytarzyk i dotarliśmy wreszcie do solarium. Strumienie słonecznego światła wpadały przez olbrzymie okna i oświetlały błękitne gobeliny na ścianach, przedstawiające sceny z wojny domowej. Jeden pokazywał pola bitewne pod Naseby i Marston Moor, a drugi, po przeciwnej stronie, księcia Karola witanego w Londynie czasów Restauracji.

Obejrzałam je dokładnie i byłam oczarowana perfekcją wykonania i subtelną barwą. Michael obserwował mnie wyraźnie zadowolony z mojego zainteresowania.

- Oto okno - powiedział. - Prowadzi do alkowy. Tutaj zbierały się damy i, jak widzicie, miały widok prosto na kaplicę. Usiądźmy na chwilę. Chcę opowiedzieć pannie Kellaway o naszym duchu.

Gwennol skinęła głową.

- Spodoba ci się ta opowieść, Ellen. To najmiłszy duch, jaki kiedykolwiek istniał.

- W domu mieszkały trzy siostry - zaczął Michael. - Wszystkie chciały wyjść za mąż, lecz ich ojciec na to nie zezwalał. Jedna uciekła i na zawsze porzuciła rodzinę; dwie pozostały. Z każdym dniem stawały się coraz bardziej zgorzkniałe. Ich życie było pasmem cierpienia. Nigdy nie wybaczyły ojcu i legenda głosi, że kiedy umierał, błagał je o przebaczenie, ale one mu odmówiły. I on jest naszym duchem. Jest dobrotliwy. Wędruje po domu i stara się zyskać przebaczenie dla swojego egoizmu przez ułatwianie życia zakochanym.

- To najsympatyczniejszy duch, o jakim słyszałam.

- Zmarł właśnie tutaj. Podobno ten pokój przynosi szczęście zakochanym. W tamtych czasach w jednym końcu stało łożo oddzielone parawanem. To była jego sypialnia. Powiadają, że wszystkie małżeństwa Hydrocków są szczęśliwe dzięki jego opiece.

- A zatem z pewnością odpokutował już swoje grzechy.

- O tak. Ale to miła perspektywa, prawda? Panny młode przybywają do tego domu z uczuciem, że ich małżeństwa będą udane, ponieważ stary Simon Hydrock nie zezwolił, aby stało się inaczej.

- To bardzo pocieszająca myśl dla narzeczonej Hydrocka.

Uśmiechnął się do mnie.

- Zapewniam panią, że tak. Moja matka często opowiadała mi tę historię. Była bardzo pogodną kobietą.

„Kiedy się zaręczysz - mawiała - powiedz narzeczonej, że znajdzie się ona pod specjalną opieką.”

- Tak jak i pańska matka?

- W ten sposób patrzyła na życie. Czyż nie to jest właśnie szczęściem? Można umieścić dwoje ludzi w takich samych warunkach i jeden powie, że jest mu dobrze, podczas gdy drugi będzie pełen goryczy. Kiedy miałem dziesięć lat dowiedziała się, że cierpi na nieuleczalną chorobę. Żyła tak jeszcze przez dziesięć miesięcy. Powiedziała mi o tym, ponieważ chciała, żebym znał prawdę i nie słuchał zmyślonych historyjek. „Jestem zadowolona - mawiała. - Moje życie było bardzo szczęśliwe, a teraz umrę, zanim doświadczę bólu.” I tak się stało. Nie cierpiała, chociaż żyła dłużej niż przewidywała.

Byłam głęboko poruszona tą opowieścią. Tak samo Gwennol. Kiedy Michael mówił, ani na moment nie spuszczała z niego oczu.

- A teraz chodźmy na drugie śniadanie - zaproponował. - Jestem pewien, moje panie, że po morskiej wycieczce nabrałyście apetytu.

- To bardzo miło z pana strony - wtrąciłam. - Nie spodziewałam się zaproszenia. Być może powinnam...

Obydwoje spojrzeli na mnie.

- Przypuszczam, że Gwennol była oczekiwana, ale ja...

- Jesteśmy zachwyceni, mogąc panią gościć - powiedział ciepło Michael. - Tak, oczekiwałem Gwennol. Otrzymałem wiadomość - wyjaśnił. - To nigdy nie zawodzi. - I ponownie zwrócił się do mnie. - Doskonała metoda porozumiewania. Przez wodę, która nas dzieli, nigdy nie możemy być pewni, kiedy dotrze wiadomość wysłana łodzią. Dlatego Śpioch przesyła listy przez gołębie pocztowe. Tresuje ptaki, jak zapewne pani wie. Ma wielki talent. Po śniadaniu pokażemy pannie Ellen ogród. Czyż nie, Gwennol?

Siedziałam przy stole w jadalni z oknami wychodzącymi na gładkie trawniki. Kochałam tę kojącą, spokojną atmosferę. Pomyślałam, że Michael pochodzi od starego człowieka, który zrujnował życie swoich córek i musiał to odpokutować. Siedziałam na krześle okrytym ciemnoczerwonym aksamitem, a kiedy patrzyłam przez stół na sir Hydrocka, wydawało mi się, że jest to człowiek całkowicie zadowolony ze swojego życia, co stanowi prawdziwą rzadkość. Nie mogłam powstrzymać się od porównywania go z Jagonem - ten nieugięty duch, zmienne zachowania, krańcowa nieprzewidywalność, po części atrakcyjna, po części odpychająca, ale zawsze intrygująca.

Po skończonym posiłku spacerowaliśmy wokół dworu. Teren był wspaniale utrzymany. Znajdowały się tam: ogród włoski, rosarium, zagajnik, paddock i cudowne trawniki. Spotkaliśmy kilku ogrodników, którzy kłaniali się nam, kiedy ich mijaliśmy. Michael Hydrock był, nie miałam co do tego wątpliwości, wysoce poważanym i dobrotliwym panem.

Kiedy nadszedł czas powrotu do gospody, Michael nam towarzyszył. Śpioch już czekał, żeby nas przewieźć.
- Przyjdźcie wkrótce - powiedział sir Hydrock, nie pozostawiając wątpliwości, że zaproszenie obejmowało także moją osobę.

W czasie powrotnej drogi Gwennol milczała. Ledwie na mnie patrzyła. Czułam, że w naszych stosunkach zaszła zmiana. Przedtem wręcz serdeczna, teraz była pełna podejrzeń.

Kiedy dopłynęliśmy do wyspy, zostawiłyśmy Śpiocha cumującego łódź i poszłyśmy do zamku.

- To dziwne, że poznałaś Michaela i nic o tym nie wspomniałaś - powiedziała Gwennol.

- Wydaje mi się, że było tyle innych tematów do rozmowy.

- I zwichnęłaś sobie kostkę w lesie.

- Tak, kiedy się pojawił, potknęłam się i upadłam. Wtedy zabrał mnie do Dworu Hydrocków i odwiózł do gospody.

Roześmiała się.

- Wyraźnie nie skręciłaś jej sobie bardzo mocno.

- To było tylko lekkie zwichnięcie. Następnego dnia nie czułam już w ogóle bólu.

- Tylko lekkie zwichnięcie - powtórzyła i, zanim zdążyłam dać wyraz memu oburzeniu, odwróciła się i pobieгла do zamku.

Udałam się do mojego pokoju. Miły dzień został zepsuty. Musiałam być teraz ostrożna i trzymać się z daleka od domu Hydrocków.

Jedliśmy wieczorny obiad i Jago spytał mnie jak spędziłam dzień. Gdy powiedziałam, że byłam na łądzie, popatrzył na mnie z wyrzutem.

- Czyżbyś już nas opuszczała?

- Tylko na kilka godzin.

- Na wyspie jest tyle rzeczy, których jeszcze nie widziałaś.

- Bardziej je docenię po jednodniowej nieobecności.

- Masz coś, co nazywamy tutaj srebrnym językiem. Mówisz zawsze właściwe rzeczy. Czyż nie, Gwennol?

- Jestem pewna, że tak... w każdej sytuacji - powiedziała krótko Gwennol.

- A gdzie byliście? - spytał Jago.

- We Dworze Hydrocków.

- Obie?

- Już wcześniej spotkałam Michaela Hydrocka.

Jago odłożył nóż i widelec i spojrzał na mnie. Czułam na sobie także wzrok Jenifry. Gwennol wpatrywała się w talerz.

Jeszcze raz opowiedziałam o okolicznościach spotkania z Michaeliem w lesie i jak skręciłam kostkę.

- Zraniłaś się! - wykrzyknął Jago. - Dlaczego nic nam nie powiedziałaś?

- Bo to nie była poważna sprawa. Następnego dnia już o tym zapomniałam.

- Tylko takie tymczasowe zwichnięcie - dodała Gwennol i usłyszałam w jej głosie nutkę sarkazmu.

- I co się potem stało? - spytała Jenifry.

- Zabrał mnie do domu i pani Hocking, ochmistrzyni, jak mi się wydaje, obejrzała moją nogę. Stwierdziła, że nie powinnam przez jakiś czas chodzić. Potem sir Michael odwiózł mnie do gospody.

- Prawdziwy dżentelmen - skomentował Jago.

- Też tak uważam - odparłam.

Zauważyłam, że ta informacja wprawiła w zakłopotanie obydwójce, i Jagona, i Jenifry.

- Jutro pokażę ci dalszą część wyspy - obiecał Jago. - Jest jeszcze wiele rzeczy, które powinnaś zobaczyć.

- Dziękuję - odparłam.

- Mówiłam Ellen, że powinna ćwiczyć wiosłowanie - odezwała się Gwennol.

- Wiosłowałaś już wcześniej? - dopytywał się Jago.

- Tak, ale nie na morzu, tylko na rzece, a przypuszczam, że to nie to samo.

- Nie ma prawie żadnej różnicy - powiedziała Gwennol - tylko tutaj trzeba bardziej uważać. Ze względu na pogodę.

Kiedy morze jest spokojne nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

- Najpierw ćwicz pływając od zatoczki do zatoczki - włączył się Jago. - I na początku niech ktoś będzie z tobą. Jutro sam cię zabiorę. Śpioch zawsze zawiezie cię tam, gdzie będziesz miała ochotę. Po prostu początkowo nie wypływaj sama.

Obiecałam, że się postaram. Byłam bardzo zmęczona.

- Pierwsza lekcja jutro - oświadczył Jago.

Kiedy przyszedłam do pokoju, czułam się bardzo zmęczona. To był długi dzień. Bardzo mnie ucieszyła wizyta we dworze, mimo że resztę dnia zatruła zazdrość Gwennol. Oznaczało to, że na przyszłość muszę postępować ostrożnie. Szkoda. Cieszyła mnie myśl, że mam na łądzie przyjaciela.

Zapaliłam świece na toaletce i zaczęłam splatać włosy w warkocz, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

Uniosłam wzrok, zaniepokojona. Nie wiem dlaczego, ale ilekroć w tym pokoju paliły się świece, czułam się nieswojo.

Przez kilka sekund patrzyłam na drzwi. Znowu zapukano i drzwi cicho się otworzyły. Stały w nich Jenifry trzymająca świecę.

- Nikt nie odpowiadał, więc myślałam, że już śpisz.

- Właśnie miałam powiedzieć „proszę”, kiedy weszłaś.

- Chciałam z tobą przez chwilę porozmawiać.

Postawiła świecę i przysunęła sobie krzesło, przez co obie siedziałyśmy przy toalecie.

- O Gwennol i Michaelu Hydrocku.
- Doprawdy?

Widziałam jej odbicie w lustrze. Miała spuszczone oczy i pomyślałam, że nie chce na mnie patrzeć.

- Jest jedną z najlepszych partii w sąsiedztwie - zaczęła. - On i Gwennol zawsze byli przyjaciółmi. W rzeczywistości...
- Bardziej niż przyjaciółmi? - podesunęłam.

Przytaknęła.

- Ogólnie uważa się, że są na najlepszej drodze do małżeństwa... o ile nie pojawi się jakaś przeszkoda.
- Przeszkoda? - powtórzyłam.

Obserwowałam jej odbicie. Zaciśnęła usta i przez chwilę wyglądała okropnie. To przez zamglenie lustra, pomyślałam.

- Znakomity ród... - powiedziała gorzko. - Są tacy, którzy uważają, iż Gwennol nie jest odpowiednią kandydatką. Tak bardzo są dumni ze swoich przodków - pogardliwie wydeła usta. - Ta pani Hocking... myśli, że żadna, poza córką księcia lub para, nie jest godna jego ręki.
- Z pewnością nie ma tu nic do powiedzenia.
- To chytra intrygantka i plotkara. Znasz ten typ. Kobieta o takiej pozycji ma wielki wpływ. Była jego piastunką. Nadal uważa go za dziecko. Troszczy się o niego, pielęgnuje... Żadna nie jest zbyt dobra dla jej Michaela.
- Wywarł na mnie wrażenie człowieka, który ma własne zdanie i dobrze wie, na czym mu zależy.
- Sądzę, że Kellawayowie są wystarczająco dobrzy dla każdego, ale jest jeszcze ta historia o naszym nieślubnym rodowodzie... i o diabelskiej krwi.
- Z pewnością nie wierzy w takie bzdury.
- Ludzie są przesądni. Sam w to nie wierząc, może wziąć pod uwagę ludzkie gadanie i jaki to będzie miało wpływ na następne pokolenia. Spędzali ze sobą wiele czasu i Gwennol zamierza pomóc mu przy jego książce. Teraz jednak wróciła... trochę rozstrojona.
- Dlaczego? - spytałam śmiało.

Przysunęła się bliżej. Nie mogłam zmusić się do spojrzenia w jej twarz. Bałam się, że znowu zobaczę ten diabelski grymas, który zauważyłam pierwszej nocy.

- Doskonale wiesz - powiedziała. - Wpadłaś mu w oko, prawda? A wszystko z powodu udawanego skręcenia kostki.
- To nie było udawane. Naprawdę ją skręciłam.
- Tak, to takie romantyczne. Śmiem sądzić, że szybko odkrył, jak bardzo różnisz się od innych dziewcząt. Ambitne matki z sąsiedztwa stale popychają ku niemu swoje córki, a jest jeszcze tyle prostych dziewcząt... wszystkich rodzajów. I nagle pojawia się ty - zupełnie inna, z wielkiego świata. Oczywiście musiałaś wywrzeć na nim duże wrażenie. Pochodzisz z Kellawayów, ale z głównej linii. Nie masz w sobie diabelskiej skazy.

Poczułam, że ogarnia mnie wściekłość.

- Posłuchaj - powiedziałam gwałtownie. - Kiedy przyjechałam, spotkałam mężczyznę. Zabłądziłam w lesie i on odwiózł mnie do domu. Odwiedziłam go z Gwennol i zjadłam u niego drugie śniadanie, a ty sugerujesz, że usiłuję go sprzątnąć sprzed nosa ambitnych matek córek na wydaniu. Spotkałam go, polubiłam go, polubiłam jego dom. To wszystko.
- Gwennol myśli...
- Gwennol jest zakochana i przewrażliwiona. Mogę cię zapewnić, że nie poszukuję rozpaczliwie męża i nie zamierzam wyjść za mąż za pierwszego napotkanego człowieka.

Wstała i wzięła świecę. Kiedy tak stała nade mną, zdrząłam lekko. Trzymała świecę przed sobą i widziałam tylko jej twarz, cała reszta niknęła w mroku. Dało to efekt, jakbym widziała jej nierzeczywiste odbicie. Była blada i miała półprzymknięte oczy. Wyglądała złowrogo.

- Z pewnością powiedziałam zbyt wiele - wyszeptała. - Ale proszę, nie próbuj odebrać Gwennol Michaela Hydrocka.
- Moja droga Jenifry, na ile go poznałam, nie jest on człowiekiem, który poddaje się wpływom. Sam dokona wyboru.
- Wybrał Gwennol - powiedziała. - Zanim przyjechałaś.
- Więc możesz być pewna, że nadal jego wyborem jest Gwennol.
- Dobranoc - powiedziała. - Mam nadzieję, że rozumiesz matczyne niepokoje.
- Rozumiem.

Drzwi się za nią zamknęły. Byłam pewna, że musiało kryć się w tym coś jeszcze oprócz niepokojów matki troszczącej się o szczęście swojej córki. Obawiałam się jej, bo pomyślałam, że wyglądało to zupełnie jak ostrzeżenie.

Jakby tego dnia nie zdarzyło się wystarczająco wiele, zanim poszłam spać, znalazłam pierwszy notatnik.

Byłam tak wytrącona z równowagi wizytą Jenifry, że zdawałam sobie sprawę, iż nawet nie mam po co próbować się położyć. Postanowiłam więc napisać list do Esmeraldy. Oczekiwała na moje wrażenia z pierwszych dni pobytu na wyspie, a zajęcie myśli pogodniejszymi aspektami życia powinno mnie trochę uspokoić. Opiszę jej małe farmy, miłe domki z czerwonymi dachami, Dożywotnie Chaty i Chaty Księżycowe oraz całą resztę.

W pokoju stało bardzo ładne biurczko. Małe, o pokrytym skórą blacie, inkrustowane kością słoniową. Już pierwszego dnia włożyłam do niego moje przybory do pisania. Próbowałam je teraz otworzyć, ale coś stawiało opór i pomyślałam, że musi przeszkadzać jakiś papier. Usiłowałam wysunąć szufladę, używając całej siły i kiedy tak mocowałam się z białem, otworzyła się mała skrytka, z której wypadł notatnik.

Podniosłam go i zobaczyłam napisane dziecięcą ręką: „S. K. Mój pamiętnik”. Zgadłam, iż należał do tej samej osoby, która wyskrobała napis w szafie, i którą portretowała moja matka.

Przerzuciłam kartki. Część stron była zapisana i niektóre zdania przyciągały mój wzrok.

„Nie cierpię tego miejsca. Chciałabym uciec”. A potem: „Mój ojciec mnie nienawidzi. Nie wiem, dlaczego. Ale nie myślę, żeby lubił kogokolwiek... nawet ją... czy dziecko.” Wróciłam na stronę tytułową. Nagłówek głosił: „Życie na wyspie”.

To był zwykły zeszyt, ale wyraźnie należał do tajemniczej S. K. „Jestem więźniem w tym pokoju” najprawdopodobniej odpowiadało sytuacji, kiedy odesłano ją za jakieś wykroczenie, jak to zwykle robiono z nieposłusznymi dziećmi. Ale dwa portrety fascynowały mnie i chciałam dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Postanowiłam spytać o nią przy pierwszej okazji. Gwennol byłaby najlepszym źródłem informacji, ale uznałam, iż lepiej będzie unikać jej przez kilka dni.

Popatrzyłam na dopisek na dole strony.

„Mam napisać wypracowanie - przeczytałam - pod tytułem „Życie na wyspie”. Panna Homer powiedziała, że zostanę w pokoju, dopóki go nie skończę, ale nie mam zamiaru zajmować się wypracowaniem. Zamiast tego piszę to. To mój sekret i nie pokażę jej tego. Każę mi pisać o krabach i meduzach, przyływach i pejzażu, ale to mnie nie obchodzi. Chcę pisać o nich i o sobie, ponieważ nie mogę porozmawiać. Nie mam z kim. To zabawne: móc pisać, bo potem będę mogła wszystko przeczytać i przypomnieć sobie na nowo.

Mój ojciec mnie nienawidzi, zawsze tak było. Moja macocha mnie nie lubi. Nikt mnie nie lubi z wyjątkiem dziecka, ale ono jest za małe i zbyt głupie. Macocha kocha dziecko. Powiedziała do mnie: Popatrz na swoją małą siostrzyczkę. Czyż nie jest kochana? Ona jest moją siostrą przyrodnią, odrzekłam. To nie to samo, co prawdziwa siostra. Jestem z tego rada. Nie chcę mieć głupiego dziecka za siostrę. Mała krzyczy, kiedy czegoś chce i uśmiecha się, jak to już dostanie. Każdy, kto ją widzi mówi, jaka jest cudowna, i jakie z niej dobre dziecko, mimo że przed chwilą krzyczała. Wydaje mi się, że też kiedyś byłam dzieckiem. Ale nie przypuszczam, żeby nawet wtedy mówili o mnie, że jestem cudowna.”

Kilka pustych kartek oddzielało tę stronę od kolejnych zapisków.

„Właśnie przeczytałam to, co zanotowałam, kiedy panna Homer odesłała mnie do pokoju i kazała pisać wypracowanie. Tak się z tego śmiałam, że postanowiłam pisać dalej. Ależ była zagniewana, kiedy dowiedziała się, że nie wykonałam polecenia. Powiedziała: Nie wiem co z ciebie wyrośnie. Wszyscy tak myślą. Widzę to w ich twarzach. Co z niej wyrośnie? Jestem raczej nieposłuszna, aczkolwiek czasami potrafię być grzeczna. „Do rany przyłóż” mawiają wtedy. Chciałabym zobaczyć mojego ojca. Nie życzy sobie mnie widzieć, chociaż ciągle widuje się z dzieckiem. Nawet lubi ją oglądać. To musi mieć coś wspólnego z moją matką, tak sądzę... to znaczy przyczyna, dla której mnie nienawidzi. Nie lubił jej. Słyszałam jak powiedział tak ktoś ze służby. Matka umarła, kiedy miałam siedem lat. Pamiętam, że stało się to tuż przed moimi urodzinami i wszyscy o nich zapomnieli, to znaczy o urodzinach. Pochowano ją na cmentarzu. Czasami chodzę na jej grób. Bardzo płakałam, ponieważ mnie kochała i dopóki nie umarła nie wiedziałam, że nikt więcej mnie nie kocha. Ani panna Homer, ani niania. Mówią, że z moim temperamentem i napadami złego humoru źle skończę. Moja matka chowała moje urodzinowe prezenty. Zawsze było ich więcej niż jeden. Pewnie wiedziała, że nie dostanę nic od nikogo innego i chciała mnie tym oszukać. Ale zawsze był jeden tajemniczy prezent. Nigdy nie mówiła mi od kogo. Sądziłam, że dostaję go od niej, tak jak inne, ale zaprzeczała. Jednak po jej śmierci szukałam tego prezentu i nigdy już się nie pojawił, więc chyba też musiał być od niej. Po śmierci mamy zmieniłam się na gorsze. Robię straszne rzeczy. Kiedyś rozlałam na podłogę farbę do włosów panny Homer, a ona przecież nie chciała, żeby ktokolwiek wiedział, że jej używa.

Potem pojawiła się macocha i wszystko zmieniło się na lepsze. Na trochę. Macocha ubierała mnie w białe, haftowane sukienki i podarowała mi cudowną błękitną szarfę. Widywałam się i rozmawiałam z ojcem, ale wiedziałam, że on mnie nie lubi i robi to tylko na jej prośbę. Potem urodziło się dziecko, wszyscy się nim zajęli i znowu nikt nie zwracał na mnie uwagi. Macocha dbała tylko o dziecko i przestała starać się o to, żeby ojciec mnie polubił.

O Boże, co za głupstwa. Jaki jest sens pisać o czymś, co doskonale wiem?”

Chciałam dowiedzieć się więcej, ale do końca notatnika były już tylko czyste kartki, z wyjątkiem jednej, na której wykonano kilka obliczeń. Na dole tej strony S. dopisała: „Nie cierpię arytmetyki”.

Odłożyłam notatnik do biurka. Nie miałam już ochoty na pisanie listu do Esmeraldy.

Weszłam do łódki i ujęłam wiosła, Jago usiadł naprzeciwko. Mieliśmy popłynąć na Ptasia Wyspę, którą bardzo chciał mi pokazać. Powiedział, że leży niezbyt daleko od Wyspy Kellawayów i będzie to dla mnie dobry trening.

Był piękny dzień. Morze, nieruchome jak jezioro, lśniło perłowym blaskiem.

- To najpiękniejsza pora roku - stwierdził Jago - zanim nadejdą październikowe sztormy.

- Czy są bardzo silne?

- Potrafią być niebezpieczne. Zdarza się jednak, że wcale nie nadchodzą. Jest tylko jedna pewna rzecz dotycząca pogody, a mianowicie, że zupełnie nie da się jej przewidzieć. Bardzo dobrze wiosłujesz, Ellen. Widzę, że niedługo staniesz się mistrzynią.

- Skoro mam tu zostać przez pewien czas, muszę się nauczyć pływać łódką.

- Skoro masz zostać? Moja droga Ellen, mam nadzieję, że zamieszkaż z nami bardzo długo. - Podniosłam wzrok i nieco się zmieszłam pod wpływem jego spojrzenia. - Dlaczego nie? - kontynuował. - Bardzo dobrze się tu czujesz. Przyznaj się, że już pokochałaś wyspę.

- Owszem, wszystko jest tu takie ciekawe. Nie muszę chyba tego wyznawać? Czyż to nie jest jasne?

- Tak. I bardzo mnie to cieszy. Poza tym, należysz do Kellawayów.

- Jest coś niezwykłego w miejscu, które od stuleci stanowi siedzibę twoich przodków. Wydaje mi się, że w domu

kuzynki Agaty nieświadomie dręczyłam się myślą, iż nie należę do nich.

- Ale tutaj należysz - powiedział z prostotą.

Milczałam, skoncentrowana na wiosłowaniu. Ptasia Wyspa leżała tuż przed nami - zielony garb wyrastający z morza.

- Kieruj się na tamtą plażę - polecił.

Byłam dumna, że potrafię to zrobić, bo odczuwałam dziecięcą chęć, by zabłysnąć w jego oczach.

Pomógł mi wyciągnąć łódź i przywiązać ją. Zaczęliśmy wspinać się po zboczach na rodzaj małego płaskowyżu. Wokół nas unosiły się ptaki, w większości mewy, wykrzykujące sprzeciw wobec zakłócania im spokoju.

Jago wyjął dwie torby z resztkami jedzenia i podał mi jedną z nich.

- Zawsze im coś przywożę, kiedy tutaj przyplływam - wyjaśnił. - Rodzaj przeprosin. Ta wyspa należy do ptaków i winniśmy im jakieś zadośćuczynienie za najście.

- Myślisz, że są aż tak niegościnnie?

- Bez wątplenia. Spójrz na te kruki. Są ich całe setki. Czasami trafiają się petrele. Wysiadują jajka i opuszczają wyspę.

- Dziwi mnie, że znajdujesz czas na takie sprawy.

- Znajduję czas na wszystko, na co mam ochotę. A ty, Ellen?

- Wydaje mi się, że tak.

Podał mi rękę, niby żeby ułatwić wspinaczkę na zbocze, ale czułam, że w istocie chce mi przekazać, iż odtąd zamierza znaleźć jak najwięcej czasu na przebywanie w moim towarzystwie.

- Coraz bardziej będzie cię wciągać życie na wyspie - oznajmił. - Nie zamierzasz chyba odbywać zbyt częstych wycieczek na ląd. To ciekawe, że odwiedziłaś Dwór Hydrocków. Miłe miejsce, prawda? Ale bardzo typowe. Gwennol jest uczuciowo związana z tą posiadłością. Biedna dziewczyna, jeśli poślubi Michaela Hydrocka, będzie się nudzić do końca życia.

- Niby dlaczego?

- Z powodu życia, które będzie wiodła. Wyobraź sobie tylko: imprezy dobroczynne, prośzone bale, robótki ręczne, jeden dzień podobny do drugiego, monotonia ciągnąca się latami.

Nie odpowiedziałam.

- Usiądźmy tutaj - zaproponował. Przyniósł ze sobą pled i teraz rozłożył go na trawie. Patrzyliśmy na morze. Główna wyspa wyglądała prześlicznie z łagodnymi zielonymi stokami, piaszczystymi zatoczkami i promieniami słońca odbijającymi się w czerwonych dachach. Niedaleko rozpościerała się Błękitna Skała. W czystym powietrzu kamienie lśniły niebieskawo i wydawało mi się, że dostrzegam dom, o którym wiedziałam, że stoi na tej wyspie. Był przysłonięty wysokimi krzewami i leżał niezbyt daleko od plaży.

- Powiedz mi - zagadnęłam go nagle - kto to jest S. K.?

Uniósł brwi.

- Kto? - spytał.

- Myślę, że zajmowała pokój, w którym mieszkam. Na ścianie są wydrapane napisy i inicjały S. K.

Patrzył zamyślony, ale nagle roześmiał się.

- Pewnie chodzi ci o Silvę.

- Silvę? Czy to była Silva Kellaway?

- Tak. Twoja przyrodnia siostra.

- A więc to ja jestem tym dzieckiem. Widzisz, znalazłam jej pamiętnik w biurku i pisała coś o macosze i dziecku.

Jakie to dziwne! Moja siostra!

- Przyrodnia. Twoja siostra przyrodnia.

- Miałymy tego samego ojca, a jej macocha to moja matka.

- Biedna Silva, miała tragiczne życie.

- Miała? Czy ona nie żyje?

- To prawie pewne, że utonęła.

- Prawie pewne?

- Nigdy nie znaleziono jej ciała, tylko łódź. Morze wyrzuciło ją na brzeg wyspy... ale bez Silvy.

- Tragiczna historia. Ile miała lat, kiedy to się wydarzyło?

- Zaginęła półtora roku temu. Miała dobrze ponad dwadzieścia lat. Chyba dwadzieścia osiem.

- I do tego czasu mieszkała w zamku... w moim pokoju...?

- Tak. Była bardzo trudną dziewczyną. Nikt nie wie, dlaczego wzięła łódź tej nocy. Szalona sprawa, ale Silva też była szalona.

- Masz na myśli... obłąd?

- Nie, nie. Tylko brak równowagi. Całymi miesiącami zachowywała się spokojnie i nagle zaczynała się awanturować. Niezwykła osoba. Nie miałem z nią zbyt wiele do czynienia.

- Opowiedz mi o niej. Chciałabym dowiedzieć się jak najwięcej o rodzinie.

- Nie ma zbyt wiele do opowiadania. Twój ojciec był dwa razy żonaty. Za pierwszym razem z Effie, która urodziła Silvę. Effie i twojemu ojcu nie układało się najlepiej, często kłócili się bardzo gwałtownie. Widocznie twój ojciec nie był z zbyt łatwy we współżyciu. Nigdy nawet nie polubił swojej córki. Być może rozczarował go fakt, iż nie urodziła się chłopcem. Nie wiem. W każdym razie poświęcał jej bardzo mało czasu i źle znosił jej widok.

- Biedna Silva! - powiedziałam. - Zauważyła to i była bardzo nieszczęśliwa. Nic dziwnego, że - jak powiedziałaś - czasami zachowywała się dość gwałtownie.

- Effie umarła dość nagle na zapalenie płuc. Po jakimś roku, czy dwóch, twój ojciec udał się w interesach do Londynu i wrócił z twoją matką. Wyglądało to na kolejną pomyłkę, ponieważ nie chciała zostać na wyspie. Potem ty się urodziłaś i pogodzili się ze sobą, ale tylko na jakiś czas. Twój ojciec nie miał zbyt łatwego charakteru, ciągle wybuchały kłótnie, aż wreszcie twoja matka zabrała cię i uciekła. Zaskoczyła tym wszystkich. Odeszła bez żadnego ostrzeżenia. Jak więc widzisz, twój ojciec nie był bynajmniej idealnym mężem.

- Myślę, że biedna, mała Silva musiała czuć się bardzo nieszczęśliwa.

- Chciałbym wiedzieć, dlaczego odeszła, dokąd się wybierała i zdobyć pewność czy na pewno utonąła.

- A czy pusta łódź, wyrzucona na brzeg, nie jest wystarczającym dowodem?

- Dla niektórych owszem, ale wiesz, jacy są ludzie. A miejscowi pod tym względem przebijają wszystkich - w każdym, najbliższym wydarzeniu widzą zjawiska nadprzyrodzone. Mówią, że „została zabrana przez skrzący”, które, jak się domyślasz, są nadprzyrodzonymi mieszkańcami tej okolicy. Ona zawsze była, jak mówią, „niespełna rozumu”, czyli „jedną z nich” i po prostu zabrali ją tam, skąd pochodziła. Inni bajdurzą, że była niezadowolona ze swojego losu, więc poprosiła diabła, żeby ją zabrał. Diabeł odgrywa ważną rolę w naszych rodzinnych opowieściach.

- Wspominałeś już o tym.

- Tak. Możesz spotkać ludzi opowiadających, że podczas burzliwych nocy słyszą głos Silvy mieszkającej się z szumem wiatru i hukiem fal. Niektórzy służący uważają, że nawiedza zamek.

- Myślisz, że pojawia się w moim pokoju?

Wybuchnął śmiechem.

- Mam nadzieję, że cię nie przestraszę, Ellen. Moja droga, zmienimy ci pokój.

- Nie, tego bym nie chciała. Chętnie poznałabym Silwę, skoro więc przyjdzie do mojego pokoju, powitam ją z radością. Była moją siostrą. Tego nie mogę zapomnieć. Przez wszystkie lata mojego dzieciństwa, kiedy tęskniłam za siostrą i musiałam uznać za nią Esmeraldę, miałam prawdziwą. Żałuję, że nie dorastałam w zamku.

Gwałtownie przysunął się do mnie i ujął moją dłoń.

- Ja także, Ellen. Nie musiałabyś mnie teraz poznawać. Bylibyśmy bliskimi przyjaciółmi od zawsze, ale wkrótce i tak nimi zostaniemy.

Nad nami krzyknęła mewa, jakby nas przedrzeźniała. Wydawało mi się, że Jago nic nie usłyszał. Spoglądał na mnie prawie z czułością.

Przez chwilę milczeliśmy. Myślałam o mojej siostrze, dorastającej samotnie w zamku, podczas gdy ja odgrywałam rolę nie chcianego intruza w domu kuzynki Agaty. Tych kilka zdań przeczytanych w notatniku stworzyło w moim umyśle ponury obraz. Nie chciane dziecko, które było rozpaczliwie świadome swojej samotności. Nikt nie mógł jej lepiej zrozumieć ode mnie. Na szczęście natura obdarzyła mnie wyjątkową odpornością oraz towarzystwem Esmeraldy, która była słaba i zносиła wszystkie klęski znacznie gorzej ode mnie. W porównaniu z nią mój los nie wydawał się taki straszny. Ale biedna Silva, mieszkająca w ogromnym zamku bez nikogo, komu mogłaby się zwierzyć! Na pewno moja matka była dla niej miła, ale uciekła stąd, kiedy miałam zaledwie trzy latka. Silva była wtedy wciąż jeszcze dzieckiem. Ile mogła mieć wtedy lat? - zastanowiłam się w duchu. Może dwanaście?

Jago siedział na pledzie, otoczony chmurą ptaków, którym rzucał kawałki jedzenia z torby. Dołączyłam do niego i z zachwytem obserwowałam śmigające nad nami mewy.

- Czyż nie są piękne? - wykrzyknął. - Wiesz, że te największe ważą zaledwie parę uncji? Chciałabyś latać jak one, Ellen?

- To musi być wspaniałe uczucie. Ciekawe, dlaczego wydają z siebie tak żalosne krzyki?

W tym momencie uświadomiłam sobie, iż jesteśmy obserwowani. Gwałtownie odwróciłam się i ujrzałam, że jakiś mężczyzna wspiął się na skały i stoi niedaleko za nami. Jago także go zauważył.

- Ależ to James Manton - stwierdził. - Dzień dobry, Manton. Pracuje pan tutaj?

Wstaliśmy z ziemi i zaczekaliśmy, aż mężczyzna podejdzie bliżej.

- Ellen - powiedział Jago - pozwól sobie przedstawić pana Jamesa Mantona. Manton, to moja podopieczna, panna Ellen Kellaway.

- To pan jest tym malarzem! - zawołałam.

Uklonił się i rzucił mi zadowolone spojrzenie. Bez wątplenia sądził, iż znam jego prace.

- Miło mi panią poznać. Właśnie tu przytytnąłem, chcę zrobić parę szkiców.

- A zatem będzie pan malował naszą wyspę? - spytał Jago.

- Tak. I ptaki. Z tego miejsca roztacza się najlepszy widok na waszą wyspę. Mamy dziś dobre światło. Proszę tylko spojrzeć na barwę wody.

Zgodziliśmy się, że jest jeszcze piękniejsza niż zwykle.

- Trudno to uchwycić - stwierdził malarz - ale spróbuję. Mam nadzieję, że odwiedziny na wyspie okazały się ciekawe, panno Kellaway.

Odparłam, iż jestem zachwycona.

James Manton powiódł wzrokiem za kołującym w oddali ptakiem, po czym skinął głową i powiedział:

- Do zobaczenia państwu - i odszedł w stronę, z której przybył.

- Czy to on mieszka na Błękitnej Skale? - spytałam Jagona.

- Tak. I to od wielu lat. Maluje sporo obrazów, przedstawiających ptaki. Jest całkiem dobry. Spodziewam się, że to dlatego lubi te okolice. Ludzie mówią, że przyjechał tu kiedyś na kilka tygodni i już został. Od czasu do czasu jednak wyjeżdża. Głównie do Londynu, gdzie załatwia chyba sprzedaż obrazów.

- A jednak nie odwiedza Wyspy Kellawayów.

- Nie, od czasu kłótni z twoim ojcem. Podczas spotkań zachowujemy się uprzejmie, ale nie składamy sobie wizyt. Jak sądzisz, czy nie powinniśmy już wracać? Odpoczęłaś dosyć, by móc znowu wiosłować?

- Zupełnie nie czuję zmęczenia.

Zerwał się na równe nogi, cisnął zawartość torebki ptakom, zwinął pled i ujmując moją dłoń pociągnął mnie w dół z boczka w miejsce, gdzie przycumowaliśmy łódź.

- Wskakuj - powiedział. - Ja ją zepchnę.

Chwyciłam wiosła.

- Nie potrzebujesz ćwiczeń - stwierdził. - Świetna z ciebie wiosłarka.

Dotarliśmy do wyspy i uwiązaliśmy łódź.

- Zanim wrócimy - oznajmił - zabiorę cię do starej Tassie, wyspiarskiej czarownicy.

- Coś w rodzaju wiedźmy-szamanki?

- To niezły opis. Przepowie ci przyszłość. Wiem, że chciałabyś wiedzieć, co cię spotka. Wszystkie kobiety o tym marzą.

Wspięliśmy się na wzgórze i doszliśmy do niewielkiej chaty pośrodku ogrodu. Wśród ziół, które tu rosną, dostrzegłam rozmaryn, pietruszkę i szałwię, ale było tam jeszcze wiele innych, zupełnie mi nieznanych. Kiedy podeszliśmy bliżej, w drzwiach chaty pojawiła się stara kobieta.

- Dzień dobry panu, panie Jago - powiedziała.

- Dzień dobry, Tassie - odparł. - Przyprowadziłem ze sobą moją podopieczną. To jest panna Ellen Kellaway.

- Dzień dobry pani - skinęła mi głową. Oddałam pozdrowienie, jednocześnie przyglądając się jej otwarciu. Twarz starej kobiety była bardzo pomarszczona, a czarne, błyszczące oczy przypominały ślepią małpki, bystre, wręcz przebiegłe i lśniące pośród setek zmarszczek. Miała na sobie szary szydełkowy szal, a czarny kot o czujnym, zielonym spojrzeniu, który ocierał się o jej spódnice, idealnie pasował do całej sceny - o czym niewątpliwie wiedziała.

Weszliśmy do pomieszczenia zapchanego przedmiotami. W powietrzu unosiła się lekka, drażniąca woń. Palenisko było dość duże, by po bokach znalazły się dwa siedzenia. Kot, który podążał naszym śladem, wskoczył do koszyka i ułożył się tam, nie spuszczając z nas wzroku. Na stole zauważyłam mnóstwo słoików i garnków, pełnych tajemniczych mikstur; z powały zwisały powiązane w pęczki zioła.

- A zatem przyprowadził pan do mnie młodą damę. - Kobieta uśmiechnęła się lekko, niemal złośliwie. - Tego właśnie spodziewałabym się po panu.

- Panna Ellen pragnie dowiedzieć się jak najwięcej o wyspie, Tassie, i bardzo szybko usłyszała o tobie.

- Nic dziwnego. Mieszkam tu od urodzenia, moja złota. Przede mną żyła tu moja matka i babka. To jej matka sprowadziła się tu po ślubie. Księżycowa Chata, tak właśnie powstał ten dom, choć od tego czasu sporo go rozbudowano.

- To musiało być za czasów mojego pradziadka - stwierdził Jago.

Skinęła głową.

- A był to człowiek, który zaiste obficie i daleko rozrzucił swe nasienie. Na wyspach powiada się, że nie ma prawie rodziny, w której żyłach nie płynęłaby choćby kropelka krwi Kellawayów.

- To nas łączy - odparł Jago. - Co możesz powiedzieć pani Ellen?

- Chodź no tu, moja złota. Podejdź bliżej i usiądź koło mnie.

Ujęła moje ręce, ale nie patrzyła na dłonie, tylko na twarz.

- Na mą duszę, wiele widzę dla ciebie. Dobrego i złego.

- Czyż to nie dotyczy nas wszystkich? - wtrącił Jago.

- Niektórych bardziej niż innych. - Jago obserwował staruszkę uważnie. Po jego zachowaniu czułam, iż dzieje się coś ważnego. - W życiu panienki były kłopoty... tragedia. Straciła panienska kogoś bardzo bliskiego. To mroczne czasy, a teraz nadszedł czas wyboru. Otwierają się przed panienką dwie drogi. Proszę upewnić się, że wybrana została właściwa.

- Tassie ma specjalną moc - oświadczył Jago. - Na wyspie otacza ją ogólny szacunek.

- Skąd mam wiedzieć, która będzie właściwa? - spytałam.

- Masz panienko moja złota przewodnika. To ten, który siedzi u twego boku. Wróciłaś do domu, do swej rodziny, i to dobrze, bo tu jest twoje miejsce.

Czarny kot wstał z koszyka, przeciągnął się i podbiegł, aby otrzeć się o jej spódnice.

- Widzę szczęście, które cię czeka, moja złota, jeśli wybierzesz drogę właściwą, i kłopoty, gdybyś wybrała złą. Teraz kierujesz się w dobrą stronę, lecz jeszcze niedawno było inaczej.

- Lepiej posłuchaj Tassie - wtrącił Jago. - Dziewczęta z wyspy stale do niej przychodzą i twierdzą, że nigdy się nie myli.

- Tak jest. Chcą dostać napój miłosny, a ja im go daję. Pragną zdobyć uczucie. Panienska tego nie chce, moja złota. Los panienki jest już ustalony. Niedługo wszystko rozwiąże się pomyślnie.

Jago roześmiał się, wyraźnie zadowolony.

- Dalej, Tassie - zachęcił ją.

- Jeśli młoda dama wybierze właściwą drogę, będzie szczęśliwa do końca życia. Czekają na nią wspaniali synowie i parę córek, które umilą jej życie. Odbyła długą podróż, ale teraz dotarła do domu.

- No proszę, Ellen - powiedział Jago z uśmiechem. Jego oczy błyszczały, i nagle przez głowę przymknęła mi myśl: czyżby naprawdę się we mnie zakochał?

Perspektywa ta podnieciła mnie, lecz wzbudziła także lekki lęk. Wiedziałam, że jego uczucia będą silne, bowiem wszystkiemu zawsze oddawał się bez reszty. Był młody: nie mógł zbyt dawno przekroczyć trzydziestki; nieżonaty - nieraz zastanawiałam się, czemu do tej pory pozostał kawalerem - i od pierwszej chwili, gdy ujrzałam go u Carringtonów,

zafascynował mnie... fizycznie.

Tassie wyraźnie doszła do wniosku, iż ustaliła moją przyszłość. Wszystko, co miałam zrobić, to dać się poprowadzić - najpewniej Jagonowi.

Zaczęła opowiadać mi, co robi dla młodych ludzi z wyspy.

- Zaklinam kurzajki z ich rąk i jęczmienie z oczu, daję lekarstwo na duszności. Wielu bardziej wierzy Tassie niż doktorowi. Spoglądam też w przyszłość. Moja prababka została powieszona jako czarownica. Teraz już się ich nie wieszka. Ludzie mają więcej rozsądku. Umieją odróżnić białą magię od czarnej, a u nas w rodzinie zawsze przeważała biel. Dawno temu fale wyrzuciły na wyspę syrenę i jedna z moich przodkiń pomogła jej wrócić do morza. Za to syrena podarowała rodzinie moc. I mamy ją do tej pory.

- A zatem, jeśli zobaczysz gdzieś syrenę, Ellen - wtrącił Jago - pomóż jej dostać się do morza. Zapewne zostaniesz wynagrodzona.

- To prawda - stwierdziła Tassie. - Siódme dziecko siódmego dziecka i czar gotowy - zbliżyła się do mnie. - Mogę odwrócić zły urok, odpędzić złe oko. Przychodź więc, młoda damo, jeśli będziesz miała kłopoty.

- Musisz wiedzieć, Ellen, że to więcej niż zaproszenie - wyjaśnił Jago. - To oznacza, iż Tassie zaakceptowała cię jako mieszkankę wyspy.

Położył na stole kilka monet. Dostrzegłam zachłanny błysk w oczach Tassie. Już liczyła, ile jej zostawił.

Wysliśmy na jesienne słońce.

- Musisz przyznać, że przepowiednia była raczej pomyślna - stwierdził Jago.

- Wydaje mi się, że sownie jej za to zapłaciłeś.

Spojrzał na mnie ostro.

- Zasłużyła sobie, prawda?

- Jeśli klienci płacą w zależności od usłyszanych wieści, czy nie może to skusić wróżki do nadmiernego optymizmu?

- Nie sądzę, aby miało to miejsce w twoim przypadku. Wiem, że czeka cię szczęśliwe życie.

- Nie zapominaj, że ono zależy od moich wyborów.

- Ale ty jesteś mądrą kobietą, Ellen. Wiedziałem o tym od chwili, kiedy cię poznałem. No, ale żarty żartami. Co sądzisz o Tassie? Barwna postać z tej naszej białej czarownicy, nieprawdaż? Zapewnia młodym wiele rozrywki. Uważają, iż sekretne nocne odwiedziny u niej to wspaniała przygoda. Zazwyczaj proszą wtedy o napój miłośny, który mogą podać swemu ukochanemu.

- Czy naprawdę jest siódmym dzieckiem siódmego dziecka?

- Tak twierdzi, a wiarę, czy jej praprababka rzeczywiście znalazła syrenę, pozostawiam tobie. Stara Tassie była tu zawsze, odkąd pamiętam.

- I ludzie naprawdę w nią wierzą?

- Niektórzy jeśli spełnią się ich życzenia uważają, że Tassie im pomogła. Jeżeli nie, obwiniają siebie za jakieś niedopatrzenie. Z punktu widzenia Tassie układ ten nie może być lepszy.

- A ty? Wierzysz w nią?

Rzucił mi przeciągłe spojrzenie.

- Podobnie jak inni. Wierzę, jeśli dostaję to, czego pragnę.

- A jeśli nie?

- Moja droga Ellen, zawsze dbam o to, aby tak się stało.

Wróciliśmy do zamku i przez resztę dnia zastanawiałam się nad nowym obliczem naszych stosunków. Zadawałam też sobie pytanie, czy naprawdę tam byłam, czy może raczej wyobraziłam sobie całą tę scenę. A kiedy udałam się do pokoju i zapaliłam świecę, wypuszczając na wolność roztańczone cienie wspomnień Silwę i wydało mi się, iż jej duch unosi się w słabo oświetlonej sypialni.

- Moja siostra - szepnęłam i poczułam jakby nikłą obecność. Oczywiście wszystko to jest jedynie wytworem twojej imaginacji, powiedziała sobie. Jago wyśmiałby mnie. Śmiał się z tak wielu różnych rzeczy - z Tassie (jak wiele z tego, co powiedziała, było efektem jego zaleceń?), ze swego zachowania w Londynie, zarówno na recitalu, jak i w domu przy Finlay Square. Niepokojące było jednak to, że w jego towarzystwie bez problemów wierzyłam we wszystko, co mówił i spoglądałam na wszystko jego oczami. Dopiero kiedy zastanowiłam się spokojnie, zaczynały ogarniać mnie potężne wątpliwości i przebieg wydarzeń zdawał się niezwykle niekonwencjonalny. Z drugiej jednak strony, Jago był niekonwencjonalny. Był także nieprzewidywalny. Nie potrafiłam go zrozumieć, a przecież jednak zdradził się z czymś podczas tego popołudnia. Podobnie jak Gwennol i Jenifry nie życzył sobie, aby moja przyjaźń z Michaeliem Hydrockiem rozwijała się nadal. Czy jednak miałam rację, że kierują nim inne powody?

Z przyjemnością wysłuchał Tassie, mądrej kobiety, która zawsze dawała swym klientom to, czego chcieli, czy miało to być lekarstwo na kurzajki, czy też weselne dzwony.

Czy to możliwe, że Jago Kellaway pragnie zostać moim mężem?

Myśl ta zaniepokoiła mnie, ale jeśli mam być szczerą, była również ekscytująca. Co jednak naprawdę o nim wiedziałam? Co wiedziałam o nich wszystkich?

- Silvo - szepnęłam. - Jesteś tu, Silvo?

Wśluchiłam się w ciemność. Zastłony poruszył się lekko, lecz nie odpowiedział mi żaden dźwięk poza odległym pomrukiem morza.

Następnego dnia wyruszyłam, żeby znaleźć Śpiocha.

Karmił na dziedzińcu mewę, która stała przed nim na bruku i jadła rybę z talerzyka.

- Nie może latać - wyjaśnił. - Znalazłem ją na skałach. Umazała sobie skrzydła olejem. Kuliła się tam ze strachu,

pewnie od kilku dni nic nie jadła. A na dodatek inne mewy ją dziobały. Ptaki potrafią być takie okrutne. Jeśli jeden z nich zrani się albo po prostu jest inny, zadziobią go na śmierć. Ludzie też są czasem tacy. Nie lubią, kiedy ktoś różni się od reszty.

W jego głosie nie pobrzmiewał smutek - po prostu stwierdzał fakty, choć wiedziałam, że porównywał siebie do ptaka, który jest „inny”. Przyjmował to, czym obdarzył go los. Cieszyło go, że różni się od pozostałych ludzi i że Bóg dał mu, jak to określał, talent.

- Co za szczęście, że ją znalazłeś - stwierdziłam.

- Jeszcze się mnie boi. Ale kiedy do niej mówię, uspokaja się. Po tym, jak ją znalazłem, próbowała ze mną walczyć i wrywała się, ale kiedy jej powiedziałem, że to tylko stary Śpioch, który wie, co zrobić, by wyzdrowiała, przestała protestować. Widzi panienska, ściągam jej olej ze skrzydeł. Ale nie chcę, żeby zaraz odleciała. Muszę ją najpierw nakarmić... z początku powoli. Na razie nie powinna zbyt dużo poćknąć. No już, moja śliczna, Śpioch się tobą zajmie, zobaczysz.

- Co się stało z gołębiem, który zranił sobie nóżkę?

- Zdrowy jak złoto. Zapomniał już, że cokolwiek mu dolega.

- Mam nadzieję, że jest wdzięczny Śpiochowi.

- Tego bym nie chciał, panienko Ellen. Wystarczy mi, że dziobie swoją kukurydzę, a czasem siada mi na rękę i przekrzywia łepkę, jakby pragnął powiedzieć: „Witaj, Śpiochu. Znów jestem zdrowy.”

- Śpiochu - zaczęłam. - Chciałabym cię o coś prosić. Czy wypłyniesz ze mną łódką? Ja będę wiosłować. Chcę tylko, abyś posiedział ze mną. Obiecałam panu Jagonowi, że nie będę pływała samotnie... na razie.

Był zadowolony, że go poprosiłam. Największą przyjemność w życiu sprawiło mu opiekowanie się innymi, a fakt, iż ufałam mu dostatecznie, by wybrać go na towarzysza, niezmiernie go uradował.

Popłynęłam wokół wyspy.

- Dobrze paniencie idzie wiosłowanie - stwierdził - i już wkrótce zapamięta panienska, gdzie kryją się skały. To zupełnie bezpieczne, jeśli nie wypływa się daleko. Choć przy pogodzie takiej, jak dziś, nawet na pełnym morzu jest zupełnie spokojnie. Ale trudno sobie wprost wyobrazić, jak szybko potrafi zerwać się wiatr. W jednej chwili toń jest gładka niczym jedwab, w następnej - zła i wzburzona. Trzeba uważać, jeśli płynie się na ląd. W pobliżu wyspy nic człowiekowi nie grozi. W razie czego zawsze można schronić się w jednej z zatoczek.

- Czy słyszałeś o wielu przypadkach utonień?

Przyglądałam mu się z uwagą i dostrzegłam, jak w głębi jego oczu zatrząskują się okiennice.

- To się zdarza - odparł.

- Na przykład moja przyrodnia siostra, Silva - podesunęłam.

Milczał.

- Znałeś ją przecież - mówiłam dalej.

- Tak. Znałem ją.

- Pomyśl tylko. Była moją siostrą, a ja nigdy jej nie poznałam. Miałam trzy latka, kiedy stąd wyjechałam, a ona dwanaście... może trzynaście. Bardzo chciałabym dowiedzieć się o niej jak najwięcej. Opowiedz mi.

- Lubiała ptaki - powiedział.

- Tak? - A zatem łączyła ich pewna więź. Domyślałam się tego.

- Czy często przychodziła na twój dziedziniec i pomagała ci je karmić?

Uśmiechnął się i skinął głową.

- O tak. A one też ją znały. Siadały jej na ramionach. Ogromnie lubiła ptaki i małe stworzonka. Była dla nich miła i łagodna.

- Byliście więc pewnie wielkimi przyjaciółmi. Cieszę się, że to słyszę.

Jego twarz rozjaśniło nagle szczęście. Wiedziała, że ujrzał w duchu obraz Silvy otoczonej gołębiami albo może tulącej w ramionach ranne zwierzątko.

- Czy dużo ze sobą rozmawialiście?

- O tak, panienko Ellen. Zawsze opowiadała mi o ptakach.

- A o sobie?

- Mówiła i mówiła... jakby mnie w ogóle tam nie było, a potem spoglądała na mnie i wykrzykiwała: „Zagaduję cię na śmierć, prawda, Śpiochu? To dlatego, że tak dobrze potrafisz słuchać. Zapominam, że tu jesteś.”

- Czy była bardzo nieszczęśliwa?

Spojrzał na mnie z przerażeniem i przytaknął.

- Tak, często płakała i to było straszne... Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak płakał, jak panienska Silva. To był płacz i śmiech jednocześnie, a ona powtarzała, że nienawidzi zamku i pana Jago i ich wszystkich.

- Dlaczego tego wieczoru wypłynęła łódką? Czy wiesz, Śpiochu?

- Był wiatr i burza.

- Wiem. Ale dlaczego?

Ujrzałam, jak jego wargi zaciskają się mocno. Na pewno coś wie, pomyślałam.

- I utonęła, jak mówią?

Skinął głową, nadal zaciskając usta.

- Fale wyrzuciły łódź na brzeg - powiedział, jakby w nagłym przebieżysku natchnienia.

- Czy wypłynęła, bo była nieszczęśliwa, bo zmęczyło ją już życie w zamku? Może od czegoś uciekała? Ty wiesz, prawda, Śpiochu?

Ponownie pokiwał głową.

- Można powiedzieć, że chciała uciec.

- Ale wyruszyć na wzburzone morze...

- Tej nocy, gdy opuściła zamek, wybuchła wielka burza. Pamiętam błyskawice i grzmoty. Ludzie powiadają, że to gniew boży. Myśli panienka, że mają rację?

- Nie - odparłam. - Jeśli wypłynęła w taką noc, to próbowała z rozmysłem odebrać sobie życie. Żadna łódź nie przetrwałaby czegoś takiego.

- Nigdy nie można być pewnym, panienko, co się stanie z łódką na morzu.

- Ale tę znaleziono kilka dni później... bez Silvy.

- Owszem - potwierdził. - Bez niej. Modlę się, aby znalazła szczęście w nowym życiu. To wszystko, co możemy zrobić.

- Niektórzy służący twierdzą, że jej duch nawiedza wyspę, Śpiochu.

- Tak właśnie mówią.

- Wierzysz w to?

- Myślę, że nadal jest wśród nas.

- A zatem sądzisz, że dusze ludzi, którzy za życia byli nieszczęśliwi albo zginęli gwałtowną śmiercią, krążą po ziemi?

- Nie jestem dość mądry, by to wiedzieć, panienko.

Jego błada twarz była zupełnie nieruchoma, oczy spoglądały beznamiętnie. Byłam przekonana, iż wiedział o mojej przyrodniej siostrze znacznie więcej niż mi wyjawiał. Prawdopodobnie nie zyskałam jeszcze jego zaufania.

Może z czasem powie mi resztę.

ROZDZIAŁ 8 „ELLEN” GINIE

Stałam się już całkiem niezłą wioślarką i radziłam sobie z łodzią równie dobrze, jak Gwennol czy Jenifry. Żadna z nich nie wspomniała więcej o Michaelu Hydrocku jakby starały się mnie przekonać, iż nigdy nie poniósł ich temperament w związku z tą sprawą.

Jago był bardzo zajęty pracą na wyspie. Osobiście nadzorował farmy i pilnował wszelkich transakcji, co oznaczało, że stale podróżował między wyspą a lądem. Zazwyczaj udawało mu się spędzić trochę czasu ze mną i nic nie sprawiało mu większej przyjemności niż wspólne konne przejażdżki, podczas których przedstawiał mnie farmerom i sklepikarzom, karczmarzowi, pastorowi z niewielkiego kościołka, lekarzowi i wszystkim ludziom, tworzącym tę wyspiarską społeczność. Stawaliśmy się sobie coraz bliżsi i niemal wbrew swej woli zaczynałam poddawać się otaczającej go magnetycznej aurze. Z każdym dniem coraz bardziej potrzebowałam jego towarzystwa. Był jak narkotyki, którego dawkę trzeba zwiększać.

Zachwycały go moje postępy w wiosłowaniu i pewnego dnia zabrał mnie do zatoczki. Pośród łodzi dostrzegłam jedną, świeżo odmalowaną, z wypisaną na burcie nazwą „Ellen”. Byłam z tego bardzo dumna.

Potem nieraz wypływałam samotnie w „Ellen”, lecz nigdy nie zapuszczałam się na pełne morze. Lubiłam okrążyć wyspę i przybijać do brzegu w jakiejś zatoczce, której wcześniej nie odwiedziłam. Kładłam się wtedy na piasku i rozmyślałam o tym, co mnie dotąd spotkało, a także, co przyniesie przyszłość. Tak wiele jeszcze musiałam się dowiedzieć! Odnosiłam wrażenie, iż otaczający mnie ludzie są z natury małomówni, więc podejrzewałam istnienie jakiejś tajemnicy. Gdybym tylko zdołała odkryć, co naprawdę stało się z Silvą, zyskałabym może klucz do wszystkich zagadek. Dlaczego Silva wypłynęła maleńką łódeczką podczas szalejącego sztormu? Jeśli naprawdę tak postąpiła, to nasuwała się tylko jedna odpowiedź: ponieważ miała dosyć życia i uznała, iż jest to jedyne wyjście z sytuacji, która stała się nie do zniesienia.

Czy postanowiła skończyć ze wszystkim? Moja biedna siostra, jak bardzo musiała cierpieć! „Jestem więźniem w tym pokoju”. Ale przecież była jeszcze dzieckiem, kiedy pisała te słowa. Zamknięto ją za jakieś przewinienie. Coś podobnego zdarza się większości dzieci, ona jednak potraktowała sytuację z przesadnym dramatyzmem. Jago stwierdził, że była nieznównoważona, potem nie chciał już o niej mówić. Nie interesowała go, toteż zlekceważył ją jako hysteryczkę. Niemądra dziewczyna, nie potrafiła przystosować się do życia i wynalazła teatralny sposób skończenia ze sobą. I tak łódź została wyrzucona na brzeg... bez niej. To oczywiste wyjaśnienie wszystkiego, co się z nią stało.

Mój ojciec - zresztą także i jej - nienawidził pierworodnej córki, tak przynajmniej twierdziła. Może w ogóle nie lubił dzieci. Z tego, co o nim słyszałam, nie wyglądał na zbyt miłego człowieka. Klócił się z jedną żoną, a druga - moja matka - porzuciła go. Pamiętałam ją słabo, wspomnienia opowiadały o miłości i poczuciu bezpieczeństwa - wszystkim, czego dziecko oczekuje od matki. Skoro więc swoją córkę darzyła uczuciem i pozostawiła takie wspomnienia, czy to z jej winy ich małżeństwo nie było szczęśliwe? Oczywiście mogło po temu istnieć wiele powodów. Dobre matki niekoniecznie są dobrymi żonami. Och, jak bardzo pragnęłam, by powiedzieli mi wszystko, czego tak rozpaczliwie chciałam się dowiedzieć!

Nagle przypomniałam sobie zasłyszane niegdyś słowa. Ojciec przebywał najczęściej we własnym pokoju, miał jednak lokaja i sekretarza w jednej osobie, niejakiego Fenwicka. Co o nim wiedziałam? Tylko tyle, że opuścił zamek i wrócił na łódź. Gdyby udało mi się zamienić z nim parę słów, mogłabym dowiedzieć się czegoś o ojcu. Zaczęłam zastanawiać się, jak najlepiej podejść do tego problemu. Gdybym spytała Jago, odparłby zapewne:

- Fenwick nie powie ci nic więcej niż ja.

Cóż, może miał i rację, ale on przecież wcale nie opowiadał mi o ojcu, a poza tym opinia drugiej osoby jest zawsze cenna. Sekretarz i lokaj często wie o swym panu więcej niż nawet najbliżsi krewni. Nie mogłam zapytać Gwennol ani Jenifry, ponieważ stosunki między nami stały się ostatnio dość napięte.

Gdy tak rozmyślałam, nadeszła poczta z łądu. Jedna z łodzi wyprawiała się tam codziennie - oczywiście jeśli pozwalała na to pogoda - aby ją odebrać. Tym razem ku mojej radości znalazłam w torbie list od Esmeraldy. Pisałam do niej z miasteczka, zdając relację z podróży, i drugi raz, już z zamku, opisując pierwsze wrażenia. Chwyciłam list i pobiegłam do pokoju, aby go przeczytać.

Cieszyła się, iż podoba mi się życie z krewnymi. Sądząc po opisie zamek musiał być prawdziwie wspaniały. Bardzo chciałyby go zobaczyć. Rodzice wydali dla niej kilka balów, na jednym z nich poznała bardzo miłego młodzieńca, Freddy'ego Bellingsa. Co prawda był młodszym synem, lecz Bellingsowie posiadali znaczny majątek i matka nie miała nic przeciw ich przyjaźni. Sporą część listu poświęciła wyłącznie Freddy'emu: barwie jego oczu, miłemu usposobieniu i temu, jak potrafił żartować nie raniąc niczyich uczuć. Widziałam wyraźnie, iż Esmeralda była nim zachwycona i przyjęłam to z radością, bo stale nękały mnie wyrzuty sumienia z powodu Philipa. To ona przecież miała zostać jego żoną.

„Guwernantka pani Omanowej Lemming nie ma, jak sądzę, łatwego życia. Biedna, wystraszona istota! Och, Ellen, ty nigdy byś tego nie zniosła. Miałas szczęście, że udało ci się uciec.”

„Często widzimy Carringtonów”, ciągnęła. „Lady Emily zaczęła znów wydawać przyjęcia. Nikt nie wspomina o Philipie, lecz lady Emily wygląda czasami tak smutno. Pytała mnie, co u ciebie słychać i prosiła, by przekazać ci, iż ma nadzieję, że jesteś szczęśliwa. Jeszcze jedna osoba wypytuje o ciebie. Rollo. Chciał się dowiedzieć, dokąd wyjechałaś i czy zamierzasz tam osiedlić na stałe. Właśnie dostałam twój opis ekscytującej wyspy, zamku i w ogóle. Rollo bardzo się tym zainteresował.”

Odłożyłam list. Tak się cieszyłam, że Esmeralda znalazła swojego Freddy'ego. A to, że najwyraźniej darzyła go uczuciem, a kuzynka Agata pochwalała ten związek, zdawało się zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Zaskoczyła mnie wiadomość, iż Rollo interesował się, co teraz robię. Może żałował, że potraktował mnie tak szorstko. Jednak niemal natychmiast moje myśli powróciły do spraw bieżących - najlepszy dowód, jak bardzo oddaliłam się od przeszłości. Jak

miałam znaleźć Fenwicka i dowiedzieć się czegoś o ojcu?

Pengelly'owie stanowili niewyczerpane źródło wiedzy na temat całej okolicy. Jeśli ktoś wiedział, gdzie przebywa Fenwick, to chyba właśnie oni. Postanowiłam wybrać się do gospody i spróbować coś z nich wydobyć.

Samotna wyprawa łódką na ląd stanowiła przyjemną perspektywę, a ponieważ morze było gładkie jak lustro, a ja zyskałam już sporą wprawę w wiosłowaniu, zdecydowałam, że to dobra okazja. Kiedy już raz przeprawię się samotnie tam i z powrotem, nabiorę dość śmiałości, by robić to częściej.

Wyruszyłam w „Ellen” i, kiedy w odpowiednim czasie dotarłam do przystani, skierowałam się wprost do gospody, gdzie od razu natknęłam się na panią Pengelly. Poprosiłam, by poświęciła mi parę minut, bowiem chcę z nią o czymś pomówić.

Jak zwykle przyniosła domowe wino i szafranowe ciasteczka. Posilając się zapytałam, czy wie może, gdzie podziewa się pan Fenwick.

- Ma panienna na myśli tego, który pracował w zamku dla pana Charlesa Kellawaya?

- Tak, chodzi mi o sekretarza, a zarazem lokaja ojca.

- No cóż, on wyjechał. Wie pani, po śmierci pani ojca.

- To nie tak dawno temu. Dokąd się udał? Słyszała pani może?

- A i owszem. Zamieszkał w niewielkim domku w Fallerton.

- Gdzie to jest?

- Sześć, może siedem mil stąd. Podobno zajął się ogrodnictwem - utrzymuje się z uprawy warzyw i kwiatów.

- Chciałabym pojechać tam i zobaczyć się z nim.

Pani Pengelly okazała wyraźny niepokój.

- Chcę z nim pomówić o moim ojcu.

Potrząsnęła głową.

- Pani ojciec bardzo ciężko chorował pod koniec życia, panno Ellen. Tak bardzo, że opowieść o tym może panią zranić.

- To chyba naturalne, że pragnę dowiedzieć się wszystkiego o mojej rodzinie. Ludzie zdają się tego nie rozumieć, zupełnie nic mi nie mówią.

- Cóż, ja też niewiele potrafię pani powiedzieć, panno Ellen. Odeszłam z zamku siedemnaście lat temu. Kiedy pani matka wyjechała, nie miałam tam już nic do roboty.

- Domyślam się, że ojciec był raczej nieszczęśliwy. Moja matka go porzuciła...

- Nie mogła wytrzymać na wyspie i tyle. Powtarzała stale, że czuje się tam jak więzień.

- Musiała pani znać Silwę.

- O, tak. Panienna Silva. To była bardzo dziwna dziewczynka.

- Ile miała lat, kiedy pani odeszła?

- Zdaje się, że około trzynastu. Nie jestem zupełnie pewna, ale tak mi się wydaje. Nikt nie mógł sobie z nią poradzić. Zachowywała się jak dzikuska - uwielbiała wychodzić na dwór podczas burzy. Znikała wtedy na całe godziny tak, że aż zaczynaliśmy się obawiać, czy nic złego się jej nie przytrafiło. Zupełnie jakby specjalnie chciała nas zdenerwować. Robiliśmy, co tylko można, pani matka i ja, a kiedy panienna zjawiała się na świecie, miałyśmy nadzieję, że zachowanie Silvy poprawi się. W pewnym sensie zresztą tak się stało. Lubiła panienkę. Ale ojciec nie chciał jej widywać. Nie życzył sobie, by się do niego zbliżała. Nigdy o czymś podobnym nie słyszałam. Czasami zastawałam ją całą we łzach i próbowałam pocieszyć, a ona nagle zrywała się na nogi i zaczynała ze śmiechem tańczyć po pokoju. „Czy myślisz, że on mnie cokolwiek obchodzi, ty głupia kobieto?”, krzyczała. Dobry Boże, umordowałam się z nią!

- To bardzo dziwne, że odeszła w taki sposób.

Pani Pengelly rzuciła mi czujne spojrzenie. W tym momencie niezwykle przypominała syna. Zrozumiałam, że nawet jeśli wiedziała coś o osobliwym zniknięciu Silvy, i tak nic mi nie powie. Poza tym na razie opanowało mnie obsesyjne pragnienie rozmowy z Fenwickiem.

- Wezmę któregoś z waszych koni i pojedę do Fallerton - oznajmiłam. - Czy wie pani, gdzie mam szukać jego domu?

- Tego nie mogę powiedzieć, panno Ellen, ale Fallerton to zwykła wioska, nic więcej. Proszę popytać wśród mieszkańców, na pewno ktoś będzie wiedział.

Wychodziłam z gospody, gdy na podwórzu wjechał Michael Hydrock.

- Witam, panno Kellaway, co za uroczą niespodzianka! - zawołał.

- Właśnie jadę do Fallerton - poinformowałam go.

- Fallerton! Też wybieram się w tamtą stronę. Pojadę razem z panią.

- Sądziłam, że chce pan wpaść do gospody.

- Tylko na drobną przekąskę, bez której świetnie zdołam się obyć.

- Proszę, niech pan sobie nie przeszkadza z mojego powodu.

- Droga panno Kellaway - odparł z uśmiechem - nawet gdyby istotnie stanowiła pani przeszkodę, to trudno byłoby znaleźć miłszą.

Zawrócił konia i podjechał do mnie.

- Znam skrót do Fallerton - stwierdził. - Pokażę pani.

Odrzucenie jego propozycji mogłoby być poczytane za grubiaństwo. Jego towarzystwo ucieszyłoby mnie niezmiernie, gdyby nie owe nieszczęsne scysje z Gwennol i Jenifry. Cóż, tego dnia obie zostały na wyspie, mogłam zatem oddać się przyjemności rozmowy z Michaeliem.

- Co właściwie interesuje panią w Fallerton? - spytał. - To tylko mała wioska.
 - Tak, wiem. Chciałabym znaleźć pana Fenwicka.
 - Fenwick... Był jakiś Fenwick, który pracował w zamku.
 - Jego właśnie szukam. Pragnę z nim porozmawiać o moim ojcu.
 - Zdaje mi się, iż przez wiele lat służył u niego jako lokaj i sekretarz. Podobno pani ojciec zostawił mu w testamentie dość, by starczyło na dom w Fallerton. Tak przynajmniej słyszałem.
 - Niewielu ludzi zgadza się opowiedzieć mi o ojcu! A ja naturalnie jestem ciekawa wszystkiego. To takie dziwne - nie znać własnego ojca. Kiedy jeszcze żył, nigdy się mną nie interesował.
 - Matka zabrała stąd panią, prawda?
 - Tak, ale nadal nie pojmuję, czemu nigdy nie próbował się ze mną skontaktować. Ostatecznie jestem jego córką.
 - Mam wrażenie, że był raczej nieprzejednanym człowiekiem.
 - To, co o nim słyszałam, układa się w dość nieprzyjemny obraz.
 - Czy zatem nie byłoby lepiej nie budzić licha?
 - Nie, nie sądzę. Dręczy mnie to. Chcę wiedzieć.
 - A zatem sprawdzimy, czy zdołamy odnaleźć dom Fenwicka w Fallerton.
 Przejazdka po okolicach, które Michael znał doskonale, okazała się niezwykle przyjemna. Mieszkał tu przez całe życie. Fallerton leżało tuż za granicą jego włości. Gdyby nie to, z pewnością mógłby podać mi więcej informacji na temat Fenwicka.

Wkrótce dotarliśmy do Fallerton. Była to, jak mnie uprzedzała pani Pengelly, niewielka wieś. Składała się na nią zaledwie jedna, krótka ulica, wokół której skupiło się kilka domów oraz dwa lub trzy dalsze budynki.

Dostrzegliśmy mężczyznę, stojącego przy wozie pełnym siana. Poprawiał właśnie worek z obrokiem, wiszący na szyi konia. Kiedy go mijaliśmy, Michael krzyknął:

- Czy zna pan człowieka nazwiskiem Fenwick?

Mężczyzna uniósł wzrok i uklonił się. Michael w sposób naturalny budził u wszystkich ludzi szacunek.

- Cóż, proszę pana, jeśli chodzi panu o Johna Fenwicka, który kupił Morwy, to wyjechał.

- A gdzie znajdę te Morwy?

- Podjadą państwo ulicą, a potem skręcą w prawo i po jakichś stu metrach zobaczą państwo Morwy. Przy domu jest spory kawałek gruntu. John Fenwick przejął ogród. Warzywa były dobre, a kwiaty też niczego sobie, ale on pewnego dnia po prostu rzucił wszystko i wyjechał. Powiedział, że to robota nie dla niego. Przez lata pracował w Zamku Kellawayów i nie ma już do tego serca, tak twierdził. Sprzedał więc dom i zniknął.

- Czy wie pan może, dokąd się udał?

- Nie, proszę pana. Nie mam pojęcia.

- Zastanawiam się, czy ktoś coś o nim później słyszał.

- Naprawdę nie wiem. Proszę spytać w karczmie. Podobno często tam zaglądał.

Podziękowaliśmy naszemu informatorowi i ruszyliśmy, by rzucić okiem na Morwy. Ogród wyglądał kwitnąco, a na pukanie odpowiedziała kobieta o rumianych policzkach. Tak, Morwy należały przedtem do pana Fenwicka. Kupił je od niego i mieszkają tu przeszło sześć miesięcy. Zajęli się ogrodem. Nie, nie ma pojęcia dokąd wyjechał. Wie tylko, że tu już nie mieszka.

Michael uznał, iż powinniśmy pójść do karczmy. Tam moglibyśmy coś przekąsić i zadać parę pytań.

Znaleźliśmy ją szybko. Nad drzwiami wisiał stary, skrzący szyldek: „Pod kukurydzianą lalką”. Weszliśmy do środka; poza nami nie było żadnych innych gości. Zamówiliśmy cydr i coś do jedzenia. Rzecz jasna, mieli ciasta oraz zapiekanki z gołąbki i jagnięcia, a do tego wędliny.

Gdy żona karczmarza podała nam cydr i gorące ciastka, Michael zapytał ją, czy zna może obecne miejsce pobytu pana Johna Fenwicka.

- Och, chodzi panu o tego, który mieszkał w Morwach? - upewniła się. - Nie zagrzeł tu zbyt długo miejsca. To nie życie dla niego. Miastowy człowiek.

- Podobno zaglądał tu dość często?

- A tak, był stałym gościem. Uważał, że nasz cydr jest najlepszy ze wszystkich, jakie smakował. Przepadał też za moimi ciastkami, tymi samymi, które państwo teraz jedzą...

Powiedziałam, że nie dziwi mnie to, i moje słowa wyraźnie jej pochlebiły. Nie mogła jednak pomóc nam w poszukiwaniach Fenwicka, bowiem sama nie miała pojęcia, dokąd się udał.

- Niezbyt owocny ranek - stwierdził ponuro Michael. - Nie szkodzi, w końcu go znajdziemy. Spróbuję się czegoś dowiedzieć, nie powinno to być zbyt trudne. Jak się pani podoba „Pod kukurydzianą lalką”?

- Karczma jest urocza. I co to za dziwna nazwa!

- Zauważyła pani szyldek nad drzwiami?

- Tak. Wyglądał jak pęk łodyg kukurydzy splecionych, by przypominały lalkę.

- Pod koniec żniw chłopcy robią podobne kukurydziane lalczki i wieszają je, gdzie tylko mogą. Ma to zapewnić dobre plony w nadchodzącym roku.

- W pewien sposób przypomina gospodę w Polcrag. Otwarte palenisko... dębowe belki...

- Nie mają tam jednak takiej glinianej lampy. - Michael sięgnął po stojący na stole niezwykle przedmiot. Kształtem przypominał on nieco świecznik. - Widzi pani ten otwór u góry? Można tam wlać kubek oleju. Następnie wtykają tam knot, który nazywają „purvan”. Przyjemnie widzieć, że zachowują stare zwyczaje. Nie spotyka się już zbyt wielu takich kaganków.

Obejrzałam go i potwierdziłam, iż rzeczywiście wygląda niezwykle oryginalnie, moje myśli wciąż jednak krążyły

wokół Fenwicka. Czułam gorzkie rozczarowanie. Nasze poszukiwania okazały się bezowocne.

Michael nachylił się ku mnie i poklepał mnie po ręce.

- Proszę się rozchmurzyć. Obiecuję, że znajdę pani tego człowieka.

- Dziękuję za pomoc. To niezmiernie miło z pańskiej strony.

- Ależ nic podobnego. To dla mnie prawdziwa przyjemność. Proszę zdać się na mnie. Powiem pani, co zrobię. Gdy tylko dowiem się czegoś, prześlę pani wiadomość przez gołębia. Zgoda?

- To może być zabawne - odparłam. - Śpioch z pewnością będzie zachwycony.

- Gwennol i ja często przesyłamy sobie listy w ten sposób.

- Tak, wiem. Opowiadała mi.

Opuściliśmy karczmę, a kiedy po chwili ujrzeliśmy morze, ogarnął mnie lęk. W oddali dostrzegłam kilka białych koni.

- To wiatr od lądu - stwierdził Michael. - Nic takiego. Odwiozę panią bez problemu, radziłbym jednak, by nie zwlekała pani z powrotem na wyspę.

- Przyplłynęłam sama.

- Och - wyraz jego twarzy w jednej chwili zmienił się, wyczytałam na niej niepokój. Nie powiedział jednak nic więcej, póki nie dotarliśmy do gospody.

Przez ten czas białych grzyw znacznie przybyło.

- Popłynę z panią - oznajmił Michael.

- To naprawdę niepotrzebne.

- Nalegam. To może być ciężka przeprawa. Na niepewnym morzu przyda się pani męska ręka przy wiosłach.

- A taka byłam dumna z siebie, że odważyłam się przyplłynąć samotnie!

- Rano było bardzo ładnie. Problem w tym, że pogoda potrafi zmieniać się co chwila.

Michael wszystko zorganizował. Wypożyczył łódź, nieco mocniejszą niż „Ellen”, i w niej zamierzał przewieźć mnie na wyspę. Ustalili, iż jeden z posługaczy popłynie na „Ellen”, po czym razem wrócą na ląd.

Kiedy wiosłował w stronę wyspy, czułam lekki niepokój - nie z powodu żywiołów, lecz tego, jak Gwennol i jej matka odebrałyby fakt, iż spędziłam parę godzin w towarzystwie Michaela Hydrocka, który następnie odwioził mnie do domu. Byłam niemal pewna, że wyciągnęłyby niewłaściwe wnioski.

W miarę oddalania się od lądu wiatr zdawał się słabnąć.

- Dałabym sobie radę - stwierdziłam.

- Może i tak - odrzekł - ale bałbym się puścić panią samą.

Wysiedliśmy z łodzi i stanęliśmy razem na plaży.

- Czy odwiedzi pan zamek?

- Raczej nie. Powinienem już wracać. - Patrzyliśmy, jak „Ellen” przybija do brzegu.

- Raz jeszcze dziękuję za pomoc.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Z powrotem wskoczył do łodzi. Po chwili dołączył do niego służący z gospody.

Na ścieżce, prowadzącej w stronę zamku, spotkałam Jenifry. Po spojrzeniu, jakim mnie obdarzyła poznałam, iż była świadkiem naszego przybycia, widziała, jak Michael ściska moją dłoń przy pożegnaniu i odpływu.

Zastanawiałam się, czy Jenifry opowiedziała Gwennol o tym. Odkryłam, iż przyglądałam im się ukradkiem. Jeśliby to dostrzegły, z pewnością uznałyby owe spojrzenia za kolejny dowód mojej winy.

Następnego dnia Gwennol wybrała się na ląd, a ja zostałam na wyspie. Wpadłam na pomysł, że mogłabym złożyć wizytę Tassie. Może teraz, pod nieobecność Jagona, inaczej odczyta moją przyszłość?

Siedziała w drzwiach swojej chaty, a jej pomarszczona niczym łupina włoskiego orzecha twarz wykrzywiła się w uśmiechu na mój widok. Czarny kot wypłatał się z jej spódnicy i rzucił mi nieprzychylnie spojrzenie.

- Proszę wejść - zaprosiła mnie do środka.

Na kominku paliło się parę szczap drewna, a dusząca woń ziół zdawała się silniejsza niż poprzednim razem.

- A zatem dziś jest pani zupełnie sama, panienko - stwierdziła z szyderczym grymasem. - Mam nadzieję, że pozostaje pani w dobrym zdrowiu.

- Owszem, dziękuję, i wierzę, że ty również.

Roześmiała się na te słowa, najwyraźniej dając mi do zrozumienia, że ktoś, kto potrafi odegnać zaklęciem choroby innych ludzi, z pewnością sam na nic nie cierpi.

- Co mogę zrobić dla młodej damy? - spytała. - Proszę powiedzieć, śmiało. Czy mam postawić karty, spojrzeć w szklaną kulę, czy chce pani, żebym odczytała przyszłość z dłoni?

- Ostatnim razem przepowiedział mi bardzo szczęśliwy los - odparłam. - Zadowolę się tamtą przepowiednią - w końcu to, co ujrzę dzisiaj mogłoby nie być tak pomyślne.

Spojrzała na mnie z rozbawieniem.

- Ach, widzę, że była pani rada - i nie tylko pani. -

- Chcę, żebyś powiedziała mi o kimś innym.

- Och? - przekrzywiła głowę niczym złośliwa małpka. - Nie, Malkenie - dodała, zwracając się do kota. - Nie przywykliśmy do podobnych pomysłów, prawda, mój skarbie?

- Chodzi o kogoś, kto może żyje... albo i nie.

- Duchy nie mają przyszłości - odpaliła ostro.

- Ale jeśli potrafisz zajrzeć w przyszłość, to może umiesz też ujrzeć to, co było. Chcę spytać o moją przyrodnię

siostrę, Silwę.

- Ach tak? Biedne dziewczę! Miała smutne życie.
- Czy kiedykolwiek przyszła do ciebie?
- Wiele razy. Szczególnie pod koniec. Wtedy miała po temu powód.
- Jaki powód? - Czułam, że ogarnia mnie podniecenie.
- Niepokoła się o swoją przyszłość.
- Ludzie zdają się unikać rozmów na jej temat.
- To naturalne... po tym, co się stało. Może leży teraz na dnie morza i jedynie ryby dotrzymują jej towarzystwa.

Biedne dziewczę, biedne smutne dziewczę!

- Czy widzisz ją na dnie morza?
- Rzuciła mi przebiegłe spojrzenie.
- Jednego dnia widzę ją tam, drugiego dnia - gdzie indziej.
- Lecz jeśli rzeczywiście posiadasz dar, którym się pysznisz, musisz wiedzieć, czy zginęła, czy też nie!
- Wielu przysięga, że słyszy jej krzyk pośród wycia wiatru.
- Chcesz powiedzieć, że naprawdę utonęła?
- Łódź została wyrzucona na brzeg, tak? Gdzie mogła się podziać, skoro jej łódka wróciła pusta?
- A więc nie wiesz - stwierdziłam.
- Tego nie powiedziałam, panienko. Mówię tylko, że niektórzy słyszeli jej ducha, a łódź wróciła bez niej.
- Po co cię odwiedzała?
- Aby spojrzeć w przyszłość.
- Jaka była? Czy wyglądała tak jak ja?
- Różniła się, jak kreda od kamienia.
- Kreda i kamień czasem są bardzo podobne.
- Ona miała długie, jasne włosy. Wdała się w matkę. Nie było w niej nic z Kellawayów.
- Więc przychodziła tu, bo była nieszczęśliwa?
- Może urodziła się, by być nieszczęśliwa i wiedziała o tym?
- Ale dlaczego?
- Czy potrafi panienka dochować sekretu?
- Tak - odrzekłam z zapałem. - Obiecuję.
- Jej matka przyszła do mnie przed urodzeniem Silvy. Chciała się jej pozbyć.

W napięciu wstrzymałam oddech.

- Dlaczego?
- Zapewne miała swoje powody.
- Jaka była jej matka?
- O, pani Effie nie pasowała do tych stron. Panienki ojciec zawsze przywoził je sobie z daleka... panienki matka też nie była stąd. A potem zastanawiał się, czemu stale tęskniły za innymi miejscami. On sam często wyjeżdżał w interesach. Tak jak teraz pan Jago. A ona przyszła do mnie i powiedziała: „Tessie, spodziewam się dziecka. Nie mogę go urodzić.” Ja zaś popatrzyłam na nią i mówię: „Już za późno, proszę pani. Trzeba było przyjść dwa miesiące temu. Teraz nie mogę już nic zrobić.”

- Biedactwo! Zatem nawet własna matka jej nie chciała!
- Smutny jest los nie chcianego dziecka. Wiedziała o tym odkąd w ogóle zaczęła cokolwiek pojmować.
- Musisz mnie pamiętać jako dziecko.
- O, pamiętam panienkę doskonale. Pani Frances patrzyła w panienkę jak w tęczę.
- Czy wtedy rodzina była szczęśliwsza?
- Istnieją tacy ludzie, którzy nigdy nie są zadowoleni. Twój ojciec także do nich należał, moja złota.
- Powiedz, co się zdarzyło w dniach tuż przed zniknięciem Silvy?
- Przyszła do mnie... dwa razy w ciągu tego ostatniego tygodnia.
- Czy sprawiała wrażenie nieszczęśliwej?

- Z nią nigdy nie było wiadomo. Śmiała się i śmiała, i człowiek nie wiedział, czy to śmiech, czy łzy. Mówiła: „Teraz wszystko się zmieni, Tessie. Wkrótce już mnie tu nie będzie.” Potem rozmawialiśmy i prosiła, abym odczytała jej dłoń; niewiele tam było pocieszających wieści. Ale nie powiedziałam jej tego. Czasem nie mówię o złych rzeczach - spojrzęła w dal ponad moją głowę, jakby czegoś wypatrywała. - Jeśli dostrzegam ciemność, nie zawsze o tym wspominam. Zamiast tego mówię: „Bądź ostrożna”. Bo kto może stwierdzić, czy mroczny, niebezpieczny cień nie wisi nad wszystkim nad głowami? Mnie, tobie... tak, tobie, panienko Ellen. To właśnie mówię.

Nerwowo obejrzałam się przez ramię, a Tessie roześmiała się. Potem oświadczyła:

- Właśnie to im mówię, moja złota. Żeby byli ostrożni... zawsze ostrożni. I nic więcej nie mogę ci powiedzieć o paniencie Silvie.

Był to sygnał, że rozmowa dobiegła końca i powinnam wracać do domu. W każdym razie dowiedziałam się jednak czegoś o mojej przyrodniej siostrze.

Wrzuciłam kilka monet do stojącej na stole miski i, podobnie jak wtedy, gdy Jago uczynił to samo, bystre oczy staruchy obserwowały mnie uważnie, licząc każdy grosz.

- Przyjdź do mnie znowu, moja złota. Odwiedź mnie, kiedy tylko będziesz czegoś potrzebowała.
- Podziękowałam jej i wyszłam na słońce.

Dwa dni później znów zapanowała piękna pogoda, toteż ponownie wyruszyłam łodzią na ląd. Tym razem zamierzałam wpaść do gospody na kieliszek wina, a potem odwiedzić parę sklepów. Zbliżało się Boże Narodzenie i jeśli miałam do tego czasu pozostać na wyspie, potrzebowałam prezentów dla wszystkich.

Tym razem nie zabawię tu długo, obiecałam sobie w duchu. A ponieważ nie oddalę się od morza, będę uważać na wszelkie zmiany pogody.

Uwiązałam łódkę i najpierw ruszyłam do sklepów, gdzie kupiłam dwa czy trzy drobiazgi. W końcu przystanąłam przed wystawą, bowiem wisiał na niej obraz, który natychmiast wpadł mi w oko. Przedstawiał morski pejzaż - pogodny, letni dzień, szafirowe wody i fale, zwieńczone białymi falbankami piany, obmywające łagodnie złocisty brzeg. Najbardziej fascynujące było jednak stadko białych mew, polatujących nad fałami. Kontrast pomiędzy białymi ptakami i błękitnym morzem był oszałamiający i zachwyił mnie. Muszę mieć ten obraz, pomyślałam. Niezwykle przypominał Ptasiej Wyspę i wiedziałam, że gdziekolwiek będę, jedno spojrzenie na płótno wystarczy, by przenieść mnie tutaj.

Nagle pomyślałam, że obraz ten stanowiłby idealny prezent dla Jagona. Myśl ta zachwyiła mnie jeszcze bardziej niż perspektywa zatrzymania go dla siebie.

Weszłam do sklepu i poprosiłam o pokazanie mi z bliska obrazu, zatytułowanego „Mewy”. Przyniesiono go z wystawy i uznałam, iż został wyceniony dość rozsądnie. Im dłużej go oglądałam, tym bardziej mi się podobał.

- Wezmę go - powiedziałam.

W czasie, gdy dokonywaliśmy transakcji, z zaplecza sklepu wyszedł mężczyzna. Natychmiast go poznałam. To był James Manton, malarz, który mieszkał na Błękitnej Skale i którego spotkaliśmy z Jagonem na Ptasiej Wyspie.

W jego oczach zabłyśła radość i przez moment sądziłam, że cieszy się z naszego spotkania. Potem zrozumiałam. „Mewy” były jego dziełem i po prostu okazywał sympatię artysty dla kogoś, kto docenił jego pracę.

- Ależ to panna Ellen Kellaway - wykrzyknął!

- Ja również pana poznałam.

- A zatem kupiła pani „Mewy”.

- Od razu przykuły moje spojrzenie, kiedy mijałam wystawę. Poczułam, że muszę je mieć.

- Co właściwie spodobało się pani tak bardzo?

- Przede wszystkim uderzyły mnie kolory. I ptaki... są jak żywe. Wydaje się, że lada chwila sfruną z płótna. A morze... jest piękne i dziwnie spokojne. Nie sądzę, abym kiedykolwiek widziała je tak nieruchomym, ale wiem, że zobaczę, i mam zamiar na to zaczekać.

- Sprawiała mi pani ogromną przyjemność - stwierdził. - To wielka radość rozmawiać z kimś, kto dostrzega, co chciało się pokazać. Czy zabiera pani obraz ze sobą?

- Chyba tak. Choć pomyślałam, że mogłabym go kazać sobie przesać.

- Przyplłynęła pani sama?

- Tak. Ale obserwuję morze. Nie chcę tu ugrzęznąć.

Roześmiał się.

- Mam pomysł - powiedział. - Niech sprzedawca zapakuje pani obraz, a my w tym czasie napijemy się herbaty w gospodzie. Co pani na to?

- Wspaniale.

I tak usiadłam w gospodzie w Polcrag naprzeciw Jamesa Mantona, sącząc mocny herbaciany napar pani Pengelly i jedząc placuszki z dżemem i kwaśną śmietaną.

Spytał, jak mi się podoba wyspiarskie życie, a ja odparłam, iż czasami w ogóle nie czuję, że jestem na wyspie, choć kiedy wzburzone morze uwięzi nas na dłużej, może to być nieprzyjemne.

- Wasza wyspa jest większa niż Błękitna Skala - zauważył. - To trochę zmienia sytuację.

- Podobno znał pan mojego ojca - zagadnęłam, zdecydowana odkryć wszystko, co tylko zdołam. Zdawało się, że to niebiosy zesłały mi podobną okazję.

Jego twarz stężeła.

- Tak, znałem go.

- Widzę, że niezbyt go pan lubił.

- Wolałbym o nim nie mówić, panno Kellaway.

- Ale ja pragnę o nim rozmawiać, a nikt nie chce powiedzieć mi ani słowa.

- Nie może pani oczekiwać, że usłyszy coś, czego najwyraźniej pragnie, od człowieka, którego pani ojciec uważał za swojego wroga.

- Naprawdę tak sądził? Jestem pewna, że się mylił.

- Pani ojciec należał do ludzi, którzy we własnym mniemaniu nigdy się nie mylą.

- Wiem, że jego pierwsza żona zmarła...

- Był dla niej okrutny. Gdyby traktował ją inaczej...

- Nie sugeruje pan chyba, że ją zabił!

- Jest więcej sposobów zadawania śmierci, niż wbić sztylet w czyjeś serce albo dolać trucizny do zupy. Okrucieństwo też może zabić. Jej życie z nim było jednym pasmem rozpaczki. Był zazdrosny i bardzo mściwy.

Wrogość, dźwięcząca w jego głosie, poruszyła mnie do głębi. Przedtem sprawiał wrażenie bardzo spokojnego - mężczyzna w średnim wieku, który poświęcił się swej sztuce. Teraz nienawiść do mojego ojca zdawała się tchnąć w niego nowe życie, większą energię niż okazywał dotychczas.

- A zatem znał pan ją dobrze - ciągnęłam.

- I ją, i pani matkę. Pani matka była prawdziwą artystką. Mogłaby zostać doskonałą malarką, ale on nie znosił tego.

Mieliśmy ze sobą wiele wspólnego.

- Rozumiem. I ona również była z nim nieszczęśliwa.

- Owszem, aż w końcu odeszła i zabrała panią.

- Czy bardzo go to poruszyło?

James Manton zaśmiał się z ironią.

- Poruszyło! Prawdopodobnie ucieszył się.

- A jak traktował swoją córkę?

- Biedna Silva! Nienawidził jej. Mogła być zupełnie inna... gdyby wzrastała w innej atmosferze, w szczęśliwym domu. Żałuję, że... - wzruszył lekko ramionami. - Silvie nigdy nie dano żadnej szansy. To dlatego...

- Zniknęła - dokończyłam za niego. - Zdaje się, że wiodła bardzo smutne życie. Z tego, co rozumiałam, była nie zrównoważona.

- A ktoś by nie był w podobnej atmosferze? Matka odumarała ją, kiedy była jeszcze dzieckiem... a wychowywać się w takim miejscu...

- Miałam tylko trzy lata, kiedy wyjechałyśmy stąd. Niewiele pamiętam. Czy mój ojciec nienawidził również mnie?

- Nie miał czasu dla dzieci.

- Wie pan, co działo się po naszym odejściu?

- Nie próbował was znaleźć. Nigdy nie wybaczyłby pani matce jej ucieczki, tak jak nie wybaczył Effie... - potrząsnął głową. - Nie powinienem mówić takich rzeczy o pani ojcu.

- Pragnę jedynie poznać prawdę. Jeśli jest przykra, trudno - stawię jej czoło. Wolę usłyszeć wszystko bez osłonek niż przybrane w ładne słówka.

- Proszę mi wybaczyć. Poniosło mnie. Stosunki pomiędzy pani ojcem i mną były dalekie od poprawności. Póki żył, nie pozwalał mi nawet zbliżyć się do wyspy. Gdybym postawił na niej stopę, ktoś z jego rozkazu natychmiast wrzuciłby mnie do morza.

- Cóż, mam nadzieję, iż należy to już do przeszłości.

- Och, podobne spory rodzinne ciągną się z pokolenia na pokolenie. Trwają dalej, nawet gdy rodziny zapominają, co je spowodowało. Czy wiemy, skąd wziął się konflikt między Montecchimi i Capulettimi? Teraz nigdy już nie odwiedzę Wyspy Kellawayów - nawet o tym nie myślę. Zadowala mnie życie na Błękitnej Skale.

- Ma pan w ten sposób swoją małą wysepkę wyłącznie dla siebie.

- To mi odpowiada. Przez większość czasu i tak maluję, a potem jeżdżę do Londynu, gdzie urządzam wystawy i widuję się z ludźmi. Odwiedzam też łód i oddaję obrazy do sklepów z nadzieją, że kupi je jakaś miłująca piękno młoda dama, która zna się na sztuce.

- Cieszę się, że zauważyłam „Mewy” i że to pański obraz. Mam nadzieję, że mój podziw pomoże załagodzić nieco stary spór.

Uśmiechnął się do mnie.

- To cud - oświadczył - że osoba taka, jak pani jest jego córką.

Było to bardzo ciekawe popołudnie. Po powrocie do domu odpakowałam obraz i długo się weń wpatrywałam.

Potem schowałam go. Miał być przecież prezentem dla Jagona, zatem musiałam ukrywać go aż do świąt.

Był złoty październik, który ludzie nazywają babim latem. Ciepłe, pogodne dni upływały bez śladu sztormów. Jago twierdził, iż najprawdopodobniej nie uda nam się zupełnie ich uniknąć. Zapewne opóźniły swe przybycie aż do listopada.

Co dzień wyprowałam się „Ellen” na wycieczki. Uwielbiałam wiosłować wokół wyspy. Coraz bardziej przywiązywałam się do tego miejsca. Jago często opowiadał mi o problemach mieszkańców, sama też poznawałam coraz więcej ludzi. Zaakceptowali mnie i z wdzięcznością odkryłam, iż zdają się mnie lubić. Największą jednak radość sprawiały mi ich aluzje, jak znakomitym gospodarzem jest Jago.

- Surowy - stwierdziła pewna stara kobieta - ale sprawiedliwy. Musisz dbać o dom, żeby był czysty i starannie utrzymany, a ogród - wypielegnowany. Wtedy, jeśli zajdzie taka potrzeba, pan dopilnuje, by naprawiono ci dach.

Było piękne popołudnie. Na niebie świeciło słońce, nieco zamglone i rozmyte. Moje myśli powędrowały ku ludziom z wyspy - nawet nie tym, którzy mieszkali tam obecnie, lecz niewyraźnym cieniem z przeszłości. Niewiele pozostało po nich śladów i trudno było przywrócić ich do życia.

Dlaczego tak bardzo zależało mi, by poznać tych, którzy odeszli?

- Zwykła ciekawość - powiedziała Philip.

- Och, ty zawsze chciałaś wszystko wiedzieć - niemal usłyszałam głos Esmeraldy. - Szczególnie to, co się týczy innych.

To prawda. Ale było w tym jeszcze coś więcej. Nie mogłam pozbyć się wrażenia, że moje życie spleta się z żywotami wszystkich, którzy tu mieszkali. Czuję, iż z jakiegoś powodu powinnam dowiedzieć się o nich jak najwięcej.

Nigdy też moje myśli nie oddalały się zbytnio od Jagona. Uczucia, jakie we mnie wzbudzał, były tak różnorodne, że stale budził moją ciekawość. Często spoglądałam na rysunki w szkicowniku matki, z którym prawie się nie rozstawałam. Ona również świadoma była dwóch różnych twarzy tego człowieka. Ale z drugiej strony to samo sądziła o Silvie. Może chciała w ten sposób ukazać, iż charakter każdego człowieka ma dwa - czasem nawet więcej - oblicza? Na przykład mój ojciec. Sprawiał wrażenie niezwykle trudnego, a przecież zarówno moja matka, jak i Effie musiały go kiedyś kochać, skoro za niego wyszły.

Uniosłam wiosła, dryfując na falach. Wokół było tak pięknie. Chłodna bryza owiewała moją twarz, a z góry spoglądało dobrotliwe czerwonawe słońce. Wolno żeglujące po niebie chmury przybierały najdziwniejsze kształty. Dostrzegłam pośród nich twarz - ostrą, pomarszczoną - i natychmiast pomyślałam o Tassie. Mroczny cień wisi nam nad

głowami, powiedziała: „Bądź ostrożna”. Czy miało mnie to ostrzec przed jakimś niebezpieczeństwem, czy też był to jedynie zwykły chwyt wróżki? Kiedy odwiedziłam ją z Jagonem, wszystko obracało się wokół tematu „i będzie żyła długo i szczęśliwie, jeśli wybierze właściwą drogę”. Czyż jednak nie dotyczyło to także innych? Czy w życiu każdego człowieka nie następuje moment, kiedy należy dokonać wyboru, a słuszny prowadzi do sławy... albo szczęścia, które wszak jest najcenniejsze? W tej dziwnej mieszaninie przekreślonych cytatów i przenośni kryło się ziarno prawdy.

Przyptyw uniósł mnie już ponad miłę od brzegu. Chyba powinnam wracać.

Kiedy pochyliłam się nad wiosłami, ze zdziwieniem zauważyłam na dnie łodzi kałużę. Do środka wsączała się woda.

Nachyliłam się i pomacałam dłonią. Kałuża była bardzo płytka, zatem łódź zaczęła przeciekać stosunkowo niedawno. Przesunęłam palcami po dnie i poczułam coś lepkiego.

Na moich oczach wody przybywało coraz bardziej. Teraz pokrywała już całe dno. Chwyciłam wiosła i zaczęłam z całych sił wiosłować kierując się w stronę wyspy.

„Ellen” była dziurawa, co do tego nie miałam wątpliwości. Jakże odległy zdawał się ląd! Łódź mogła zatonać w każdej chwili, a ja nie umiałam zbyt dobrze pływać.

Nieszczęście zdarzyło się wcześniej niż oczekiwałam. „Ellen” gwałtownie przechyliła się na bok i znalazłam się w wodzie.

Rozpaczliwie spróbowałam złapać się łodzi. Niezwykłym trafem udało mi się uchwycić kil, kiedy łódka odwróciła się do góry dnem. Teraz dryfowała na falach, a ja przywarłam do niej z całej siły. Na razie byłam bezpieczna... ale doskonale wiedziałam, że to nie potrwa długo.

Czy zdołam dopłynąć do brzegu? Czułam, jak moja suknia nasiąka wodą i staje się coraz cięższa. Ściągała mnie w dół. Bardzo rzadko pływałam. Co prawda wraz z Esmeraldą zażywałyśmy morskich kąpiel w Brighton, dokąd posyłano nas w czasie wakacji, ale wtedy wchodziłyśmy do kabin kąpielowych i ściskając w dłoniach linę pozwalałyśmy, by fale tylko potarłosiły nas lekko, nic więcej. Potrafiłam przepłynąć zaledwie parę metrów, czy teraz dam radę dotrzeć do wyspy, w dodatku skrępowana ciężką suknią?

Coraz trudniej przychodziło mi utrzymać mój uchwyt.

- Ratunku! - krzyknęłam. Mój głos zabrzmiał słabo. W górze krążyły mewy, krzyczące szyderczo.

- O Boże - modliłam się. - Niech mnie ktoś znajdzie. - Przed oczami mignął mi obraz Silvy w innej łodzi. Nigdy jej nie znaleźli, choć fale wyrzuciły w końcu łódź na brzeg.

Och, to zdradzieckie morze! Jakże było potężne nawet w obecnym, dobrotliwym nastroju.

Czy powinnam spróbować płynąć do brzegu? Czułam, jak mokra suknia i halki oplątują mi nogi. Wiedziałam, iż podobna próba musi skończyć się katastrofą, lecz mój uchwyt na „Ellen” słabł z każdą chwilą.

Zaczynały drętwieć mi ręce. Nie utrzymam się dłużej, pomyślałam. Czy to już koniec? Dziwne, że po wszystkich przeżyciach mój los miał się tak dopełnić. Nie, nie. Ktoś się zjawi. Jago mnie uratuje. Tak, to z pewnością będzie Jago. Gdybym tylko mogła wezwać go myślą, sprawić, by wybrał się na spacer na urwiska.

- Jago! - zawołałam - Jago!

Czułam, że mój uchwyt słabnie. Nie wytrzymam zbyt długo. Jakie to uczucie, kiedy się tonie?

Spróbuję popłynąć na wyspę. Kto wie, może nawet zdołam tego dokonać. Podobno, gdy człowiek znajdzie się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, natura obdarza go dodatkowymi siłami. Zamierzałam walczyć o życie.

Usłyszałam czyjś krzyk. Czyżby moje modlitwy zostały wysłuchane? Nie odważyłam się jednak odwrócić ku brzegowi w obawie, iż puszcze łódź.

Nad wodą niosły się słowa:

- Proszę się trzymać, panienko Ellen! Już płynę!

Śpioch!

Był już zupełnie blisko. Wiedziałam, że pływa jak ryba; często widziałam, jak pluskał się w wodzie. Czuł się tam równie pewnie, jak na lądzie.

- Wszystko w porządku, panienko Ellen. Już jestem...

Był taki drobny! Taki kruchy! Miał ciało dziecka, którym przecież wciąż był.

- No już. Jestem - jego głos uspokajał, koił, jakbym była jednym z jego zranionych ptaków.

- Zaraz zabiorę panienkę na brzeg.

Nadal kurczowo przywierałam do łodzi.

- Ja... niezbyt dobrze pływam, Śpiochu.

- Nie szkodzi, panienko Ellen. Jestem z panią.

Zwolniłam uchwyt i przez sekundę zanurzyłam się całkowicie. Nagle znów znalazłam się na powierzchni. Poczułam pod brodą rękę Śpiocha, podtrzymującą moją głowę nad wodą.

Łódź odpłynęła o parę metrów, a brzeg zdawał się taki daleki.

W jaki sposób ten delikatny chłopiec zdoła doholować mnie na ląd? - pomyślałam.

I wtedy usłyszałam głos Jagona.

- Jestem tu.

W tym momencie wiedziałam już, że wszystko będzie dobrze.

Pamiętam jak przez mgłę, że ciągnęli mnie na ląd. Pamiętam silne ręce Jagona, niosące mnie do zamku. Położono mnie do łóżka i podano uspokajające napoje. Zostałam opatulona w koce i obłożona butelkami z gorącą wodą. Miałam tak leżeć przez dzień czy dwa. Przeżyłam wstrząs - większy niż sobie uświadamiałam. Otarłam się o śmierć.

Leżąc w łóżku nie mogłam przestać myśleć o owej przerażającej chwili, gdy dostrzegłam, że łódź przecieka. Wiedziałam, że to mógł być mój koniec, gdyby nie obecność Śpiocha - a później Jagona. Nadal nie byłam pewna, czy mały

Śpioch zdołałby dociągnąć mnie do brzegu bez jego pomocy. W chwili, gdy usłyszałam jego głos, przestałam się bać.

Jago przyszedł do mojego pokoju i usiadł obok łóżka.

- Co się właściwie stało? - zapytał. - Czy czujesz się dość dobrze, by o tym rozmawiać, Ellen?

- Oczywiście. Wszystko szło znakomicie, póki nagle nie zauważyłam, że łódź przecieka.

- Kiedy wciągałaś ją na ląd, musiałaś o coś uderzyć. Przed każdym wypłynięciem trzeba bardzo dokładnie obejrzeć łódkę.

- Z początku nie przeciekała. Byłam w niej dobre dziesięć minut. Dryfowałam na pełne morze, kiedy dostrzegłam zbierającą się na dnie wodę.

- Podobne wypadki już się zdarzały. Dzięki Bogu, że zdążyłem na czas.

- Śpioch także.

- Tak, to dobry chłopak, ale słabeusz. Mogłoby nie starczyć mu sił, by doholować cię do brzegu.

- Czuję, jak mokre ubranie ściąga mnie w dół.

- W tym właśnie leży największe niebezpieczeństwo. Moja droga Ellen, gdyby spotkało cię coś złego... - na jego twarzy odbiła się prawdziwa troska. - Niech to stanowi dla nas nauczkę. W przyszłości będziemy musieli bardziej uważać.

- Czy sądzisz, że powinnam zrezygnować z samotnych wycieczek?

- To nie jest najgorszy pomysł. Na razie jednak proponuję, byś przez jakiś czas została w łóżku. Konsekwencje podobnego wypadku mogą być poważniejsze niż ci się wydaje.

- Nie zdążyłam ci jeszcze podziękować za ocalenie życia.

Jago wstał i nachylił się nade mną.

- Największą nagrodę stanowi to, iż jesteś bezpieczna. Nie zapominaj, jestem przecież twoim opiekunem.

- Dziękuję ci, Jago.

Ucałował mnie serdecznie.

Ucieszyłam się, kiedy już poszedł, bo z najwyższym trudem przychodziło mi ukrywać swe uczucia. Jestem bardzo słaba, powiedziałam do siebie. Każdy by był po podobnych przejściach.

Niedługo potem odwiedziła mnie Gwennol.

- Przeżyłaś niemiłą przygodę - stwierdziła. - I w dodatku nie pływasz zbyt dobrze, prawda?

- Skąd wiesz?

- Sama mi powiedziałaś. Mnie matka kazała w dzieciństwie pobierać lekcje pływania. Twierdziła, że to umiejętność niezbędna dla każdego, kto mieszka na wyspie.

- Miałam szczęście.

- Może urodziłaś się w czepku.

- Chętnie w to uwierzę.

- Cóż, na przyszłość będziesz chyba ostrożniejsza.

- Naprawdę nie zdawałam sobie sprawy, iż postępuję nierozważnie. Kto by pomyślał, że łódź taka jak „Ellen” zacznie przeciekać?

- To zawsze może się zdarzyć. Jak na razie, nie wróciła na ląd. Pewnie zdryfowała na pełne morze. Ciekawe, czy kiedykolwiek ją odnajdziemy. Gdyby teraz nadciągnęła wichura, łódź z pewnością roztrzaskałaby się na kawałki. Może kiedyś ktoś zobaczy odłamek deski z napisem „Ellen”?

- I spyta: „Kim była Ellen?”

- Będzie wiedział, że to fragment łodzi, a więc chodzi tylko o nazwę.

- Owszem, ale może zastanawiać się, kim była Ellen, której imieniem ochrzczono tę łódź.

Istniało między nami napięcie, a my udawałyśmy, że go nie dostrzegamy. Gwennol pragnęła zapytać, czy ostatnio widziałam się z Michaeliem. Na pewno chciała wiedzieć, co się zdarzyło tego dnia, który spędziłam na łodzi w jego towarzystwie. Bez wątplenia Jenifry powiedziała córce, że widziała nas razem. Dzieląca nas bariera sprawiała, iż obie czułyśmy się nieswojo, i Gwennol nie została u mnie zbyt długo.

Przyszła też Jenifry, z twarzą zmarszczoną w troskliwym niepokojem.

- Jak się czujesz, Ellen? - zagadnęła. - Do licha, wystraszyłaś nas. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom, kiedy Jago wniósł cię do środka. Przez sekundę sądziłam, że nie żyjesz.

- Jestem bardzo silna - odparłam. - Nie tak łatwo mnie zabić.

- Pociągająca myśl. Przyniosłam ci pewien napój. To mieszanka różnych ziół i jagód, podobno świetnie koi skołataną nerwy. Moja stara niania zawsze przyrządzała mi ten napój, kiedy sądziła, że go potrzebuję.

- To miło z twojej strony

- No dalej, wypij go. Zdziwisz się, jak dobrze ci zrobi.

Wzięłam do ręki szklankę i uniosłam wzrok. Ujrzałam, że jej oczy wpatrują się we mnie z napięciem i ogarnął mnie dziwny niepokój, jak wtedy, gdy dostrzegłam jej twarz w lustrze.

- Nie mogłabym teraz nic przełknąć - oświadczyłam. - Niedobrze mi.

- Zobaczysz, to ci pomoże.

- Później - stwierdziłam z uporem i odstawiłam szklankę na stolik przy łóżku.

Jenifry westchnęła.

- Poczujesz się od tego od razu lepiej.

- Jestem taka zmęczona - przyknięłam oczy, ale tak, że nadal widziałam ją spod rzęs. Przez chwilę przyglądała mi się w milczeniu.

- Zostawię cię zatem - powiedziała. - Ale pamiętaj o napoju.

Sennie skinęłam głową, a Jenifry cicho wyszła z pokoju. Leżałam nieruchomo, nasłuchując.

Było w niej coś podstępnego, coś, co od pierwszych chwil naszej znajomości wzbudziło mój niepokój. Odczekałam, aż jej kroki oddalą się korytarzem, po czym powąchałam napar. Czułam jedynie przyjemną woń ziół. Uniosłam szklankę do ust, ale nagle pomyślałam o starej Tassie. Znowu usłyszałam jej głos, powtarzający: „Bądź ostrożna”.

Dlaczego przypomniało mi się to akurat teraz? W mojej głowie rodziły się najdziksze myśli, a byłam zbyt zmęczona, by się nad nimi zastanawiać. Znalazłaś się dziś o włos od śmierci, powiedziałam w duchu. To sprawia, że jesteś rozstrojona i... podejrzliwa.

Istotnie ogarnęły mnie dziwne podejrzenia, bowiem wstałam z łóżka i podeszłam do okna, zabierając ze sobą szklankę. Wylałam jej zawartość za okno i patrzyłam, jak spływa po zamkowym murze.

Wróciłam do łóżka i leżałam bez ruchu, zamyślona.

ROZDZIAŁ 9 WYSPIARSKI NASZYJNIK

Następnego dnia zupełnie odzyskałam siły, a dziwne podejrzenia, nękające mnie zeszłej nocy, rozwiały się bez śladu. Pierwszą rzeczą, jaką zapragnęłam zrobić, było złożenie wizyty w gołębniku. Chciałam podziękować Śpiochowi za to, że przybył mi na ratunek.

Był tam, zupełnie jakby mnie oczekiwał.

- Dziękuję ci, Śpiochu - powiedziałam. - Uratowałeś mnie.

- Mógłbym sam dociągnąć panienkę na brzeg.

- Jestem pewna, że tak, ale znalazł się tam też pan Jago.

- Może nie jestem zbyt duży, ale ocaliłbym panią, panienko Ellen, tak jak ratuję małe ptaszki.

- Dziękuję ci. Wiem.

- To mnie niepokoi... cała ta sprawa.

- Przypuszczam, że łódzie czasem przeciekają.

Potrząsnął głową i spytał:

- Co pani widziała, panienko Ellen?

- Widziałam? Cóż, nagle zauważyłam, że do środka przedostaje się woda. Wydało mi się, że jest tam coś lepkiego... jakby cukier... a potem nie miałam już czasu, by myśleć o czymkolwiek, starałam się jak najszybciej wiosłować w stronę lądu.

- Lepkie - zmarszczył brwi - jak cukier, powiada panienka? Zastanawiam się, skąd mógł wziąć się cukier na dnie „Ellen”?

- Zapewne się myliłam. Chyba byłam bardzo przerażona.

- Może chodziło o kawałeczki wodorostów.

- Możliwe. Teraz jestem już bezpieczna i mogę ci powiedzieć, jak uradował mnie wtedy dźwięk twojego głosu.

- To mój talent. Miałem przeczucie. Coś mi mówiło: idź na brzeg. Będiesz tam potrzebny. Czasami tak się dzieje, kiedy jakieś piskłe albo małe zwierzątko wymaga pomocy.

- Cóż, w takim razie muszę podziękować nie tylko tobie, ale i twojemu talentowi.

- O tak, panienko Ellen. Proszę nigdy nie zapominać o talencie. Mówi pani zatem, że to był cukier?

- Przynajmniej tak to wtedy wyglądało... jak kilka ziaren brunatnego cukru.

- To dziwne. Ale proszę się tym nie martwić. Zaopiekuję się panienką. Jeśli będę potrzebny, zjawię się.

Jego jasne oczy zmieniły się. Zabyłsto w nich oddanie, graniczące niemal z fanatyzmem.

Rozmawiając o Śpiochu służący znacząco stukali się w czoło. Słyszałam szeptane komentarze:

- Brakuje mu jednej klepki.

Ale ja byłam pewna, że miał coś w zamian. Kochany Śpioch. Cieszyłam się, że jest moim przyjacielem.

Incydent z łodzią zbliżył mnie do Śpiocha. Zrozumiałe, że przez pierwszy tydzień nie przejawiałam ochoty na pływanie łodzią, a już na pewno nie w samotności. Jago nie musiał mnie nawet ostrzegać. Pozostawałam zatem na wyspie i co dzień chodziłam do gołębnika, kiedy Śpioch karmił ptaki.

Podawał mi miseczkę pełną ziaren kukurydzy i staliśmy obok siebie, a gołębie trzepotały wokół.

Kiedyś zapytał nagle:

- Mówiła panienka: cukier?

Przez moment zastanawiałam się, o co mu chodzi, po czym odparłam:

- A, masz na myśli tę chwilę, kiedy łódź zaczęła tonąć. Nie miałam zbyt wiele czasu na rozmyślanie. Wydało mi się, że dostrzegłam coś, co wyglądało jak kilka grudek cukru na dnie w miejscu, gdzie jeszcze nie dotarła woda. A potem, kiedy kałuża powiększyła się, miałam wrażenie, iż płyną w niej następne grudki. Byłam jednak zbyt przerażona, by się nad tym zastanawiać. Po prostu coś takiego przemknęło mi przez myśl. Rozumiesz chyba. To była straszna chwila, Śpiochu.

Chłopak zmarszczył brwi.

- Nieocyszczony trzcinowy cukier dość wolno rozpuszcza się w zimnej wodzie. Sól natomiast rozpuściłaby się znacznie szybciej.

- Ale jak to mógł być cukier, Śpiochu? Skąd by się tam wziął?

- Nie mógł się tam dostać, jeśli ktoś go nie włożył.

- Śpiochu, co masz na myśli?!

- Gdybyśmy mieli łódź i gdyby nie była zniszczona...

- Teraz nie znalazłbyś już cukru.

- Nie, ale moglibyśmy zobaczyć dziurę, przez którą dostała się woda.

- Wiesz, że musiała tam być.

- Ale skąd się wzięła? Tego chciałbym się dowiedzieć.

- Śpiochu, co ci chodzi po głowie?

- A jeśli ktoś specjalnie zrobił dziurę i zatkał ją cukrem? Wtedy nie zobaczyłaby jej panienka przed wypłynięciem i potrzeba by było trochę czasu, aby cukier się rozpuścił. A potem, zanim by się panienka zorientowała, zrobiłaby się dziura. I woda mogłaby się dostać do łodzi. Przedtem byłoby sucho.

- Mówisz, że ktoś...

- Nie wiem właściwie, o co mi chodzi, ale czasem zdarzają się różne straszne rzeczy. To wiem. Nie mogę o tym zapomnieć. Sądzę, że nie powinniśmy wyśmiać tego i powiedzieć... - zaplątał się, po czym postukał palcem w czoło, jakby

podejrzewał również mnie o komentarze w stylu „brak którejś klepki”.

Wydawało mi się, że to, co sugerował, jest absurdem. Czy naprawdę myślał, iż ktoś majstrował przy łodzi - mojej łodzi, której nie używał nikt poza mną - wiedząc, że wcześniej czy później wypłynę w niej na morze... i prawie na pewno sama!

To zbyt naciągane. Kto mógłby posunąć się do czegoś tak drastycznego?

Gwennol była zazdrosna, ponieważ Michael Hydrock zaprzyjaźnił się ze mną. Jenifry gniewała się, bo drżała o los córki. Ja zaś od pierwszej nocy nieco obawiałam się Jenifry. Często sama się z tego śmiałam. Ponieważ przez chwilę jej odbicie wyglądało przerażająco w starym lustrze, zaczęłam posądzać ją o wszystkie możliwe złe zamiary. I oczywiście teraz doszła jeszcze sprawa mojej przyjaźni z Michaeliem Hydrockiem. Ale nie. To było bezpodstawne. Nie oświadczył mi się, a ja nie zgodziłam się zostać jego żoną. Gdyby tak się stało, mogłabym zrozumieć, że ktoś potwornie zazdrosny... Ale nic takiego nie miało miejsca. Lubiłam go i najwyraźniej on lubił mnie także. Był bardzo dobrze wychowanym i uprzejmym dżentelmenem, który udzielił mi troskliwej pomocy. Gwennol nie miała żadnych powodów do zazdrości.

A jednak nasze stosunki zmieniły się od czasu, kiedy dowiedziała się, że poznałam Michaela, zanim przybyłam na wyspę. Przed tym odkryciem była do mnie nastawiona bardzo przyjaźnie; teraz zachowywała się wręcz ostrożnie, jakby chciała mnie przyłapać na gorącym uczynku. Pomyślałam, że za każdym razem, kiedy wychodzę z zamku, Gwennol denerwuje się, czy nie idę na sekretne spotkanie z Michaeliem Hydrockiem. Jeśli chodzi o Jenifry, niewątpliwie marzyła o Michaelu jako zięciu - był bez dwóch zdań najlepszą partią w okolicy, mężczyzną, którego każda matka chciałaby za męża dla swojej córki.

Cała sprawa cukru była więc jedynie szalonym wymysłem. Żałowałam, że w ogóle wspomniałam o tym Śpiochowi.

- Musi pani uważać, panienko Ellen - oświadczył bardzo poważnie.

- Będę. Sprawdzę dokładnie każdą łódź, zanim do niej wsiądę.

- Następnym razem to może nie być łódź.

- Następnym razem?

- Nie wiem, dlaczego tak powiedziałem, panienko Ellen. Chcę się panią opiekować, tak jak... panią Silvą.

- Jak się nią opiekowałeś?

Jego twarz rozświetlił nieśmiały uśmiech.

- Zawsze do mnie przychodziła. Często miewała napady. No, nie takie, żeby mdlała czy robiła sobie krzywdę... nie takie. Ale napady smutku i wściekłości, kiedy chciała zrobić coś, co mogłoby ją zranić. Wtedy do mnie przychodziła i rozmawiała, a talent zawsze podpowiadał mi, jak ją uspokoić.

- Musisz wiedzieć o niej więcej niż ktokolwiek inny.

- Chyba tak.

- A tamtej nocy, kiedy odeszła... To była burzliwa noc, a ona wzięła łódź i usiłowała przepłynąć na ląd.

Zauważyłam, że w głębi jego oczu znów opadają zasłony.

- W tym jest coś zagadkowego - zgodził się.

- Czy wiedziałeś, że zamierza wypłynąć?

Zawahał się, wreszcie odparł:

- Tak, wiedziałem, że odchodzi.

- Dlaczego nie próbowałeś jej powstrzymać? Musiałeś zdawać sobie sprawę z tego, że nie miała szansy bezpiecznie dostać się na ląd.

- Na nic się zdawały próby powstrzymania panienki Silvy, jeśli zapragnęła coś zrobić. Była jak dziki kuc.

- Coś musiało się wydarzyć - coś, co skłoniło ją do tak pośpiesznego opuszczenia wyspy.

- Owszem.

- Co to było, Śpiochu? Ty musisz wiedzieć.

Przez chwilę milczał.

- Ona była moją siostrą - zaczęłam. - Pomyśl o tym. Wprawdzie miałyśmy różne matki, ale jednego ojca. Powinnyśmy były wychowywać się razem.

- Ona nie była jak pani, panienko Ellen. Trudno znaleźć dwie damy tak różniące się między sobą.

- Ja z pewnością nie wypłynęłabym na morze w taką burzliwą noc.

- Przyszła do mnie przed odjazdem. Karmiła gołębie, tak jak panienka teraz. Latały wokół nas, gruchały.

Powiedziała do mnie: „Śpiochu, odchodzę. Do miejsca, gdzie będę szczęśliwa jak nigdy tutaj”.

- Śpiochu, sądzisz, że skoro była tak nieszczęśliwa, mogła z rozmysłem odejść w ten sposób?

Zamyślił się.

- Dała mi coś, panienko Ellen. Powiedziała: „Pilnuj tego, Śpiochu. Pewnego dnia ktoś może tego potrzebować. Może nawet ja sama, jeśli moje plany się nie powiedą”.

- Co ci dała?

- Pokażę panience.

Zaprowadził mnie do przybudówki i wyjął z szafy pudełko. Wyciągnął z kieszeni klucz i otworzył je. W środku leżały dwa notatniki - zeszyty, takie same jak ten znaleziony w biurku.

Ogarnęło mnie wielkie podniecenie. Czyżby w tych notatkach kryła się tajemnica zniknięcia Silvy? Wyciągnęłam rękę, ale Śpioch popatrzył na mnie ze zdumieniem.

- Mam je przechowywać - oznajmił.

- I nie pokazywać nikomu?

- Tego nie powiedziała.

- Czy je czytałeś?

Potrząsnął głową.

- To za dużo dla mnie, panienko Ellen. Umieć czytać tylko pojedyncze słowa. Bała się... bała się czegoś w zamku. Myślę, że napisała o tym.

- Śpiochu - błagałam - pozwól mi przeczytać.

- Myślałem nad tym - kiwnął głową. - Powiedziałem do siebie: „Pokaż je panience Ellen”. I mówię panience, że chciałem to już zrobić wcześniej. Ale kiedy dowiedziałem się o cukrze, to było tak jakby panienska Silva przemówiła do mnie: „Daj jej je przeczytać, Śpiochu. Być może jej pomogą”.

Włożył notatniki w moje ręce.

- Pójdę do mojego pokoju i natychmiast je przeczytam - przyrzekłam. - Dziękuję ci, Śpiochu.

- Mam nadzieję, że dobrze robię - mruknął niepewnie.

- Nigdy nie zapomnę, co mogłoby się ze mną stać, gdyby nie ty - powiedziałem szczerze.

- Pan Jago również tam był, prawda? Znalazł się tam przypadkiem. Ale bardzo się cieszę, że ja też tam byłam.

Nie zastanawiałam się wtedy, co chciał przez to powiedzieć - ta myśl przyszła mi do głowy dopiero później. Byłam tak podniecona zeszytami, że nie tracąc czasu pobiegłam do pokoju i zamknęłam się na klucz.

To było to samo niewyraźne, niestaranne odręczne pismo - może nieco dojralsze co w pierwszym notatniku.

„Znalazłam zeszyt, w którym pisałam lata temu. Doprowadził mnie do śmiechu i trochę do płaczu. Przypomniłam sobie wszystko z taką wyrazistością i pomyślałam, że może byłoby ciekawie, gdybym pisała dalej i miała więcej takich notatek na temat całego mojego życia - politowania godne, monotonne życie. W pewnym sensie to były dobre czasy, kiedy mieszkała tu macocha razem z dzieckiem. Kiedy odeszły, byłam potwornie samotna. Najpierw miałam nadzieję, że mój ojciec może polubi mnie choć trochę, skoro nie mam już rywalek. Jak bardzo się myliłam! Oczywiście, byłam trudnym dzieckiem. Guwernantki przychodziły i odchodziły. Żadna nie potrafiła dać sobie ze mną rady. Z tamtych czasów pamiętam tylko, że ojciec raz posłał po mnie.

Było to wkrótce po odejściu macochy. Musiałam mieć jakieś czternaście lat. Pamiętam, że byłam bardzo podekscytowana, kiedy dotarło wezwanie. Wyobrażałam sobie, że będzie to nasze wielkie pojednanie i że od tamtej chwili zostaniemy przyjaciółmi. To zdumiewające, do czego zdolna jest wyobraźnia. Nic przecież nie zapowiadało zmiany na lepsze. Oczyma duszy widziałam już siebie w jego gabinecie, podpiekającą bułeczki w zimowy wieczór albo siedzącą na stołeczku u jego stóp i prowadzącą z nim długie rozmowy. Słyszałam szepty służby: „Nikt nie wpływa na niego tak dobrze, jak panienska Silva. Każdy wie, że gdy tylko przekracza próg, zaraz woła: Gdzie panienska Silva?”

Jakież byłam głupia i naiwna! Tak jakby odejście macochy mogło złagodzić podobny charakter. W rzeczywistości, gdy tylko stanęłam przed nim, wszelkie nadzieje rozwiały się pod jego miążdżącym spojrzeniem. Moja najlepsza sukienka - barwy truskawek, z dobraną kolorem szarfą - sądziłam, że wyglądam w niej szczególnie ładnie - zwiślała ze mnie ponuro. Patrzyłam na siebie jego oczami. Miał mi tylko do powiedzenia, iż kolejna guwernantka złożyła wymówienie, a on nie zamierza zatrudnić następnej. Jeśli pragnę pozostać ignorantką, on nie ma nic przeciwko temu. Jestem leniwa, tępa, nieznośna i on umywa od tego ręce. Zastanawia się, czemu tak bardzo starał się mnie zmienić. Lecz ponieważ nie mógł pozwolić, by ludzie gadali, iż hodzi w domu małą dzikuskę, postanowił, po długim namyśle, dać mi jeszcze jedną szansę. Jeśli od nowej guwernantki usłyszy jakiegokolwiek skargi, następnej nie będzie.

Wróciłam do pokoju nieszczęśliwa. Czulałam się podle, lecz przypomniłam sobie: przynajmniej wezwał mnie do siebie i sam ze mną rozmawiał. Nie pamiętałam, kiedy ostatni raz uczynił coś podobnego. Nagle pomyślałam, iż jeśli będę ciężko pracować i postaram się zostać córką, z której mógłby być dumny, może z czasem pokocha mnie choć trochę. Ta myśl mnie pocieszyła, a wyobraźnia raz jeszcze okazała się przyjaciółką, podsuwając mi czarowne wizje. On i ja razem na łądzie. Załatwiamy interesy. „Moja córka? To moja prawa ręka. Moja córka Silva? Tak, wyrasta na niezwykle piękną pannę. Małżeństwo? O, mam nadzieję, że jeszcze nieprędko. Nie chcę jej utracić. Jeśli wyjdzie za mąż, będę nalegał, aby wraz z małżonkiem zamieszkali na zamku.”

Jakie głupie myśli nachodzą czasem człowieka! W głębi serca wiedziałam, że nigdy tak nie będzie.

Lecz w tych czasach miotalam się pomiędzy idiotycznymi marzeniami a otchłaniami bezdennej rozpacz, kiedy nienawidziłam wszystkich, a zwłaszcza siebie samej. Wszystko to jednak minęło i marnuję tylko czas, opisując to, bowiem i tak w retrospektywnym opisie nie zdołam oddać prawdziwego obrazu wydarzeń, bowiem można to uczynić jedynie na bieżąco.”

Następna strona była pusta i domyśliłam się, że Silva porzuciła na jakiś czas pamiętnik, aby wrócić do niego później. Dziewczynka, którą wtedy była, zamknięta w pokoju wyskrobała wewnątrz szafy: „Jestem więźniem w tym pokoju”. I rzeczywiście była więźniem, więźniem własnej natury, może jednak stała się taka pod wpływem otoczenia.

Kolejna kartka znowu była zapisana.

„Nie można nigdzie się ruszyć, nie czując jego obecności. Od czasu wylewu ojca całkowicie przejął kontrolę. Oczywiście zawsze tu był i ludzie liczyli się z nim bardziej niż z moim ojcem. Wystarczy, by wydał najdrobniejsze polecenie, a oni go słuchają. Muszą. Ojciec nie był taki. Gniewał się na nich, potrafił także okazywać mściwość. Nigdy nie wybaczał tym, którzy sprawili mu ból. Jago jest inny. Nie sądzę, aby ktokolwiek ośmielił się go skrzywdzić, toteż trudno powiedzieć jak długo zachowałby urazę.

Wczoraj byłam w rosarium i zrywałam kwiaty, kiedy podszedł do mnie Jago. Pojawił się koło mnie, jakby wyrósł spod ziemi. Zawsze patrzy na mnie, jakby mnie oceniał, co jest bardzo nieprzyjemne.

- Moja siostra Jenifry przyjeżdża do nas wraz ze swą córeczką - powiedział. - Będziesz miała towarzystwo.

- Czy zamieszkają tu na stałe? - spytałam.

- To będzie ich dom. Spodobają ci się.

Jago ma zwyczaj mówić ci, co ci się spodoba, niemal prowokując sprzeciw.

- Co na to mój ojciec? - zapytałam, ponieważ zawsze chciałam wiedzieć, co mówił i robił ojciec. Sama widywałam go tylko wtedy, gdy stał w oknie, a ja byłam akurat w ogrodach. Zawsze z nadzieją unosiłam wzrok, lecz on na mój widok odwracał głowę. Czasami dostrzegałam Fenwicka, popychającego go w jego fotelu na kółkach. Jeśli wtedy nawet zauważył mnie, nieodmiennie udawał, iż nie istnieje. Nawet teraz, kiedy wspominam tamte czasy, czuję, jak do oczu napływają mi piękne łzy. Zawsze pragnęłam podbiec do niego i wykrzyknąć:

- Cóż ja takiego zrobiłam? Powiedz mi!

Fenwick był zawsze niezmiernie dyskretny. Jago twierdzi, iż ojciec nie poradziłby sobie bez Fenwicka, a Fenwick bez ojca.

Teraz nie mogę się już doczekać dnia przyjazdu siostry Jagona i jego siostrzenicy".

Kolejna biała karta, świadectwo, iż między notatkami upłynął jakiś czas.

A potem:

„Gwennol ma około ośmiu lat. Jest bystra i śliczna. Dziecko byłoby mniej więcej w tym samym wieku. Nie lubię Jenifry. Wydaje mi się, iż denerwuje ją, że to ja jestem prawowitą dziedziczką. Komiczna historia - ktoś miałby być zazdrosny o mnie! Ale ona zawsze stara się postawić Gwennol na pierwszym miejscu. Nie musi się zresztą przejmować. Gwennol jest dużo bardziej atrakcyjna niż ja kiedykolwiek. Mimo wszystko cieszę się, że jest tutaj. Opiekuje się nią ta sama guwernantka. Gwennol jest znacznie bystrzejsza ode mnie.

Po co w ogóle zaczęłam tę pisaninę? Tak naprawdę nie mam o czym opowiadać. Każdy dzień przypomina następny. Więcej nie będę już tego robić.”

W tym zeszycie nie znalazłam już ani jednego zapisu, choć pozostało wiele pustych stron. Sięgnęłam zatem po drugi.

„Najwyraźniej nie jest mi dane zostać prawdziwą kronikarką. Moje życie jest zbyt nudne i zaczynam się już starzeć. Większość dziewcząt bywa na balach i ma wokół siebie co najmniej paru odpowiednich mężczyzn. Mój ojciec oświadczył podobno, iż nie zamierza wyrzucać pieniędzy na wprowadzanie mnie w świat. Jenifry pilnuje, aby Gwennol uczestniczyła w życiu towarzyskim. Zaprzyjaźniła się nawet z Michaeliem Hydrockiem, który jest najlepszą partią w sąsiedztwie. Gwennol jest podniecona, ponieważ traktował ją szczególnie miło.

Wczoraj wieczorem przyszła do mojego pokoju. Właśnie wróciła z łądu. Jej oczy lśniły, a policzki pokrywał uroczy rumieniec, niezwykle pasujący do ciemnych włosów.

- W ogrodach wokół dworu odbyło się wspaniałe przyjęcie - powiedziała. - Och, jakież to cudowny dom; pawie na trawnikach i piękny, przepiękny dwór. Nienawidzę tego starego zamku. A ty, Silvo?

- Owszem - odparłam. - Jest zbyt przesycony przeszłością. Kiedy zapuszczam się zbyt blisko lochów, zdaje mi się, iż słyszę krzyki torturowanych dusz.

- O tak - stwierdziła Gwennol. - Czasami ludzie musieli się tu śmiać, a nawet urządzać zabawy. W jadalniach na pewno odbywały się przyjęcia i uczy. Dlaczego duchy są zawsze takie okropne? Czemu nie mogą być miłe... jak duch z Dworu Hydrocków? Dobrotliwy stary dżentelmen, który nakazuje ludziom, by byli szczęśliwi w jego domu. Michael opowiedział mi dziś tę historię. Dotyczy ona szczególnie pańien młodych.

- Kochasz go - powiedziałam.

- Wszyscy go kochają.

- To musi nieco komplikować mu życie.

- Dlaczego? Czyż nie byłoby miło, gdyby wszyscy nas kochali?

- Ponieważ mnie nikt nigdy nie kochał, nie umiem odpowiedzieć na to pytanie.

- Biedna Silva - odrzekła Gwennol. - Zabiorę cię ze sobą do Dworu Hydrocków. Kto wie, może poznasz tam kogoś interesującego.

Jest już noc, a ja nie mogę spać. W tym pokoju jest coś nieprzyjemnego. Wydaje się pełen cieni. Może dlatego, że byłam w nim taka nieszczęśliwa. Ktoś kiedyś powiedział: „Każdy jest kowalem swego losu”. Jeśli to prawda, to okazałam się bardzo marnym kowalem.

Siedzę przy biurku i piszę. Kiedy nie można zasnąć, leżenie w łóżku nie ma sensu. Właśnie otworzyłam szafę i dostrzegłam tę głupią dziecinną inskrypcję. Żałuję, że nie mogę jej zetrzeć. Pamiętam dzień, gdy to napisałam. Odesłano mnie do mojego pokoju na dwa dni i dwie noce za jakiś wybryk. Nie pamiętam nawet, co to było.

Dziś mam nastrój wspomnieniowy i to z powodu Gwennol. Ona jest zakochana i kiedy na nią patrzę, uświadamiam sobie, co było nie tak z moim życiem. Nikt mnie nigdy nie kochał - może z wyjątkiem matki, a kiedy ona umarła, została kompletna pustka. Tego właśnie pragnę ponad wszystko - aby ktoś mnie pokochał. Ponieważ nikomu na mnie nie zależy, popełniam różne szaleństwa. Nagle ogarnia mnie furia i zaczynam krzyknąć. Jeśli mnie nie kochają, to chcę, aby mnie nienawidzili. Przynajmniej zauważą, że istnieje.

Pisząc te słowa, myślę o Jagonie. Jego stosunek do mnie zmienił się. Teraz zachowuje się bardzo uprzejmie. Nie, żeby kiedyś był nieuprzejmy - po prostu nie dostrzegał mojej osoby. Dwa dni temu objechaliśmy konno całą wyspę i rozmawialiśmy o wszystkim tak, jak on to widzi - jak o najważniejszych sprawach na świecie.

Kiedy wróciliśmy do zamku, byłam bardzo podekscytowana. Czemu Jago nagle tak się mną zainteresował?

Wczoraj w ogrodzie dostrzegłam Fenwicka - siedział na wiklinowym fotelu obok stawu. Podeszłam do niego, bowiem nieczęsto widuje się go bez mojego ojca.

- Gdzie jest dziś ojciec? - spytałam.

- Nie wstaje z łóżka, panno Silvo.

- Czy czuje się... gorzej?

- Jest bardzo chorym człowiekiem, panienko.
 - Wiem, że jakiś czas temu miał wylew.
 - Został po nim kaleką na resztę życia, a teraz...
 - Przykro mi - stwierdziłam. - Żałuję, że nie chce się ze mną zobaczyć.
 Fenwick potrząsnął głową.
 - Cokolwiek się stanie, proszę nie przychodzić do jego pokoju. W obecnym stanie... to by mogło go zabić.
 - Czy wie pan, za co on mnie tak nienawidzi?
 Wzruszył ramionami.
 - Zapewne pragnął mieć syna - podsunęłam. - Większość ojców tego chce.
 - Może i tak - odparł Fenwick. - Ale pani ojciec w ogóle nie przepada za dziećmi.
 Bardzo się martwił, widziałam to. Może myślał o tym, co robi, kiedy ojciec umrze. Tak jak powiedział Jago, ojciec nie dałby sobie rady bez Fenwicka. Ale co Fenwick mógłby zdziałać bez ojca?
 Nie wyznałabym tego nikomu, ale mogę o tym napisać. Och, jak bardzo będę musiała uważać na te zeszyty! To dobrze, że nikt nie interesuje się tym, co robię. Mam wrażenie, iż Jago zastanawia się, czy nie poprosić mnie o rękę".
 Odłożyłam zeszyt. Nie chciałam czytać o Silvie i Jagonie. Bezprawnie wdzieralam się w ich prywatne życie, jego i jej. No cóż, zdaje się, że co do niej, to już to zrobiłam. Przypuszczam, iż w rzeczywistości obawiałam się, iż znajdę w notatkach coś, co mi się nie spodoba.
 Jago i Silva! Nigdy bym nie pomyślała. Nie powinnam tego czytać. Po co Śpioch mi pokazał te zeszyty? Czemu Silva oddała je Śpiochowi?
 Musiał być jakiś powód.
 „Spotkałam go dzisiaj. Przeprowadziłam się na ląd, a on przybył do gospody. Jest taki wytworny i przystojny. Nie mogłam uwierzyć, iż zainteresował się właśnie mną. Napiliśmy się wina, zjedliśmy szafranowe ciastka i bardzo długo rozmawialiśmy. Wreszcie zaproponował, byśmy wzięli konie i wybrali się na przejażdżkę.
 Cóż to był za dzień! Odwiedziliśmy „Pod kukurydzianą lalką”. Piękne, romantyczne miejsce z uroczyimi kagankami na stołach i wiszącymi u powały lalczkami z kukurydzy. Cydr i ciasteczka nigdy nie smakowały mi tak bardzo.
 - Musimy znów się spotkać - powiedział.
 Czy to możliwe, by tak szybko się zakochać?"
 Zakochała się w Michaelu Hydrocku, pomyślałam. Czy on też ją kochał? A może był tylko sobą - czarującym, szarmanckim dżentelmenem? O, biedna Silva. Mam nadzieję, że nie stała jej się krzywda.
 Odwróciłam kartkę.
 „Któż chciałby pisać, kiedy jest szczęśliwy? On mnie kocha. Sam mi to powiedział. Jestem taka podniecona. Mówił, że wkrótce będziemy razem i wszystko się zmieni. Opowiadał mi o ojcu i życiu w zamku.
 Życie jest wspaniałe.”
 Po przerwie przeczytałam:
 „Dzisiaj na lądzie spotkaliśmy malarza. Zaprosił nas na Błękitną Skałę. Był bardzo miły i gościnny. Pokazał nam pracownię, pełną obrazów, przedstawiających ptaki, morze i wyspy. Powiedział, że ma nadzieję, iż niedługo znów go odwiedzimy.
 To był cudowny dzień. Jak zawsze, kiedy jesteśmy razem.”
 Kolejna przerwa, a po niej:
 „Teraz żałuję, że w ogóle zaczęłam to pisanie. Wydaje się zupełnie bezcelowe. Sądzę, że przedtem napawałam się moim nieszczęściem, radowałam niedolą - jeśli jedno nie przeczy drugiemu. Określenia te jednak zdają się znakomicie opisywać moją przeszłą sytuację. Teraz to już koniec. Jestem taka szczęśliwa, że kocham wszystkich wokół.
 Dziś spojrzałam w okno ojca i on tam był. Wyglądał na bardzo chorego i przez moment pomyślałam: Czy powinnam mu powiedzieć? Bałam się jednak wejść na górę. Pamiętałam co powiedział Fenwick - jedno wzruszenie wystarczy, by go zabić. Nie chciałabym mieć tego na sumieniu... teraz.”
 Reszta zeszytu była pusta.
 Choć czułam, że zdołałam zbliżyć się nieco do Silvy, wydarzenia owej ostatniej, burzliwej nocy nadal pozostawały dla mnie tajemnicą, może nawet większą niż przedtem. Dlaczego wypłynęła łodzią, skoro wiedziała, iż ryzykuje życiem?
 Istniała tylko jedna prawdopodobna odpowiedź. Była zdesperowana. Czy to możliwe, że po tym nagłym, niespodziewanym szczęściu, nadeszło gorzkie otrzeźwienie? Czy dlatego postanowiła wyruszyć na morze i pozwolić, aby ten potężny, przerażająco obojętny żywioł uczynił z nią wszystko, czego zapagnie?
 Moja mała, biedna siostra! Jakżebym chciała usiąść z nią i z jej ust usłyszeć opowieści o radości i smutku! Na pewno zdołałabym jej pomóc.
 Odłożyłam zeszyty do szuflady i zamknęłam ją na klucz. Nie chciałam, aby przeczytał je ktokolwiek inny.
 Potem próbowałam poskładać to wszystko w jedną całość. Dlaczego Śpioch, który musiał znać choćby część jej historii, oddał te notatki mnie? - zapytywałam w duchu.
 Czy miało to być swoiste ostrzeżenie? Śpioch był dziwnym chłopcem. Czasami uważałam, że jest po prostu przygłupi, jak sądziła większość ludzi. Przy innych okazjach dochodziłam do wniosku, iż wykazuje niezwykłą bystrość.
 Silva zniknęła w sztormową noc. Czy w myślach porównywał nas ze sobą? Najprawdopodobniej wypłynęła łodzią, która potem wróciła bez niej. Być może pewnego dnia fale wyrzucą na brzeg inną łódź. Na jej burcie będzie widniał napis „Ellen”.

Wyruszyła na ląd, bo mężczyzna, którego imienia nie wspomniała ani razu, był dla niej miły. Napisała, że ją kochał. Sam jej to powiedział. Silva nie należała do osób, które wyobrażają sobie, iż ktoś darzy je uczuciem. W istocie

podejrzewałam, iż wręcz trudno mu było przekonać ją o swej miłości. Poznali się, razem odwiedzili „Pod kukurydzianą lalką” i wtedy musiał jej to wyznać. A jednak wypłynęła łodzią, narażając się na pewną śmierć.

Dlaczego?

Z desperacji? Czyżby Silva - dziecko, które zawsze czuło, że jest nie chciane, znalazła kogoś, kogo mogła darzyć miłością tylko po to, by odkryć, że została oszukana? Czy to odkrycie okazało się ponad jej siły? A może ktoś w jakiś sposób wywabił ją z domu, nie zważając na ryzyko?

Nagle ujrzałam przed sobą twarz Jenifry i spojrzenie, jakie mi rzuciła, gdy ujrzała mnie razem z Michaeliem Hydrockiem po tym, jak odwiózł mnie z lądu na wyspę.

Gwennol kochała go. Jenifry pragnęła dla swej córki najlepszej partii w okolicy. Dziwne, że łódź Silvy wróciła na wyspę bez niej, a ja o mało nie zginęłam w dziurawej łodzi, dojrawszy na jej dnie coś, co przypominało rozpuszczający się cukier.

Zaczynałam odczuwać prawdziwy lęk.

Jago zawiózł mnie na Ptaszą Wyspę.

- Nie wypływałeś od dnia wypadku. Zwróciłem na to uwagę.

- Wciąż to żywo pamiętam. Przeżyłam parę chwil ogromnego strachu, kiedy myślałam, że nadszedł mój koniec.

- Biedna Ellen! Ale chyba przy mnie nie boisz się zbyt?

- Nie. Nawet gdybyśmy się wyrócili, nie wątpię, iż zdołasz mnie uratować.

- Mam tylko nadzieję - powiedział bardzo poważnym tonem - że ilekroć będziesz mnie potrzebowała, znajdę się w pobliżu.

Dobiliśmy do wyspy i pomógł mi wsiąść z łodzi.

- Czy pamiętasz, kiedy przyplłynęliśmy tutaj ostatni raz?

- Tak. Tamtego dnia spotkaliśmy malarza z Błękitnej Skąły.

- Owszem.

- Widziałam kilka jego obrazów na wystawie sklepu na lądzie. Nawet mi się podobały. A ty je lubisz?

- Raczej tak. Jak sądzę, jest całkiem niezłym malarzem. Powiedz mi Ellen, czy naprawdę przyzwyczajasz się do życia na wyspie? Czy dobrze mi się wydaje, że je polubiłaś?

- Jest bardzo ciekawe, zwłaszcza teraz, kiedy zaczęłam poznawać ludzi. Rozmawiają ze mną i zapewne dlatego czuję się jak w domu. To bardzo miłe.

- Bo to jest twój dom.

- Tak sądzę, ale przecież dopiero co przyjechałam i nie znałam swojego ojca... - zmarszczyłam brwi. - Nie wydaje mi się, żeby był bardzo popularną osobistością.

- Myślisz pewnie o twojej matce, która go porzuciła. Tak naprawdę, gdy ją zobaczyłem, wiedziałem, że nigdy nie wciągnie się w nasze życie. Pragnęła rozrywek i większego urozmaicenia.

- Niewiele ich miała po tym, gdy zamieszkała z moją babką. Ojciec nie dbał zbyt o dzieci i to mi się wydaje nienaturalne.

- Był bardzo chorym człowiekiem.

- Wiem, że zmarł na wylew, ale zanim zachorował też niezbyt je lubił.

- Chorował przez dłuższy czas. Nigdy nie wrócił do równowagi po odejściu twojej matki. I twoim.

- Nadal miał moją przyrodnią siostrę.

- Silva była bardzo dziwną dziewczynką i nigdy jej nie lubił.

- Dlaczego?

Nie chciałam mu powiedzieć, że czytałam pamiętnik. To była tajemnica moja i Śpiocha. Nie wiedząc o tym, nie mógł zrozumieć, skąd mam taki jasny obraz mojego ojca.

Wzruszył ramionami.

- Silva była trudnym dzieckiem. Żadna guwernantka nie mogła z nią wytrzymać. Była smutna i wołała, aby zostawiano ją samą. Potrafiła wychodzić na całe dni i nikt nie wiedział, gdzie się podziewała. Ale po co wraca do tego wszystkiego? Chciałem z tobą porozmawiać o przyszłości.

- Twojej?

- I twojej. W istocie mam nadzieję, że będą się łączyć.

Popatrzyłam na niego, zaskoczona. Jago podszedł bliżej.

- Odkąd tutaj przyjechałaś, wszystko się zmieniło. Nawet wyspa nabrała dla mnie nowego znaczenia. Zawsze ją kochałem, zawsze dbałem o jej dobro i rozwój, ale teraz wydaje mi się to jeszcze ważniejsze.

Moje serce zaczęło bić jak szalone. Już wcześniej domyślałam się tego po jego zachowaniu w stosunku do mojej osoby, ale nie przypuszczałam, że tak szybko uzewnętrznili swoje uczucia.

- Nie chcesz chyba... - zaczęłam, bardzo dobrze wiedząc, że owszem, chciałam.

Objął mnie ramionami i przyciągnął do siebie. Ujął mnie pod brodę i intensywnie spoglądał w oczy.

- Ellen, nie mogę uwierzyć, że jestem ci obojętny.

- Nikt nie może być wobec ciebie obojętny, Jago. Tego jestem pewna.

- To znaczy, że muszą mnie kochać lub nienawidzić. A co z tobą, Ellen?

- Oczywiście, że cię nie nienawidzę.

- A zatem mnie kochasz.

- To ty powiedziałaś, że ludzie muszą cię kochać lub nienawidzić. Istnieją jeszcze uczucia pośrednie.

- Nie mam cierpliwości do pośrednich uczuć.

- Nie znaczy to jednak, że nie istnieją.

- Kocham cię, Ellen. Pragnę, żebyś wyszła za mnie za mąż. Chcę pojechać prosto do kościoła i dać na zapowiedzi. Wydaje mi się, że musi to być na trzy tygodnie przed ślubem. Chodź, pójdziemy tam od razu.

Zerwał się z miejsca, ale ja siedziałam dalej.

- Jago, jesteś nazbyt krewki - powiedziałam. - Pamiętaj, że niedawno miałam wziąć ślub. Nie mogę podjąć decyzji tak od razu. Poza tym, nie jestem pewna, czy małżeństwo to dobry pomysł.

Spojrzał na mnie ze zdumieniem.

- Czy to dobry pomysł? Nasze małżeństwo? Moja droga Ellen, jak możesz w to wątpić!

- Mówię serio. Wszystko to stało się, jak dla mnie, stanowczo zbyt szybko. Jeszcze rok temu nie myślałam nawet o poślubieniu kogokolwiek. Potem się zaręczyłam, a mój narzeczony zginął od kuli. A teraz ty proponujesz mi ślub za trzy tygodnie.

- Jakie znaczenie mają te obliczenia minionych lat i dni? Kocham cię. Ty kochasz mnie. Dlaczego mielibyśmy zwlekać?

- Ponieważ nie jestem pewna.

- Ty - niepewna! Wiesz, dokąd zmierzasz, Ellen. Nie jesteś głupiotką kobietką popychaną w różne strony w zależności od tego, jak zawieje wiatr.

- Właśnie w tym rzecz. Nie kochałam Philipa.

- Oczywiście, że nie. Wiesz to, ponieważ dopiero teraz zrozumiałaś, czym jest miłość.

- Proszę, wysłuchaj mnie, Jago. Nie zamierzam podejmować pochopnych decyzji. Jestem zafascynowana wyspą. Interesuje mnie ona coraz bardziej, ale nie myślałam o małżeństwie i nie chcę się z niczym spieszyć. Musisz to zrozumieć.

Jago ukląkł na pledzie.

- Rozczarowujesz mnie, Ellen.

- Przykro mi, ale musiałam ci powiedzieć, co czuję.

- A co czujesz do mnie?

- Lubię twoje towarzystwo. Lubię słuchać o wyspie. Wszystko tu niezwykle mnie pociąga.

- Włączając moją osobę?

- Tak, Jago. Włączając ciebie.

- Ale nie kochasz mnie tak mocno, aby mnie poślubić?

- Nie znam cię nawet.

- Nie znasz mnie! Po tym, jak spędziliśmy razem tyle czasu!

- To nie trwało zbyt długo.

- Sądziłem jednak, że zdążyłaś już dowiedzieć się o mnie wszystkiego, czego chciałaś.

- Nie przypuszczam, żeby ktokolwiek wiedział wszystko to, co chciałby wiedzieć o innej osobie.

- Teraz stajesz się tajemnicza. Wiem wystarczająco wiele o obydwójgu z nas. Wiem, że cię kocham. Wiem, że nikt do tej pory nie znaczył dla mnie tyle, co ty. I że dopóki nie przyjechałaś, nie umiałem żyć. Czyż to nie wystarczy? Czy nie widzisz, że nasze małżeństwo będzie najlepszą rzeczą, jaka może spotkać nas oboje?

- Dlaczego? - spytałam.

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

- Ty i ja, razem do końca naszego życia, na wyspie. We dwoje zamienimy ją w raj.

- Skoro dwoje ludzi się kocha, nieważne jest miejsce, w którym mieszkają.

- Oczywiście, że nie. Ale tak się składa, że to akurat wyspa.

- Jago - powiedziałam wstając - dziękuję za propozycję, ale...

- O co ci chodzi? Dziękuję za propozycję, ale...! Dlaczego dziękujesz mi za coś, o czym wiesz, że jest dla mnie najważniejsze od tygodni?

Stał obok. Chwytał mnie i mocno objął. Nasze twarze były blisko siebie i widziałam ciężkie powieki, zasłaniające jego oczy, jakby nie chciał, bym dostrzegła, co się w nich kryje.

Pocałował mnie w usta i poczułam, jak moje ciało natychmiast odpowiada na szalejącą w nim namiętność. Nigdy tak się nie czułam z Philipem.

Słyszałam nad głową krzyk mew - ostry, szyderczy.

Uwolniłam się.

- Nie, Jagonie. Muszę wszystko przemyśleć. Jest tyle rzeczy, które powinnam rozważyć. To ożywiło wszystkie wspomnienia z Londynu. Nie potrafię się z nich otrząsnąć.

- To było szczęśliwe zrzędzenie losu, które wyzwoliło cię z niechcianych więzów, kochana. Niedługo tak właśnie zaczniesz to odbierać.

- Dla Philipa nie okazało się zbyt szczęśliwe.

- On nie żyje. Pozwólmy przeszłości odejść w niepamięć. Nie będziesz przecież wiecznie rozpaczać.

- Nie, sądzę, że nie. Kiedy zyskam pewność, będę szczęśliwa. Pozwól, że ci wyjaśnię, Jago. Zanim Philip poprosił mnie o rękę, czekała mnie ponura przyszłość. Gdybym pozwoliła sobie na dłuższe rozmyślenia, byłabym zapewne przerażona, ale ja po prostu nie dopuszczałam do siebie tej myśli. Zawsze udawałam przed sobą, że coś się wydarzy. Kiedy Philip oświadczył mi się, to było jak cud... zbyt wspaniałe, by mogło być prawdziwe. Dopiero później... tak, jeszcze przed jego śmiercią, zaczęły dręczyć mnie wątpliwości i moja dziecienna wiara w świetlaną przyszłość nieco przybladła. Teraz zaś jestem tutaj. Pokochałam wyspę - naprawdę ją kocham, i bardzo lubię twoje towarzystwo. Gdybyśmy mieli się rozstać i nigdy więcej nie spotkać, czułabym się okropnie nieszczęśliwa. Ale nie jestem pewna, czy to wystarczy. Daj mi trochę czasu do

namysłu. Chcesz czy nie - nieważne, ja muszę to przemyśleć. Na razie zachowujemy się tak, jak przedtem. Zrób to dla mnie, Jagonie. Kiedy jestem z tobą, wydaje mi się, że cię kocham - ale muszę być pewna.

Staliśmy bardzo blisko siebie. Mocno uściśnął mi ręce.

- Najdroższa Ellen - powiedział. - Zrobię wszystko, czego sobie życzysz.

- Dziękuję ci. A teraz zabierz mnie z powrotem na wyspę.

Jago zwinął pled i zarzucił go sobie na ramię. Drugą rękę podał mnie.

Ruszyliśmy w stronę łodzi, żegnani melancholijnym krzykiem mew.

W milczeniu powiosłował z powrotem, a kiedy znaleźliśmy się w zamku, rzekł:

- Ellen, chodź do salonu. Jest tam coś, co chciałbym ci podarować.

Ruszyłam za nim. Jago podszedł do swego biurka i wyjął z szuflady naszyjnik, sporządzony z ledwie oszlifowanych kamieni, połączonych złotym łańcuchem.

Unióśł go w górę.

- Od trzystu lat należy do rodziny - oświadczył. - To wyspiarski naszyjnik Kellawayów. Spójrz na te kamienie - topaz, ametyst, krwawnik i agat. Wszystkie znaleziono na wyspie. Jeśli wybierzesz się na brzeg o określonej porze, możesz na nie natrafić. Trzeba być jednak bardzo spostrzegawczym i cierpliwym.

Zważyłam naszyjnik w rękach.

- Kobiety z rodu Kellawayów nosiły go od wieków. Podarujesz go swojej córce, ona swojej i tak dalej - więź, łącząca stulecia. Ma on specjalne znaczenie - oznacza, iż jego właścicielka przynależy do wyspy.

- Sądzę, iż jest jeszcze zbyt wcześnie, bym mogła go przyjąć.

- Mylisz się. - Odebrał mi go i założył na szyję. Jego dłonie pozostały tam nieco zbyt długo, a kiedy uniosłam rękę, aby dotknąć naszyjnika, przytrzymał ją. - Proszę. Do twarzy ci w nim. Wygląda, jakby znalazł się na właściwym miejscu. Noś go, Ellen. Aby sprawić mi przyjemność.

Zawahałam się, bowiem w pewnym sensie naszyjnik przypominał mi pierścionek zaręczynowy. Nie rozumiałam sama siebie, bo zwykle szybko wyrabiałam sobie własne zdanie. Co czułam do Jagona? Gdybym teraz odeszła, myślałabym o nim bezustannie. Byłabym smutna i z całych sił tęskniłabym do jego towarzystwa. Pragnęłam być z Jagonem bardziej niż z kimkolwiek innym - a przecież nie byłam pewna, czy rzeczywiście go znam.

Zostawiłam go i wróciłam do mojego pokoju. Tam natychmiast sięgnęłam po szkicownik matki i otworzyłam go w miejscu, gdzie namalowała jego portret. Ujrzałam dwóch ludzi. Często widywałam uprzejmego, troskliwego Jagona, opiekuna, który powitał mnie z całą serdecznością. A gdzie był ten drugi?

Po chwili wyszukałam wizerunek Silvy i pomyślałam: Och, Silvo, ile rzeczy mogłabyś mi powiedzieć, gdybyś tylko tu była!

Ponownie zaczęłam przewracać kartki. Notatnik sam otworzył się w miejscu, którego szukałam. Zobaczyłam pokój - miły, przytulny pokój; i w miarę, jak patrzyłam na jego podobiznę, tak wiernie odtworzoną na papierze, ogarnęło mnie przecucie nadchodzącej zguby, jakże wyraźnie zapamiętane ze snu.

Mój wzrok powędrował w stronę lustra i ujrzałam okalający mą szyję sznur kamieni z wyspy.

Tak mało wiedziałam, a tyle jeszcze zostało do odkrycia.

ROZDZIAŁ 10 „ELLEN” POWRACA

Kiedy następnego ranka zesłam na śniadanie, Gwennol siedziała samotnie w jadalni. Uśmiechnęła się do mnie bardziej przyjacielsko niż ostatnimi czasami. Wyraźnie doszła do wniosku, iż jej zazdrość o Michaela Hydrocka była bezpodstawną. Spytała mnie, czy już otrząsnęłam się z szoku po wypadku. Odpowiedziałam, że chyba tak.

- Co za wydarzenie! - rzekła nakładając sobie smażone cynaderki i bekon. - Wystarczające, żeby trzymać cię przez dłuższy czas z daleka od morza.

- Wczoraj wypłynęłam po raz pierwszy od wypadku. Jago zabrał mnie na Ptasią Wyspę.

- Przypuszczam, że w jego towarzystwie czułaś się bezpiecznie.

- Całkowicie. I tak musiałam kiedyś to zrobić. Zastanawiam się, co się stało z łodzią. Ciekawe, czy kiedykolwiek ją znajdą.

- Mało prawdopodobne. Fale mogły ją zanieść na ocean lub równie dobrze wyrzucić na brzeg Francji.

- Sądzę, że bardzo interesujące byłoby zbadanie jej dna.

- Jak się zastanowić, to każda z tych łodek nie jest niczym więcej, jak tylko kruchą łupinką. Uważam, że ludzie zbyt im ufają.

- Gdyby tego nie robili, nie zaszliby zbyt daleko.

- Zwłaszcza mieszkańcy Wyspy Kellawayów - roześmiała się. - Przypuszczam, że pewnego dnia zdecydujesz się popłynąć bez towarzystwa.

- Mam taką nadzieję. Nie należy się poddawać mimo takiego doświadczenia.

- Mamy dziś wyjątkowo piękny dzień. Gdy tylko się obudziłam, zauważyłam, jak bardzo spokojne jest morze.

Zastanawiałam się, czy w ten sposób chce mi dać do zrozumienia, że wybiera się do Dworu Hydrocków, a ja powinnam zostać na wyspie.

Swobodnie gawędziłyśmy podczas śniadania, a potem razem wyszłyśmy z jadalni. Kiedy szłyśmy przez hol, podszedł do nas Śpioch z kartką w ręce.

Gwennol podbiegła przede mną.

- To wiadomość dla mnie, nieprawdaż, Śpiochu? - spytała z ożywieniem.

Śpioch spojrzał nieco speszony.

- Nie, panienko Gwennol. To nie do panienki.

Spojrzała na niego lekko zaskoczona. Śpioch stał przez chwilę nieruchomo, wreszcie powiedział:

- To do panienki Ellen.

- Dla mnie?

Wzięłam kartkę papieru. W środku koperty, na której widniało moje imię, był liścik:

„Odnalazłem Fenwicka. Dzisiaj rano będę w gospodzie i zabiorę panią do niego. M. H.”

Znalazł Fenwicka! Poczułam, jak na policzki wypływa mi rumieniec ożywienia. Jeśli Fenwick opowie mi o ojcu, to wreszcie naprawdę dowiem się czegoś konkretnego. Podniecenie, wywołane otrzymaną wiadomością sprawiło, iż zapomniałam o Gwennol.

- Śpiochu, zawieziesz mnie teraz na ląd? - spytałam.

- Dlaczego nie, panienko Ellen. Będę gotowy za pół godziny.

- To dobrze.

Już miałam iść do pokoju i przebrać się w strój podróżny, kiedy przypominałam sobie o Gwennol i zawahałam się. Zastanawiałam się, co powiedzieć o otrzymanej wiadomości, ale ona w tym czasie odwróciła się i wyszła.

Z pewnością wytłumaczę jej później, że nie było to zwyczajne zaproszenie. Teraz zrobiło się za późno, więc poszłam do siebie i przebrałam się.

Śpioch już czekał przy łodzi i po chwili wypłynęliśmy na morze.

- Możesz odwiedzić rodziców w gospodzie.

Śpiocha zawsze cieszyła perspektywa spędzenia kilku godzin z rodziną. Kiedy doszliśmy do podwórza, z gospody wyszedł Michael, żeby się ze mną przywitać.

- Powiedziałem im, żeby przygotowali dla pani konia, tak że jeśli pani sobie życzy, możemy wyruszyć natychmiast. Ale pewnie chciałyby się pani trochę odświeżyć.

- Nie mogę się doczekać spotkania z Fenwickiem.

- Dobrze. A zatem wyruszamy natychmiast. To około ośmiu mil w głąb lądu, niedaleko wrzosowisk. Gotowa?

Wyjechaliśmy razem z gospody. Był cudowny, rześki poranek. Nieco mroźny, co dość rzadko zdarzało się w tutejszej okolicy. Zimowe słońce odbijało się w cienkich, lśniących warstwach lodu skuwających kałuże - poprzedniego dnia spadł deszcz. Nagie konary drzew wyciągały się ku niebu jak błagalne ramiona. Zawsze uważałam, że drzewa są znacznie piękniejsze zimą niż latem. Szpilki iglastych drzew lśniły. Nawet powietrze wokół mnie zdawało się pełne podniecenia, ponieważ wierzyłam, że jestem na drodze do odkrycia.

- Odnaleźć go nie było łatwo - powiedział Michael. - Zupełnie jakby ten człowiek postanowił się ukryć. Ale zgodził się porozmawiać z panią.

- A więc uprzedził go pan o mojej wizycie?

- Sądziłem, że tak będzie właściwie.

- Z pewnością ma pan rację. Tak się cieszę, że przystał na rozmowę ze mną.

Zostawiliśmy za plecami morze, a okolica wydawała się mniej żyzna. Na kamienistych nieużytkach rozpościerały się wrzosowiska.

Nagle ujrzałam pełną krasę tych fioletowych łąk. Jasne światło igrało na powierzchni strumyków, które jeszcze kilka dni temu przelewały się przez kamienie, a teraz zamarzły w bezruchu. Jechaliśmy skrajem wrzosowiska i przybyliśmy do małej wioski Karem-on-the-Moor.

- To tutaj - oznajmił Michael. - Fenwick mieszka w domu, o którym mówią Na Skraju Wrzosowisk.

Starannie utrzymany ogród wyglądał na świeżo uporządkowany, a domek, chociaż mały, był po prostu uroczy. Pod ścianą zauważyłam starą beczkę na deszczówkę. Od bramy do drzwi, przez miniaturowy ogródek, wita się wyłożona kamieniami ścieżka.

Uwiązaliśmy konie do palika i Michael poprowadził mnie do drzwi. Kiedy zapukaliśmy, otworzył nam schłodnie ubrany mężczyzna średniego wzrostu.

- Panie Fenwick, przywiozłem pannę Kellaway.

- Proszę wejść - zaprosił Fenwick. - Domyślam się, że pragnie pani o czymś ze mną porozmawiać, panno Kellaway.

- Bardzo bym chciała i skoro jest pan tak łaskaw...

- Ależ to żaden kłopot.

Michael wyjaśnił, że w okolicy ma sprawę do załatwienia i chciałby skorzystać z okazji. Wróci po mnie za godzinę. Czy tak będzie dobrze?

Pan Fenwick potwierdził. Zrozumiałam, że nienaganne maniery Michaela nie pozwalały mu na wzięcie udziału w rozmowie. Najwyraźniej sądził, że będziemy mówić o sprawach osobistych i nie chciał być intruzem.

Fenwick zaprowadził mnie do małego pokoju, w którym płonął ogień na kominku. Wszędzie wokół stały starannie wypolerowane ozdoby z brązu. W każdym kącie lśniła czystością.

- Proszę usiąść, panno Kellaway. Koło ognia, ranek jest raczej mroźny.

Usiadłam, a on postawił swoje krzesło naprzeciwko mojego.

- Czym mogę pani służyć?

- Wydaje mi się, że może mi pan mnóstwo powiedzieć. Widzi pan, dopiero co przybyłam na Wyspę Kellawayów, a przed przyjazdem nigdy o niej nie słyszałam.

Skinął głową.

- Tak, wiem. Bardzo długo służyłem u pani ojca i dlatego jestem zaznajomiony ze sprawami rodziny.

- Znał pan oczywiście moją matkę.

- Tak. I pierwszą żonę pani ojca również.

- I moją siostrę przyrodną.

- Tak.

- Jaki był mój ojciec?

Zawahał się.

- Znał go pan tak dobrze - nalegałam.

- Spędzałem z nim każdy dzień i do pewnego stopnia cieszyłem się jego zaufaniem.

- Musiał zatem znać go pan znacznie lepiej niż ktokolwiek w zamku. Nie rozumiem, dlaczego był taki obojętny w stosunku do rodziny... mojej przyrodniej siostry, mnie, mojej matki.

- Nie był obojętny ani w stosunku do pani, ani do pani matki... dopóki go nie opuściła.

- Ale dlaczego to zrobiła?

- Nie czuła się dobrze na wyspie. Wciąż pragnęła wyjechać. Chciała, żeby ją stamtąd zabrał, ale on się nie zgadzał. Mówił, że ma obowiązki wobec wyspy.

- A kiedy wyjechała, zapomniał o niej.

- Bynajmniej. Pani matka starała się wcześniej opuścić wyspę, lecz udało mu się ją powstrzymać. Zarządził, że żadna łódź nie może opuścić wyspy bez jego zgody. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, w jaki sposób uciekła.

- Zatem ktoś jej musiał pomóc.

- Nigdy tego nie stwierdziliśmy.

- A co z moją przyrodną siostrą? Co pan o niej wie?

- Była dziwną dziewczyną, sprawiającą mnóstwo kłopotów.

- Słyszałam o tym. Dlaczego?

- Wygląda na to, że miała taki charakter.

- Czy ojciec nie dbał o nią, nie pragnął dla niej szczęścia? Przecież była jego córką.

Fenwick milczał, jakby zastawiał się, czy powinien powiedzieć mi to, co wie.

Poprosiłam go delikatnie:

- To moja rodzina. Rozmawiamy o moim ojcu. Jeśli jest coś dziwnego w historii rodziny, kto jak nie ja powinien poznać prawdę.

- Pani ojciec nie miał pewności, czy Silva była jego córką.

- Nie miał pewności!?

- Wszyscy uważali ją za jego córkę. Cóż, kiedy pierwsza żona - Effie - nie była mu wierna. To stało się, gdy zaczęło się między nimi źle układać. Wyjechał w interesach i nie było go trzy, może nawet cztery miesiące. Silva urodziła się w siedem miesięcy po jego powrocie. Była normalnym, zdrowym dzieckiem i początkowo myślano, iż jest wcześniakiem. Potem ludzie szeptali, że dlatego jest taka dziwna. Nie ma pewności, czy rzeczywiście tak było. Ale pani ojciec odkrył, że Effie miała kochanka i prawie na pewno Silva była owocem tego związku. Pani ojciec nie należał do ludzi, którzy łatwo

przebaczają. Sam postępował zgodnie z surowymi zasadami moralnymi i wymagał tego od innych. Podczas jednej z gwałtownych kłótni żona przyznała się do zdrady. Nie miała pewności, czy narodziny Silvy były skutkiem wiarołomstwa. Ale w pani ojcu widok dziecka wzbudzał zawsze podejrzenia. Nie chciał więc na nią nawet patrzeć. Effie umarła na zapalenie płuc, kiedy Silva była jeszcze całkiem mała; nigdy zbytnio o siebie nie dbała. Nie czuła się szczęśliwa, ale nigdy specjalnie nie martwiła się o Silwę.

- Biedna Silva. Czy ojciec nie rozumiał, że to, co się wydarzyło, nie było jej winą?

- Rozumiał, ale nie chciał jej widywać. Zwykle mawiał: „Trzymajcie to dziecko z dala ode mnie”.

- Wiedziała o tym! - krzyknęłam. - To skrzywiło jej życie. Cóż za okrucieństwo.

- Prawi ludzie często są okrutni, panno Kellaway. I nie przypuszczam, by przyjechała pani tutaj, żeby słuchać o życiu pani ojca.

- Ależ ja chcę wiedzieć. Potem poślubił moją matkę. Jak potoczyło się ich wspólne życie?

- Pokładał w tym związku duże nadzieje. Poznał pani matkę w czasie jednej z podróży do Londynu i nawet zmienił się nieco, kiedy przywiózł ją ze sobą na wyspę. Ale ją przygnębiało to miejsce. Czuła się odcięta od świata i daleko jej było do szczęścia. Nie pasowali do siebie i przypuszczam, że musiał się bardzo rozczarować, kiedy odkrył swoją kolejną pomyłkę. Naprawdę chodzi za o to, że pani ojciec nie nadawał się do małżeństwa. Był zbyt porywczy; tak wiele wymagał. W stosunku do wyspy zachowywał się podobnie. Ludzie niezbyt go lubili. Był za surowy. Twierdził, że jest sprawiedliwy, ale czasem w kontaktach z podwładnymi przydaje się odrobina ludzkich uczuć. Wtedy łatwiej wybaczą drobne niesprawiedliwości. W istocie wyspa jest teraz znacznie szczęśliwszym miejscem i - co jeszcze dziwniejsze - znacznie lepiej prosperuje niż za czasów pani ojca.

- Jago związany jest z wyspą całą duszą i sercem.

- Tak, to bardzo ambitny człowiek. Rządzi wyspą o wiele bardziej wszechstronnie niż pani ojciec, który zresztą wyznaczył go na następcę. Zdawał sobie sprawę ze zdolności Jagona. Chociaż nie zawsze się ze sobą zgadzali. Z drugiej strony jednak, Jago wierzył, że bardziej nadaje się do zarządzania wyspą, co zresztą niewątpliwie udowodnił. Przypuszczam, że odczuwa gorycz, ponieważ należy do bocznej, nieprawej gałęzi rodziny.

- Ojciec zapewne zdawał sobie z tego sprawę, skoro zapisał wszystko Jagonowi.

Fenwick popatrzył na mnie z niedowierzaniem.

- Ależ z pewnością poznała już pani treść testamentu.

- Czy ma pan na myśli testament mojego ojca?

- Oczywiście. To pani jest dziedziczką wyspy. Wiem, ile ma pani lat, bo pamiętam pani narodziny. W przyszłym roku kończy pani dwadzieścia jeden i wtedy otrzyma pani cały spadek.

- Spadek?

- Pani ojciec był człowiekiem o silnie rozwiniętym poczuciu sprawiedliwości. Pani jest jego córką. Był tego tak pewien, jak tego, że pani przyrodnia siostra nią nie jest. Jago ma zarządzać majątkiem, dopóki nie ukończy pani dwudziestu jeden lat. Jeśli umrze pani bezdzietnie, wtedy pani przyrodnia siostra - ponieważ nie był jednak absolutnie pewien, że Silva nie jest jego córką - dziedziczy wszystko. W przypadku i jej bezpotomnej śmierci, wszystko przechodzi na Jagona. Zatem władza on wyspą tylko do pani dwudziestych pierwszych urodzin.

Byłam zdumiona. Ja, która często myślałam o sobie jak o ubogiej krewnej, przez cały ten czas pozostawałam dziedziczką!

- Pani ojciec był bardzo zamożnym człowiekiem, panno Kellaway. Oczywiście jego fortuna jest związana z wyspą, ale przy obecnych cenach ziemi i w związku z rozkwitem wyspy, zwłaszcza w ciągu kilku ostatnich lat, dziedziczy pani majątek wartości około miliona funtów.

Ja... milionerką!

- To fantastyczne - krzyknęłam. - Czy jest pan tego pewien? Nic o tym nie słyszałam.

- To mnie dziwi. Chyba Jago poinformował panią o wszystkim, gdy tylko przybyła pani na wyspę? Dotarli do mnie wieści o pani powrocie i byłem pewien, że przyjechała pani właśnie dlatego.

- Nic o tym nie wiedziałam. Zostałam zaproszona do odwiedzenia wyspy ze względu na pewne tragiczne wydarzenia, które miały miejsce w Londynie.

Skinął głową.

- Tak, wiem. Pisali o tym w gazetach. To rzeczywiście niezwykle.

- Jest pan tego pewien?

- Oczywiście mogę się mylić. Ale byłbym bardzo zaskoczony, gdyby tak było. Służyłem pani ojcu jako coś więcej niż tylko sekretarz. Zwykle opiekowałem się nim osobiście. Ufał mi. Byliśmy podobni i rozumiałem jego postępowanie. Mówił mi, że to bardzo niedobre, iż nie widział pani, odkąd skończyła pani trzy latka. Twierdził też, że po jego śmierci musi pani wrócić na wyspę i poznać ją. Miał nadzieję, że ją pani pokocha. Znał przywiązanie Jagona do wyspy i wiedział, że zostaje ona w dobrych rękach. Ufał, iż zrozumie pani, jak bardzo Jago jest potrzebny wyspie - i pani. Kiedyś powiedział do mnie: „Oczywiście ona bez wątplenia wyjdzie kiedyś za mąż. Powinna mieć męża, który byłby w stanie tyle zrobić dla wyspy, co Jago. O tym jednak zdecyduje już sama.”

Zaniemówiłam. To całkowicie zmieniało punkt widzenia na dotychczasowe wydarzenia. Ja - dziedziczką wyspy! Na swoje dwudzieste pierwsze urodziny zostanę milionerką. Dzieliło mnie od tego już tylko kilka miesięcy.

Powoli powiedziałam:

- Przyjechałam do pana mając nadzieję dowiedzieć się czegoś o moim ojcu i Silvie, która - jak sądziłam - jest moją przyrodnią siostrą. Zamiast tego odkrywam coś takiego!

- Największym zaskoczeniem jest dla mnie fakt, że pani nic nie wiedziała.

- Sądziłam, że przyjechałam w gości do Jagona. Byłam pewna, że to on jest, jak to określiłam, Panem Wyspy. Może jednak myli się pan?

- Zawsze istnieje taka możliwość. Podam pani adres adwokata pani ojca. Proszę jechać do niego i zapoznać się z testamentem.

- Jeśli to prawda, to czy on nie powinien się ze mną skontaktować?

- Tak. Możliwe nawet, że pani szukał. Dopiero szum, jaki gazety uczyniły wokół tej sprawy, pozwolił nam ustalić miejsce pani pobytu.

- Moja matka pojechała do swojej matki. Po jej śmierci trafiłam do domu kuzynki. Nie powinno być tak trudno mnie znaleźć.

- Być może wciąż jeszcze pani szukają. Minął dopiero rok od śmierci pani ojca, a młyny prawa, tak jak boże, miały powoli.

- Cóż, jestem całkowicie oszołomiona.

- To chyba naturalne. Nagle dowiedzieć się, że jest się dziedziczką takiego majątku!

- To nawet nie to... aczkolwiek muszę się dopiero zastanowić nad prawdziwym znaczeniem tego wszystkiego.

Chodzi o to, że nic nie wiedziałam...

Spojrzała na mnie ukradkiem.

- Może Jago miał swoje powody, żeby nic nie mówić.

Zarumieniałam się. Wspomniłam Jagona na Ptasiej Wyspie i sposób, w jaki mnie pocałował. To dlatego chciał mnie poślubić! Wyspa będzie moja, a on kochał ją z namiętnością, której nie będzie w stanie dać niczemu - ani nikomu - innemu.

Czułam głównie bolesne oszołomienie. Ale kawałki układanki zaczynały pasować do siebie. Czy postąpiłam roztropnie, przyjeżdżając do pana Fenwicka? Powiedział mi znacznie więcej niż oczekiwałam.

- Pani ojciec był dla mnie bardzo hojny. Zapisał mi wystarczająco wiele, abym mógł dokończyć życia w komfortowych warunkach. Jeszcze pieniędzy nie otrzymałem, sprawy spadkowe trwają zawsze bardzo długo, mam jednak oszczędności i kupiłem ogród, który stanowił dobrą lokatę kapitału. Lecz wkrótce uświadomiłem sobie, że nie jest to zajęcie dla mnie, toteż sprzedałem go z zyskiem i nabyłem to miejsce.

- Urządził się pan bardzo szybko.

Fenwick podniósł się i podszedł do stojącego w kącie pokoju biurka. Usiadł przy nim i napisał coś na kartce papieru, którą mi wręczył. Zobaczyłam napis: Merry, Fair i Dunn oraz adres.

- Prawnicy pani ojca. Dlaczego by nie miała ich pani odwiedzić? Będą zachwyceni. Muszą się z panią skontaktować, ponieważ jest pani główną spadkobierczynią. Potwierdzą lub zaprzczą wszystkiemu, co pani powiedziałam. Mogę jedynie stwierdzić, że ojciec pani długo dyskutował ze mną o swoich zamierzeniach i pamiętam wezwanych do zamku przedstawicieli tej firmy. Było to na rok przed jego śmiercią.

- Dziwne, że sporządził taki testament nie starając się mnie odszukać.

- Mówił, że nie chce już sobie komplikować życia.

- A kiedy zaginęła Silva?

- Na kilka miesięcy przed jego śmiercią.

- Nie interesowało go jej zniknięcie?

- Nie zdradził ani słowem swojej opinii na ten temat.

- Jakże był wobec niej okrutny!

- Proszę pamiętać, że ona zawsze przypominała mi o niewierności swojej matki. Gdyby była innym dzieckiem, bardziej atrakcyjnym, normalniejszym, być może polubiłby ją troszeczkę, ale często mnie pytał, dlaczego musi się z nią męczyć. Kiedyś powiedział, że tylko obawa przed skandalem nakazuje mu trzymanie jej w zamku.

- Czy Silva wiedziała, iż wątpił w to, czy jest jego córką?

- Nie przypuszczam. Wiedziała o tym zaledwie kilku ludzi. Mnie powiedział dlatego, że bardzo mi ufał. Był zbyt dumny, żeby z kimkolwiek rozmawiać o swoich kłopotach.

- Tak bardzo pragnęłabym ją poznać.

- Zawsze była dzika. Kiedyś odgrażała się, że rzuci się z najwyższej wieży zamku. Guwernantka powiedziała jej wtedy: „W porządku. Zrób to”. Od razu zmieniła zamiar. Potem nikt nie brał jej pogroźek poważnie. Myślę, że wypłynęła wtedy w łodzi, aby zwrócić na siebie uwagę. Miała nadzieję, że zaalarmuje ludzi, ale sytuacja wymknęła jej się z rąk. Nie można igrać z morzem.

- Jej ciała nigdy nie odnaleziono, chociaż łódź została wyrzucona na brzeg.

- Z pewnością utonęła.

- Dziwne, że jej ciało nie wypłynęło.

- To nie zawsze się zdarza.

- Co za smutne, tragiczne życie! Z pewnością grzechy rodziców mszczą się na dzieciach. Jestem panu bardzo wdzięczna, panie Fenwick. Powiedział mi pan o wiele więcej niż mogłam się spodziewać.

- To są sprawy, o których powinna pani wiedzieć. Ale jeśli chodzi o testament, radzę skontaktować się z prawnikami, których adres pani podałam. Ponieważ dostałem legat, nie byłem przy podpisaniu ostatniej woli, ale jestem pewien, że pani ojciec opowiedział mi o swoich prawdziwych zamiarach.

Zapewniłam go, że pojadę zobaczyć się z prawnikami jeszcze tego samego dnia, a kiedy przyjechał Michael i pokazałam mu adres, powiedział, że zaraz tam się wybierzemy. Małe miasteczko, w którym mieściła się kancelaria, leżało ledwie o kilka mil dalej.

W biurze firmy Merry, Fair i Dunn dowiedziałam się, że rzeczywiście jestem dziedziczką fortuny, którą miałam

objąć w dwudzieste pierwsze urodziny, a do tego dnia opiekunem majątku pozostawał Jago Kellaway oraz że ojciec radził, abym potem również zdała się na jego pomoc.

Było coś jeszcze. Istotnie w przypadku mojej bezpotomnej śmierci, Silva Kellaway miała odziedziczyć wyspę.

Wobec jej udokumentowanej śmierci, jak mi wyjaśniono, Jago Kellaway był następnym w kolejce do wyspiarskiego tronu.

Ostatnie elementy łamigłówki znalazły swoje miejsca i w mojej głowie zadźwięczał alarmowy dzwonek, ale nie chciałam go słuchać.

Teraz pragnęłam tylko spotkać się z Jagonem. Musiałam dowiedzieć się, jakich użyje wymówek, żeby mi wyjaśnić, dlaczego nic mi nie powiedział.

Wciąż byłam oszołomiona. Bardziej przejęłam się faktem, iż Jago utrzymywał mnie w nieświadomości niż przyszłym bogactwem. Najsilniej jednak dręczyła mnie myśl, że skoro Silva była uważana za zmarłą, gdyby mnie tutaj nie było, wszystko przypadłoby jemu.

Rozczarowałam się po powrocie, ponieważ nie zastałam go w zamku. Jenifry oznajmiła mi, że nie spodziewają się jego powrotu przed obiadem.

Zniecierpliwiona poszłam do pokoju. Umyłam się i przebrałam, ale jeszcze było za wcześnie, aby zejść na dół. Usiadłam i nerwowo przeglądałam szkicownik. W końcu nieuchronnie dotarłam do portretu Jagona.

Rozmyślałam o chwili, kiedy odkryłam w dnie łodzi dziurę, przez którą wolno napływała woda. To Jago ofiarował mi „Ellen”. „Powinnaś mieć własną łódź” powiedział prowadząc mnie na brzeg i dumnie pokazując śmiałą, małą łódkę z namalowanym na burcie moim imieniem. Byłam zachwycona, nie tylko łodzią, ale faktem, że dostałam ją od niego. Dlaczego teraz o tym myślałam?

Usłyszałam spokojny głos pana Dunna: „Gdyby zmarła pani bezpotomnie, majątek odziedziczył Jago Kellaway”.

W pokoju zaległy długie cienie. Pojawiła się w nim atmosfera zagrożenia. Ale może zawsze tu była.

Wreszcie nadszedł czas zejścia na kolację i moje serce biło mocno, ponieważ on tam był.

- Czy miałaś dobry dzień, Ellen? - spytał.

Gwennol obserwowała mnie uważnie, jej oczy spoglądały zimno i groźnie. Zastanawiała się, czy spędziłam go z Michaeliem.

- Popłynęłam na łód.

- Co? Znowu uciekałaś z naszej wyspy!

Naszej wyspy, Jago? - pomyślałam. Miałaś na myśli moją wyspę. Przynajmniej będzie moja... powinna być... już za kilka miesięcy.

Chciałam, abyśmy zostali sami. Niecierpliwie czekałam na rozmowę z nim. Posiłek ciągnął się niemiłosiernie. Jakże trudno było rozmawiać, kiedy myśli krążyły uparcie wokół jednego tematu.

Gdy tylko skończyliśmy jeść, powiedziałam:

- Jago, chcę z tobą porozmawiać.

W jego oczach zapaliły się ogniki zainteresowania. Może sądził, że podjęłam decyzję, a ponieważ nie potrafił sobie wyobrazić siebie jako odrzuconego, wierzył, że nie będę się dłużej wahać i przyjmę jego oświadczenia?

Spotkałam się z nim w salonie.

- Dzisiaj - powiedziałam wprost - dokonałam bardzo niezwykłego odkrycia. To był dla mnie prawdziwy wstrząs.

Dowiedziałam się, że jestem dziedziczką wielkiej fortuny.

Nie wyglądał na zakłopotanego.

- Musiałaś to odkryć - wcześniej czy później.

- Dlaczego mi nie powiedziano?

- Ponieważ i tak dowiedziałabyś się w stosownym czasie.

- Miałam prawo wiedzieć.

- Lepiej gdybyś nie wiedziała.

- Kto tak uważa?

- Oczywiście, że ja.

- Czuję się... oszukana.

- Moja droga Ellen, co za dziwny pomysł. Nikt cię nie oszuka, dopóki jestem przy tobie, żeby cię chronić.

- Powiedziałeś, że mój ojciec wyznaczył cię na mojego opiekuna, dopóki nie ukończę dwudziestu jeden lat.

- To prawda.

- Ale nie wspomniałeś ani słowem o tym, co się stanie, kiedy osiągnę już ten wiek.

- Miała to być miła niespodzianka.

- To mi się nie podoba.

- Nie podoba ci się perspektywa odziedziczenia wyspy?

- Nie lubię poruszać się po omacku. Czy byłbyś tak łaskawy wyjaśnić mi, o co tutaj chodzi?

- Sądziłem, że już to odkryłaś. Powiedz mi, kto ci udzielił informacji?

- Spotkałam się z sekretarzem mojego ojca, panem Fenwickiem, a on podał mi adres kancelarii Merry, Fair i Dunn.

Pan Dunn wyjaśnił mi szczegóły testamentu mojego ojca.

- A zatem wiesz wszystko. Jak odnalazłaś Fenwicka?

- Michael Hydrock znalazł go dla mnie.

- Doprawdy? Czyżby interesował go twój spadek?

- Co przez to rozumiesz?

- Nic. Tylko tyle, że zadał sobie wiele trudu, żeby ci pomóc.

- To był przyjacielski gest. Nie sugerujesz chyba, że interesuje go moja scheda. O ile wiem, sam jest bardzo bogaty. Nie chciałby tego, co prawdopodobnie dostanę.

- Nie bądź zbyt pewna. Często ci, co wydają się bogaczami, rozpaczliwie potrzebują pieniędzy. Im ktoś jest bogatszy, tym większe zaciąga długi.

Pomyślałam, że celowo zbija mnie z tropu. Atakuje wtedy, kiedy powinien się bronić. Zachowywał się dokładnie tak, jak się po nim spodziewałam.

- Wiedziałeś o wszystkim, kiedy przyjechałeś do Londynu - powiedziałam oskarżycielsko.

- Ellen, nie zachowuj się melodramatycznie. Od śmierci twojego ojca minęło nie tak wiele czasu. Jeszcze do tej pory nie zostały zakończone wszystkie prace związane z jego zaleceniami. Wyznaczono mnie na twojego opiekuna. Dlatego postanowiłem wziąć sprawy w swoje ręce. Chciałem cię zobaczyć i sprawdzić człowieka, którego miałaś poślubić. Jego śmierć pozwoliła mi zaprosić cię tutaj. Chciałem, żebyś zobaczyła wyspę, poznała ją, pokochała, zanim się dowiesz, że pewnego dnia będzie twoja.

- Dlaczego?

- Ponieważ, moja droga Ellen, gdybyś usłyszała, że odziedziczyłaś Daleką Wyspę, która - jeśli chciałabyś to zrobić - po sprzedaży przyniosłaby ci ogromną sumę, to co byś zrobiła?

- Oczywiście przyjechałabym ją zobaczyć.

- I najprawdopodobniej natychmiast ją sprzedała. Jakaś nieznana osoba kupiłaby Wyspę Kellawayów. Nie chciałem ryzykować czegoś takiego. Wolałem, żebyś przyjechała tutaj ze zwykłej ciekawości i pokochała ją, nie mając pojęcia o ostatniej woli twojego ojca.

- I myślałeś, że poślubię cię, zanim dowiem się, że wyspa należy do mnie.

- To nie ma nic wspólnego z naszym małżeństwem, z wyjątkiem tego, że byłoby wygodniej dla ciebie, gdybyś miała mnie u swego boku. W ten sposób mógłbym wszystkiego doglądać i dopilnować, by wyspa rozkwitła w dostatku.

Patrzyłam w oczy przysłonięte ciężkimi powiekami i wiedziałam, że skrywają przede mną jakieś tajemnice. Poczułam się nieszczęśliwa, ponieważ nie mogłam mu zaufać. Coraz lepiej rozumiałam, że moje życie bez niego stałoby się nudne i bezsensowne, niezależnie od tego, co zrobił.

- Och, Jagonie - zaczęłam, a on szybko podszedł i objął mnie tak mocno ściskając ramionami, że pomyślałam, iż połamie mi wszystkie kości.

Pocałował moje włosy.

- Nie przejmuj się tym. Zaopiekuję się tobą, Ellen. Przy mnie nie musisz się niczego obawiać.

Odepchnęłam go.

- To zbyt bezczelne - powiedziałam rozeźlona. - Dlaczego wszystko robisz tak tajemniczo? Dlaczego przyjechałeś do Londynu nie mówiąc, kim jesteś, a potem zjawiliś się w domu przy Finlay Square... Dlaczego?

- Chciałem cię zobaczyć... poznać cię... zanim dowiesz się, kim jestem.

- Nie widzę ku temu najmniejszych powodów - upierałam się.

- Chciałem dowiedzieć się czegoś o rodzinie, do której miałaś zamiar wejść. A co by się stało, gdybym wyznał ci, kim jestem? Zechciałabyś mnie im przedstawić, czy nie? Nie życzyłem sobie, żeby wiedzieli, iż jestem w pobliżu, ponieważ przeprowadzałem wywiad o nich.

- O Carringtonach? Są doskonale znaną rodziną. Nie tylko w Anglii, ale i za granicą.

- Właśnie. Dlaczego więc byli tak zachwyceni perspektywą małżeństwa ich syna z dziewczyną, która, jak się wydawało, nie miała ani grosza?

- Mieli więcej pieniędzy niż potrzebowali.

- Coś ci powiem, Ellen. W rodzie Carringtonów pieniądze odgrywały zawsze najważniejszą rolę. Wydaje mi się, że wiedzieli o czekającym na ciebie spadku i dlatego tak nalegali na ten związek. Chcieli tych pieniędzy. Wyspa zostałaby sprzedana, a cała suma spożytkowana na przywrócenie potęgi imperium Carringtonów.

- To zwykłe plotki.

- Nie. Zleciłem sprawę finansistom. Sprawy nie zawsze są takimi, na jakie wyglądają. Przyznaję, że kocham tę wyspę. Prawdą jest, że nie chcę jej stracić. Największą radością było dla mnie, że zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia.

- Twoja radość z pewnością byłaby znacznie mniejsza, gdybym nie miała zostać dziedziczką.

- Oczywiście. Ale nie sprawiłoby to różnicy. Postanowiłem zdobyć cię dla siebie i jednocześnie ocalić wyspę.

Mój zdrowy rozsądek podpowiadał mi, że bym nie wierzyła w jego słowa, ale rozsądek nie miał szans w porównaniu z magnetyzmem Jagona.

- A teraz, moja najdroższa Ellen, spójrz na wyspę w inny sposób. Zaznajomię cię z księgami. Archiwa sięgają wstecz ponad sto lat. Będziemy razem pracować. Będziemy mieli dzieci i przekażemy im naszą miłość do wyspy.

- Posuwasz się za daleko. Jeszcze nie powiedziałam, że cię poślubię.

- To tylko twoja przekora, ponieważ doskonale wiesz, tak jak i ja, że chcesz tego.

- Czasami mam wrażenie, że wierzysz, iż nie jesteś człowiekiem, tylko bogiem.

- Nic w tym złego, kiedy ma się o sobie dobre mniemanie. Jeśli sama nie będziesz wierzyła w siebie, nikt tego nie zrobi. Gdzie jest naszyjnik Kellawayów?

- W moim pokoju.

- Dlaczego go nie nosisz?

- Zapięcie jest słabe. Muszę go dać do naprawy.

- Chciałbym widzieć go na twojej szyi, Ellen.

- Dobrze - obiecałam i pomyślałam, że nie potrafię z nim walczyć. Ja, która zawsze uważałam siebie za silną i niezależną! Przybyłam tu, aby zażądać wyjaśnień, a on jakoś wykręcił się z kłopotliwej sytuacji.

Co się ze mną działo? Pragnęłam uwierzyć jego słowom. Chciałam z nim zostać.

Kiedy znajdę się sama, wszystko będzie inaczej.

Oznajmiłam, że jestem zmęczona. Miałam za sobą ciężki dzień i teraz chciałam się pożegnać. Przytrzymał mnie i przez chwilę nie chciał puścić.

Wreszcie powiedział:

- Dobranoc, słodka Ellen. Nie lękaj się swoich uczuć. Nie spodziewałem się tego po tobie. Nie bój się miłości. To naprawdę będzie wspaniałe doświadczenie. Obiecuję ci.

- Dobranoc, Jago - odrzekłam stanowczo i poszłam do swojego pokoju. Natychmiast opadły mnie ponure myśli. Słyszałam wzmagaający się wiatr. Podeszłam do okna i spojrzałam na morze widoczne w świetle gwiazd. Na falach zaczęły pojawiać się białe grzywy piany.

Czy mogę mu wierzyć? - spytałam samą siebie. Czy to możliwe, że Carringtonowie wiedzieli o moim dziedzictwie? Z pewnością nie Philip. Nie podejrzewałam o to Philipa. Zaakceptowali mnie wręcz entuzjastycznie, to prawda. Nie posądzałam Philipa o taką przebiegłość, ale jeśli jego sprytna rodzina wykorzystywała go?

Nieuniknione było, że tej nocy nawiedzi mnie sen. Znowu byłam w pokoju, bardziej znajomym niż kiedykolwiek, odkąd tyle razy obejrzałam przedstawiający go rysunek w szkicowniku mojej matki. Słyszałam szepty, spoglądałam na drzwi. Powoli otwierały się i nagle rozumiałam, że moje przeznaczenie kryje się po ich drugiej stronie.

Następnego dnia unikałam Jagona. Stwierdziłam, że muszę być sama, aby uporządkować myśli. Racjonalna część mojej natury musiała przejąć kontrolę i ocenić sytuację, bez poddawania się emocjom.

Rozumowo tak podsumowałam sytuację: Przyjechał do Londynu nie mówiąc mi, kim jest; przyszedł do domu na Finlay Square; po śmierci Philipa zaprosił mnie tutaj. To jeszcze można było zrozumieć, ale dlaczego nie powiedział, że jestem dziedziczką? Obawiał się, że będę chciała sprzedać wyspę. Pragnął, abym pokochała to miejsce. Nie przedstawił się, bo nie chciał, by Carringtonowie dowiedzieli się, kim jest. Wszystko to wydawało się bardzo niewiarygodne, kiedy w pobliżu nie było Jagona, gdy nie patrzył na mnie zakochanym wzrokiem. Poprosił o moją rękę sprawiając wrażenie, że czyni to wyłącznie z miłości do mnie, lecz jak zaważyło na tym jego uczucie do wyspy?

Ale zakochana Ellen, ponieważ doszłam do wniosku, że to właśnie mnie spotkało, broniła go. Lubił robić osobliwe rzeczy. Nie nosił postępować jak zwyczajni ludzie. Chciał mnie zobaczyć i dlatego poszedł na Finlay Square. Na pewno ciekawiło go, jakiego rodzaju dom wynajmujemy, ale przede wszystkim pragnął porozmawiać na osobności. Jednak zjawił się Rollo i przerwał naszą pogawędkę. Kiedy zmarł Philip, Jago zaprosił mnie tutaj, to zupełnie naturalne. Bardzo prawdopodobne jest także, iż dziewczyna wychowana w Londynie rozważałaby sprzedaż odległej wyspy, którą niespodziewanie odziedziczyła. Teraz to miejsce stawało mi się coraz bliższe.

Tak, powiedziała zakochana Ellen. Potrafię to zrozumieć.

Wyszłam z zamku i weszłam na szczyt jednego z okolicznych pagórków. Mogłam z niego podziwiać większość połaci wyspy. Była taka piękna - cała pokryta zielenią, tylko gdzieś złocisty się krzewy janowca. Widziałam zachwycające domki o czerwonych dachach i górujące nad tym wszystkim kamienne, średniowieczne mury, będące od setek lat schronieniem Kellawayów.

I to wszystko wkrótce będzie moje.

Na pagórek powoli wspiął się jakiś człowiek. Było w nim coś znajomego. To niemożliwe. Muszę chyba śnić. Ale co za niezwykle podobieństwo do...

- Rollo! - krzyknęłam.

- Tak - odpowiedział. - Widzę, że jesteś zaskoczona. Miałem nadzieję gdzieś tutaj cię znaleźć.

- Skąd się wzięłeś?

- Przyłynąłem łodzią z łądu. Zatrzymam się w tutejszej gospodzie przez dzień albo dwa. Mam sprawy do załatwienia w Truro i pomyślałem, że mógłbym cię odwiedzić. Esmeralda udzieliła mi szczegółowych wskazówek.

- Rozumiem.

- Przyjechałem prosić cię o wybaczenie. Obawiam się, że podczas naszego ostatniego spotkania zachowałem się w stosunku do ciebie dość wstrętne.

- Zdaje mi się, że obydwójce byliśmy zdenerwowani.

- To stało się tak nagle... Tak niespodziewanie. Miałem wyrzuty sumienia. Przecież dla ciebie było to o wiele straszniejsze niż dla kogokolwiek z nas.

- Czy coś się wyjaśniło?

- Nic. Teraz już spokojniej patrząc wstecz prawie nie wierzę, że popełnił samobójstwo.

- Ja nigdy w to nie uwierzyłam. Przypuszczam, że broń musiała przypadkowo wystrzelić podczas czyszczenia.

- Ale nie ma żadnych śladów, że ją wtedy czyścił.

- W takim razie musiało wydarzyć się coś innego. Ale obawiam się, że nigdy się nie dowiemy, co.

- Musiałem tutaj przyjechać i poprosić, abys mi wybaczyła.

- Rozumiem. Wiem, jak wielkim szokiem musiało to być dla ciebie. Nie przejmuj się tym, co mi wtedy powiedziałeś. Wszystko to jest nieprawdą. Nigdy się nie kłóciłyśmy.

- W miarę upływu czasu coraz bardziej wątpię we własne oskarżenia.

- Zapomnijmy więc o tym, co wtedy powiedziałeś. Bardzo się cieszę, że już nie jesteś przekonany o mojej winie. Jak się miewa lady Emily?

- Tak samo jak zwykle. Często mówi o tobie. Utrzymujemy sporadyczne kontakty z twoimi kuzynami. Esmeralda jest o krok od zaręczenia się z Frederickiem Bellingssem. Kiedy ją ostatnio widziałem, wyglądała na zadowoloną i bardzo szczęśliwą. Słyszałem o twoim wypadku. Rozmawiałem z właścicielką gospody na łądzie i wszystko mi powiedziała.

- Ach, a więc tak się sprawy mają. Przypuszczałam, że służba będzie o tym gadać. Moja łódź się przewróciła.

- Jak to się stało?

- Po prostu nagle zauważyłam, że łódka przecieka. Na szczęście chłopak z zamku zorientował się, co się dzieje i pospieszył na ratunek. Potem nadbiegł Jago Kellaway.

- Czy dowiedziałaś się czegoś o stanie łodzi?

- Musiała być dziurawa.

- Skąd się mogła wziąć dziura?

- To nie wyjaśniona tajemnica, ale o mały włos, a skończyłoby się dla mnie tragicznie. Pływam nie najlepiej, a ubranie natychmiast nasiąkło wilgocią. Nie sądzę, abym sama miała siłę dotrzeć do brzegu.

- Co za straszne przeżycie! Widzę, że cała sprawa wycisnęła na tobie swoiste piętno. A co z łodzią? Czy została zbadana?

- Jeszcze jej nie odnaleziono.

- Przypuszczam, że nigdy się nie znajdzie.

- Też tak sądzę.

- A zatem gratuluję ci ocalenia. Moja droga Ellen, czy nie za często zdarzają ci się wypadki? Zdaje się, że spadłaś z urwiska. To się zdarzyło zaraz po śmierci Philipa. Przypuszczam, że nie byłaś wystarczająco ostrożna. A jeszcze wybierać się na Skatę Samobójców? Niebezpieczne miejsce.

- To naprawdę było przerażające. Tak, zdaje się, że rzeczywiście wciąż zdarzają mi się wypadki.

Uśmiechnął się i położył rękę na mojej dłoni spoczywającej na trawie.

- Ellen, musisz na siebie bardziej uważać. Sprawdzaj swoje łodzie, zanim do nich wsiądziesz. I na miłość boską, nie podchodź do krawędzi urwisk. Powiedz mi, podoba ci się tutaj? Zamierzasz zostać na dłużej?

- Wygląda na to, że wyspa stanie się moim domem, a jak wiesz, nigdy wcześniej nie miałam domu. Z trudem mogłabym tak nazwać posiadłość kuzynki Agaty. Czuję się coraz silniej związana z tym miejscem. Z każdym dniem lubię je coraz bardziej.

- Sądzę, że to bogata okolica. Wygląda na dobrze prosperującą. Doskonale miejsce i bardzo dochodowe. Widok z najwyższego wzniesienia jest po prostu wspaniały. Byłem tam już i jestem wprost zachwycony. Teraz chcę iść jeszcze raz. Chodź ze mną, jeśli masz wolne pół godziny.

- Dobrze.

- Zamierzam dzisiaj wyjechać. Wczoraj udało mi się cię odnaleźć. Musiałem cię przecież przeprosić.

- Jak to miło, że zбочyłeś ze swojej drogi, aby mnie odwiedzić. Pewnie jesteś bardzo zajęty.

- Jak zwykle - odpowiedział. Jego widok uświadomił mi, że uwaga Jagona o tym, iż Carringtonowie czyhali na mój niewielki majątek, jest absurdem. - Pomyślałem, że wycieczka do Truro to doskonała okazja do odwiedzin. I nie żałuję podjętej decyzji.

- Też się cieszę. Kiedy zobaczysz Esmeraldę, proszę, przekaz jej ode mnie, że często o niej rozmyślałam i oczekuję na szczególną wiadomość o jej zaręczynach.

- Przekazę.

Rozpoczęliśmy wspinaczkę i znaleźliśmy się wysoko nad poziomem morza.

- Powinnaś być tutaj ostrożna - powiedział Rollo. - Jedno potknięcie i mogłabyś runąć w dół.

- Mam pewny chód.

- Przeszłość wskazuje, że nie zawsze.

- Wtedy pękła balustrada. Nie ma to nic wspólnego z pewnością chodu. W każdym razie, jestem teraz bardzo uważna. Spójrz, tam na dole idzie stara Tassie. Zbiera małże, kraby i co tam potrzebne do sporządzania jej mikstur.

- Wygląda jak stara wiedźma nie najlepszej sławy.

- Mam nadzieję, że tego nie słyszała. Mogłaby rzucić na ciebie urok. O, zauważyła nas. - Pomachałam ręką.

- Dzień dobry, panienko Kellaway - zawołała. - Jak się panienka miewa?

- Bardzo dobrze, Tassie - odparłam. - Mam nadzieję, że ty też.

Skinęła głową i poszła dalej swoją drogą.

- Cokolwiek zbierała, posłuży do wyrobu miłosnych eliksirów dla zakochanych dziewcząt lub wyleczy czyjeś kurczaki albo jęczmienie.

- Wygląda na to, że na wyspie prowadzisz bardzo urozmaicone życie. Myślisz, że zauważyła mnie?

- Z pewnością. Stara Tassie widzi wszystko. Pewnie dlatego jej przepowiednie się sprawdzają. Ma oczy szeroko otwarte.

Zeszliśmy w dół zbocza, do miejsca, w którym spotkałam Rolla. Ujął moją dłoń i spytał:

- A więc wybaczasz mi? Mogę odjechać z czystym sumieniem?

Skinęłam głową.

- Dziękuję za odwiedziny. Czy nie chciałbyś zwiedzić zamku?

Potrząsnął przecząco głową.

- Nie. Muszę wkrótce wyjechać. Przyjechałem tylko po to, żeby cię zobaczyć. Jeśli będę miał czas, wpadnę tu w drodze powrotnej.

- Sprawiałbyś mi prawdziwą przyjemność.

Kiedy rozeszliśmy się - każde w swoją stronę, on do gospody, a ja na zamek - pomyślałam o przypuszczeniach Jagona, że Carringtonowie potrzebują pieniędzy, aby utrzymać swoje imperium. Wydawało mi się to śmieszne. Co za dziwny dzień! Wizyta Rolla skierowała moje rozmyślenia z powrotem do dnia, kiedy zaręczyłam się z Philipem.

Dwa dni później przyszedł do mnie Śpioch. Był w stanie wielkiego podniecenia.

- Panienko Ellen, wróciła. „Ellen” wróciła.

- Gdzie jest teraz, Śpiochu?

- W zatoczce. Zaciągnąłem ją tam i ukryłem.

- Dlaczego ją ukryłeś? - spytałam.

W jego oczach błysnęło zakłopotanie.

- Sam nie wiem, panienko Ellen. Zdawało mi się, że coś kazało mi to zrobić.

- Nikt oprócz ciebie nie wie, że się odnalazła?

Potwierdził.

- Czekałem na nią. Zauważyłem ją kotłującą się na wodzie, podpłynąłem do niej i wyciągnąłem na brzeg. Ukryłem w mojej zatoczce, gdzie nikt nigdy nie zagląda. Niech panienka ze mną pójdzie i ją obejrzy. Chcę panience coś pokazać, co wcale mi się nie podoba. Ale musimy obejrzeć to razem.

Zaprowadził mnie prosto na wybrzeże. Nigdy wcześniej nie byłam w tym miejscu i nagle zrozumiałam, że bardzo często musiało być odcięte przez przypyły. Łódź leżała na brzegu.

- To nie „Ellen” - stwierdziłam natychmiast.

- Ona, nie inaczej.

- A gdzie jej imię? Ta nie ma żadnej nazwy.

Popatrzył na mnie przebiegle.

- Starłem je.

- Dlaczego?

Podrapał się w głowę i bezradnie rozejrzał dookoła.

- Nie mogę wytłumaczyć, ale tak będzie lepiej.

- Dlaczego jesteś taki tajemniczy, Śpiochu?

- Proszę popatrzeć tutaj, panienko.

Wskazał na dno łódki. Był w nim wywiercony otwór.

- Jak to możliwe? - spytałam.

Odpowiedział natychmiast:

- Mógł znaleźć się tutaj tylko w jeden sposób, panienko. Ktoś go wywiercił. Wspominała panienka o cukrze. Jeśli po wywierceniu dziura została zaklejona cukrem, to rozpuszczał się on dwa... może trzy razy wolniej niż sól. Tak właśnie było. To jasne jak słońce w piękny letni dzień.

To niemożliwe, pomyślałam, usiłując stłumić podejrzenia, które mnie opadły. Ktoś wywiercił dziurę w łodzi, w mojej łodzi, której tylko ja używałam. Ktoś wiedział, że słabo pływam i wykorzystał okazję, że być może wypłynę na morze sama i nie wrócę żywa.

Stałam patrząc na otwór i poczułam jak Śpioch staje obok mnie, delikatnie kładąc na moim ramieniu rękę.

- Panienko Ellen - powiedział. - Jeśli będzie miała panienka kłopoty, czy przyjdzie panienka do mnie? Może talent pozwoli mi panience pomóc. Panienka Silva często ze mną rozmawiała. A panienka?

- Dziękuję ci, Śpiochu - odparłam. - Cieszę się, że jesteś moim przyjacielem.

Nie mogłam dłużej lekceważyć oczywistego faktu.

Ktoś tak bardzo pragnął się mnie pozbyć, że spróbował - albo spróbowała - mnie zabić.

ROZDZIAŁ 11 W LOCHACH

Zacęłam się bać. Teraz byłam już pewna, że moje życie znalazło się w niebezpieczeństwie. Narzucało się jedno oczywiste wyjaśnienie. Okazując całkowity brak logiki, nie chciałam nawet o nim myśleć; wynajdywałam wszelkie możliwe powody, dla których nie mogło być prawdą i uparcie pozostawałam głucha na odzywający się w duszy głos rozsądku.

A musiał przecież istnieć jakiś rozsądny powód, nieprawdaż? Jeśli jakaś nieznaną osobą pragnie usunąć z drogi drugą osobę, musi to oznaczać, iż jej zniknięcie przyniesie sprawcy korzyść. Czyżby odpowiedzią była ta piękna, żyzna wyspa? Należała do mnie - czy też wkrótce miała należeć - i pożądał jej ktoś inny. Nie, nie umiałam zaakceptować tego wyjaśnienia.

Ty głupia, szepnęło moje praktyczne „ja”. Po prostu nie chcesz się z tym pogodzić. Odmawiasz stawienia czoła faktom. Gdyby ciebie zabrakło, wyspa należałaby do niego.

Ale on mnie kocha. Poprosił mnie, abym została jego żoną.

Tak, a ty bardzo tego pragniesz. Tak bardzo, że z rozmysłem nie dopuszczasz do siebie prawdy.

Gdyby mnie poślubił, zostałby współwłaścicielem wyspy.

W razie twojej śmierci, nie musiałby się dzielić.

To bzdura, pomyślałam. Tylko dlatego, że wypłynęłam łodzią...

I wtedy przypomniałam sobie Śpiocha, jego oczy oszołomione i przerażone. Śpioch wiedział więcej niż przyznał i teraz ostrzegał mnie wzrokiem.

Nie mogłam uwolnić się od rozmyślań o Silvie. Czyżby jej historia w jakiś sposób łączyła się z moją? Co się z nią stało? Gdyby tylko tu była i mogła mi powiedzieć!

Poszłam do wychodzącego na hol pokoju na parterze, ulubionej komnaty mojej matki, miejsca, gdzie znalazłam jej szkicownik. Usiadłam na starej ławie, czując dziwną ulgę na myśl o matce, która uciekła stąd, zabierając mnie ze sobą - i o Silvie.

Jak bardzo musiała być nieszczęśliwa, kiedy odplynęła! Czy był to jedynie dramatyczny gest, podobnie jak wcześniej groźba, iż rzuci się z zamkowych murów? Nie, to musiał być zawód miłosny. Po raz pierwszy w jej życiu usłyszała, że ktoś ją kocha... albo też z rozmysłem została oszukana.

Czy to możliwe, by ktoś udawał zakochanego... może dlatego, iż była córką swego ojca... najstarszą córką, która - jak powszechnie sądzono - odziedziczy po nim wyspę? A jeśli ten ktoś odkrył, że Charles Kellaway wątpił w swoje ojcostwo, postanowił więc zapisać wyspę komu innemu - mnie?

Ujrzałam przed sobą twarz Jagona: spiętą, pełną pasji; oczy o ciężkich powiekach, których wyraz nie zawsze dawało się odczytać. Fascynował mnie i podniecał; pragnęłam z nim być, odkryć jego prawdziwe oblicze - nieważne, jak niebezpieczne mogłoby się okazać. Zawsze miałam awanturnicze usposobienie i nigdy nie należałam do tych, którzy kroczą łatwą drogą. Teraz zaś Jago zdawał się mnie przyzywać, prowokować, bym przekonała się, jak wiele prawdy kryje się w moich podejrzeniach. Musiałam znaleźć odpowiedź na najważniejsze pytanie: czy pragnie mnie, czy wyspy? Najpewniej obu; wiedziałam, że sam chętnie by to przyznał. Najistotniejsza kwestia jednak brzmiała: czy pragnął zostać jedynym właścicielem wyspy? Co naprawdę wiedziałam o Jagonie, poza niezłomnym przekonaniem, iż znajomość z nim jest niezwykle ekscytująca?

Niemal żałowałam, że Śpioch w ogóle znalazł łódź. O ileż łatwiej byłoby zlekceważyć wspomnienie kilku grudek cukru, gdyby nie dowód w postaci wywierconej w dnie dziury.

Nie bądź głupia, napominałam się. Cóż z tego, że jesteś zakochana i uważasz, że życie jest pasjonujące, skoro ktoś pragnie cię go pozbawić?

Ponieważ uparcie odrzucałam podejrzenie, że to Jagon uszkodził łódź w nadziei, iż nie wyjdę z tego żywa, moje myśli powędrowały ku Michaelowi Hydrockowi. Traktował mnie tak uprzejmie i zdawał się z przyjemnością przyjmować moje towarzystwo. A jeśli to w nim zakochała się Silva? Potem pomyślałam o Jenifry i Gwennol, które tak wyraźnie okazywały, iż moja przyjaźń z Michaelem jest im niemiła.

Gwennol to uczuciowa dziewczyna. Potrafiła gwałtownie kochać i równie gwałtownie nienawidzić. Ta gałąź rodu Kellawayów - gałąź Jagona - miała diabelski rodowód. Tak przynajmniej głosiła legenda. Jago mógł pożądać wyspy, lecz Gwennol pragnęła Michaela Hydrocka.

Wszystko to było zbyt tajemnicze i skomplikowane, nie mogłam jednak pozbyć się myśli, że zagraża mi jakieś niebezpieczeństwo.

Gdyby tylko moja matka cokolwiek mi powiedziała! Gdybym wcześniej przybyła na wyspę, poznałabym Silvę.

Wyobraziłam sobie matkę w tym pokoju: podchodzącą do szafki, wyjmującą swój malarski sprzęt i wędrującą na zewnątrz, aby utrwalić kolejny fragment zamku albo może jakiś portret. Gdzie widziała pokój ze snów? Kolejna tajemnica.

Kiedy tak siedziałam, pogrążona w rozmyślaniach, usłyszałam cichy dźwięk. Poczułam jak po plecach przebiega mi zimny dreszcz. Spojrzałam na drzwi, które otwierały się powoli. Nie wiem, czego się spodziewałam. Przypuszczam, że moje przerażenie było usprawiedliwione - ostatecznie wywodziło się z przekonania, iż ktoś próbował mnie zabić. Ale na progu stanął jedynie Śpioch.

- O, to panienska - szepnął. - Zastanawiałem się. Wiedziałem, że ktoś tu jest. To dobre miejsce, jeśli człowiek znajdzie się w kłopotach.

- Dziwne rzeczy mówisz. Co chciałeś przez to powiedzieć, Śpiochu?

- Och, tylko tyle, że dobrze jest być w tym pokoju.

- Co widzisz w nim takiego szczególnego?

- Panienska Silva często tu przychodziła. Przychodziła i siadała na ławie, tak jak teraz panienska. Mógłbym zamknąć oczy i znów ona by tu siedziała.

- Skąd wiesz, że tu bywała?

- Powiedziały mi to moje oczy.

- Moja matka też tu przychodziła. Wygląda na to, że to rodzaj azylu.

- A cóż to takiego, panienko?

- Miejsce, w którym można się schronić i zastanowić nad czymś, kiedy nie do końca wiesz, co masz robić dalej.

- O tak - stwierdził, unosząc brwi - to takie miejsce... - Urwał i z wysiłku zmarszczył brwi, zupełnie jakby pragnął coś powiedzieć, ale nie wiedział, jak to wyrazić.

- Tak, Śpiochu?

- Będzie panienska ostrożna, prawda?

- Wspominałeś już o tym.

- Ale to prawda. Wiem, że musi panienska uważać.

- Byłoby mi łatwiej, gdybym wiedziała, czego mam się wystrzegać.

Skinął głową.

- Gdyby kiedyś panienska bała się czegoś, proszę tu przyjść. Ja będę na panienkę uważał.

- Tu? Do tego pokoju?

- Najpierw do mnie, a potem do tego pokoju. Wtedy się dowiem, że panienska tu jest. Tak będzie najlepiej.

Spojrzałam na niego z uwagą i zastanowiłam się, czy ludzie nie mają trochę racji, twierdząc, iż „brak mu piątej klepki”.

- Dlaczego, Śpiochu?

- Najlepiej - powtórzył. - Tak powiedziałem paniencie Silvie.

- A zatem przyszła tu i ty też.

Przytaknął.

- Panienska Silva mi ufała, naprawdę. Panienska też mi ufa, panienko Ellen.

- Tak, Śpiochu.

Położył palec na ustach.

- Tu - szepnął. - W tym pokoju. Tak będzie najlepiej.

- Czemu? - zapytałam.

- Kiedy nadejdzie czas, proszę przyjść.

Biedny Śpioch, pomyślałam, chyba rzeczywiście jest lekko szalony.

- Czy to nie czas nakarmić gołębie? Chodźmy. Nie pozwólmy im czekać.

Uśmiechnął się i powtórzył:

- Kiedy nadejdzie czas, proszę przyjść.

Morze zaczynało się marszczyć w powiewach południowo-zachodniego wiatru. Na falach, które w każdej chwili groziły, że ją pochłoną, kołysała się niewielka łódź. Po spacerze wzdłuż zatoczki wspięłam się na urwisko, gdzie znalazłam wygodne miejsce wśród janowców i paproci. Tu, z dala od zamku, łatwiej przychodziło mi zebrać myśli.

Miałam na sobie zielonkawą pelerynę, znakomicie chroniącą przed wiatrem; gdyby wyjrzało słońce, mogłabym odrzucić ją na plecy - bardzo wygodny strój. Siedząc tak bez ruchu, w zielonej pelerynie, idealnie zlewałam się z otoczeniem.

Obserwowałam dobijającą łódź, a kiedy wyskoczył z niej mężczyzna, odniosłam wrażenie, że jest w nim coś znajomego. Byłam pewna, że widziałam go już gdzieś wcześniej.

Nagle usłyszałam głos Jagona i w kilka sekund później on sam zjechał konno na brzeg.

- Jak śmiesz tu przyjeżdżać? - krzyknął. - Czego chcesz?

Nie dosłyszałam odpowiedzi mężczyzny. Najwyraźniej natura poskąpiła mu donośnego głosu Jagona. Widziałam, iż Jago jest wściekły i uczucie, że gdzieś już widziałam przybysza, stawało się coraz silniejsze.

Wiatr ucichł na chwilę i dobiegła mnie odpowiedź:

- Muszę z panem pomówić.

- Nie życzę sobie widzieć cię tutaj - oświadczył Jago. - Doskonale wiesz, że nie masz prawa tu być.

Nieznamy gestykułował gwałtownie, lecz wiatr znów zaczął jęczeć wśród skał i nie dosłyszałam, co odpowiedział.

- Mam teraz kilka spraw do załatwienia - to Jago - i jestem już spóźniony. Co cię właściwie skłoniło... żeby tu przyjeżdżać?

Mężczyzna odrzekł coś, lecz znów na próżno wytężyłam słuch.

- W porządku - stwierdził Jago. - Porozmawiam z tobą dziś wieczorem. Do tej pory trzymaj się na uboczu. Nie chcę, by widziano cię na zamku. Zaczekaj chwilę... spotkamy się w lochach. Tam nikt nas nie zobaczy. Bądź przy zachodnich drzwiach dokładnie o dziewiątej. Wtedy się tam zjawię. Ale tracisz czas, nie dostaniesz ani grosza więcej. Dokąd teraz pójdziesz? - Mężczyzna powiedział coś krótko. - W takim razie wracaj do gospody. Zostań w pokoju aż do wieczora. Jeśli mnie nie posłuchasz, pożałujesz tego.

Z tymi słowy zawrócił konia i odjechał.

Mężczyzna odprowadził go wzrokiem. Następnie przeniósł spojrzenie ku szczytowi urwiska. Skuliłam się wśród paproci i byłam pewna, że mnie nie dostrzegł, lecz kiedy uniósł swą twarz, ja ujrzałam ją dostatecznie wyraźnie i z nagłym wstrząsem uświadomiłam sobie, kto to jest.

To był Hawley, dawny lokaj Carringtonów, człowiek, który wzbudził mój niepokój, obserwując nas z Philipem w Hyde Parku.

Siedziałam bez ruchu, wpatrując się w morze. Co to mogło znaczyć? Co łączyło Jagona i Hawleya, bowiem byłam pewna, że to właśnie on - mężczyzna, który pracował dla Carringtonów? Pomyślałam o Bessie, tak mocno w nim zakochanej. Ciekawe, jak skończył się jej romans? Przede wszystkim jednak interesowało mnie, co ten człowiek miał wspólnego z Jagonem.

Żadna prosta odpowiedź tu nie wystarczała i zaczęła mnie dręczyć okropna niepewność. Myliłam się sądząc, iż przybywszy na wyspę zerwałam z moim dawnym życiem - śmierć Philipa, Hawley, Jago i wszystko, co się zdarzyło, wiązało się z wcześniejszymi wydarzeniami.

Jago niewątpliwie był bardzo wzburzony na widok Hawleya. A Hawley? Było w jego zachowaniu coś jednocześnie służalczego i agresywnego. Bez wątplenia bał się Jagona, z drugiej jednak strony Pana Wyspy tak rozłościł jego przyjazd, że, być może, on też czegoś się obawiał. Musiał wiedzieć, że Hawley się zjawi, ponieważ wyjechał mu na spotkanie. Kazał przyjść wieczorem do lochów. Czemu do lochów? Ponieważ Jagonowi zależało na tym, by nikt nie widział Hawleya. Nikt, a może ktoś szczególnie? A jeśli chodziło o mnie? Ja jedna znałam go wcześniej i wiedziałam, że pracował w domu Carringtonów. Co powiedziałby Jago, gdyby odkrył, iż wiem, że Hawley przybył na wyspę?

Dokąd to wszystko prowadzi? - pytałam rozpaczyliwie. Co łączyło Jagona z tymi strasznymi wydarzeniami w Londynie? Jaki miało to związek ze śmiercią Philipa?

Philipa, którego znaleziono zastrzelonego. Wiedziałam, że nie dokonała tego jego własna ręka. Tego byłam pewna. Czyż nie znałam go tak dobrze, jak tylko można poznać drugiego człowieka? Philip nie popełnił samobójstwa, a to znaczyło, że musiał go zabić ktoś inny.

Dlaczego? Czy Jago znał odpowiedź?

To jakiś koszmar. Nie mogłam pozbyć się wizji, które wypełniały moją głowę. Jago na wieczorku u Carringtonów. Zjawił się bez zaproszenia, bo wiedział, że mnie zastanie. Chciał zobaczyć, do jakiej rodziny mam wejść. Z łatwością mógł dowiedzieć się wszystkiego o Carringtonach. Po co więc poszedł do pustego domu przy Finlay Square? W jego wyjaśnieniach od początku brzmiała fałszywa nuta. Teraz zdawały się bardziej niż kiedykolwiek nieprawdopodobne.

A Philip umarł. Samobójstwo, tak powiedzieli.

Ale to musiało być morderstwo.

A Hawley? Co o tym wiedział? Przyjechał tu, aby prosić o coś Jagona i mieli się spotkać w lochach.

Pozostawało jedyne wyjście. Muszę tam być, ale oni nie mogą się o tym dowiedzieć. Sami będą rozmawiali szczerze, a ja muszę wysłuchać tej rozmowy, powinnam więc ukryć się w jakimś zakamarku. To jedyny sposób, by odkryć prawdę i zacząć odpłatywać przerażającą sieć tajemnic, w jakiej się znalazłam.

Dzień włókł się niemilosernie i miałam wrażenie, iż nigdy nie nastanie wieczór.

Założyłam suknię z jasnobrązowego jedwabiu i, ponieważ Jago zawsze sprawdzał, czy mam na sobie naszyjnik z wielobarwnych kamieni, zdecydowałam się go włożyć również. Choć dziś zapewne i tak nie zauważy. Z pewnością jego myśli będą zaprzątnięte nadchodzącym spotkaniem.

Nakładając naszyjnik sprawdziłam napięcie, nie było zbyt mocne, ale nadal trzymało.

Jago zauważył go jednak. Przy kolacji stwierdził, iż bardzo pasuje do koloru jedwabiu. Rozprawił o różnych kamieniach, które można znaleźć na wyspie i o tym, że można by zająć się na szerszą skalę ich poszukiwaniem, szlifowaniem i wyrobem ozdób. Nawet wtedy jednak dostrzegałam, iż jego myśli wędrują daleko. Posiłek dobiegł końca dziesięć minut przed dziewiątą. Gwennol i Jenifry przeszły na kawę do salonu. Jago nie przyłączył się do nich, a ja wymamrotałam coś na temat listu, który muszę napisać.

Nie wróciłam jednak do pokoju, lecz skierowałam się prosto ku wyjściu. Przebiegłam przez dziedziniec do zachodnich drzwi. Nagle ogarnął mnie okropny strach, że Hawley czeka już w lochach - w takim przypadku zostałamby natychmiast odkryta.

Noc była jasna, bowiem na niebie świecił księżyc w pełni, oblewając mury zamku niesamowitym blaskiem. Z ogromnym lękiem otworzyłam drzwi i zbiegłam po kręconych schodach do lochów.

Wcześniej byłam tam tylko raz. Miejsce to nie zachęcało raczej do częstych wizyt. W dodatku było w nim coś tak odrażającego, iż nawet w towarzystwie Gwennol pragnęłam wyostać się stamtąd jak najszybciej.

Stałam pośrodku okrągłego pomieszczenia i rozejrzałam się wokół. Z poprzedniej wizyty pamiętałam, że każde z tych drzwi prowadzi do ponurych cel, w których Kellawayowie trzymali niegdyś swych więźniów.

Otwarłam jedne i zajrzałam do środka. To była cela z niewielkim, zakratowanym okienkiem wysoko na ścianie. Wpadała przez nie wąska smuga księżycowego blasku, ukazująca moim oczom wilgotne mury i kamienną posadzkę. Było tam bardzo zimno, w powietrzu unosił się nieprzyjemny zaduch. Mimo to weszłam głębiej i przymknęłam drzwi.

Zdawało mi się, iż czekam bardzo długo, ale musiała być dokładnie dziewiąta, kiedy na schodach rozległy się kroki i zaskrzypiały otwierane wierzaje.

Przez szparę w drzwiach dostrzegłam słaby promyk światła. Jago niósł w dłoni latarnię.

- Jesteś tam? - zawołał.

Nie było odpowiedzi.

Skuliłam się w mojej celi, wyobrażając sobie jego reakcję, gdyby mnie tu znalazł.

Wreszcie usłyszałam kroki.

- No, nareszcie - stwierdził Jago. - Co miałeś na myśli, przysyłając mi wiadomość, że przyjeżdżasz?

- Musiałem się z panem zobaczyć - oznajmił Hawley. - Czasy są ciężkie. Wpadłem w długi i potrzebuję pieniędzy.

- Zapłacono ci za twoją pracę. O co ci chodzi, Hawley?

- Chcę tylko niewielką sumkę, nic więcej. Odwaliłem dla pana kawał dobrej roboty.

- Zrobiłeś swoje i dostałeś pieniądze. To wszystko. Nie zatrudniam cię już. Dodam, że nieźle spartoliłeś swe zadanie.

- Nie było wcale łatwe - odparł Hawley. - Nie przywykłem do odgrywania lokaja.

- To dla ciebie doskonałe doświadczenie - powiedział Jago.

- Po tych wszystkich kłopotach, w jakich się znalazłem...

- Były wyłącznie twoją winą.

- Mogłem zostać oskarżony o morderstwo.

- Ale nie zostałeś. Werdykt brzmiał: samobójstwo, prawda?

- Mogło być inaczej. Proszę pomyśleć, co musiałem zrobić. Zaprzyjaźniłem się z tą dziewczyną, pokojówką i odkryłem, co robi pańska młoda dama. Potem musiałem zdobyć dla pana klucz. To nie takie proste.

- Dziecinnie łatwe - odparł Jago.

- Nie nazwałbym tak tego. W końcu zginął człowiek.

- Powinieneś być lepiej się spisać. A teraz posłuchaj, Hawley. Przyjechałeś tutaj, żeby intrygować. Tak ci się przynajmniej zdaje. Mówisz: „Proszę mi zapłacić albo...” Takie postępowanie ma swoją nazwę. To szantaż, i nigdy go nie zaakceptuję.

- Nie chciałby pan chyba, żeby panienka dowiedziała się...

- Widzisz? Słowa szantażysty! Nie ma mowy, Hawley. Nie zgadzam się. Wiesz, co tutaj robimy z ludźmi, którzy łamią prawo? Przestępcami, takimi jak ty? Zamykamy ich w więzieniu... w tych lochach. Nie są tym zachwyceni. To miejsce ma w sobie coś szczególnego. Może nawet to czujesz. Na Boga, Hawley, powiadam ci: zamknę cię tutaj i przekażę sądowi, oskarżając o szantaż. Nie spodoba ci się to.

- Nie sądzę, aby pan chciał, by pewne sprawy wyszły na jaw, panie Kellaway. Nie dopuściłby pan do tego... Ta młoda dama...

- Jedno, do czego z pewnością nie dopuszczę, to ustępstwo wobec szantażu - przerwał mu Jago. - Byłeś na łądzie, prawda? Wiesz, że panna Kellaway jest tutaj. Słuchałeś plotek, Hawley, i mam nadzieję, że nie rozpuszczałeś nowych. Ale jeśli sadziłeś, że możesz tu przybyć i próbować mnie szantażować, popełniłeś gruby błąd. Pamiętaj, co wydarzyło się w sypialni Philipa Carringtona.

- Robiłem tylko to, co mi pan kazał...

- Uwważaj. To się może dla ciebie źle skończyć.

Zdrętwiałam ze strachu. Resztką sił oparłam się o ścianę, nieświadomie zaciskając palce na naszyjniku. Czy to możliwe, by Philip został zamordowany z zimną krwią przez człowieka, którego opłacił Jago? Istnieli ludzie, zajmujący się zawodowo zabijaniem innych. Ale dlaczego? Odpowiedź była jasna. Ponieważ Jago wiedział, że dziedziczę wyspę. Nie chciał, abym wyszła za Philipa, bowiem sam pragnął mnie poślubić.

Przez moment w lochach zapadła cisza i w tej ciszy usłyszałam cichy szcęk, jakby coś upadło na posadzkę. Jago również to usłyszał.

- Co to było? - krzyknął ostro. - Ktoś tu jest. Hawley, czy przyprowadziłeś kogoś ze sobą?

- Nie. Przysięgam, że nie.

- Rozejrzę się - oznajmił Jago - Przeszukam każdą celę.

Przywarłam do muru. Po tym, co przed chwilą słyszałam, przerażenie powinno mnie sparaliżować, ale w jakiś sposób nawet teraz nie mogłam w to uwierzyć. Musi być jakieś wytłumaczenie. Zupełnie jakbym znalazła się w samym centrum absurdu melodramatu. Nie potrafiłam - nie chciałam uwierzyć, że pod maską Jagona mówiącego, że mnie kocha, kryje się człowiek, przed którym ostrzegła mnie mój własny rozsądek.

Zaraz mnie znajdzie, a ja zapytam:

- Jago, co to wszystko znaczy? Na miłość boską, wyjaśnij mi. Hawley jest twoim człowiekiem, to wiem. Wysłałeś go do Londynu. Dlaczego? I po co sam przyjechałeś za nim?

Usłyszałam, jak mówi do Hawleya:

- Potrzymaj latarnię.

Światło oddaliło się i ponownie wyjrzałam przez szparę. Byli odwróceny do mnie tyłem i właśnie zaczęli przeszukiwać cele po drugiej stronie. Gdybym poruszała się dostatecznie szybko - i cicho - może zdołałabym uciec.

Czekałam na swoją szansę, a gwałtowne bicie serca niemal odbierało mi dech. Wreszcie znaleźli się przy najdalszym lochu. Bezszelustnie wyśliznęłam się z mojej celi - ich plecy były nadal zwrócone w moją stronę - i błyskawicznie znalazłam się na spiralnych schodach. Miałam szczęście. Idealnie zaplanowałam mą ucieczkę w czasie.

Co teraz? - spytałam w duchu, zamknąwszy za sobą zachodnie drzwi. Gdybym zdołała wrócić do głównego budynku i dołączyć do Jenifry i Gwennol w salonie, mogłabym zachowywać się, jakby nic nie zaszło. Wtedy miałabym trochę czasu, by zaplanować, co robić dalej.

Zmusiłam się, aby spokojnie wejść do salonu. Gwennol czytała, a jej matka obrębiała kawałek płótna. Nie okazały żadnego zdziwienia na mój widok; zapewne uznały, iż skończyłam już swój list.

Wzięłam do ręki czasopismo i kartkowałam je nieuważnie, podczas gdy mój umysł szalał.

Och, Jago, myślałam, co to wszystko znaczy? Czemu pozwoliłam sobie na podobną nierozwagę, zakochując się w tobie? Czyż nie słyszałam już wystarczająco dużo? Opłacił Hawleya, aby ten pojechał do Londynu. I Philip zginął. Co takiego powiedział Jago o jego śmierci? „Pamiętaj, co wydarzyło się w sypialni Philipa Carringtona.”

Hawley musi być zawodowym mordercą. Są tacy ludzie. Prawdziwi kryminaliści wynajmują ich, aby popełniali zbrodnie, i dobrze im za to płacą. Hawley uznał, iż zapłata nie była wystarczająca, toteż przybył na wyspę, aby spróbować

szantażu.

To było zbyt okropne. Nie mogłam w to uwierzyć. Najpewniej źle zrozumiałam ich słowa i istnieje jakieś proste wytłumaczenie. Poczułam też nikły przypływ nadziei - jeśli Jago pragnął zdobyć wyspę, dlaczego zabił Philipa, a nie mnie?

Czemu moje głupie serce tak mocno przeciwstawiało się rozsądkowi? Dlaczego wciąż próbowałam sobie wmówić, że to jakaś idiotyczna pomyłka, nieporozumienie? Z pewnością jest jakieś wyjaśnienie, a ja muszę je znaleźć, ponieważ to, co usłyszałam w lochach, uświadomiło mi jedną, wszechogarniającą i oczywistą prawdę: kimkolwiek był Jago, cokolwiek zrobił, kochałam go.

Czyżbym ja, Ellen Kellaway, mogła być aż tak głupia? Wiedziałam, że pragnie wyspy, sam mi to wyznał. Ale to nie wszystko. Pragnął także mnie.

Właśnie wszedł do pokoju. A zatem pozbył się już Hawleya. Nie odrywałam oczu od czasopisma, czułam jednak, iż jego spojrzenie kieruje się wprost na mnie. Wiedziałam, że się rumienię, gdy usiadł obok mnie na sofie.

- Nie zgubiłaś przypadkiem czegoś, Ellen? - spytał.

Spojrzałam na niego ze zdumieniem. Jego oczy błyszczały, wpatrywały się w moją twarz z wyrazem, którego nie potrafiłam odczytać - mieszaniną potępienia, ciepła i pewnego rozbawienia. Rozbawienia, jakie czuje kot, igrający z myszą?

Wyciągnął dłoń, a ja wzdygnęłam się, przerażona, bowiem leżał na niej naszyjnik. Natychmiast zrozumiałam, gdzie go znalazł. A więc to był ten stuk, który usłyszałam w lochach. Zapięcie było bardzo słabe; w podnieceniu przebieierałam kamienie między palcami, a kiedy je puściłam, naszyjnik upadł na ziemię. Jago, przeszukując lochy, natrafił wreszcie na ten, w którym się przyczaiłam, i ujrzał mój naszyjnik, leżący na środku podłogi.

A zatem wiedział, że tam byłam. Wiedział, że wszystko słyszałam.

Wzięłam od niego wyspiarski klejnot z nadzieją, iż nie zauważy, jak trzęsą mi się ręce.

Usłyszałam własne słowa:

- Zapięcie jest bardzo słabe.

- Jak myślisz, gdzie go znalazłam? - spytał. W jego oczach nadal widziałam ów osobliwy wyraz.

- Gdzie? - zapytałam.

- Miałaś go na sobie podczas obiadu. Zastanów się, dokąd chodziłaś od tej pory.

Spojrzałam w przestrzeń, niemądrze starając się sprawić wrażenie głęboko zamyślanej.

- Musisz sobie przypomnieć, Ellen - powiedział łagodnie. - Był w lochach. Co u licha tam robiłaś?

- Och, często wędruję po zamku, prawda, Gwennol?

- Istotnie, wyraźnie jesteś nim zafascynowana - odparła.

- Wieczorna wyprawa do lochów wymaga sporej odwagi - zauważył Jago.

- Ja się nie boję - oświadczyłam, patrząc wprost na niego. Nakrył dłonią moją rękę i ścisnął ją mocno.

- Mam ci wiele do powiedzenia. Czy przyjdiesz do mojego gabinetu?

- Za parę minut.

- Nie zwlekaj zbyt długo.

Muszę działać szybko, pomyślałam. Nie ma czasu do stracenia. Muszę przemyśleć to na spokojnie, poukładać sobie wszystko, co usłyszałam. Rozważyć implikacje i stłumić absurdalne, romantyczne tęsknoty.

Miał udać się do mojego pokoju, pobiegłam do holu i dalej, przez dziedziniec. Śpioch był w gołębiarni.

- Wygląda panienska na nieźle wystraszoną - stwierdził. - Czy nadszedł już czas?

Pomyślałam o Philipie w jego sypialni... zastrzelonym. Jago kazał to zrobić.

Nie, to zbyt nieprawdopodobne. Nie mogłam w to uwierzyć. Musiałam z nim pomówić, wysłuchać, co miał mi do powiedzenia. Ale już zbyt długo słuchałam Jagona i kiedy z nim byłam, wierzyłam w każde jego słowo. Nie, muszę się stąd wydostać. Rozważyć wszystko w spokoju, na chłodno. A nie mogłam tego zrobić, kiedy był przy mnie.

Śpioch mówił właśnie:

- Proszę pójść do pokoju, panienko. Niedługo do panienki dołączę. Będzie tak jak z panienką Silvą.

Och, Śpiochu, pomyślałam. O czym ty mówisz? Będzie tak jak z panienką Silvą, tylko że panienska Silva wypłynęła łodzią, która potem wróciła pusta.

- Szybko, panienko. Możemy nie mieć czasu do stracenia.

Chwycił moją dłoń i razem pobiegliśmy do zamku. W holu Śpioch zdjął ze stołu świecę i zapalił ją.

- Proszę, niech panienska ją przytrzyma - powiedział, kiedy dotarliśmy na miejsce. Odebrałam mu świecę, a on ku mojemu zdumieniu podniósł wieko ławy.

- Chcesz, żebym się tu ukryła? - krzyknęłam oszołomiona.

Potrząsnął głową.

- Zaraz panienska zobaczy. To nie jest zwykła stara ława.

Nachylił się i, kiedy tak patrzyłam, zafascynowana, dźwignął podstawę ławy, która uniosła się jak kolejne wieko. Pod nim ujrzałam czarną głębię.

- Ostrożnie, panienko Ellen. Tam są schody. Widzi panienska? Proszę po nich zejść... i bardzo uważać. Ja pójdę za panienką. Ale niech panienska schodzi ostrożnie.

Weszłam do skrzyni i opuściłam się wolno. Rzeczywiście, moje stopy wyczuły schodki. Zeszłam po sześciu z nich. Śpioch podał mi świecę i ruszył za mną, zatraskując za sobą oba wieka. Staliśmy obok siebie w pomieszczeniu, przypominającym mroczną jaskinię.

- Gdzie jesteśmy? - spytałam z lękiem.

- To wielka grota, która schodzi pod dno morza. To tu przyprowadziłam panienkę Silvę w dniu, kiedy uciekła.

- Co się z nią stało?

- Żyje gdzieś szczęśliwie, jak zapowiadała. To głęboka jaskinia. Schodzi coraz niżej i niżej, a potem znów się podnosi. Wyjście jest na Błękitnej Skale.

- Skąd o niej wiesz?

- Od mojej matki. Sam tunel to naturalna pieczara, lecz wejścia urządzono za czasów przemysłowych. Tutaj bez przerwy odbywał się szmugiel. To było sto lat temu i jeszcze dawniej. Od tego czasu prawie ich nie używano. Moja matka była córką karczmarza, który usłyszał o tym od swego ojca, a on od swego. Kiedyś przechowywali tu wódki i wina. Znakomite miejsce. Do wyspy zawiązał statek z Francji, wyładowywano trunki i ukrywano tutaj do czasu, aż można było bezpiecznie przewieźć je na ląd.

- A kiedy znajdziemy się już na Błękitnej Skale, co wtedy?

- Malarz nam pomoże. Kiedyś pomógł panience Silvie. Był dla niej bardzo miły, naprawdę ją lubił. Pomógł jej.

- A więc odeszła.

Skinął głową.

- Wyjechała, aby żyć długo i szczęśliwie.

- A morze wyrzuciło jej łódź na brzeg.

- To taka sztuczka. Jej tam wcale nie było. Przeprowadziła się dopiero później, nocą, kiedy morze zupełnie się uspokoiło.

- Skąd to wszystko wiesz, Śpiochu?

- Pomagałem jej przecież, prawda? Często ze mną rozmawiała. Wreszcie była szczęśliwa. Zachowywała się inaczej niż kiedykolwiek przedtem. Opowiadała mi różne rzeczy... kiedyś powiedziała, że to zupełnie jakby mówiła do siebie, ale lubi mieć słuchacza. Stanowiłem dla niej coś w rodzaju towarzystwa. Jej ojciec traktował ją okrutnie... bardzo okrutnie... i sądziła, że gdyby wiedział, wyśmiałby ją i próbował powstrzymać... zatem uciekła ze swym ukochanym.

- Co się z nią stało? Dokąd pojechała?

- Tego się nigdy nie dowiedziałem, panienko. Proszę uważać. Grunt jest dość niepewny.

Wędrowaliśmy w dół - w dół stromym korytarzem pod poziomem morza. Chłodne powietrze przesycała wilgoć, co chwilę mijaliśmy niewielkie kałuże. Czasami stopy grzęzły mi w piasku, by po chwili stanąć pewnie na kamieniu. Na szczęście Śpioch nie wahał się ani sekundy. Najwyraźniej dobrze znał drogę.

- Niedługo - poinformował mnie - zaczniemy iść w górę. To dość strome podejście, ale nie dłuższe niż pół mili... odległość między Wyspą Kellawayów a Błękitną Skalą.

- Co powie pan Manton na nasz widok? - spytałam.

- Chętnie pomoże panience przeprowadzić się na ląd, jeśli rzeczywiście panienka tego pragnie.

Nie chciałam opuszczać wyspy. Potrzebowałam jedynie czasu do namysłu. Pragnęłam porozmawiać z Jago, zażądać wyjaśnień. Ale jeszcze nie teraz. Musiałam mieć dzień lub dwa, aby dokładnie się zastanowić, spróbować zebrać razem dowody, które zgromadziłam; postarać się spojrzeć z boku na szaleństwo uczuć, rozpętanych przez Jagona i obiektywnie ocenić sytuację. Musiałam odkryć, jak głęboko jestem związana z pozbawionym skrupułów człowiekiem, który mógł nawet być wplątany w zabójstwo Philipa Carringtona.

To było sedno sprawy. Potrafiłam zrozumieć jego miłość do wyspy i pragnienie jej posiadania. Aby ją zatrzymać, musiał mnie poślubić - albo usunąć z drogi. Nie wierzyłam w to, iż nie kochał mnie ani odrobinę. Nie potrafiłby aż tak świetnie grać. Może w końcu pokocha mnie nawet bardziej niż wyspę, łudziłam się w duchu, co pokazuje, jak wielką była moja fascynacja tym człowiekiem, skoro okazywałam taką skłonność do kompromisu. Ale jeśli naprawdę miał coś wspólnego z morderstwem Philipa... to całkowicie zmieniało sprawę.

Gdzie była Silva?

Gdybym tylko wiedziała.

- Czy słyszysz panienka morze? - odezwał się Śpioch. - Zbliżamy się.

Podczas gdy moje myśli wędrowały daleko, cały czas wspinaliśmy się w górę i słyszałam już szum fal. Czulałam na twarzy powiew świeżego powietrza.

- Jesteśmy - oznajmił Śpioch i zaczęliśmy przedzierać się przez krzaki. Nagle stanęliśmy na otwartej przestrzeni.

Wiatr pochwyił moje włosy, z których wysunęły się szpilki pozwalając, by swobodnie opadały na plecy.

- Tutaj jest dom, widzi panienka? - pokazał ręką. - W oknie pali się światło.

Łapał mnie za rękę i pociągnął naprzód. Tak jak powiedział, tuż przed nami widniał budynek. Drzwi były otwarte.

Śpioch wszedł do środka, wołając:

- Panie Manton, panie Manton, przyprowadziłem panienkę Ellen!

Odpowiedziała mu cisza. Znajdowaliśmy się w niewielkiej sieni. Śpioch popchnął kolejne drzwi i weszliśmy do pokoju.

Poczułam, że świat wiruje wokół mnie: bo oto widziałam go przed sobą: czerwone kotary, podtrzymywane złotym sznurem, ceglany kominek, fotel na biegunach, rozkładany stół, i nawet „Burzę na morzu” wiszącą na ścianie.

Zgadzał się każdy szczegół. Byłam w pokoju, którego obraz tak często nawiedzał mnie we śnie.

To koszmar. To nie może być prawda. W którymś miejscu osunęłam się w sen. Lochy, potworne podejrzenia, dotyczące Jagona - to wszystko musiało być snem. A oto nowy początek zmory. Zaraz powinnam się obudzić.

Śpioch przyglądał mi się osobliwym wzrokiem.

- Co to za pokój? - wyjąkałam. - Śpiochu, co to za miejsce?

Wydawał się nie rozumieć.

- Tu będzie pani bezpieczna, panienko Ellen - powiedział miękko.

Moje oczy wpatrywały się w drzwi. To one stanowiły zawsze centralny punkt snu. My weszliśmy drugim wejściem,

bowiem w pokoju było dwoje drzwi. Podświadomie wyczuwałam, iż za tymi właściwymi, które nigdy się nie otwały, kryje się przyczyna mojego strachu.

Ujrzałam, jak klamka porusza się wolno. Nie mogłam oderwać od niej wzroku. Drzwi zaczęły się otwierać.

Nadszedł moment, kiedy we śnie ogarniało mnie paniczne przerażenie przed nadciągającą katastrofą. Wszystko to musiało trwać zaledwie kilka sekund, ale czas zwolnił swój bieg. Poczułam strach... zupełnie jak we śnie, ale to nie był sen. Nadeszła chwila objawienia. Malarz! - pomyślałam. Co on ma wspólnego z moim życiem? Ledwie go znałam. Czemu miałby budzić we mnie przeraźliwy lęk?

Drzwi otwały się. Na progu stanął mężczyzna, nie był to jednak malarz. Ujrzałam przed sobą Rollo.

Dygotałam ze strachu, lecz była to jedynie emocja związana ze snem. Na jawie przeważała ciekawość. Rollo! Co robił Rollo na Błękitnej Skale?

- Ellen! - uśmiechnął się. - Jak miło cię widzieć. Skąd się tu wzięłaś?

- Ja... - wykrztusiłam - nie miałam pojęcia... Sądziłam, że mieszka tu malarz...

- Wyjechał na kilka dni do Londynu. Wynajął mi to mieszkanie. Wyglądasz na śmiertelnie wystraszoną. Usiądź.

Dam ci coś do picia.

- Przepraszam - powiedziałam. - Jestem tak oszołomiona, że nie mogę zebrać myśli.

- Chodź, siadaj.

Śpioch wpatrywał się w Rollo. Usłyszałam jego szept:

- Coś strasznego przydarzyło się panience Silvie.

Rollo podprowadził mnie do stołu i usadził na jednym z krzeseł, które tyle razy widywałam w koszmarach.

Nie mogłam uwierzyć, że nie śnię, że to wszystko dzieje się naprawdę.

- Musisz mi o wszystkim opowiedzieć, Ellen. Co się stało w zamku? Jak widzę, przywiózł cię tu chłopak.

- Przyszliśmy czymś w rodzaju jaskini.

Rollo nalał mi czegoś do szklanki i polecił:

- Wypij to. To cię uspokoi. Widzę, że przeżyłaś wstrząs.

Wcisnął mi szklankę w dłoń, ale ja nie byłam w stanie nic przełknąć. Odstawiłam napój na stół.

- Istnieje tunel, prowadzący stąd do zamku.

Rollo nie wydawał się zaskoczony.

- Martwiłem się o ciebie - stwierdził. - To dlatego nie chciałem stąd wyjechać. Czułem, że dzieje się tu coś niedobrego, i że potrzebujesz opieki. Ta sprawa z łodzią nie dawała mi spokoju.

- Uważasz, że ktoś próbował mnie zabić?

Skinął głową.

- Jestem tego pewien.

Nie Jago, pomyślałam. Nie uwierzę, że to Jago.

- Chcę popłynąć na łódź - oświadczyłam. - Przynajmniej na jakiś czas.

- Oczywiście. Zaraz cię zawiozę.

- Chyba zamieszkać w gospodzie w Polcrag, póki tego wszystkiego nie przemyślę.

- To przecież jasne, Ellen. Jesteś dziedziczką wyspy, panią prosperującej społeczności. To ogromny majątek. Ludzie potrafią posunąć się do ostateczności, kiedy w grę wchodzi tak wielka suma pieniędzy.

Zaśmiałam się słabo.

- Przepraszam, ale jestem taka ogłupiała... taka zagubiona. To wszystko było takie dziwnie. Ja, uboga krewna... i taki majątek. Dopiero niedawno to odkryłam.

- Inni ludzie wiedzieli o tym wcześniej i podjęli stosowne kroki.

- Czemu nagle stałeś się dla mnie taki miły?

- Mam nadzieję, że wybaczysz mi moje ówczesne zachowanie. Przepraszam. W końcu jesteś niemal członkiem naszej rodziny. Gdyby Philip nie zginął...

Znów usłyszałam te słowa: „Co się zdarzyło w sypialni Philipa Carringtona...” Nie, Jago, nie uwierzę, że to ty. Nie potrafię.

Rollo okazał nagły niepokój.

- Gdzie się podział chłopak... ten, który cię przyprowadził?

Obejrzałam się za siebie. Śpioch zniknął.

- Musi gdzieś tu być.

Rollo podszedł do drzwi. Usłyszałam, jak woła Śpiocha.

Teraz, kiedy zostałam sama w pokoju, rozejrzałam się z nabożnym zdumieniem. Podeszłam do okna i dotknęłam zasłony. To było zbyt realne jak na sen.

Co miałam zrobić? Powinam była zostać w zamku i porozmawiać z Jagonem. Wróć do niego i powiem, że chcę poznać całą prawdę.

Moja matka musiała często odwiedzać ten pokój, bowiem na swym rysunku odtworzyła każdy szczegół. Czemu jednak odgrywał on taką rolę w moich snach? Nie potrafiłam odpowiedzieć na to pytanie.

Znalazłam więc miejsce, lecz jakie miało ono znaczenie? Przeżyłam moment grozy, gdy drzwi otwały się, ukazując Rollo.

Nawet w nim było coś niezwykłego - coś obcego. Nie był już boską istotą, znaną mi z lat młodości, oglądaną oczami uwielbiającego go młodszego brata. Rollo się zmienił.

Drzwi ponownie otwały się i - o dziwo - poczułam na nowo dobrze znany dreszcz strachu.

To znów był Rollo, z twarzą wykrzywioną gniewem.

- Nie mogę znaleźć chłopaka... tego wariata - powiedział. - Gdzie mógł się podziać?
- Nie mógł uciec do zamku.
- Czemu w ogóle tak odbiegł? Co mówił?
- Coś o Silvie. To moja przyrodnia siostra. Mówił, że przydarzyło się jej coś straszego.
- O co mu chodziło?
- Nie wiem.
- Ten chłopak to wariat.
- Ja tak nie sądzę. Jego umysł pracuje w odmienny sposób, to wszystko. Ma swoje sympatie i, jak je nazywa,

talenty.

- To idiota - przerwał mi Rollo. - Nic nie wypiąs. No dalej, poczujesz się po tym lepiej.

Uniosłam szklanke i pociągnęłam parę łyków.

- Chciałabym popłynąć na łód - oświadczyłam.
- Zabiorę cię.

Wstałam.

- Najpierw skończ napój, a ja przygotuję łódź.
- Zostawiłam wszystkie rzeczy w zamku.
- Czemu opuściłaś go w takim pośpiechu?
- Wtedy wydawało mi się to konieczne. Teraz...
- Żałujesz?

Uśmiechał się do mnie, a pokój wokół niego zdawał się rozpylić. Pozostała tylko uśmiechnięta twarz.

- Sądzę, że działałam zbyt pochopnie. Powinna być zaczekać, porozmawiać z Jago...

Miałam wrażenie, iż mój głos dochodzi z oddali. Rollo nadal uśmiechał się do mnie.

- Ogarnia cię senność - stwierdził. - Moja biedna Ellen...
- Bardzo dziwnie się czuję. Wydaje mi się, że wciąż śpię. Ten pokój...

Skinął głową.

- Rollo, co się dzieje?
- To tylko otępienie. W napoju. Środek uspokajający. Potrzebowałaś tego - i ja też.
- Ty... Rollo?
- Chodź. Pójdziemy już.
- Dokąd?
- Do łodzi. Tego przecież chcesz, prawda?

Wstałam z krzesła i zachwiałam się na nogach. Podtrzymał mnie.

- No dalej - powiedział. - To będzie łatwe. Sama tu przyszłaś. Nie mogło złożyć się lepiej. Choć diabli nadal

chłopaka.

Objął mnie ramieniem i razem wyszliśmy przed dom. Chłodne powietrze nieco mnie otrzeźwiło.

- Co się stało? - krzyknęłam.

Usłyszałam cichy śmiech Rolla.

- Wszystko jest w najlepszym porządku. Nie spodziewałam się takiego szczęścia. Już niedługo. Chodź ze mną... W

dół zbocza, na brzeg.

Coś krzyczało w mojej duszy. Przeczucie nadchodzącej zguby było coraz silniejsze.

Usłyszałam własne słowa:

- Chyba jednak nie chcę jechać...
- Nie bądź uparta. Idziemy.
- Chcę najpierw zobaczyć Jagona. Oczywiście, że muszę się z nim spotkać. Powinna z nim porozmawiać...

poprosić o wyjaśnienia.

Osunęłam się na ziemię. Leżałam pośród krzaków, przywierając do nich z całych sił.

- O co ci chodzi? - Rollo próbował postawić mnie na nogi, ale ja nie puszczałam gałęzi. Bowiem nagle nadeszło

straszne olśnienie. Sen mówił prawdę. Moja zguba stała za drzwiami, bo moją zgubą był Rollo.

W napoju, który mi podał, był jakiś narkotyk. Teraz to wiedziałam. Ogarniająca mnie senność miała pokonać opór tak, aby mógł ze mną zrobić, co tylko zechce. Ale dlaczego Rollo? Z jakiej przyczyny miałby pragnąć mnie zabić? Bo tego właśnie chciał. Byłam o tym przekonana. Rollo nadszedł przez drzwi zguby, a Śpioch... Śpioch zniknął.

Nawet w takim momencie poczułam ulgę, że myliłam się co do Jagona. Och, Jago, czemu od ciebie uciekłam? Jaka jest prawda?

Rollo odciągał mnie od krzaków, a ja nie mogłam już dłużej utrzymać uchwytu. Byłam zupełnie bezradna.

Dźwignął mnie na ręce.

- Nie walcz z tym - powiedział. - To ci nic nie pomoże, a tylko mnie bardziej rozżłości. Zaśnij. To najlepsza rzecz, jaką możesz teraz zrobić.

Mój ciężar wyraźnie utrudniał mu poruszanie. Rollo cicho mamrotał przekleństwa pod moim adresem. Słyszałam huk fal, rozbijających się na skalach i wiedziałam; co chce zrobić mój porywacz. Z jakiegoś powodu zależało mu, aby się mnie pozbyć, i zamierzał mnie zabić. Odpłynie nieco od brzegu i ciśnie mnie w fale, a ja nie będę mogła nic zrobić, bo z każdą chwilą ogarniała mnie coraz większa senność. Wkrótce nie będę już czuła niczego.

Usłyszałam zgrzyt łodzi, przesuwanej po piasku. Znów uniósł mnie w górę.

Nagle jakby mnie olśniło.

- To ty uszkodziłeś barierkę na Skale Samobójców - stwierdziłam.
- Twojego życia, Ellen, strzegł jakiś czar - aż do tej chwili.
- Rollo, powiedz mi, dlaczego... czemu... co ci takiego zrobiłam?
- Stoisz mi na drodze. To wszystko.
- Ale jak... jak? Co dla ciebie znaczą?
- Nie zadawaj pytań. Lepiej módl się.
- Przybyłeś tu, aby mnie zabić. Dlaczego?
- Powiedziałem, żebyś nie zadawała żadnych pytań.

Brutalnie wrzucił mnie do łodzi. Próbowałam wyczołgać się z niej, ale natychmiast mnie złapał.

- Nie bądź głupia. Nie lubię używać przemocy.
- Ale nie cofasz się przed morderstwem - stwierdziłam. - To ty zabiłeś Philipa.
- Gdyby Philip żył, to wszystko byłoby niepotrzebne.
- Rollo, wiem, że zamierzasz mnie zabić. Jesteś mi winien parę chwil...
- Nie ma czasu do stracenia. Nigdy go nie ma - odparł szorstko.

A zatem to już koniec. Dokładnie wiedziałam, co teraz się stanie. Moje senne ciało wpadnie w objęcia morza, a ciężkie suknie pociągną mnie w dół... ku nicości.

Myliliam się jednak. Rzeczywiście mojego życia strzegł jakiś czar - albo może ludzie, którym tak bardzo na mnie zależało.

Z tyłu rozległ się krzyk i usłyszałam wściekle przekleństwo Rolla. I nagle ujrzałam Jagona. Dobiegł na brzeg, a potem skoczył do wody. Odepchnął Rolla i porwał mnie z łodzi.

- Ellen! - jego głos dobiegał poprzez zalewające mnie fale senności. Poczułam, jak ogarnia mnie nagła fala szczęścia. - Moja Ellen.

Ocknęłam się w swojej sypialni w zamku. Był już dzień, a obok mego łóżka siedział Jago. Nachylił się nade mną i pocałował mnie.

- Wszystko w porządku, Ellen - powiedział.
- Więc to był sen. To był tylko sen.
- Nie. To zdarzyło się naprawdę. Po tym, jak zaniósłem cię z powrotem do domu, on odpłynął łodzią. Morze było bardzo wzburzone i najprawdopodobniej nie zdołał bezpiecznie dotrzeć na ląd.
- Jago, jestem taka oszołomiona.
- Najpierw to, co najważniejsze. Kocham cię, ty kochasz mnie, choć muszę przyznać, że nie okazałaś tego zeszłego wieczoru. Czekałem na ciebie, zgodnie z naszą umową. Czekałem i czekałem. Potem zacząłem cię szukać. Wtedy wrócił przerażony Śpioch. Powiedział, że jesteś na Błękitnej Skale wraz z mężczyzną, który chce cię skrzywdzić.
- Skąd o tym wiedział?
- Widział go już przedtem.
- Rollo był na wyspie.
- Tak. Od ponad tygodnia mieszkał w domu na Błękitnej Skale... odkąd Manton wyjechał do Londynu. Malarz wynajął mu mieszkanie na czas swojej nieobecności.
- Zatem mógł uszkodzić „Ellen”. Ale dlaczego?.. Czemu chciał mnie zabić?
- Z bardzo prostego powodu. Gdyby usunął cię z drogi, jego żona odziedziczyłaby wielką sumę pieniędzy.
- Jego żona?
- Silva.
- Ale... ona zginęła.

Jago potrząsnął głową.

- Możliwe. Choć jestem pewien, że nie, bo w przeciwnym wypadku wszystkie jego działania nie miałyby sensu. Ten chłopak, Śpioch... przebiegłe stworzenie... cały czas udawał ośpałego, a przecież wiedział znacznie więcej niż my wszyscy razem!
- Rollo pragnął pieniędzy. Nie mogę w to uwierzyć.
- Mówiłem ci już, że ich imperium finansowe upada. Od pewnego czasu widzieli nadciągającą klęskę. Zapewne to dlatego poślubił Silwę. A potem dowiedział się o testamencie twojego ojca i o tym, że jesteś pierwsza. Zrobili wszystko, abyś została żoną Philipa, bo to zapewniłoby im fortunę Kellawayów.
- Philip... o, Philip! Co się właściwie z nim stało? Słyszałam...
- Tak, wiem, co słyszałaś. Posłałaś do lochów, bo odkryłaś, iż mam się tam spotkać z Hawleyem, którego znałaś. Ukryła się, aby nas podsłuchać. A potem zdradził cię naszyjnik. Ellen, jak mogłaś we mnie zwątpić?
- Musiałam wiedzieć. Bałam się, że zrobiłaś coś...
- Co zniszczyłoby twoją miłość do mnie?
- Odkryłam jednak, że nic nie jest w stanie tego dokonać.
- A zatem było to coś warte. Ale niewiele brakowało. Gdyby ten diabeł pospieszył się o pięć minut, zdołałby wywieźć cię na morze, a wtedy Bóg jeden wie, co by się stało.
- Opowiedz mi, co do tego doprowadziło.
- Sam musiałem pozbierać do kupy wiele faktów. Kilka z nich nie zostało potwierdzonych. Ale oto, co według mnie miało miejsce: Twój ojciec nie był pewien, czy Silva jest jego córką. Podejrzewał, iż jej ojcem jest Manton. Podobnie zresztą uważał sam malarz, ponieważ z matką Silwy byli kochankami. Rollo, który interesuje się sztuką, poznał Mantona w Londynie,

podczas wystawy jego obrazów, i usłyszał od niego o wyspie i Kellawayach. Przyjechał tu i poznał Silwę, a odkrywszy, iż jest ona starszą córką uznał rzecz jasną, że to jej przypadnie w spadku cały majątek. Oczywiście wiedział też, że istnieje jeszcze młodsza córka, wywieziona przez matkę, ale ojciec zupełnie się nią nie interesuje. Bogactwa wyspy oznaczały, iż w razie sprzedaży osiągnie ona bardzo wysoką cenę, a Carringtonowie potrzebowali ogromnej sumy pieniędzy, by uratować swe podupadające imperium. Poślubił zatem w sekrecie Silwę i zabrał ją do Londynu. Potem umarł twój ojciec i wtedy Carringtonowie odkryli, że jest ktoś, kto jest pierwszą kandydatką do spadku. Gdybyś wyszła za Philipa, przekonaliby cię, żebyś sprzedała wyspę i zainwestowała majątek zgodnie z ich radą, co oznaczałoby zagarnięcie twoich pieniędzy.

- A wtedy ty, Jago, przybyłeś do Londynu.

- Aby się z tobą zobaczyć. Słyszałem, że interesy Carringtonów nie idą najlepiej, i choć nie wiedziałem wtedy, że Rollo Carrington poślubił Silwę, i sądziłem jak wszyscy, że ona nie żyje, natychmiast pojąłem, czemu ich rodzinie tak bardzo zależy na tym ślubie. Byłaś moją podopieczną - i nadal jesteś, pamiętaj - toteż obowiązek nakazywał mi, bym się tobą zajął. Wynająłem prywatnego detektywa, aby dokładnie zbadał sprawy Carringtonów. To był typ spod ciemnej gwiazdy, jak większość przedstawicieli tej profesji. Pracując w ich domu odkrył więcej, niż ja zdołałbym kiedykolwiek, wykorzystując dostępne mi źródła. Ja natomiast udałem się do Londynu, gdzie nieproszony wtargnąłem na przyjęcie u Carringtonów i natychmiast zakochałem się w tobie.

- Musiałam być bardzo atrakcyjna, z perspektywą wyspy w wianie.

- Ty i ta wyspa, Ellen - nie można było wam się oprzeć.

- Z pewnością nie można oprzeć się urokom wyspy.

- A i ty jesteś całkiem niczego. Od pierwszej chwili pokochałem twojego niepokornego ducha. Biedna mała Esmeralda stanowiła dla ciebie znakomite tło.

- I Philip zginął.

- To był wypadek. Biedak. Zdarzyło się nieszczęście. Hawley pracowicie przeglądał papiery w jego pokoju, kiedy Philip mu przeszkodził. Trzymał pistolet obok łóżka i zagroził nim Hawleyowi, żądając, by ten wyjaśnił, co robi. Hawley stracił głowę i rzucił się na Philipa, próbując odebrać mu broń. Ta na nieszczęście wystrzeliła, zabijając chłopaka. Hawley to twarda sztuka - ma doświadczenie we wszelkich przygodach... Natychmiast pojął, w jakich kłopotach się znalazł. Bardzo zręcznie zaaranżował wszystko tak, by wyglądało na samobójstwo i udało mu się.

- Jago, nie wynająłeś go po to, by zabił Philipa?

- Na Boga, nie. Byłem przerażony, kiedy usłyszałem o jego śmierci.

- Ale przecież chciał mnie poślubić i odebrać ci wyspę.

- Miałem zamiar odwieść cię od tego. Przekazałbym ci wszystkie informacje, jakie zebrałem o Carringtonach. Miałem też wrażenie, że nie darzysz go szaleńczą miłością i czasami sama powątpiewasz w sens pospiesznego małżeństwa. Liczyłem na to, że przynajmniej zgodzisz się przesunąć datę ślubu.

- I kazałeś Hawleyowi dorobić drugi klucz.

- Tak. Chciałem pomówić z tobą sam na sam w tym domu. Chwytałem się każdej szansy spotkania. Sądziłem, że jeśli porozmawiamy „przypadkiem”, zdołam przemycić kilka aluzji...

- To był szalony pomysł.

- Z czasem przekonasz się, że często popełniam czyny godne szaleńca. Może nawet pokochasz niektóre moje pomysły. Zrobiłbym wiele, aby cię zdobyć, Ellen, ale nie posunąłbym się jednak do morderstwa. Tak bardzo obawiałem się o ciebie. Nie ufałem tym Carringtonom. A potem śmierć Philipa wszystko zmieniła.

- Co teraz stanie się z Carringtonami?

- Śmiem sądzić, iż za kilka tygodni usłyszysz o ich upadku. Ale zostawmy ich. Chcę z tobą porozmawiać, Ellen. Mamy tyle rzeczy do omówienia... tyle planów. Pomyśl tylko, Ellen... nas dwoje na wyspie.

Leżałam nieruchomo, rozmyślając nad jego słowami.

ROZDZIAŁ 12 ROZWIĄZANIE

W miesiąc później Jago został moim mężem.

Do tego czasu wszystko już rozumiałam. Ciało Rolla znaleziono w kilka dni po tym, jak wkroczyłam do pokoju z mych snów, by go tam zastać. Po rozmowie z Jagonem nie miał innego wyjścia, jak tylko wyruszyć w morze i spróbować dotrzeć na ląd; zaś ocean tej nocy nie był w łaskawym nastroju. Nie jestem pewna, czy Rollo mógł opanować łódź. Może po prostu poddał się śmierci, bowiem w kilka tygodni później gazety obwieściły upadek imperium Carringtonów. Była to jedna z największych katastrof finansowych tego stulecia. Wielu ludzi straciło w niej swe oszczędności. Mówiono nawet o możliwości prawnego ukarania winnych. Uznano, iż Rollo z rozmysłem wybrał śmierć w falach.

Tak wiele zawdzięczałam Śpiochowi, który ujrzawszy Rolla rozpoznał w nim mężczyznę, z którym uciekła Silva i instynktownie zrozumiał, że ten nie ma dobrych zamiarów. Natychmiast też pobiegł z powrotem tunelem i sprowadził Jagona na czas, by ocalić mi życie.

To już chyba koniec naszej historii.

Gwennol poślubiła w końcu Michaela Hydrocka i razem rozpoczęli pracę nad dziejami jego rodu. Jenifry zamieszkała wraz z nimi. Zawsze była oddana córce i od początku obawiała się, że mogą w czymś jej zagrozić, nawet przed tą sprawą z Michaeliem. Jesteśmy teraz dość dobrymi przyjaciółkami - choć nigdy tak naprawdę nie staniemy się sobie bliskie - i często uśmiecham się na myśl, jak kiedyś podejrzewałam ją o złe zamiary tylko z powodu odbicia w lustrze, zniekształconego złudnym blaskiem świecy.

Poza tym odnalazłam Silvę. Biedna Silva, której życie nie szczędziło cierpienia. Staram się uleczyć jej serce, a podstawowym lekarstwem, jakie stosuję, jest miłość. Miodowy miesiąc z Rollo nie potrwał długo, a kiedy odkryła, że on jej nie kocha, cierpiała tak, jak jeszcze nigdy w życiu. Trzymał ją w zamknięciu pod opieką pielęgniarki, będącej raczej strażniczką, sam zaś w tym czasie starał się położyć rękę na jej majątku. A potem, kiedy dowiedział się, że testament wymienia najpierw mnie, miał motyw, by mnie usunąć. Nieszczęsna Silva zaczynała już naprawdę wierzyć, że zwariowała.

Przede wszystkim musiałam ją przekonać, że się myliła.

Znalazłam ją w samotnym wiejskim domku, stanowiącym własność Carringtonów, i zabrałam do zamku bez opiekunki. Nazywam ją siostrą - i choć to bardzo prawdopodobne, że James Manton był rzeczywiście jej ojcem, obie wolimy sądzić inaczej. Malarz to miły człowiek i często przepływamy na jego wyspę, aby zjeść podwieczorek w pokoju z moich snów, jest jednak całkowicie pochłonięty swą pracą i chociaż traktuje Silvę z niezmienną grzecznością, nie potrafi obdarzyć jej uczuciem, na jakie zasłużyła.

Nie jest to zresztą łatwe. Z początku była nieśmiała i podejrzliwa. Śpioch jednak bardzo mi pomógł, z radością witając ją w domu. Uważa nas obie za swe protegowane i często widuję go uśmiechającego się z zadowoleniem, kiedy na nas patrzy.

Kiedy na świat przyszło nasze pierwsze dziecko - Jago, po ojcu - Silva zaczęła się zmieniać. Uwielbiała je, a potem jego rodzeństwo. Dzieci też bardzo ją kochają i myślę, że jest wreszcie szczęśliwa.

Mój dawny sen przestał mnie nawiedzać. Sądzę, że wiem, dlaczego był zmorą mojego dzieciństwa, póki Rollo nie złamał czaru, wchodząc przez drzwi. Moja matka nie była w najlepszych stosunkach z ojcem i pragnęła odejść, ale on nigdy by się na to nie zgodził. Matka jednak zdecydowała się zaryzykować wszystko, byle tylko uciec. Pani Pengelly, która była jej pokojówką, wiedziała o istnieniu podmorskiego tunelu, prowadzącego na Błękitną Skalę. Jak mi później wyznała, pewnej nocy obie wymknęły się na sąsiednią wyspę. Matka poznała malarza już wcześniej, oboje ukochali przecież sztukę, toteż zgodził się jej pomóc. Miałam wtedy trzy lata. Przeniosła mnie przez tunel i najwyraźniej wrażenie, jakie wywarł na mnie pokój było tak silne, że jego obraz towarzyszył mi przez następne lata. Prawdopodobnie wyczułam obawy matki, że ojciec mógłby nas ścigać i wpaść przez drzwi pokoju, by zapobiec jej ucieczce. Zapewne strach ten był tak przejmujący, że jeszcze długo nękał mnie w snach.

Tak bardzo kocham mój dom! I moje obecne życie! Mamy z Jago mnóstwo planów na przyszłość.

Często objeżdżamy całą wyspę. Ludzie wychodzą, aby nas pozdrwić. Stara Tassie staje wtedy w drzwiach, a nowy Malken pomrukuje u jej stóp. Ona zaś patrzy na mnie, jakby dzięki swym szczególnym mocom sprawiła, że jesteśmy tak bardzo szczęśliwi.

Kładziemy się na skałach i spoglądamy w dół, na zatoczkę, gdzie kiedyś przybił Hawley. Patrzymy też w niebo, po którym od czasu do czasu śmigają gołębie - może niosą ze sobą wiadomość od Gwennol i Michaela w Dworze Hydrocków? - a czasem rozmawiamy o przeszłości.

- To wszystko jest teraz twoje - mówi Jago.

- Nasze - poprawiam go.

Tak, dodaję w duchu, nasze: ta piękna wyspa, ukochane dzieci, szczęśliwe życie. Nasze.